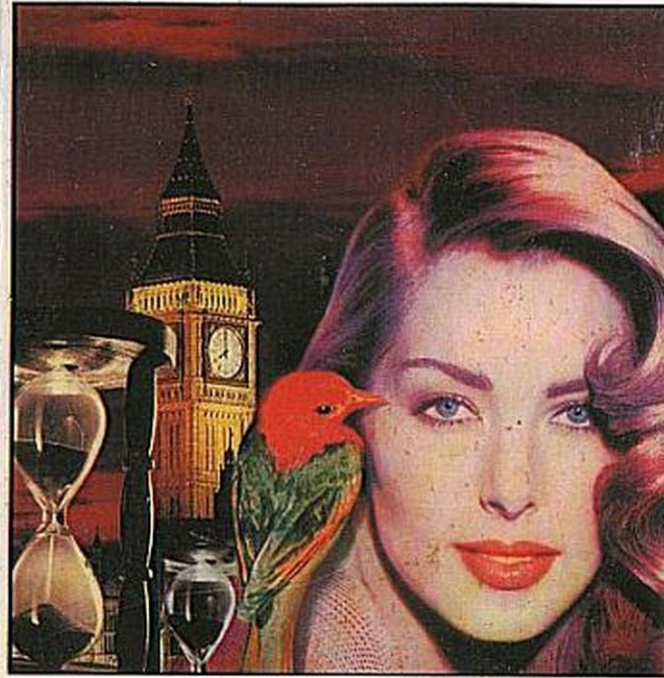


almapress

# ELIZABETH VON ARNIM



URODZINY FANNY

**Beauchamp Mary Annette (Arnim Elizabeth von)**

**Urodziny Fanny**

1

Fanny, którą kiedyś łączył małżeński węzeł z niejakim panem Skeffingtonem i która z nieodparty ch, jak utrzymywała, powodów, już dawno temu się z nim rozwiodła, by następnie przez całe lata nie wspomnieć go ani razu, ostatnio ku własnemu zaskoczeniu zaczęła intensywnie o nim rozmyślać. Wystarczyło jej przymknąć powieki, a już widziała Skeffingtona siedzącego przy śniadaniu nad półmiskiem z rybą; ostatnio zaś nie musiała nawet zamykać oczu, by stwierdzić, że jej były małżonek wyłania się zza każdego niemal sprzętu.

Najbardziej jednak niepokoiło ją to, że na stole w ogóle nie było ryby, bo tylko w okresie niezbyt długich rządów Skeffingtona jako męża na śniadanie podawano rybne potrawy. Był to bowiem człowiek wierny tradycji i lubił zasiadać do stołu zastawionego tak jak za czasów swojej młodości. Wraz z jego zniknięciem zniknął jednak również używany do ryb srebrny, elektrycznie podgrzewany półmisek. Stało się tak nie dlatego, że Skeffington go ze sobą zabrał, był bowiem wówczas w zbyt opłakanym stanie ducha, by pamiętać o półmisku, ale dlatego, że od jego odejścia aż do tej chwili śniadanie Fanny stanowiła połówka grejpfruta.

To, iż widziała tak wyraziście męża oraz jego półmisek, mając jednocześnie świadomość, że i jeden, i drugi są tylko złudzeniem - martwiło ją rzecz jasna ogromnie. Niewiele brakowało, by wybrała się z tym do lekarza; ponieważ jednak nigdy nie miała skłonności do takich wizyt, postanowiła trochę poczekać. No bo ostatecznie - rozumowała Fanny, która uważała się za kobietę rozsądną - już wkrótce będzie obchodzić pięćdziesiąte urodziny, jeśli zaś człowiek dociera do tak ważnego kamienia milowego na drodze swego życia, nie powinno dziwić, że zwraca się ku swej przeszłości, by trochę w niej poszperać. A jeśli tak, to czy jest coś bardziej nieuniknionego niż natknięcie się tam na Skeffingtona? Wszak przez pewien czas odgrywał on w jej życiu główną rolę. Musiała też uznać, że stworzył podstawy jej egzystencji. To właśnie dzięki narzuconej przez niego ugodzie, a zawierał ją człowiek niesamowicie bogaty i bez pamięci zakochany, materialna sytuacja Fanny była tak znakomita; ale wszystko to stało się również dzięki jego niewierności. Tylko czy za to należy dziękować losowi? No cóż, tak czy owak, wszystko razem sprawiło, że Fanny odzyskała wolność. Uwielbiała ten stan. Przeżyła dwadzieścia dwa lata czarownej wolności, delektując się każdą jej minutą, wyjąwszy te chwile, kiedy dobiegał końca kolejny romans i gdy niemożliwe już było uniknięcie przygnębiających sytuacji, a także pomijając okres z zupełnie bliskiej przeszłości, kiedy przechodząc rekonwalescencję po straszliwej chorobie, pozostawiona sama ze swymi myślami, zaczęła snuć refleksje związane ze Skeffingtonem. Może w kierunku tych poważnych rozmyślań pchnęła ją zatrważająca bliskość niemiłego jubileuszu, może powodem było fatalne osłabienie po przebytych dyfteryście, a może wychodzenie całymi garściami jej cudownych włosów - nie-

zależnie jednak od przyczyny Fanny popadła w ten stan, a jej były mąż najwyraźniej zareagował na to ze skwapliwością, która nią wstrząsnęła: jego obraz z każdą chwilą nabierał życia i wyrazistości. Jednakowoż zdarzenia te rozegrały się w ciągu zaledwie ostatnich miesięcy i Fanny była przekonana, że z chwilą odzyskania przez nią sił - wszystko minie. Jakże błogi, niczym nie zakłócony żywot wiodła do czasu swej choroby! Było to zaiste życie pełne blasku, zaludnione barwnym tłumem potencjalnych kochanków - kiedyś bowiem zdawało się, że cały świat pragnie jej miłości - a wszystko to dlatego, że Skeffington nigdy nie był w stanie oprzeć się powabom swych młodych maszynistek. Budziło to wielki gniew Fanny aż do chwili, gdy zaświtała jej myśl, że dzięki tym wszystkim biuralistkom mogą się przed nią otworzyć wrota wiodące ku wolności. Kiedy wreszcie zrozumiała, że tak naprawdę te liczne maszynistki są ryglami, które zwalniają zamknięte drzwi, poniechała złości, a zaczęła odczuwać radość, choć prawdę mówiąc, nie sądziła, że tak właśnie być powinno. Nie, oczywiście że było to nie na miejscu, jakże jednak trudno jest odrzucić zalety egzystencji bez udziału Skeffingtona! Mimo jej najszczerzych chęci małżeństwo nigdy nie było dla Fanny źródłem radości. Ponadto na domiar wszystkiego Skeffington był Żydem, podczas gdy Fanny - aryjką. Rzecz nie w tym, że miało to dla niej jakieś znaczenie, gdyż była wolna od wszelkich uprzedzeń, lecz w tym, że jego wygląd był tak modelowo semicki. Wcale tak przecież być nie musiało. Wiele przyjaciółek Fanny miało mężów-Żydów, jednak żaden z nich nie odznaczał tak bardzo żydowską powierzchownością jak Job (tak bowiem brzmiało imię Skeffingtona - imię, którego doprawdy nikt nie był w stanie

określić inaczej niż jako „niefortunne”\*. Nie mogąc nic na to wszystko poradzić, był niewątpliwie człowiekiem pełnym życzliwości. Fanny zaś, jako uczciwa, wierna danemu przez siebie słowu dziewczyna, za dobro płacąca dobrem - była równie życzliwa, choć jej serce nie brało w tym udziału. Doszła do wniosku, że małżeństwo z człowiekiem odmiennej rasy wiąże się z drobnymi kłopotami; irytowało ją też, że musiała przejść na jego religię, mimo że sama właściwie nigdy nie miała swojej. Kiedy więc Skeffington dostarczał systematycznie coraz to nowych powodów do honorowego usunięcia go z jej życia, początkowa złość Fanny ustąpiła miejsca zadowoleniu.

\*

Fanny zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jej reakcja na zdrady Skeffingtona nie była właściwa; nic na to jednak nie mogła poradzić. Miała absolutną świadomość, że powinna stopniowo wpadać w coraz większy gniew, stając się z dnia na dzień istotą bardziej nieszczęśliwą. Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Po pierwszej maszynistce Skeffington był tak zawstydzony i pełen skruchy, że Fanny nie miała innego wyjścia, jak tylko mu wybaczyć; pojawienie się drugiej z kolei, aczkolwiek upokarzające, nie dotknęło jej do żywego. Po trzeciej Fanny była niemal zupełnie spokojna. Czwarta maszynistka wzbudziła po prostu jej zdumienie, że istnieje tyle młodych istot, które okazują mu tego rodzaju zainteresowanie; podejrzewała jednak, że sprawiają to jego pieniądze. Piątą - odwiedziła osobiście. Zatrwożone i spięte stworzenie musiało zupełnie serio wyjaśnić, co właściwie takiego widzi w Skeffingtonie. Na wieść o szós-

**\*Jest to zdrobnienie od biblijnego imienia Hiob - przyp. tłum.**

tej maszynistce Fanny kupiła sobie kilka nowych kapeluszy. Po siódmej - odeszła od męża. I nigdy do niego nie wróciła. Odeszła, by ujrzeć go dopiero w sądzie rozwodowym. Od tej chwili widziała Skeffingtona już tylko raz, niedługo po jej ostatecznym wyrwaniu się na wolność. Zdarzyło się to wówczas, gdy jej kierowca, a oceniając to trzeźwo -jego samochodu, zahamował na Pall Mall dokładnie w chwili, kiedy jej były mąż przechodził przypadkiem obok, zmierzając do swego klubu. Fanny siedziała w ciemnym obramowaniu okna samochodu - subtelnie jaśniejąca urocza istota, która u każdego wywołuje pragnienie dopuszczenia do łask. Ogromny kapelusz w stylu lata 1914 roku przykrywał jej włosy; ich jedwabistą obfitością Skeffington w szczęśliwszych dla siebie czasach często gładził w wiernopoddań-czym geście. Teraz zaś Fanny okazała mu tak głęboką obojętność, że niemal nie zadała sobie trudu, by zwrócić ku niemu głowę. Czyż nie było to bezlitosne, a właściwie przerażająco bezlitosne? - pytał samego siebie Skeffington, uosobienie namiętnego sprzeciwu. Czyż nie wielbił jej, żyjąc tylko dla niej? Czyż nie myślał jedynie o niej, nawet wówczas, gdy jednocześnie zaprzętało mu głowę jakieś ładne dziewczątko z biura? I jakie znaczenie na dłuższą metę mają dla mężczyzny urocze biuralistki? Jeśli się je porówna z ukochaną, prześliczną i, jak mu się zdawało, wieczną żoną - znaczą one mniej niż nic.

Jednak Fanny patrzyła nań kątem oka spod przymkniętych powiek i widziała, że się zawahał i jakby przystanął, dostrzegła też oblewający go rumieniec i pomyślała: biedny Job, sądzę, że on mnie nadal kocha. A kiedy samochód ruszył w górę St. James Street, w kierunku jej uroczego domu, a oceniając to trzeźwo - jego uroczego domu, Fanny pogrążyła się

w leniwej zadumie nad niewątpliwą zdolnością mężczyzn do kochania się w kilku kobietach jednocześnie. Była bowiem pewna, że Job miał ich na podorędziu również kilka i teraz, kiedy to na chodniku Pall Mail przeżywał rozterki i płonął z miłości do niej. Wiedziała już przecież doskonale, że Skeffing-ton nie mógł się bez nich obejść - jednej w domu, drugiej w biurze, a trzeciej Bóg raczy wiedzieć gdzie jeszcze; być może w Brighton, dokąd z takim zamiłowaniem jeździł, by - jak to wyjaśniał - pooddychać morskim powietrzem.

Tu jednak, kiedy ją ujrzał, niemal przystanął i wpatrywał się w nią swymi mętnymi oczami psa, jak gdyby Fanny była jedyną miłością jego życia. Ona zaś, która potrafiła być wierna tylko jednej rzeczy naraz, zaczęła się zastanawiać nad własną cierpliwością, nad swą iście anielską cierpliwością, jaką wykazywała wobec wybryków Joba. Trzeba było siedmiu jego wyskoków, by Fanny zaczęła cokolwiek robić. Cóż, mogła się z nim rozwieść już po drugim razie, co nawet w opinii jej matki, która uznawała zasadę, że wszystkie żony winny się kurczowo trzymać swych mężów, byłoby całkowicie usprawiedliwione - i tym samym rozpocząć zachwycającą egzystencję jako wolna istota już w wieku lat dwudziestu trzech, zamiast dwudziestu ośmiu. Okazywanie przez wszystkich troski, by wynagrodzić jej niegodziwe mężowskie traktowanie oraz domniemane katusze trwałyby więc o pięć lat dłużej. Pięć lat bowiem kosztowała ją własna cierpliwość - pięć lat szczęścia.

Wchodząc do bogato ukwieconej biblioteki - kto nie widział tej masy kwiatów, jaką w owym czasie Fanny otrzymywała każdego dnia, ten po prostu w to nie uwierzy - i znajdując tam lorda Conderleya z Upswich, podstarzałego (za takiego go uważała,



choć nie miał jeszcze pięćdziesiątki) i namiętnego jej wielbiciela, który oczekiwał, by zabrać ją na lunch; wchodząc tam zadała sobie pytanie, czy jakakolwiek inna kobieta okazałaby się takim aniołem wyrozumiałości. A może tak naprawdę była to nie tyle wyrozumiałość ile obojętność?

Tak, zdecydowała Fanny, która jako uczciwa dziewczyna lubiła nazywać rzeczy po imieniu, to nie kwestia jej anielskości; to po prostu obojętność, którą zaczęła odczuwać po trzecim wyskoku Skeffingtona.

\*

To już jednak należy do odległej przeszłości, choć może wydawać się bliskie. Fanny miała więc wówczas dwadzieścia osiem lat, a teraz wkrótce ukończy pięćdziesiąt. Od czasu gdy spotkała Skeffingtona na chodniku Pall Mail minęło, a właściwie przemknęło całe pokolenie, odeszły też w przeszłość jaja siewek, którymi później Conderley karmił ją ochoczo w Berkeley; gdzież one są teraz, te jaja w mocnych, jakby ugotowanych na twardo, kruszonych przez nią skorupkach? Może powróciły w postaci kwiatów lub trawy, zjedzonej następnie przez owce, by raz jeszcze, już jako baranina, trafić do jej żołądka? Wszystko uległo rozproszeniu i zanikowi, by pojawić się na nowo w innej formie. Życie to doprawdy dziwny interes - tak krótkie, a jednocześnie tak bogate; tak treściwe, a jednak w ciągu kilku lat, krótkich niby minuty, ulegające rozproszeniu. Gdyby mieli z Jobem dzieci, one również już by się do tego czasu rozpierzchły. Byłyby dorosłe i miały własne rodziny. I oczywiście uczyniłyby z niej babkę. Nie do wiary, co z człowiekiem mogą zrobić inni ludzie. To zabawne - zostać babką, czy się tego chce, czy nie!

Ba,, ale wnuki. Ważyła ostrożnie to słowo, jakby smakując jego rzeczywiste znaczenie. Kobieta mogła-

by długo ukrywać swoje pięćdziesiąt lat przed ludźmi, którzy nie zadali sobie trudu wyszukania jej nazwiska w herbarzu Debretta; nie byłaby jednak w stanie kryć się z wnukami, które mają z pewnością silną skłonność do uporczywego pojawiania się. Dobrze więc, że ich nie ma w ogóle. Któż bowiem lubi ujawniać swoją metrykę?

Czy jednak wnuczka nie wypełniają jakiejś pustki? Czy nie pojawiają się w życiu człowieka w chwili, gdy zaczyna ono podobnie jak włosy - rzednąć? Po straszliwej chorobie ostatniej jesieni, kiedy to niebotyczna gorączka trawiła ją przez całe dni, Fanny w końcu dostrzegła i szczerze to opłakała, że jej włosy nie są już takie jak przedtem. Na wsi pozostawała jeszcze przez kilka miesięcy, z wolna odzyskując siły; kiedy jednak wróciła - Londyn wydal się jej innym miastem, a jego mieszkańcy inną rasą, jakże apatyczną i mdłą. No i jeszcze przyjaciele, którzy ostatnio tak się zaczęli przenosić na tamten świat...

\*

Wszystkie te refleksje snuła Fanny leżąc w łóżku. Na zewnątrz panował lodowaty mglisty luty, jej sypialnia tonęła jednak w ciepłe i różowościach. Otulona różowym peniuarem - kiedy była młodsza, jej sypialnia urządzona była w tonacji morskiej zieleni, ze zdziwieniem jednak zauważyła prawidłowość, z jaką pokój starzejącej się kobiety nabiera odcieni różowych - w przyćmionym, niezwykle korzystnym dla niej różowym oświetleniu, i w różanej poświacie bijącej na sypialnię od najcudowniejszego ognia z płonących na kominku polan, Fanny jadła lub raczej usiłowała jeść

śniadanie w postaci połówki grejpfruta. Zimny i cierpki owoc na rozpoczęcie zimowego dnia, pomyślała, odpychając od siebie tacę. Robiła to,

by utrzymać linię. Cóż jednak za korzyść z wysmukłej sylwetki - a od czasu choroby nikt nie dorównałby jej w szczupłości - jeśli się straciło włosy? Można, oczywiście, pójść do Antoine'a i je sobie kupić, ale kupować włosy, *kupować* je, gdy jeszcze przed kilku miesiącami miało się ich taką obfitość, jest chyba czymś najbardziej przerażającym. No i trzymanie na głowie czegoś, co niezupełnie do niej należy, wyklucza wiele innych rzeczy. Na przykład biedny Dwight, najnowszy, a zarazem najmłodszy z jej adoratorów - ponieważ od pewnego czasu ich wiek coraz bardziej się obniżał - świeżo upieczony harwardczyk i stypendysta z Rhodes, którego uwielbienie dla niej cechowała transatlantycka gwałtowność, otóż Dwight nie mógłby już więcej z nabożeństwem dotknąć jej włosów, na co czasem mu pozwalała, jeśli akurat był wyjątkowo miły i grzeczny. Gdyby to uczynił, mogłoby się stać coś okropnego, gdyż coś wręcz najokropniejszego stać się *musi*, jeśli na posiadanie ko- , chanków pozwala sobie kobieta, która sama przy lada okazji rozsypuje się na kawałki. Mimo niezwyklej powagi tych spraw, Fanny wydała z siebie cichy chichot, słabutki dźwięk ironicznego rozbawienia, gdy przez mgnienie oka wyobraziła sobie te sceny. Wielbiciele odgrywali w jej życiu niezwykle rolę, a właściwie jak dotąd - rolę najważniejszą, przydając mu kolorytu, ciepła i poezji. Jakże jałowe byłoby ono bez nich. To prawda, że bywali oni również źródłem niemałej udręki, kiedy to po jakimś czasie czynili zarzuty, że ich zbałamuciła. Zawsze, kiedy któryś z nich to mówił, a mówił każdy po kolei, Fanny była tak samo zdziwiona. Ona ich bałamuciła? Miała przecież wrażenie, że bynajmniej do tego nie zachęcani, szli ku niej sami, i to szli jak burza, podczas gdy ona pozostawała zupełnie bierna.

\*

Pograżona w tej godnej pozazdrosczenia błogiej przytulności rozkosznej różowej groty Fanny dumiała w swym łóżku o wszystkich tych wielbicielach, ażeby tylko odsunąć od siebie wszelką myśl o panu Skeffingtonie. Za oknem kłębiła się gęsta żółta mgła i było dojmująco zimno, a tu leżała ciepła i wzbudzająca zazdrość Fanny. Tak naprawdę jednak nie było jej czego zazdrościć. Pełna ciepła i starannie rozjaśniona, niczym pędzlem starego mistrza, a jednak raczej godna współczucia - po tej szczególnie przykrej nocy była kłębkami obolałych nerwów, a zalegający w jej żołądku gorzki, męczący grejpfrut bynajmniej nie przyniósł ulgi. Patrząc na jego resztki, pomyślała sobie, że może teraz, w zimie, dopóki nie wydzwignie się całkowicie ze swej choroby, powinna na śniadania jadać coś na gorąco, coś bardziej treściwego, na przykład jakąś niewielką rybkę...

I oto natychmiast na dźwięk tego słowa pojawił się znów on - pan Skeffington. Broniła się przed nim tak starannie, a tu jedno jedyne słowo sprowadziło go z powrotem i zdało się jej, że już nie jest w swej sypialni, lecz że siedzi przed dzbankiem z kawą na dole w jadalni naprzeciwko Skeffingtona, który pochyla się nad swym srebrnym półmiskiem z rybą. Dokładnie tak właśnie siadywali podczas niezliczonych, nudnych śniadań w ciągu tych bezcennych lat jej najwcześniejszej, cudownej młodości. Pan Skeffington zaś spozierał na nią z uwielbieniem między jednym a drugim kęsem i pękając z dumy posiadacza, co zawsze ją irytowało, mówił: „No i jakże się miewa moja malutka-bledziutka Fanny w ten śliczny poranek?” Powtarzał to i wówczas, gdy poranek był brzydki i lało jak z cebra; powtórzył nawet po tym, jak kilka godzin wcześniej, gdy próbował zostać

u niej w sypialni, zapewniła go z furją, że po tych wszystkich maszynistkach malutką-bledziutką Fanny już dla niego nie będzie nigdy.

Charakteryzowała go bowiem niepohamowana, pełna optymizmu i afektacji skłonność do kobiet.

\*

Pokonana opadła na poduszki i zamknęła oczy, pograżając się w smutku. Miała za sobą koszmarną noc; następnie uczyniła wszystko, by o tym zapomnieć i oto miara się przepełniła.

Do pokoju wśliznęła się po cichu służąca, upewniła się co do samopoczucia swej pani, zabrała tacę tak, by nie zakłócić jej spokoju, i wymknęła się bezszelestnie.

- Żeby nawet - powiedziała do siebie, z zaciśniętymi mocno powiekami, głową w poduszkach i niewidzącą twarzą skierowaną ku sufitowi - żeby nawet nie można było sobie najzwyczajniej w świecie wspomnieć o rybie, nie powodując natychmiastowego pchania się tutaj Skeffingtona!

Wyglądało na to, że chyba się będzie musiała wybrać do lekarza, który ją oczywiście od razu zapyta, ile ma lat; a kiedy Fanny odpowie mu zgodnie z prawdą, oszukiwanie lekarza nie miało bowiem sensu, ten zacznie się rozwodzić na temat - co za obmierzłe określenie - jej wieku. Co prawda ta historia z Jobem przestawała już ją bawić. Fakt, że był właśnie luty, miesiąc w którym się pobrali, nie powinien był go aż tak gwałtownie wyrwać z zapomnienia; wszak od chwili, gdy go opuściła, minęło tych lutych wiele, a ani razu nie poświęciła mu z tej okazji nawet przelotnej myśli. Sądziła, że usunięty głęboko w cień, tkwił grzecznie i cicho w zamkniętej raz na zawsze przeszłości. A oto teraz czyhał za każdym zakrętem.

Trzeba go koniecznie w jakiś sposób powstrzymać. Wiedziała, że jest on tylko jej urojeniem, ale właśnie z tego powodu jego pojawianie się było tak wstrząsające. Popadnięcie w obłęd w wieku lat pięćdziesięciu to doprawdy marne ukoronowanie tak wspaniałej kariery. A przecież robiła wszystko - perswadowała to sobie, próbowała być rozsądna i obiektywna. Uczyniła wszystko, co była w stanie - łącznie z usunięciem z jadalni krzesła Joba i z braniem zimnych kąpieli. Wkrótce jednak okazało się, że były to chybione posunięcia. Zimne kąpiele przyprawiły ją o dreszcze do końca dnia, a co do krzesła, to jego brak nie powstrzymał będącego tylko urojeniem pana Skeffington od zajmowania miejsca za stołem. Fanny musiała przyjąć do wiadomości, że urojenia to właśnie mają do siebie. Mogą siadać na czymkolwiek, nawet jeśli to nie istnieje.

Należało temu jakoś przeciwdziałać. Dłuższe borykanie się z tym groziło jej prawdziwym załamaniem. Po ostatniej nocy, którą tak usilnie próbowała usunąć z pamięci, przywołując na myśl Dwighta, rozpamiętując stratę już niemal wszystkich włosów, rozmyślając o tym, co jej tylko przyszło do głowy, a nie było panem Skeffingtonem - po tej nocy, mimo całej niechęci do pomysłu zadawania się z lekarzami, będzie z pewnością zmuszona któregoś z nich odwiedzić. Tej bowiem nocy ożywienie pana Skeffingtona było wręcz nie do zniesienia. Mógł on sobie być jedynie urojeniem, ale Fanny musiała przyznać, że jej wyobraźnia spisała się tu wyjątkowo - tak bardzo był on wyrazisty, prawdziwy i na swoim miejscu. Aż do tej chwili nagabywał ją jedynie za dnia - siadał z nią do posiłków, spotykał w bibliotece, towarzyszył w salonie; jednak poprzedniego wieczoru, a więc w dzień trzydziestej rocznicy ich ślubu, kiedy wróciła późno

z przyjęcia w nie najlepszym stanie ducha - tak nudni byli wszyscy goście - pan Skeffington czekał na nią w holu, następnie wziął ją za rękę, lub takie tylko miała odczucie, i dokładnie tak, jak to robił przed trzydziestu laty, poszedł z nią na górę; tam pozostawał przez cały czas, gdy się rozbierała, a potem uparł się, by uklęknąć i wsunąć pantofle na jej stopy, które na koniec ucałował. To potworne, jeśli urojenie całuje twoje stopy, pomyślała Fanny, otwierając oczy i siadając gwałtownie na łóżku.

\*

Wlepiała wzrok w rozjarzony, kojący płomień kominka. Jakże rozkoszny to ogień. Wszystko wokół niej jest urocze. Nie ma żadnych powodów do zmartwień. Musi się wziąć w garść. Jeśli zaś czuje jakieś wewnętrzne zimno, to tylko za sprawą grejpfruta.

Do pokoju wsunęła się Manby, która posiadała chyba zdolność widzenia poprzez ściany i wiedziała, że Fanny otworzyła już oczy. Weszła boczkiem, uchylając tylko minimalnie drzwi, tak aby nie powodować przeciągów, i wniosła tacę z poranną korespondencją.

- Czy jaśnie pani dziś rano będzie się nosić na brązowo, czy na szaro? A może mam wyjąć coś czarnego? - spytała służąca.

Fanny nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i popatrzyła na tacę obejmując rękami podkurczone kolana. Sterta nieciekawie wyglądających listów. To szczególne, jak mało interesujące listy i telefony otrzymywała po powrocie do Londynu. Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi? Niezwykle rzadko dobiegał ją teraz ze słuchawki telefonu miły męski głos. Dzwonili do niej krewni i przyjaciółki, co do mężczyzn zaś, to wydawało się, że idąc śladem jej włosów - powypadali. Nie powinna była tak długo pozo-

stawać poza Londynem, szybko się bowiem zacierają ślady nieobecnych. W ogólnym rozgardiaszu łatwo się widać o człowieku zapomina, choć zbytnim nieprawdopodobieństwem byłoby przypuszczenie, żeby to właśnie ona spośród wszystkich ludzi...

- Czy jaśnie pani włoży coś szarego, czy brązowego? A może mam...

Dziwne jednak - pomyślała Fanny wyciągając rękę, by wziąć z tacy listy - jak wielu nudnych ludzi pojawiło się ostatnio w jej kręgu. Nudnych mężczyzn. Mężczyzn nie zainteresowanych nią, a co za tym idzie - nieinteresujących. Początkowo, kiedy po pobycie na wsi zaczęła znów wychodzić na ulicę, była tym wstrząśnięta. Wyglądało na to, że ni stąd, ni z owąd Londyn jest ich pełen. Fanny nie mogła dociec, skąd się oni wzięli. Spotykała ich wszędzie, dokądkolwiek poszła. Londyn rzeczywiście się zmienił - nie było co do tego cienia wątpliwości. Ludzie, w tym także jej bliscy przyjaciele, nawet w przybliżeniu nie byli tak pełni życia jak dawniej, ani w połowie tak interesujący jak poprzednio. Okazywali jej wielką uprzejmość i zatroskanie sprawą przeciągów i podobnymi rzeczami, jednak poza czułym poklepaniem jej dłoni i rzuceniem uwagi w rodzaju „Biedna mała Fanny, musisz teraz dojść do siebie, pić bulioniki i tak dalej, nieprawdaż?” - niewiele mieli do powiedzenia. Wyglądali na postarzałych, zaś młodych, którzy by ich zastąpili, nie było widać; ludzie żyli bowiem w zapierającym dech pośpiechu. Wyjątek stanowił Dwight. On jednak przesiadywał w Oksfordzie, a może tam wystawał, czy też robił cokolwiek innego, co jest wymagane podczas egzaminów, i tylko raz udało mu się stamtąd wyrwać na spotkanie z nią. Wszyscy stali się poważni i czymś pochłonięci. Powinni tryskać ożywieniem, a byli ja-



cyś nieobecni. Zamiast korzystać z okazji i szeptać jej na ucho miłe, niechby nawet bardzo niemądre żarciki - oni rozprawiali na głos o sytuacji w Europie. Wszyscy mogli się temu przysłuchiwać. Pozostawało to w sprzeczności z tym, co Fanny uważała za ciekawą konwersację.

- Czy jaśnie pani włoży coś szarego, czy... Sytuacja w Europie z pewnością dawała powody do głośnego mówienia, jednak mimo że zawsze wiązały się z nią jakieś problemy, Fanny nie przypominała sobie, aby w przeszłości w najmniejszym choćby stopniu przeszkadzało to komukolwiek w szeptaniu jej do ucha miłych błahostek. Kiedyż to ostatnio szeptano do niej w podobny sposób? Wczoraj wieczorem w tym nudnym przyjęciu uczestniczyła rumiana, tryskająca wprost zdrowiem prostolinijna dziewczyna, córka gospodarzy. Obok niej siedział podstarzały jegomość, szepcząc jej coś do ucha i to właśnie skłoniło Fanny, która od czasu do czasu spoglądała w jego stronę, do zastanowienia się, od kiedy to już ona sama nie słyszała podobnych szeptów. Dziewczyna ta nie była nawet ładna - ot po prostu młoda i jędrna. Jędrna młodość - to najwyraźniej wszystko, czego się wymaga w dzisiejszych czasach, pomyślała Fanny, kierując ponownie wzrok na pana domu i odczuwając lekko nieprzyjemne zdziwienie własną uszczypliwością. Nigdy bowiem dotychczas nie była uszczypliwa.

- Czy jaśnie pani włoży....

- Cóż tam, *u licha!* ... - odwarknęła Fanny, zniecierpliwiona tym ciągłym przerywaniem i dorzucając natychmiast w poczuciu nagłej skruchy. - Przepraszam cię, Manby, nie chciałam być niemila.

- To przez tę pogodę - odparła łagodnie Manby. - I te mgły.

- Czy nie uważasz, że ostatnio bywam bardziej rozdrażniona niż zazwyczaj? - zapytała Fanny spoglądając z niepokojem na służącą, a listy wysunęły jej się z rąk i spadły na łóżko.

Manby służyła u niej już od tak dawna, że była świadkiem wszystkich okresów życia Fanny, począwszy od etapu, kiedy określano ją jako Prawdziwie Młodą i Porywającą, poprzez Jak Zawsze Uroczą, aż po dzień dzisiejszy, kiedy to przyjaciele nazywali ją Zadziwiającą. „Kochanie, jesteś doprawdy *zadziwiająca...*” - mawiali do niej zazwyczaj, gdy tylko ją ujrzeli, a to się Fanny zdecydowanie nie podobało.

- Nie powiedziałabym, żeby aż bardziej rozdrażniona, proszę jaśnie pani - ostrożnie odparła Manby. A więc to prawda. Była *bardziej rozdrażniona*. Stąd ta ostrożność Manby. Ach, jakież to żalosne popadać w rozdrażnienie na widok oznak starości! Ktoś, kto zbliża się do pięćdziesiątki, musi wykazywać więcej rozsądku. Taka osoba powinna się przynajmniej należycie zachowywać i nie burczeć na służbę. Łagodność, dojrzałość, słodycz, poczucie smaku - oto co, miast rozdrażnienia, winny ze sobą nieść lata doświadczeń. Tak jak morela w słońcu, człowiek winien się pławić w popołudniu swego życia niczym doskonale dojrzały owoc.

*Starość łagodna, cicha, rozświeńona rozkoszna jak biała lapońska noc...*

- tak właśnie zakończył biedaczysko Jim Conder-ley, fanatyk cytatów i niewyczerpane ich źródło, przepowiednię dotyczącą Fanny, gdy pewnego dnia przeraziła ją perspektywa starości - ten sam Conderley, który miał zwyczaj karmienia jej jajami siewek w czasach, kiedy były one jeszcze na wagę złota.

Nie oznacza to przecież, że osiągnęła już etap lapońskich białych nocy; wszak dopiero niedawno weszła do klasy kobiet Zadziwiających, gdzie miała nadzieję jeszcze przez jakiś czas pozostawać. Jakkolwiek „zadziwiająca” było określeniem niezbyt przyjemnym i pełnym przykrych dwuznaczności, to jednak Fanny wołała je już od lapońskich białych nocy, które - choćby i łagodne, ciche, a nawet rozkoszne - są z całą pewnością mroźne. Jak najdłużej trzymać się z dala od zimna - pomyślała, czując lekki dreszcz. A w ogóle to powinna chyba być wdzięczna swym przyjaciołom, którzy prawdopodobnie jeszcze przez jakiś czas, choć oczywiście z każdym rokiem nieco silniej to akcentując, będą się do niej zwracać per „Kochanie, jesteś skończonym *fenomenem*.”

Fenomenem. Nieprawdopodobne, żeby doczekać takiej życiowej nagrody pocieszenia, dumiała Fanny wstając z łóżka i wsuwając się w szlafrok trzymany w pogotowiu przez Manby.

Podeszła do toalety i wlepiała wzrok we własne odbicie w tym samym lustrze, z którego pozornie jeszcze tak niedawno promieniała jej triumfująca, cudowna młodość. Fenomenalna. Zadziwiająca. Przecież to nie oznacza nic innego jak tylko: *jeśli się pamięta o twoim wieku, moja droga albo też: pomimo wszystko, kochane biedactwo.*

W zeszłym tygodniu Fanny wybrała się do Windsoru, by odwiedzić tam swego chrześniaka, który właśnie został przyjęty do klubu uczniowskiego szkoły w Eton i nie potrafił ukryć przed nią dumy, która go tak rozpierała, że chyba by pękł, gdyby się swą radością nie mógł podzielić z jakimś rówieśnikiem. Wróciwszy do Londynu, Fanny większą część drogi do domu przebyła idąc pieszo przez Hyde Park, gdyż tego popołudnia pogoda była łagodna i sucha.

Cóż w tym nadzwyczajnego? Nie było to aż tak bardzo daleko. Rozbolały ją wprawdzie nogi, ale takie są zazwyczaj konsekwencje chodzenia po tro-tuarze. Uznała, że w jej wyczynie nie było nic niezwykłego. A jednak kiedy weszła do salonu, oczekujący tam na nią przeróżni przyjaciele na wieść o jej spacerze zakrzyknęli zgodnym chórem: „Ależ kochanie, ty jesteś doprawdy zbyt zadziwiająca!” Jakże nieznośni stają się ludzie, jak bardzo nieznośni.

- Czy jaśnie pani włoży...

- Ależ na *miłość* Boską, zostawże mnie w spokoju! - krzyknęła Fanny, odwracając się gwałtownie na krześle, zaś Manby spojrzała uważnie na swą panią i wycofała się bokiem do łazienki, gdzie poczęła majstrować przy kranach.

\*

Wstyd, jaki Fanny odczuła tym razem, ogarnął ją bez reszty. Przypatrując się w lustrze swym oczom, bez wyrazu i - nie do wiary! - z workami pod spodem po bezsennej nocy zawinionej przez nie-szczęsnego Joba, nie pojmowała, jak mogła wpaść w aż taką irytację i w ten sposób zwymyślać swą wierną Manby. Nie pamiętała, by kiedykolwiek zdarzyło się jej coś podobnego. I zaraz, po krótkiej przerwie na pełną troski refleksję związaną ze zmianami w swym charakterze, którą snuła, analizując z jeszcze większym strapieniem odbicie własnej twarzy w lustrze - ponownie odwróciła się ku drzwiom łazienki, by cichym głosem wyrazić swoje ubolewanie.

- Wybacz mi, Manby, aż wstyd, jak łatwo się dziś denerwuję.

- Nic się nie stało, proszę jaśnie pani - odparła Manby znad swoich kranów. - Czy pani włoży...

- Tak źle spałam dzisiejszej nocy, właściwie prawie wcale - tłumaczyła Fanny. - I chyba przez to jestem tak bardzo nieznośna.

- Nie ma o czym mówić, proszę jaśnie pani - odparła Manby i widząc, że już prawie po burzy, wyłoniła się z łazienki. - Ale tak mi przykro, że jaśnie pani nie mogła spać. Czy mam podać aspirynę? I czy włoży pani coś szarego, czy...

- To pan Skeffington - rzekła Fanny, znów okręcając się na krześle i patrząc na służącą pełnymi żałości, szeroko rozwartymi oczami.
- Pan Skeffington, proszę jaśnie pani? - niczym echo powtórzyła Manby i znieruchomiała. Ogarnęło ją bezgraniczne przerażenie.
- On staje się tak *prawdziwy* - mówiła Fanny wciąż szeroko otwierając oczy.
- Prawdziwy, proszę jaśnie pani? - to było wszystko, co Manby zdołała wyjąkać. Nazwiska tego bowiem nie wymawiano w tym domu, poza pomieszczeniami dla służby, od niemal ćwierćwiecza. - Czy, czy pan Skeffington jest może chory? - zapytała bardzo nieśmiało.
- Nie wiem, ale ja mogę się pochorować - odparła Fanny - jeśli nie przestanę ciągle sobie wyobrażać, ciągle wyobrażać...

I ku nieprzyjemnemu zaskoczeniu ich obu, wpatrując się uporczywie w Manby i odgarniając w pośpiesznym roztargnieniu włosy z czoła, Fanny wybuchnęła nagłym szlochem.

Zawodziła, nie próbując ukryć twarzy i wciąż zwrócona ku Manby odgarniała opadające jej na czoło włosy.

\*

Poza chwilami, kiedy wygaszał romans i wszystko stawało się tak bardzo wyblakłe i żalosne, Fanny nie

miała w zwyczaju płakać. Bo nad czym tu lamentować, jeśli się wie, że tak szczęśliwy żywot? Będąc sama szczęśliwa, wyjąwszy wspomniane chwile, aż do czasu choroby i urojonego powrotu pana Skeffing-tona, Fanny uszczęśliwiała również wszystkich wokół siebie. Natomiast łzy, które lała teraz, były dla niej zupełną nowością. Jednak to gwałtowne wyłonienie się Joba z cichej, uładowanej i zamkniętej przeszłości, jako jakiś przerażający nawrót czegoś dawno już strawionego, czegoś co odbiera jej sen, wzbudza obrzydzenie i jest nie do zniesienia w obcowaniu - dla każdego byłoby wystarczającym powodem do płaczu. Bo cóż innego tu można uczynić? W jaki sposób go powstrzymać? Beznadziejne było podejmowanie próby powstrzymania kogoś nie istniejącego.

Ton gwałtownego zawrodzenia Fanny zatrwożył zarówno ją samą, jak i Manby. Żadna z nich nawet nie podejrzewała, że może ona dobywać z siebie aż tak intensywne dźwięki. Manby, która przyniosła już wodę i aspirynę, poprawiła pogrzebaczem ogień na kominku, zadzwoniła na dół po brandy, a więc uczyniła wszystko, co pozostaje w mocy zwyczajnej służącej - stała teraz w pozie znamionującej całkowitą bezradność. Może powinna wezwać doktora? Zapytała o to wreszcie, czując że nie ma innego wyjścia.

- Nie, nie... sama się do któregoś wybiorę - łkała Fanny. - Tak, zrobię to jeszcze dziś rano. Potrzebuję specjalisty, to mój jedyny ratunek. Ubieram się i natychmiast wychodzę...

- Czy jaśnie pani włoży coś szarego, czy...

- Ach, Manby, proszę cię, daj już wreszcie z tym spokój! - zawołała błagalnie Fanny, chwytając chusteczkę, by nią po kolei osuszyć opuchnięte powieki.

- Właśnie to mnie doprowadziło do ta... takiej irytacji i taaa... aakiego smutku...

- A więc mam wyjąć coś czarnego, proszę jaśnie pani?

Manby - która nieco później tego ranka opowiadała o tym sekretarce, pannie Cartwright, kiedy już jej biedna pani uspokoiła się na tyle, że ją można było ubrać, wsadzić do samochodu, by ten poprzez mgłę powioził ją do doktora - nigdy by nie uwierzyła, że potrafi być aż tak ustępliwa. Na każdy wybuch irytacji jaśnie pani ona odpowiadała milczeniem. Najbardziej ją jednak zatrwożyło, że wszystko to zdawało się rzeczywiście mieć coś wspólnego - tu przykryła usta dłonią i rozejrzawszy się wokół bojaźliwie powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem - z panem Skeffingtonem.

- Czyżby to .....? - równie bezgłośnie zapytała panna Cartwright.

Patrzyła jak urzeczona. Służyła w tym domu zaledwie od sześciu tygodni, ale sekretarka nawet w krótszym czasie potrafi się wiele dowiedzieć.

Manby przytaknęła. „A juści” powiedziała, „rozumie się że tak. To on, mąż”, bo w chwili podniecenia nie potrafiła się ustrzec przed popadaniem w żargon.

\*

Najpierw Fanny pojechała na Bond Street do słynącej z odświeżania kobiecej urody Madame Valeze. Podczas gdy samochód po omacku przebijał się przez mgłę, ona nasunęła kołnierz futra na nos i usta, by - jak to sobie tłumaczyła - zapobiec kaszlowi, a tak naprawdę - aby się ukryć. Póki jej twarz nie zostanie doprowadzona do porządku, Fanny w żadnym wypadku nie może się pokazać nikomu, nawet przypadkowym przechodniom, nie mówiąc już o doktorze, który ujrawszy ją opuchniętą od płaczu, mógłby uznać, że jej załamanie jest o wiele głębsze niż w rzeczywistości. To zaś przygnębiłoby ją jeszcze

bardziej, a Job zacząłby do niej zaglądać jeszcze częściej.

Jednakże pod zręcznymi dłońmi Hlene, głównej asystentki Madame - nawet bowiem tak zawsze sumienna Madame nie zaryzykowała wyjścia w ten okropny poranek, a to, że zmuszona została do tego miladi, niech będzie wyrzutem sumienia dla tych wszystkich, którzy pozostali w domu, zaszczębiotała elokwentnie Hlene - Fanny spędziła kojącą godzinę, na wpół leżąc w niebiańsko wygodnym fotelu, podczas gdy jej pulsującą głowę spowijał lodowaty bandaż, zaś na każdej płonącej powiece spoczywały zimne tampony, które odczuwała jako prawdziwe błogosławieństwo. Wszelkie zwiotczałości skóry otrzymywały kolejne dawki rozsmarowywanych maści i wklepywanych kremów; szczególną zaś troskę wzbudzał podbródek. Tuż przed usnięciem - gdyż z wyczerpania zapadła w drzemkę, która trwała aż do zakończenia tych zabiegów - do Fanny dotarła jeszcze refleksja Hlene, że gdyby odbyła specjalistyczny kurs pielęgnacji podbródków, mogłaby tu dołożyć o wiele większego starania, co wywołało ostatnią myśl, jaka Fanny przyszła do głowy: „pomyśleć tylko, że się doczekało czasów, kiedy własny podbródek wymaga dołożenia większego starania.”

Następnie zasnęła ukojona delikatnymi ruchami dłoni Hlene, by się obudzić dopiero wtedy, gdy ta z triumfem w głosie zachęcała ją do spojrzenia w lustro.

Oczywiście wyglądała lepiej, zaś ślady po płaczu, powód gorączkowych domysłów Hlene, zniknęły całkowicie. Cóż, kiedy swym szczególnym wyglądem przypominała wszystkie inne kobiety odwiedzające salony piękności. Wydaje się bowiem, że po zabiegach ich twarze przybierają dokładnie taki sam wyraz.



W każdym razie pomyślała sobie, że nie wygląda już kompromitująco, zaś drzemka wzmocniła ją tak bardzo, iż nie była pewna, czy neurolog jest jej jeszcze rzeczywiście potrzebny. Może lepiej trochę z tym poczekać dzień lub dwa i zobaczyć, jak się będzie czuła? Tak bardzo nie lubiła kontaktów z lekarzami. Raz nawiązane, nie mają potem końca.

Jeszcze pod samymi drzwiami doktora przeżyła chwile wahania, i zanim zdecydowała się wysiąść, siedziała przez kilka minut w samochodzie, marszcząc swe delikatne brwi - te same, których piękno lord Conderley starał się oddać poprzez przytaczanie cytatów czerpanych z całej literatury - od epoki elżbietańskiej po H.G. Wellsa.

Szofer stał obok samochodu, czekając cierpliwie na właściwy znak.

- No cóż - powiedziała w końcu i przed powzięciem ostatecznej decyzji szczelniej otuliła się futrem - myślę, że skoro już tu jestem, mogę złożyć wizytę temu starcowi.

\*

Sir Stilton Byles, wybitny neurolog i specjalista chorób kobiecych, bynajmniej nie był starcem, o czym Fanny wiedziałaby, gdyby się uważniej przysłuchiwała rozmowom swych przyjaciółek na temat ich dolegliwości. Nie był on może młody w pełnym tego słowa znaczeniu, ale też z pewnością nie był

i stary. Ten bardzo bezpośredni, trzydziestoosmioletni mężczyzna był doszczętnie wyzbyty typowego dla lekarzy, pełnego troski stosunku do chorego czy też czegoś tak bezsensownego jak współczucie.

Nie okazywał go nikomu. Bo niby dlaczego miałby tracić czas i litować się nad tymi wszystkimi kobietami i nad ich egoistycznym trybem życia, którym same doprowadzają się do swych schorzeń?

Nie było też

potrzeby, aby współczucie udawać. Jego praca polegała na leczeniu tych istot, a w każdym razie na przekonywaniu ich, że są leczone. Każdego dnia, po zakończeniu przyjęć, sir Stilton otwierał gwałtownie okno, by wywietrzyć zapach perfum i zawołać „Ach, te kobiety!”

Przyjaciółki Fanny, wszystkie wyposażone w układ nerwowy i wszystkie w rodzaju tych, które w osiemnastym wieku określano jako subtelne damy, uznawały sposób bycia sir Stiltona za nadzwyczaj ożywczy. Po tych wszystkich ugrzecznionych, zbyt wyrozumiałych lekarzach jego zachowanie było niezwykle krzepiące. Przepadały za wizytami u niego. Wychodziły z jego gabinetu niewiarygodnie ożywione i pełne chęci do wszelkiego działania. Po dwudziestominutowym starciu z sir Stiltonem przyjaciółki Fanny czuły się tak silne i zdrowe jak zawodowi bokserzy. Te boskie istoty, miast wysłuchiwać na swój temat jakiegoś miauczenia, wołały po prostu przyjmować od niego zwyczajne, uczciwe ciosy w szczękę - wskutek obcowania z sir Stiltonem nawet ich język stawał się bardziej męski. Między sobą zaś snuły domysły, że prawdopodobnie byłby on wspaniałym kochankiem i zachodziły w głowę, czy istnieje jakaś lady Byles, a jeśli nie, to czy nie udałoby się go może zaprosić na kolację.

Zlatywały się ich do sir Stiltona całe chmary. Jego gabinet przyjęć nasycony był ich wonią, czy też - jak powiadał - odorem. „Na Boga!”, szeptał do siebie, gdy wchodziła doń jakaś szczególnie uperfumowana pacjentka.

A przecież dzięki tym stworzeniom stawał się bardzo bogaty; warto też było znosić ich zapachy i płochość, jeśli dzięki temu w wieku trzydziestu ośmiu lat mógł się wspinać na szczyt swych zawodowych możliwości. Ostatnio ożywczy wpływ jego ku-

racji zaczęto doceniać również na królewskim dworze, dwukrotnie bowiem w ciągu jednego tygodnia wzywano go do autentycznych księżniczek. Kiedy więc Fanny postanowiła wybrać się do doktora, poszła oczywiście do tego, do którego chodzili wszyscy, a poszła, nie troszcząc się o ustalanie terminu wizyty, gdyż doświadczenie nauczyło ją czegoś takiego unikać - i rzeczywiście, okazało się, że mimo długiej kolejki oczekujących, ona, która pojawiła się ostatnia, została przyjęta jako pierwsza.

Otworzyła jej drzwi osoba, która mimo białego stroju nie była pielęgniarką. Zdziwił ją widok kogoś zupełnie nieznanego. Nie uznawała tak beztroskiego lekceważenia przyjętego zwyczaju. Jak to? Nie umówiona? Proszę? I to w sytuacji, gdy lista pacjentek sir Stiltona jest już ustalana na całe dni, a nawet tygodnie naprzód? Nie, to niemożliwe, oznajmiła wyniośle, całkowicie wykluczone.

- Chyba chcesz, żebym umarła? - spytała Fanny, kraszając to swym wciąż jeszcze czarującym, pełnym uroku uśmiechem.

- No, no - niby-pielęgniarka poczuła pewien przyływ fachowej troski o chorego, uczucia obcego jej chlebobdawcy. - Miejmy nadzieję, że nie jest aż tak źle.

- Podaj mu to - powiedziała Fanny, idąc za nią i bazgrząc coś na swym bileciku.

Zdanie na wizytówce brzmiało: *Stanowię bardzo pilny przypadek*. Ponieważ zaś była córką księcia, a jednocześnie doskonale zabezpieczoną materialnie eksmałżonką pewnego ekstrawaganckiego bogacza - sir Stilton, który miał w jednym palcu wszystkich brytyjskich parów, a także umiejętność właściwego wykorzystywania wiedzy o słynnych finansistach, pozwolił jej czekać nie dłużej niż pięć minut.

- Taaak..., a ja u pani nie dostrzegam niczego pilnego - powiedział badając jej puls i ponownie zerkając na jej gryzmoły.

- Ależ to nie w tym rzecz! - krzyknęła Fanny i zaczęła mu opowiadać o panu Skeffingtonie,

\*

Dziesięć minut później, z płonąca twarzą, roziskrzonym wzrokiem i podniesioną wysoko głową, Fanny na powrót znalazła się w holu.

- Proszę przywołać mój samochód - rzuciła polecenie; nie była to już zdecydowanie ta sama osoba, która po przyjeździe obdarzyła pielęgniarzkę tak czarującym uśmiechem.

- I znów tego dokonał - pomyślała z dumą ta ostatnia, śpiesząc, by otworzyć drzwi; nie mogła się też postrzymać od uwagi: - Czyż on nie jest cudowny?

- O tak, jest prawdziwym darem niebios! - padła rzucona jej przez ramię odpowiedź, którą - gdyby to nie było oczywistą niedorzecznością - należałoby uznać za objaw złości.

A jednak to była złość, zaś oczy Fanny iskrzyły się nie dlatego, że igrało w nich ożywienie, jakie jej przyjaciółki czerpały z pokrzepiających słów sir Stiltona, lecz dlatego, że miotała nią wściekłość.

Podobnie rozjuszyło ją tylko odkrycie pierwszej zdrady Joba. Cóż za odrażający doktor. Te pchające się do niego wszystkie jej przyjaciółki to nic innego jak stado masochistek.

- Powinna się była pani go trzymać - powiedział ten potwór wysłuchawszy jej opowieści o prowadzeniu się pana Skeffingtona.

- Trzymać się go! Jak to... podczas gdy on... ?

- Ile pani ma lat? - przerwał jej gwałtownie, a kiedy odpowiedziała zgodnie z prawdą, gdyż dzie-

cinadą byłoby go zwodzić, zauważył: „Zaskoczyła mnie pani.”

Od tej właśnie chwili Fanny zaczęła odczuwać dojmujące upokorzenie. Z wyrazu jego twarzy dało się bowiem wyczytać zaskoczenie nie tym, że jest już tak stara, choć właśnie na to liczyła, ale tym, że jest tak młoda. Dotknęło ją to do żywego.

- To z powodu nie przespanej nocy - wyjaśniła spiesznie, starając się ukryć urazę.

- Pani chyba rozumie, jakie znaczenie dla kobiet w pani wieku mają spokojnie przespane noce - powiedział.

- Odnoszę wrażenie, że takie jak dla wszystkich - odparła wyniośle Fanny.

- To znaczy, jeśli się pani nie chce zmienić w maskarę.

W maskarę? Czyżby to miało znaczyć, że ona jest maskarą? Ona, Fanny Skeffington, przez całe lata, a zwłaszcza w ciągu swego prześwieczonego pięciolecia, najpiękniejsza istota pod słońcem? Ona, której sam widok rozjaśniał twarze zupełnie obcych, mijających ją na ulicy ludzi? Ona, *ta wspaniała, prześliczna maleńka Fanny*, jak mawiał posługując się jakimś cytatem pocziwy, pełen czułości Jim Conderley; a czy ktokolwiek by sięgał po cytaty z powodu maskary?

To prawda, że Jim wygłaszał to już dawno temu; prawdą też było i to, że ostatnio - jak sobie teraz, zdobywając się na chwilę szczerości, uświadomiła - mijający ją na ulicy ludzie zdawali się na nią patrzeć nie tyle z podziwem ile ze zdziwieniem. Ale przecież był Dwight, który zaledwie zeszłej jesieni, tuż przed jej chorobą, oświadczył, że nie może żyć z dala od niej, więc rzuci wszystko i przyjedzie, by pracować w jej domu jako stróż albo chłopak kreden-

sowy po to, żeby choć od czasu do czasu móc na nią spojrzeć, gdyż Fanny jest najpiękniejszym na świecie zjawiskiem. Młodzi ludzie nie używali w stosunku do niej takiego określenia jak maskara. To prawda, że od tamtego czasu nie widziała go prawie wcale, gdyż niemal natychmiast się rozchorowała. Po jej powrocie Dwight był już w Londynie i zjedli razem obiad, choć jak sobie to teraz uświadomiła, tylko raz. Wyjaśnił jej, że w Oksfordzie zatrzymują go egzaminy. A może - tu zawahała się, czując na sobie zimny, taksujący wzrok sir Stiltona - może tak naprawdę nie chodziło tu o egzaminy?

Usiadła i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w twarz siedzącego przed nią człowieka. Niemożliwe przecież, pocieszała się, aby w tak krótkim czasie, niecałych sześciu miesiący, najpiękniejsza na świecie istota mogła się przeistoczyć w maskarę. A może to jednak - znów chwila niepewności - nie jest takie oczywiste?

A ten obmierzły sir Stilton mówił dalej: - Teraz, kiedy czasy romansowania ma już pani za sobą... Tym razem to ona jemu gwałtownie przerwała, zraniona zbyt głęboko, by pamiętać o dobrych manierach. - A skąd to pan, jeśli łaska, wie - zapytała oblewając się rumieńcem i unosząc podbródek, a ruch ten sprawił, że jego lodowaty wzrok natychmiast spenetrował te obszary jej skóry, które Hlene pragnęła potraktować ze szczególną troską. - Skąd pan wie, że te czasy mam już za sobą? Skąd ta pańska pewność, że jednego z takich romansów nie przeżywam właśnie teraz? - Przecież ostatecznie wystarczyłoby jej tylko kiwnąć palcem, by Dwight, nie bacząc na egzaminy, zjawił się natychmiast w Londynie. A może - raz jeszcze jego nieruchome spoj-

rzenie zachwiało jej pewność - może by jednak nie przyjechał?

- Och, ty moja nieszczęsna damo - to było wszystko, co sir Stilton miał na ten temat do powiedzenia. W ciszy, która teraz zapadła, patrzyli na siebie uporczywie. On z sardonicznym uśmiechem na starannie wygolonej twarzy i z dłońmi złączonymi koniuszkami palców, ona - zbyt silnie dotknięta, by cokolwiek mówić.

Jacyz to mężczyźni chodzą po tym świecie, rozmyślała, jakże *pospolici*. Na szczęście są też inni - tacy, którzy widzą cię inaczej, którzy cię wielbią i klną się, że cię nigdy nie opuszczą. Ostatecznie to właśnie przysięgali jej ostatniej jesieni, a ta jesień ledwie zniknęła za zakrętem.

Rozzłoszczona gapiła się na tego przerażającego Bylesa, który miał czelność się nad nią litować, jednakże w tej samej chwili wątpliwości stawały się coraz bardziej natarczywe i jak zimna mgła zaczęły wpełzać do jej serca. Zdobywając się tym razem na chwilę trzeźwości, *założyła*, że ten człowiek miał rację i że ona jest rzeczywiście tylko nieszczęsną, żyjącą złudzeniami damą, że wszystko, co przydawało jej życiu ciepła i szczęścia, wkrótce zniknie - i co wtedy? Co kobieta ma wówczas uczynić, jak zużytkować drugą, starczą część swego istnienia na tym dziwacznym świecie; część, której początek wyznacza na przykład pięćdziesiąta rocznica jej urodzin? Cóż ma uczynić wówczas, gdy nie ma ani dzieci, ani jakichś specjalnych uzdolnień czy szczególnych zainteresowań wykraczających poza krąg przyjaciół i własną urodę, która zawsze niezawodnie ułatwiała jej życie, i wreszcie - jeśli musiała, na zasadzie handlowej umowy oraz z jak najbardziej uzasadnionych powodów, pozbyć się swego męża?

Ludzie na ogół doceniali jej miły sposób bycia, chwalili za słodczy charakter. Jak łatwo wszak być kimś takim właśnie, jak łatwo nie być złą, jeśli cały świat stoi przed człowiekiem otworem.

Życzliwość wobec ludzi promieniowała z całej jej postaci dzięki przepelniającemu ją szczęściu; a teraz zapragnęła dowiedzieć się, czy w tych nieprzyjaznych, zimnych latach, jakie się przed nią rysowały, jakie czekały na nią po drugiej stronie granicy wyznaczonej przez jej pięćdziesięciolecie; w latach, z których każdy następny rok będzie ją coraz bardziej ze wszystkiego odzierać, a więc czy w tych latach ciągle jeszcze potrafi być tak życzliwa, szczodra i wyrozumiała. Fanny przypomniała sobie swój komentarz na temat młodej i jędrnej dziewczyny z wczorajszego przyjęcia, komentarz tak jednoznacznie krytyczny. Jak długo zatem uda się jej pozostawać - jak powiadają - pełną słodczy, jeśli przestanie to już kogokolwiek obchodzić. A czyż nie byłoby rzeczą w najwyższym stopniu godną ubolewania, gdyby się jej nie udało wyzbyć nawyku rzucania wszystkich do swych stóp jednym skinieniem palca, podczas gdy nikt by już na ten widok nawet nie drgnął?

Szare oczy Fanny pociemniały od uczucia przykrego lęku. Nie widziała już przed sobą sir Stiltona, co jakiś czas natomiast pojawiała się jej przed oczami stara, coraz bardziej opuszczona kobieta, popadająca w prowadzące do obżarstwa łakomstwo, która w chwilach irytacji wyładowuje się na własnej służącej.

- Jednak właśnie tu - jakby w odpowiedzi na jej myśli dobiegł ją głos z ciemności, które przez kilka ostatnich chwil spowijały sir Stiltona - zaczyna się rola małżonków i dlatego tak poważnym błędem jest odchodzenie od nich. Co do kochanków zaś, których



jako niewątpliwie piękna kiedyś kobieta, miała pani prawdopodobnie kilku, to z pewnością wie pani doskonale...

Kiedyś. Powiedział - kiedyś. Na dźwięk tego słowa Fanny na powrót odzyskała poczucie świadomości. Kiedyś. A przecież nikt nie zaprzeczy, że niezależnie od tego, co ją czeka w przyszłości, zaledwie przed niespełna sześciu miesiącami Dwight... „Dlaczego jednak”, nagle przerwała tok swych myśli, „tak kurczowo trzymam się Dwighta! Tego *chłopca*. Pomyślałby kto, że jest on moją jedyną nadzieją. To biedne chłopię...”

- Kochankowie - ciągnął sir Stilton kończąc zdanie - jak to pani musi doskonale pamiętać, w końcu zawsze pozostawiają po sobie nadkwasotę żołądka.

Mając teraz dojmujące poczucie jego obecności, Fanny wpatrywała się weń lodowatym wzrokiem. Cóż to za wyrażenie. Co to za sposób określania tych rozstań, choć smutnych, to jednak nie pozbawionych swoistego uroku i zawsze bogatych w autentyczne cierpienie; rozstań, które zachowuje w tak żywej pamięci. Biedaczysko Adrian Stacy, poprzednik Dwighta, został odprawiony przed prawie rokiem i Fanny pamięta każde wypowiedziane przy tej okazji słowo, a żadne z nich nie przyniosło im ujmy. Zerwanie z wcześniejszym kochankiem Perry Lanksem, który później został taką znakomitością - a może on był wcześniej? Nie pamiętała już tego dobrze - otóż z nim nie poszło tak gładko, gdyż jako prawnik zapragnął poznać przyczynę.

- Ależ Perry, w miłości nie pyta się o przyczyny - odparła, gdyż nie lubiła, gdy ją przypierano do muru; on zaś dał jej do zrozumienia, że jest głupia.

- Moja droga, zawsze istnieje jakaś przyczyna

- powiedział sprawiając wrażenie pełnego wyrozumiałości cierpiętника.

Mimo to jednak w ich rozstaniu nie było jakichkolwiek kwasów, choć jej zdaniem - którego starała się nie ujawniać - jeżeli kochanek zaczyna się zachowywać jak pełen wyrozumiałości cierpiętnik, to znaczy, że przyszedł już czas, by go odprawić; co do innych wielbicieli, to wspomnienia, jakie pozostawili po sobie z tego ostatniego dnia, przepełniała wzruszająca tkliwość.

Ale teraz oto miała przed sobą tego człowieka, tego Bylesa, którego każde słowo było niczym policzek i który tych wszystkich tak drogich jej i uroczych kochanków kojarzył z uczuciem palenia w żołądku.

- Nie jestem w stanie zrozumieć... - zaczęła.

- ... dlaczego pani przyjaciółki do mnie przychodzą

- zakończył natychmiast za nią.

- Tak właśnie. Ile jestem winna? - dodała sięgając po rękawiczki i torebkę.

- Jeszcze nie zarobiłem na swoje honorarium - odparł i dorzucił - zechce pani usiąść - ponieważ już wstała, górując teraz nad nim znacznie.

- Nie, dziękuję - rzekła, otwierając torebkę.

- Ile się...

- No dobrze, niech pani stoi, ale proszę posłuchać.

- Nie chcę już niczego więcej słuchać. Ile mam panu...

- Zamiast tracić czas, niech mnie pani wysłucha

- odezwał się ostrym tonem. - Na dłuższą metę jedyną osobą, która się może w jakikolwiek sposób przydać kobiecie mającej za sobą równie długą drogę...

- Czy tak jest dobrze? - ucięła i zdecydowana zakończyć tę rozmowę położyła na stole pięcioletni banknot.

- Powtarzam, że jedyną na świecie osobą, która będzie trwać u boku takiej kobiety, będzie się o nią troszczyć - tu położył szczególny akcent - jest jej mąż. Jest, bo musi, bo taka jest, proszę pani, rola tego nieszczęśnika. A zatem jedyna rozsądna rzecz, jaką powinna pani zrobić, to jak najszybciej skontaktować się ze Skeffingtonem. Dobrze pani radzę - zakończył postukując w stół nożem do cięcia papieru. - Zapewniam panią, że jeszcze kiedyś będzie mi pani za to wdzięczna.

Odrzucił nóż na stół i również wstał. Był od niej niższy - tęgi mężczyzna o krótkich nóżkach; górowała więc nad nim nadal. No proszę - Skeffington, pomyślała patrząc nań z wysokości swego wciąż uroczego nosa, żaden tam „pan”, po prostu Skeffington, tak jakby byli przyjaciółmi.

- Czemu go pan nie nazwie „Job” i da temu wreszcie spokój? - spytała go lodowato, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Nic jednak nie było w stanie zmrozić sir Stiltona. - Ależ oczywiście - odparł. - Jestem zachwycony. Lubię Żydów. A więc niech pani nawiąże kontakt z Jobem. Myślę tu o kontakcie w pełnym tego słowa znaczeniu, a nie o snuciu fantazji, że on jest, podczas gdy go nie ma. Niech go pani po prostu uspokoi. Jeśli on panią straszy, to należy go uciszyć. Jedynym sposobem... niechże mnie pani słucha - przerwał, ponieważ Fanny odwróciła się i skierowała ku drzwiom - powtarzam, jedynym sposobem na uwolnienie się od fantazji i złudzeń jest kontakt osobisty. Żaden romans nigdy by "się nie zakończył, gdyby nie kontakty osobiste. Niech się pani zaprzyjaźni z Jobem, podejmie go obiadem, uspokoi.

Fanny odwróciła się i z ręką na klamce powiedziała:

- Przyszłam do pana po pomoc, gdy tymczasem zostałam tu...  
- Znieważona. To właśnie zamierzała pani powiedzieć. No cóż, z pani punktu widzenia - tak, chyba tak. Pani nie jest w stanie znieść prawdy, jak zresztą każda kobieta. A jednak mimo wszystko otrzymała pani ode mnie właściwą pomoc, jeśli tylko zdecyduje się ją pani przyjąć. Dałem radę najlepszą z możliwych. Proszę się nią pokierować, a zostanie pani wyleczona. Jeszcze chwileczkę proszę... - ciągnął unosząc rękę. - Niech pani tego nieszczęsnego męża zaprosi na obiad, a z chwilą gdy znajdzie się on przy pani we własnej cielesnej powłoce, opuści panią jako duch. A przy okazji - zaczął mówić szybko, gdyż Fanny otwierała właśnie drzwi - jeśli zaczną się naprzykrzać również inni, to znaczy ci, którzy nie byli pani mężami, i będzie ich pani widywać jako zjawy, a taki rozwój wypadków jest możliwy, ich również radzę poczęstować obiadem. Wszystkich - zakończył z nikłym uśmiechem. - Zaprosić całą paczkę i szybko ją ocenić. Oni zrobią to samo wobec pani, a potem się okaże, że wszyscy...

Ale Fanny już nie było. Gwałtowność, z jaką otworzyła drzwi, natychmiast sprowadziła do holu kobietę w stroju pielęgniarstwa. Z pałającą szkarłatnym rumieńcem twarzą i błyszczącymi oczami zażądała sprowadzenia samochodu.

- Czyż on nie jest cudowny? - z dumą w głosie spytała pielęgniarka.

- O tak, jest prawdziwym darem niebios! - wykrzyknęła Fanny biegnąc przez hol tak szybko, że pielęgniarka z trudem dotrzymywała jej kroku.

Sir Stilton natomiast, oczekując na następną pacjentkę, podszedł do okna i otworzył je szeroko.

Poza granicami Londynu, gdzieś za pierścieniem gęstej i czarnej mgły spowijającej Harley Street i Charles Street, a więc miejsca, w których Fanny już dziś była, a także dworzec Paddington, do którego właśnie zmierzała - poza tym wszystkim trwał piękny dzień, mroźny i przejrzysty. Nagie gałęzie zimowych drzew rysowały się wdzięczną płataniną na tle najdelikatniejszego błękitu nieba.

Skowronki wśród trzepotu skrzydełek zawodziły swe trele. W wąskich alejkach, których obrzeża porośnięte zmatowiałą trawą przypominały oszronione wstążki, pogodnie pogwizdywali ładujący furmanki wozacy, gospodynie zaś nucily, trzepiąc słomianki o futryny drzwi wejściowych. Świat był tak roziskrzony i bajkowy, że tego ranka na wsi wszystkich ogarnął pogodny nastrój.

Fanny, która dusiła się w Londynie, wyczuła to wszystko z odległości kilku mil i uświadomiła sobie, że gdyby tak mogła dotrzeć tam, gdzie świeci słońce, to wbrew wszelkim przeciwnościom udałoby się jej' odzyskać równowagę ducha. Opuściwszy więc Harley Street, pojechała na dworzec Paddington, postanawiając że wsiądzie w pierwszy pociąg, który ją zawiezie tam, gdzie będzie mogła odetchnąć. Odetchnąć i porozmyślać. A właściwie lepiej odetchnąć i nie myśleć. W każdym razie na pewno - odetchnąć.

To oczywiste, że nie mogła wrócić do domu, póki choć trochę nie dojdzie do siebie. W tej chwili była tak bardzo rozzłoszczona, że nie potrafiłaby ani kogokolwiek przyjmować, ani znosić widoku doskonale obojętnej twarzy panny Cartwright czy słuchać pełnych troski pytań Manby. Poleciał sekretarce telefoni-

czne odwołanie wszystkich dzisiejszych wizyt, a następnie ucieknie w samotność, by z wolna ukoić wzburzenie.

A było ono niezwykle silne. Po raz pierwszy w życiu zetknęła się bowiem z prostakiem, który powiedział jej bez ogródek coś, czego nigdy w życiu nie odniosłaby do siebie. Zasłużyła więc na niewielkie odprężenie. Odprężenie. Choć odczuwała wściekłość, słowo to wywołało jej mimowolny uśmiech. Nawet w chwilach przygnębienia i gniewu Fanny często umiała się zdobyć na autoironię, co w ocenie jej przyjaciół było miłym rysem charakteru; przyjaciółki zaś, przyznając, że jest to urocze, a Fanny - milutka, uważały, iż chociaż potrafiła nie załamywać rąk nad jednym zwiędłym płatkim róży, to jednak wątpiły, czy zdobyłaby się na pogodę ducha, gdyby chodziło o całą rabatkę zmiętych róż. To właśnie, między innymi, przejmowało ją ostatnio troską - sposób, w jaki traciła zdolność obserwowania siebie z dystansu i wpadania w zachwyty nad tym, co widzi. Zapewne ostatnie zdarzenia potraktowała ze śmiertelną powagą i tchórzliwie. I czy wszystko to nie świadczy o rozkładzie jej charakteru? To, a także wyżywanie się na służbie oraz pochopne szafowanie zgryźliwymi przymiotnikami przy określaniu młodości? To wina Joba; wszystko zresztą jest jego winą. Przed nim wszak zamierzała uciec z Londynu. Przez ten jeden dzień postanowiła być od niego wolna. Spędzi go na wsi, nie odzywając się do nikogo i nikogo nie słuchając; wolna od wszystkich i wszystkiego. Ogarnęła ją niejasna tęsknota za czymś wyjątkowo czystym i chłodnym, za pierwiosnkami, mchem, za bezlistnymi zagajnikami; żałowała tylko, że to dopiero siódmy lutego i że nie będzie mogła przysiąść sobie spokojnie na jakiejś zwyczajnej, pach-

nącej wilgocią kłodzie i łączyć w bukieciki chłodnych pierwiosnków.

Z powodu mgły pociągi miały opóźnienia i pierwszy, który odchodził za czterdzieści minut, jechał do Oksfordu. Kierunek ten wydał jej się całkiem odpowiedni, kupiła więc bilet. Mimo że nie było tam odludnych zagajników, to w starych oksfordzkich ogrodach Fanny miała nadzieję znaleźć spokój i ciszę. Oksford zresztą nasuwał jej wyłącznie przyjemne skojarzenia. Nie miał on na przykład nic wspólnego z Jobem, który nigdy nie był ani tam, ani w żadnym podobnym miejscu, gdyż edukację swą zdobywał samodzielnie, o czym zresztą można przeczytać w „Who is Who.” Nie będzie tam też i Bylesa, gdyż symbole cywilizacji to ostatnia rzecz, jaka by się Fanny z nim kojarzyła. Dwight..., co cóż, Dwighta może tam spotkać, z nim jednak wciąż jeszcze wiązały się przyjemne wspomnienia. Może więc po długim dniu spędzonym w samotności i kiedy już zacznie zmierzchać, odwiedzi go w jego mieszkaniu i poprosi o poczęstunek w postaci drożdżowej bułeczki z masłem, oczywiście pod warunkiem, że będzie się już lepiej czuła.

Fanny miała jednak wątpliwości, czy odwiedzi Dwighta. Pamiętając sposób, w jaki Byles wypowiedział zdanie „Ach, ty moja nieszczęsna damo” - pomyślała, że chyba lepiej będzie, jeśli zobaczy go - a właściwie on ją - nieco później. Wiedziała przecież, jak niezwykle romantyczne i pełne poezji miał Dwight wyobrażenie o doskonałości jej urody; ujrzawszy ją więc w niekorzystnej dla niej chwili, mógłby pomyśleć, że Fanny tak już będzie wyglądać zawsze. A więc...

Tu Fanny, zawstydzona, trochę się opamiętała. Czy ma jakiegokolwiek znaczenie to, co ten chłopak może sobie pomyśleć? Nie, jednak go nie odwiedzi. Niech to raczej on przyjdzie kiedyś do niej na Charles

Street. Czyżby się więc Fanny naprawdę tak postarzała, że nawet stypendysta Oksfordu jest już dla niej tak cenny? Jeśli zatem nie zacznie być ostrożniejsza, to następnym etapem będzie zabieganie o adoratorów z Eton. Nagle, nie wiadomo skąd, zabrzmiały jej w uszach słowa: *W zdrowiu i chorobie...* Jak przyjemne są one i kojące, jakież z nich emanuje poczucie bezpieczeństwa - pomyślała nostalgicznie Fanny.

Tak, tylko że odnosiły się one do mężów. To właśnie oni mieli być wierni swym żonom i w zdrowiu, i chorobie; i tym przeżywającym swą jędrną młodość, i tym pokrytym już zmarszczkami.

Kochankowie, zwłaszcza młodzi, takiego obowiązku nie mieli ani też nawet nie myśleli go podejmować. Ich wymagania wobec obiektu pierwszej miłości sięgały tak wysoko, że sprostanie im przez partnerki było wyczerpujące i zbijało je z tropu. Nie chodzi o to, by Fanny musiała dotychczas czynić takie wysiłki... no może jedynie, i to w niewielkim stopniu, podczas ostatniej wizyty Dwighta, tuż po jej chorobie, kiedy to spoglądał na nią pełnym żalości wzrokiem, co tłumaczyła sobie jako wyraz głębokiego miłosnego współczucia. Teraz nie była już tego całkiem pewna. Równie dobrze mogło to być jeszcze jedno wywołane jej widokiem westchnienie „Ach, ty moja nieszczęsna damo.”

\*

Spacerując po peronie dworca Paddington, miejscu tak wielu radosnych odjazdów, ponieważ w okresie zwanym przez nią na podobieństwo geologicznej ery gadów kopalnych - erą Conderleya, i kiedy wchodził on w skład królewskiej świty i związane z tym obowiązki sprowadzały go akurat do Windsoru, Fanny czasem tam jeździła, by spędzić z nim popołudnie,



a w porze obiadu wrócić do domu z naręczem kwiatów i rozjaśnionym obliczem (bo mówcie, co chcecie, ale nic tak nie ożywia kobiety jak kochanek)

- a więc spacerując w ten mroczny i mglisty poranek po peronie wspomnień, wyglądała w porównaniu z pozostałymi pasażerami jak rajski ptak wśród stada wróbli. Tak bardzo różniła się od tego tł. Jej najskromniejszy czarny kostium (czy pani dziś włoży coś czarnego, czy...) nie wyglądał bynajmniej skromnie na tle strojów tej biedoty. Roztaczał wokół czar ekskluzywnej firmy, w której został zakupiony, podobnie zresztą jak mały czarny kapelusik idealnie, nieco na bakier nasadzony na jej głowę i lekko zasłaniający jedno oko. Kapelusik ten, w opinii skromnych kobiet z peronu coś najbardziej rozpustnego i prowokującego, był zupełnie gładki z wyjątkiem jednego szkarłatnego piórka sterczącego wesoło i żywo w tym ponurym otoczeniu. Oczy Fanny, choć bynajmniej nie radosne, to dzięki niedawnej utarczce z sir Stiltonem były również pełne blasku, a policzki wciąż jeszcze pały furją. Wszystko to więc sprawiało, że była postacią rzucającą się w oczy i grupka znękanym, przytłoczonym bagażami i dziećmi kobiet popatrywała na nią na poły z zawiścią, na poły z oburzeniem.

- Taką się zawsze pozna - zdecydowały wreszcie, a jedna z nich, wyglądająca na najbardziej znękaną, podzieliła się ze swą ponurą sąsiadką uwagą, że dużo tu przemawia za taką właśnie profesją.

- Przymknij no się, pani Tombs - skarciła ją tamta.

- Jak się masz, Fanny - usłyszała za sobą miły męski głos w chwili, gdy pociąg wjeżdżał na stację.

- Dokąd się to, u licha, wybierasz przy takiej diabelnej mgle? - a kiedy Fanny odwróciła się, zaskoczona i zirytowana, ponieważ nie miała najmniejszej ochoty

spotkać nikogo znajomego, dorzucił: - Świetnie wyglądasz tego ranka. Wracasz do dawnej formy, prawda?

Fanny natychmiast poczuła, że wraca w nią życie. Nareszcie więc po długich tygodniach usłyszała tak jej znane słowa podziwu, które rozgrzały ją niczym wino, orzeźwiły jak tonik. To proste zapewnienie zawarte w głosie i wzroku jej kuzyna było skuteczniejsze niż jakiegokolwiek lekarstwo czy medyczna porada. Do licha z urodzinami, do licha z Bylesem, do licha z Jobem - pomyślała Fanny, uśmiechając się do jego wesołych oczu, które z taką przychylnością i tak jawnie chłoneły każdy szczegół jej powierzchowności.

- Jakże mam nie wyglądać dobrze, skoro właśnie wyszłam z salonu piękności, a także od lekarza? - odparła.

- Od lekarza? Ależ moja droga Fanny - powiedział Pontyfridd, biorąc ją pod ramię i prowadząc po peronie w kierunku właściwego wagonu. Był jej najbliższym kuzynem, a zarazem pierwszą miłością, jeszcze z lat szkolnych, i największym przyjacielem od niepamiętnych czasów. - Nie przyzwyczajaj się, na Boga, do lekarzy. Miałaś ich dosyć przez te wszystkie miesiące spędzone na wsi. Teraz o tym zapomnij i ciesz się sobą. Niggs - było to imię jego żony - dosłownie nie wychodzi z domu tego faceta. Tego z Harley Street, Stylesa, czy też jak się on tam nazywa.

- Bylesa - powiedziała Fanny.

- A tak, Bylesa. Na Boga, cóż to za nazwisko! Znasz go?

- Czy go znam? - odpowiedziała pytaniem Fanny, bo nagle wydało się jej, że Byles razem z tym swoim nienawistnym gadaniem przestał cokolwiek znaczyć.

Tu zaś znalazła się z powrotem u siebie, w towarzystwie bliskiego krewniaka - i jakie to było miłe i bezpieczne po tym rujnującym spotkaniu z Bylesem.

- Ależ to właśnie dlatego - roześmiała się do Pontyfridda, który wyglądał okazalej niż zwykle, gdyż miał na sobie lamowany futrem płaszcz - wyjeżdżam na cały dzień na wieś. Chcę o nim jak najszybciej zapomnieć.

- To znakomicie, moja droga. Pojedziesz ze mną i zapomnimy o nim wspólnie. Poczekaj jednak, aż zaczną nadchodzić jego rachunki. On aż się prosi, żeby o nim zapomnieć. Czy byś pomyślała, że moja biedna mała Niggs ma ze sobą więcej kłopotów niż może pomieścić jej drobne ciało? Jadę teraz do Windsoru. Muszę w pewnej sprawie wpaść na Zamek do Urzędu Robót Publicznych. Zjemy razem lunch, a ty mi opowiesz, co ci też strzeliło do twojej małej główki, żeby się znów zadawać z lekarzami. Tak, kochanie, dzisiaj jesz ze mną lunch - dodał, gdy próbowała otworzyć usta, żeby coś powiedzieć.

- Już od lat nigdzie się razem nie wypuściliśmy.

Pomógł jej wsiąść do wagonu.

- O, gdzie to poszli - burknęła pani Tombs, trącając swą sąsiadkę. - Wsiadają do pierwszej klasy, a my z panią tylko dlatego, że jesteśmy porządne, musimy się jak jakie śledzie tłoczyć w trzeciej.

- Przymknij no się, pani Tombs - upomniała ją sąsiadka.

Pani Tombs jednak nie myślała się przymknąć. Przeciwnie - wygłaszała głośne uwagi, gdy Pontyfridd troskliwie otulał pledem kolana Fanny.

- Widzisz pani ten pled? - indagowała swą zakłopotaną sąsiadkę. - Prawdziwe futro. Czy którą z nas otulał kto kiedy w prawdziwe futro? Ni cholery!

A wszystko dlatego, że jesteśmy porządne. Wierz mi pani, pani W., być porządną to żaden interes.

- Ucisz się pani wreszcie - powiedziała wstrząśnięta sąsiadka.

- Wcale nie mam zamiaru. Już za długo siedziałam cicho, i kiedyś, i teraz. Od siedzenia cicho to się człowiek robi najwyżej porządny. Gdybyśmy mogły zajrzeć tym tutaj do żołądków, to się założę, że są po brzegi wypchane dobrze wysmażonym bekonem. A my w naszych żołądkach nie mamy go ani kawałka, co? A wiesz pani dlaczego?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - od warknęła jej towarzyszka, próbując ją stamtąd odciągnąć.

- Chcesz pani czy nie chcesz, ale usłyszysz - nie ustępowała pani Tombs. - To dlatego, że jesteśmy porządne. Mówiłam, że to żaden interes i już mi to bokiem wychodzi. Jutro u mnie z tym szlus i pójde z pierwszym, co mi najpierw postawi fajne śniadanie na gorąco.

- Co za grzeszna z pani kobieta, powinnam się za panią pomodlić. - Tylko tyle zdołała wykrztusić jej oburzona sąsiadka, ponownie próbując odciągnąć panią Tombs na bok.

- George, mój drogi - odezwała się Fanny, która z ostrożności nie wyglądała przez okno, nie mogła jednak zupełnie nie słyszeć tego, co mówiły dwie kobiety, i domyślała się, że było to coś nieprzyjemnego na temat ich dwojga. - Czy nie sądzisz, że to biedactwo jest..., że ona może sobie...

- Chyba tak - odparł Pontyfridd, który słuch miał nie gorszy niż wzrok i nie uronił z tej rozmowy ani słowa. - Biedula - dodał - W taki okropny poranek jak ten każdemu może przyjść na to ochota, choć muszę przyznać, że jeszcze trochę za wcześnie. - I kierując się nagłym impulsem, a jego nagle

impulsy dobrze znane były całej rodzinie, otworzył drzwi, wyskoczył na peron, podszedł do dwóch kobiet, które patrzyły na niego struchlałe, i klepnął pojednawczo panią Tombs po ramieniu.

- Ucieknie paniom pociąg, jeśli będą tu panie tak stać i plotkować - rzekł uprzejmie. - Proszę pójść do wagonu restauracyjnego i zamówić tam solidny gorący posiłek. Na mój rachunek. Uprzedzę biletera. A więc szybko i proszę pamiętać o dużych porcjach bekonu i kurczęcia - zakończył mrugnięciem do pani W., która, jak o tym później opowiadała, o mało się nie zapadła pod ziemię; następnie lekko popchał panią Tombs, jednocześnie ciągnąc panią W. w kierunku ostatniego wagonu.

- Proszę zajmować miejsca! - zawołał kierownik pociągu, idąc wzdłuż wagonów.

- Chwileczkę - krzyknął Pontyfridd. - Niech pan pozwoli tym damom wsiąść do wagonu restauracyjnego. - Wrócił do przedziału, zatrzasnął drzwi, poprawił pled wokół nóg Fanny i zapytał ją, czy wszystko słyszała.

- Nie - odparła Fanny. - Ale myślę, że to było obcesowe. Czy mam rację?

- Opowiem ci przy lunchu - roześmiał się Pontyfridd i zasiadł w swoim kącie.

Wkrótce jednak przestał się śmiać, raz jeszcze powtórzył „biedula”, ponownie pochylił się ku niej i zapytał: - Fanny, czy ty czułaś kiedyś do siebie nienawiść? - A kiedy rozbawiona tym dziwnym pytaniem oraz czując się ciągle jeszcze godną uwielbienia i pożądania kobietą, odpowiedziała: - Nie, a czy powinnam? - przez chwilę popatrzył na nią uważniej i podsuwając jej papierośnicę, rzekł: - Tak, tak, ileż to czasu potrzebujemy, by wydorosnąć, prawda?

\*

Fanny nie miała najmniejszego pojęcia, co Pontyf-ridd chciał przez to powiedzieć, ponieważ jednak nie spodziewała się niczego przyjemnego, postanowiła o to nie pytać. Poza tym z wyrazu jego twarzy wyczytała, że niewiele brakuje, by zaczął mówić o sytuacji politycznej w Europie - tak poważne i trochę nieobecne było to spojrzenie.

Fanny będąc kobietą rozsądną, czym szczyciła się od dawna, wiedziała doskonale, że mężczyźni czasem muszą być poważni. Niechże więc sobie tacy będą w swych biurach, na posiedzeniach Rady, Ministrów, w katedrach i w Parlamencie, ale nie powinni tracić na to cennego czasu w chwili, gdy przebywają w towarzystwie ładnej kobiety. Na wszystko jest odpowiednia pora. Nawet Biblia powiada, że przychodzi czas raz na to, a raz na coś innego. Co do określenia „ładna kobieta”, to wiedziała doskonale, że w odniesieniu do niej jest ono zdecydowanie niewystarczające. Zawsze była kobietą najbardziej ekscytującą. Fanny nie pamięta, by się kiedykolwiek zdarzyło, że gdy wchodziła do pokoju, nie zapadała tam cisza, nie wstrzymywano na chwilę oddechów.

Było więc oczywiste, że tę ogromną pewność siebie zachowała aż do ostatnich dni, i kiedy teraz, na peronie, Pontyfridd obserwował ją z tak nie ukrywaną przyjemnością i uznaniem, Fanny znów poczuła grunt pod nogami, natychmiast zapominając o swych wszystkich najnowszych troskach i zwątpieniach, zaś sir Stilton z tym swoim śmiesznym zawołaniem - „Ach ty moja nieszczęsna damo” - zdawał się nigdy nie istnieć. Szkoda więc, że George, który w podobnych sytuacjach zawsze był pełen humoru i taktu, teraz tak nagle spochmurniał. To chyba przez te dwie pijaczki. Musiały go wyprowadzić z równowagi. Któryż to

poeta, tak często cytowany przez poczciwego Jima Conderleya, mówił, że nigdy nie może sobie pozwolić na odczuwanie szczęścia, gdyż mu w tym przeszkadza świadomość, że kiedyś umrze, oraz fakt, że kobiety chorują na raka? Tak się mniej więcej wyraził, Fanny nie pamiętała jednak dokładnie słów. Ale czyż można zapobiec poczuciu nieszczęścia? George był właśnie taki. Wystarczyło, by ujrzał kogoś biednego czy zmarzniętego, a cały jego pogodny nastrój ulatniał się bez śladu. Gdyby nie obecność Fanny, prawdopodobnie podarowałby tym dwóm kobietom swój lamowany futrem płaszcz. Tymczasem zaś zafundował im posiłek, o czym się dowiedziała, kiedy konduktor przyszedł zapytać, czy zamówienie zostało właściwie zrealizowane.

- Jesteś absolutnie kochany, George - powiedziała po wyjściu tego człowieka, kładąc na chwilę, wiedzona uczuciem, dłoń na jego kolanie. - Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam, ale wygląda na to, że się zawsze w takich sprawach spóźniam.

- Ależ moja miła, gdybyś cokolwiek próbowała zrobić, wzbudziłoby to niesamowitą sensację, a te kobiety czmychnęłyby jak zające. Czy ci nie zimno? - zapytał nagle, patrząc na nią nieco uważniej. Cóż on nagle takiego zobaczył, pomyślała Fanny, natychmiast zasłaniając się szczelniej kołnierzem.

\*

Przez ten czas pociąg już dawno pozostawił za sobą czarną londyńską mgłę i jechał teraz wśród białego zamglenia. Przedział zalał niezwykle silny blask, przed którym jedyną dla Fanny ucieczką był wysoki kołnier jej płaszcza. Również wściekłość, jaką w niej wzbudził Byles, już wyparowała, a wraz z nią zgasł blask w jej oczach. Następnie była ta historia z kobietami, o których George zaczął roz-

myślać, zapominając o niej i wpadając w posepny nastrój. Chociaż więc nadal udawało się jej wesoło uśmiechać, to uśmiech ten słabł coraz bardziej w miarę nasilania się światła, a George pozostawał wciąż zatopiony w myślach. Gdy zaś minęli West Drayton, uśmiechy Fanny zniknęły całkowicie, gdyż właśnie wtedy na jej twarzy spoczął jego badawczy wzrok, w wyniku czego zapytał, czy nie jest jej zimno.

Oznaczało to, że Fanny musiała wyglądać na zziębniętą. Jakże niestosowny to wygląd. Spłaszczono nozdrza i temu podobne rzeczy.

- Ależ nie, ani trochę - odpowiedziała pośpiesznie, wkręcając się głębiej w kołnierz płaszcza.

- Nie przezięb się teraz, Fanny - co powiedziawszy, George pochylił się ku niej, obiema rękami ujął kołnierz i zacisnął go szczelniej wokół jej szyi.

A więc o to chodziło. Jego przeraźliwie badawczy wzrok dotarł do miejsc, którym Hlene obiecywała dołożenie szczególnych starań. Fanny natychmiast postanowiła, że nic jej nie zmusi do zjedzenia z nim lunchu. No bo jak? Siedzieć naprzeciwko niego, prawdopodobnie patrzeć przez olbrzymie kryształowe okno i być zmuszoną do opuszczenia kołnierza?

On zaś zapewniwszy jej, jak sądził, ciepło i wygodę, poklepał pled macierzyńskim gestem i powiedział: - Nie powinnaś była wychodzić w taki dzień jak dziś. Dla tak kruchej istoty jest stanowczo zbyt mroźno. Mam pomysł - mówił dalej szybko. - Zostało mi trochę brandy. Wypij, to cię rozgrzeje - zapewnił ją, wyjmując płaską butelkę, z której zaczął nalewać do małej szklaneczki.

- Czy ja wyglądam aż tak zabawnie? - zapytała niepewnym głosem Fanny.

- Ależ nie, moja droga, nie zabawnie, ty nigdy nie możesz wyglądać inaczej niż cudownie - to brzmiało



już trochę lepiej - ale na nieco zmęczoną - odpowiedział, starając się jednocześnie nie rozlać brandy. Zmęczona. Po prostu klęska. Podkrążone oczy i temu podobne rzeczy. Potwornie nie lubiła, gdy ktoś Jej mówił, że jest zmęczona; po prostu tego nienawidziła. Aż za dobrze wiedziała, co oznaczały pełne współczucia okrzyki: „Fanny, kochanie, wyglądasz na tak bardzo zmęczoną! Czy nie sądzisz, że powinnaś była zostać w łóżku?”

- Na Paddington powiedziałeś, że wyglą... - zaczęła i nie dokończyła.

- Bo tak było - zgodził się Pontyfridd. - Ale te egipskie ciemności, jakie tam panują... - podał jej z uśmiechem szklaneczkę. - Każdy wygląda korzystnie, jeśli jest odpowiednio ciemno.

Brandy się wylała. Czy był to skutek szarpnięcia pociągu, czy niezręczności Fanny, czy z obu tych powodów jednocześnie - nie wiadomo, w każdym razie wylała się.

- To przykre - powiedziała odsuwając od siebie szklanekę i sadowiąc się w swoim rogu przedziału.

Teraz już sama szczelnie osłoniła sobie szyję kołnierzem. - Nie, nie nalewaj mi więcej. A w ogóle zaraz wysiadasz. George, po raz pierwszy w życiu powiedziałeś mi coś przykrego.

- Kochanie, wolałbym raczej umrzeć, niż gdyby z mojego powodu miał ci spaść z głowy choćby twój jeden jedyny bezcenny włos. - Czy dostrzegł również i to, jak bardzo się jej przerzedziły włosy? - Ale przecież wszyscy doskonale wiemy, że byłaś ciężko chora i że nie odzyskałaś jeszcze pełni sił. O Boże, to już Slough. Chodź ze mną, mamy przesiadkę, tamten pociąg już czeka.

Ale Fanny nie wysiadła. Jechała bowiem do Oksfordu. Nigdy się też nie zgodzi na wspólny lunch.

Nastawiła się na Oksford i zamierza przy tym wytrwać. - Ucieknie ci twój pociąg - powiedziała, gdy on wciąż jeszcze stał przy drzwiach, starając się ją przekonać.

- Moja miła Fanny, przestań być niezdolna. Spójrz, jak wspaniale świeci słońce. Dlaczego, u licha, musisz koniecznie jechać do Oksfordu i marnować tam czas na studentów...

Marnować czas? Czyżby chciał przez to powiedzieć, że teraz już nawet studenci nie będą...?

Patrzyła na niego wystraszona, Nic jej teraz nie było w stanie stąd ruszyć. Pontyfridd musiał więc odejść, a gdy jego pociąg wkrótce opuścił dworzec, zaś jej - ruszył w innym kierunku, Fanny przez chwilę jeszcze była zdeprymowana i przerażona.

Zaraz jednak wzięła się w garść. „Robisz się absolutnie zbyt podejrzliwa i przewrażliwiona, żeby żyć normalnie” powiedziała na głos i uznała, że prawdopodobnie najlepiej by jej zrobił jakiś solidny\*posiłek. Postanowiła, że po przyjeździe do Oksfordu natychmiast się za czymś rozejrzy.

\*

Unikając większych hoteli, Fanny wybrała nieduży pensjonat, który znalazła w niepozornej uliczce. Obsłużona przez starego kelnera zjadła tam lunch samotnie, jeśli nie liczyć siedzącej w ciemnym kącie starej damy. W jadalni na kominku płonął żywo ogień, a kredens zagracony był lśniąącymi, posrebrzanymi i pustymi wazami na zupe i ogromnymi niczego nie przykrywającymi pokrywami na półmiski. Fanny doszła do wniosku, że jedzenie jest tu znacznie lepsze niż przyrządzane u niej w domu.

- Dlaczego tak nie gotuje pani Denton? - zastanawiała się, jedząc z wielką przyjemnością zupełnie sobie nieznaną potrawę.

Lekko zaskoczony pytaniem kelner wyjaśnił, że jest to rodzaj wołowego puddingu, zaś jarzyna - tu kolejne zdziwienie kelnera - to kapusta. „Sabaudzka” - sprecyzował. „Sabaudzka” - powtórzyła Fanny, starając się zapamiętać tę nazwę, by sprawdzić, czy pani Denton ją zna.

Po puddingu przyszła kolej na szarlotkę z kremem, która jednak nie była już tak smaczna. Jej ciasto mogłoby przypaść do gustu chyba tylko komuś bardzo głodnemu. Kawa na szczęście była niezła i gorąca. Fanny przysunęła więc krzesło do kominka, by tam ją wypić i zapalić papierosa. Uczucie sytości sprawiło, że miała teraz chęć uśmiechnąć się do siebie po tych wszystkich przeżyciach z ubiegłej nocy i dzisiejszego poranka - teraz, gdy mogła siedzieć w zupełnym niemal spokoju ducha przy jakimś przypadkowym kominku w Oksfordzie.

- To dzięki temu puddingowi - zdecydowała ostatecznie. - Edward powiedziałby teraz, że jestem ścięta albo zaczopowana lub też użyłby jakiegoś innego okropnego określenia.

Edward był następnym po lordzie Conderleyu mężczyzną w jej życiu, a zarazem tak różnym od swego poprzednika, jak różna jest era kenozoiczna od wcześniejszej ery gadów kopalnych. Fanny stwierdziła, że jej uczucia zatopione w puddingu stają się ociążałe i stąd ich bezruch. Jakże pożyteczna to potrawa. Trzeba będzie koniecznie zapytać pani Denton, czy zna sposób jej przyrządzania. Można by tego spróbować, jeśli Job zacznie być natarczywy. Teraz zaś, wpatrując się w ogień, wróciła myślami do Edwarda z jego najlepszych czasów.

Jakiż kochany był z niego narwaniec. Nie uznawał on żadnej z tych wartości, które Conderley uczył ją szanować. Nigdy nie otworzył jakiegokolwiek książki.

Mówił, że poezja przyprawia go o ból żołądka. A kiedyś, gdy Fanny nie uwolniła się jeszcze od fluidów Conderleya i napomknęła coś o poecie Wordsworcie, Edward nazwał go Rybią Gębą, co - o zgrozo - wpłynęło na nią niezwykle ożywczo. To wręcz niesamowite, jakie zalety kryje w sobie właściwa zmiana. Kochany Edward - tak czarująco wyglądał w swoim cylindrze w Ascot. A jednak skończyło się to łzami. Nie chodzi tu oczywiście o cylinder - choć swoją drogą ciekawe, jak kończą swą egzystencję cylindry, pomyślała przelotnie Fanny - ale o ich szczęśliwe wspólne dni. I były to tym razem łzy Edwarda - jedyne z jej kochanków, który zapłakał przy rozstaniu. Tymczasem jednak Fanny związała się już z Perrym - to on na zakończenie romansu przybrał pozę nacechowaną świętą cierpliwością - i jedynym w tej sytuacji przyzwoitym wyjściem było pożegnanie się z Edwardem. Fanny miała nadzieję, że ten ostatni wciąż dobrze się trzyma; no może nie tyle *dobrze*, co przede wszystkim *trzyma*. Edward był tak bardzo przystojny, że Fanny byłaby naprawdę niepokieszona, gdyby się na przykład roztył, nadużywając whisky na tropikalnych wyspach, gdzie był gubernatorem czy kimś w tym rodzaju.

\*

Pogrążona w rozmyślaniach o przeszłości Fanny siedziała pałac spokojnie papierosa, podczas gdy stara dama złym okiem obserwowała ją ze swego ciemnego kąta. Stare damy z klasy stanowiącej kościec Anglii, a także wszyscy duchowni, którzy nie znali Fanny, podchodzili do niej w tym czasie z rezerwą; tak bardzo była wyzywającą, a jednocześnie wyniszczoną kobietą. Prawdziwie zaś - według nich - porządna niewiasta po prostu spokojnie, stopniowo płowieje, staje się coraz bardziej przygaszona i nabiera z czasem macierzyńskiego wyglądu.

Fanny jednak w swych pięćdziesięciu latach nie odznaczała się bynajmniej macierzyńską powierzchownością, była natomiast kobietą budzącą swym widokiem instynktowną niechęć w duchownych, którzy spotykając ją w pociągu, przesiadają się do innego wagonu, a w razie bezpośredniego spotkania na ulicy, wykazują nagłe zainteresowanie czymś zupełnie innym. Z drugiej jednak strony, jeśli podczas jakiegoś publicznego spotkania Fanny zasiadała na podium w towarzystwie arcybiskupów, którym była znana, ponieważ jej nazwisko znajdowało się na liście dobroczyńców - wówczas ich zaufanie oraz podziw dla niej nie miały granic.

- Była tam też ta piękna lady Frances Skeffington, no wiesz, córka księcia St. Bildads, tego nieszczęśnika, który utracił swą posiadłość, gdyż w ciągu pięciu lat trzykrotnie musiał płacić podatek spadkowy - opowiadali później swym żonom. - Arcybiskup był najwyraźniej zadowolony, że ta dama siedzi obok niego.

- Ale ona chyba jest rozwiedziona czy coś w tym rodzaju.

- Moja droga, nie nam o tym sądzić.

Ponieważ jednak teraz nie było to spotkanie publiczne i nie istniała jakaś lista-przewodnik, stara dama musiała się kierować jedynie pozorami, a te przemawiały przeciw Fanny, do której wreszcie dobiegła z tamtego kąta wypowiedziana niezwykle ostrym głosem uwaga: - Palenie mi przeszkadza.

Fanny drgnęła i odwróciła się szybko. Zupełnie zapomniała o istnieniu staruszki. - Najmocniej przepraszam - powiedziała, rzucając papieros do kominka.

- Gdyby mnie pani zapytała, powiedziałabym, że mi przeszkadza - rzekła tamta, zwijając serwetkę i wsuwając ją w kościany pierścień. - Pani jednak

tego nie zrobiła, musiałam więc to uczynić nie pytana. Otóż palenie mi przeszkadza, i to bardzo.

- Najmocniej przepraszam - powtórzyła Fanny. Zapadła cisza, podczas której stara dama z uwagą obserwowała ze swego kąta półprofil Fanny, ta bowiem - świadoma już obecności drugiej osoby i nie chcąc być nieuprzejma - przesunęła krzesło i odwróciła się nieco w jej stronę. Staruszka widziała więc czarny kapelusik z wygiętym szkarłatnym piórkiem, czubek słynnego (o czym nie miała pojęcia) nosa i tkwiący w uchu kolczyk ozdobiony pojedynczym klejnotem, który uznała za fałszywy.

„Nikt nie wini - myślała stara pani - ładnej dziewczyny za to, że jest ładna; jednak kobieta przeżywająca krytyczny okres jest winna tylko samej sobie, jeśli swą urodę poprawia za pomocą jakichś sztuczek, których powinna się wstydić. Ta tutaj, cała wymalowana i wypindrzona, chce zapewne sprawdzić, czy jej się uda zbałamucić niewinnych chłopców”.

Podziękowała Bogu za to, że ona sama nie musi się lękać o jakichś chłopców narażonych na to niebezpieczeństwo, ani też o męża, gdyż domyślała się, że mężowie są również skłonni do ulegania takim drapieżnym kobiecym zakusom.

- Może sobie zaraz pójdzie - pomyślała Fanny, widząc wsuwaną do pierścienia serwetkę, by jednak zaraz dojść do wniosku, że staruszka jest stałą mieszkanką hotelu i lubi używać do wszystkich posiłków zawsze tej samej serwetki.

Fanny miała wielką ochotę wypalić papierosa, a potem wyjść na rozświetloną ulicę, zanim jeszcze zimowy dzień zacznie się chylić ku wieczorowi. Ponieważ jednak stara dama nie ruszała się z miejsca, Fanny wstała, rzuciła przez ramię nikły uśmiech - co tamta przyjęła z kamienną twarzą - i wyszła na

korytarz. Naprzeciwko ujrzała drzwi z napisem „Palarnia.” Był to salonik, w którym również płonął kominek. Weszła więc do środka, przysunęła do ognia wygodny fotel, usiadła w nim i ponownie zapaliła. Nie upłynęło jednak nawet pięć minut, kiedy do salonu weszła stara pani, stanęła nad Fanny i zaczęła się jej przyglądać.

- Czy może zasłaniam pani ogień? - zapytała po chwili Fanny, odsuwając się z fotelem na bok. - Och, a może - dodała z uśmiechem - również i tu pani przeszkadza moje palenie?

- Oczywiście, że tak - padła krótka odpowiedź.

- Ale przecież - rzekła usprawiedliwiając się Fanny - na drzwiach jest *napisane...*

- Pani mnie zapytała, więc odpowiedziałam.

- Aha, no tak.... oczywiście...

I kolejny papieros trafił do kominka. Stara dama stała po środku pokoju, wspierając się na lasce.

- Gdybym to ja raz mówiła o tym dyrekcji, ale przecież powtarzałam ze sto razy - skarżyła się z irytacją w głosie - żeby to zasłonili napisem „Wstęp zabroniony”. To jest mój salon.

- Najmocniej przepraszam - Fanny w popłochu wstała z fotela. - Pani chyba jednak pojmuje, że w żaden sposób nie mogłam o tym wiedzieć.

- Powinnam może była wyjaśnić, że ten pokój jest do mojej wyłącznej dyspozycji, jeśli w hotelu nie mieszka nikt poza mną. Goście z zewnątrz się nie liczą. A pani, jak sędzę, jest właśnie kimś takim?

- Tak, ale mogłabym wynająć pokój i wówczas wolno by mi było korzystać z tego salonu, prawda? - zapytała Fanny.

- Oczywiście, jeśli ma pani ochotę szastać pieniędzmi - odparła staruszka i zmierzyła ją wzrokiem od

stóp do głów, jakby zastanawiając się, czyje to są pieniądze. - Wydaje się jednak, że to wysoka cena za wątpliwą przyjemność wypalenia jednego papierosa.

- Wypaliłabym ich kilka, żeby to sobie wyrównać - roześmiała się Fanny.

- To by mnie zapędziło do mojej sypialni. Zresztą jestem przyzwyczajona. W czasie roku akademickiego do Oksfordu przyjeżdża tylu dziwaków i wszyscy chcą palić w tym właśnie pokoju. Dyrekcja hotelu jest w najwyższym stopniu nieusłużna i nawet nie próbuje temu przeciwdziałać. Czasem odnoszę wrażenie, że chce się mnie pozbyć. A ja mieszkam tu od roku i chyba powinno się mnie doceniać. Teraz jest tu stały teatr z tą swoją całą antypatyczną zgrają. Oni też tu przychodzą i hałasują, a dyrekcja pozostaje bezczynna. Mimo że bardzo nie lubię kina, to jednak w wypadku miast uniwersyteckich ma ono swoją zaletę. Otóż te absurdalne kreatury, te tak zwane gwiazdy są uwięzione na ekranie i po seansie nie mogą z niego schodzić, by spacerować po mieście, tamując ruch i siejąc zamęt.

Podczas całej tej przemowy Fanny stopniowo przesuwiała się w stronę drzwi. Powzięła bowiem podejrzenie, że oto staje się ofiarą nudziarstwa. Ta stara biedaczka najwyraźniej nie miała z kim rozmawiać i kipiała nadmiarem spraw, o których chciałyby mówić. Gdyby Fanny była kobietą naprawdę miłą i uprzejmą, zostałyaby i wysłuchała tego wszystkiego, jednak nie potrafiła być ani miłą, ani uprzejmą - tak silne było jej pragnienie, by się stąd ulotnić. Fanny zawsze obawiała się nudziarzy. W jednym z poematów czytanych jej często na głos przez Jima bohaterem był pewien figlarz, który w koszmarny sposób zagadywał kogoś, kto - jak sobie przypomi-



nała - był bardzo zajęty i dokądś się śpieszył. Nudziarz nie wypuszczał z rąk tego nieszczęśnika dopóty, dopóki się nie wygadał do końca. Stara pani zdradzała bliskie pokrewieństwo z tą postacią. Staruszka nie miała nic wspólnego z lapońskimi białymi nocami; nie otaczała jej bynajmniej aura spokoju i łagodności, a już na pewno pozbawiona była uroku. Coś się więc w tamtym poetyckim opisie starości nie zgadzało. Jego autor musiał być bardzo młodym człowiekiem, który zetknął się z niewidoma starymi paniami. Ta zaś, którą Fanny miała przed sobą, była postacią dużo bardziej realną. Czy to możliwe, że ona sama kiedyś się do niej upodobni? Że dożyje takiej starości, kiedy nie będzie już na świecie nikogo z tych, którzy ją kiedyś uwielbiali, a ona nie chcąc zatrudniać nowej służby na miejsce dawnej, również już wymarłej, będzie się wlokła od hotelu do hotelu? Albo też, co gorsza, znajdzie się w szponach przyjaciółki, która w chwilach rozdrażnienia i zniecierpliwienia zacznie ją dręczyć?

*Wspaniała, prześliczna maleńka Fanny*, którą życie otaczało (jakże uporczywie trzymały się jej cytaty Conderleya) niby jedwabista kwietna girlanda - czy to możliwe, by ona rzeczywiście miała ostatecznie osiągnąć taki stan?

Stara dama, teraz symbol czekającej Fanny przyszłości, usadowiła się wygodnie w najwyraźniej zarezerwowanym dla niej fotelu, zajęтым uprzednio przez tak bardzo dziś pechową Fanny, i rozlała się w nim bezkształtnie. „Dlaczego ona sobie wreszcie nie pójdzie?” myślała. „Mam ochotę się zdrzemnąć.” Fanny jednak mimo obawy przed zanudzeniem zawahała się. Oczami wyobraźni ujrzała bowiem to, co zostawi za zamkniętymi drzwiami saloniku, jeśli stąd wyjdzie: w pogrążonym w ciszy obskurnym

hotelowym saloniku samotna postać przy kominku postać, która będzie tam tkwić całe tygodnie, miesiące, a może i lata. Będzie siedzieć w tym' samym miejscu, nie licząc wypadków najazdu teatralnej zgrai, i od czasu do czasu wdawać się w niewątpliwie pełne goryczy utarczki z dyrekcją hotelu. Fanny pomyślała: „Pewnego dnia, kiedy poróżnię się z przyjaciółką, ja również będę tak siedzieć...” i ulegając lepszej stronie swego charakteru, dodała: „Wydaje mi się, że powinnam zostać z tą biedną starowinką i pozwolić jej się wygadać. W ten sposób postąpiłby George, który przecież był tak uprzejmy dla tych kobiet na dworcu Paddington. Ba, nawet je przyjaźnie poklepał.” ^J

Lepsza strona jej charakteru, jako zbyt jeszcze słabo ukształtowana - „ileż to czasu potrzebujemy żeby wydorosnąć” powiedział do niej w pociągu George, niemile dotknięty tym, że czegoś mu w niej brakowało - niezbyt długo górowała nad złymi nawykami. Słońce na zewnątrz świeciło zbyt jasno, a ten pokój z północnym oknem i obskurnym wnętrzem za bardzo przypominał grobowiec. To oczywiście wysoce prawdopodobne, że Fanny pewnego dnia sama znajdzie się w takiej sytuacji, siedząc samotnie w podobnym otoczeniu, na razie jednak...

Na razie jednak czmychnęła. „Byłoby fatalnie przegapić dogodną okazję” pomyślała otwierając drzwi i rzuciwszy krótkie „do widzenia” wyszła na korytarz.

Stara dama zaś mruknęła do siebie „Bogu dzięki” poprawiła się w swym fotelu i natychmiast zapadła w drzemkę.

\*

Jakże piękne w swej mroźnej ciszy było to zimowe popołudnie.

Fanny zatrzymała się przez chwilę na skraju chodnika, by głęboko powdychać klarowne, czyste, zimne powietrze i uwolnić się od woni nasuwającej jej skojarzenie ze śmiercią. Tu zaś, na ulicy, wszechwładnie panowała młodość - pełna życia, wigoru, energii, szaleństwa, cudowna młodość z całą swoją egzaltacją, i w szczęściu, i w rozterce. Tak jak w pomieszczeniu, które właśnie opuściła, zdawał się unosić zapach śmierci, tak tu królował aromat świeżego mleka. Fanny pomyślała z rozbawieniem o irytacji tych młodych ludzi, jaką by wywołała mówiąc im, że ich widok przywodzi jej na myśl mleko. Wszędzie wokół - ceberki z pieniącym się, słodkim świeżym mlekiem; wszędzie grupki pogodnych młodych ludzi o gęstych włosach - ich obfite uwłosienie zwracało jej szczególną uwagę - wszędzie te promieniejące, zaróżowione zimnem twarze.

- To cudowne - powiedziała do siebie Fanny i zapomniawszy o Bylesie, o George'u i o Jobie, wystawiła twarz na promienie słońca. - Tak się cieszę, że tu przyjechałam.

Chodnikiem przechodziły niektóre z tych wypełnionych mlekiem skopków - to znaczy młodzi ludzie; Fanny pragnęła, by jej to wybaczyli - obrzucając ją wstydlivymi, przelotnymi spojrzeniami, ukrywając jednocześnie natychmiast pod pokrywką dobrych manier swoje zainteresowanie i podziw dla jej osoby. Było to z pewnością zainteresowanie, a miała nadzieję, że i również podziw, choć tego ostatniego nie była całkiem pewna. W każdym razie przyjemnie byłoby być podziwianą przez tych miłych chłopców, tak bardzo przyjemnie, że dla własnej satysfakcji uznała, że darzą ją podziwem, nawet gdyby to nie było prawdą.

Pierwotnie zamierzała pójść do parku Sw. Jana, było to jednak dość daleko, zaś pudding i stara dama

zajęły jej tyle czasu, że jeszcze godzina i słońce zacznie się chylić ku zachodowi, co będzie sygnałem do zamykania bram parku. Zamiast tego poszła więc do ogrodów otaczających New College, gdyż znajdowała się zaledwie o kilka metrów od uliczki wiodącej do ich głównego wejścia. Nie musiała pytać o drogę, ponieważ był to college Dwighta, a Fanny czasem jadła lunch w jego mieszkaniu i znała doskonale zarówno tę uliczkę, ten uroczy ogród, jak i ustronną ścieżkę w samym jego końcu, biegnącą między wysokim murem z jednej a ścianą drzew z drugiej strony, ścieżkę, wzdłuż której spacerowali z Dwightem po lunchu. W tym odosobnieniu Dwight miał pełną swobodę ilustrowania bogatą gestykulacją swych słów wyrażających uwielbienie Fanny - a jako student języków nowożytnych miał bogaty ich zasób - podczas gdy ona słuchała głosów gawronów, które kłóciły się i czuliły w swych gniazdach pośród wiązów. Krakanie tych ptaków fascynowało ją od dzieciństwa. Dwight tymczasem mówił, że dzięki godzinie, jaką Fanny spędziła z nim przy lunchu, jego mieszkanie, na zawsze otoczone nimbem, przez całe stulecia będzie promieniować blaskiem („Ależ Dwight, jak strasznie długo. Spójrz na tego gawrona - czy on jest zły czy rozczulony?”) jej światłości, jej lśnienia czy czegoś w tym rodzaju, ale chyba jednak światłości, gdyż wybierał bardziej górnolotne określenia.

Z Dwightem był wielki kłopot. Otóż zawsze, z chwilą kiedy się spotykali, Fanny natychmiast wyłączała się myślami. Nie potrafiła skupić uwagi, po prostu *nie była* w stanie. I nawet wówczas, gdy Dwight dosłownie klęczał u jej stóp na Charles Street, mówiąc że Fanny jest najpiękniejszym stworzeniem na całym bożym świecie; choć jedna jej połowa słuchała tego z wielką przyjemnością, to druga za-

stanawiała się jednocześnie, czy pani Cartwright nie zapomniała zatelefonować do Harrodsa w sprawie czyszczenia obić krzesel.

Miała świadomość, że było to krzywdzące dla Dwighta, kochanego przecież i wybitnie przystojnego chłopca, którego przywiązanie tak bardzo jej wówczas dogadzało i było tak pokrzepiające - cóż jednak miała uczynić? Wstąpić na drogę poprawy? Tak, będzie się musiała nad tym poważnie zastanowić. Tymczasem jednak przyjemnie jest spacerować po ich ścieżce samotnie. Wystarczało jej w zupełności towarzystwo gawronów. Była to najwspanialsza pora popołudnia. Fanny mogła sobie rozmyślać o siedzącym gdzieś w ciasnocie i poddawanych egzaminom Dwighcie; mogła to robić z rozbudzonym na nowo uczuciem i sympatią, a to dzięki temu, że nie wpędzał jej w niebyt nieprzerwany, zadziwiająco monotony zalew jego elokwencji.

No cóż, doprawdy nietrudno było delectować się samotnością w Oksfordzie, myślała Fanny przekraczając żelazną bramę ogrodu, jeśli wszystkie wspomnienia związane z tym miejscem były bardzo żywe, a jednocześnie niewinne i nie raniące. Jakże inne od tych, które ścisnęłyby ją za serce, gdyby się znalazła w Cambridge! Tam jednak nie mogłaby pojechać. W Cambridge nie była od wielu lat. Mieszkał tam kiedyś jej drogi, jedyny brat, osoba, którą Fanny kochała najbardziej na świecie i przez kilka tygodni jego bytności w Trinity - tuż przed wybuchem wojny, na którą on poszedł i natychmiast poległ - spędzała w Cambridge każdą sobotę i niedzielę, nocując w Bull, a posiłki, również śniadania, jadając w jego małym przytulnym mieszkanku przy Neville's Court, z wejściem u szczytu stromych jak drabina schodów.

Gdy Fanny weszła do ogrodu, pamięć o tym krótkim i tak dojmująco szczęśliwym okresie z niewiadomego dla niej powodu stanęła jej żywo przed oczami. Nie było rzeczy, której by nie uczyniła dla swego blisko dziesięć lat młodszego brata. I rzeczywiście, zrobiła dla niego wszystko, ponieważ to z jego powodu, choć nigdy o tym nikomu nie napomknęła słowem, poślubiła Joba.

Fanny zawsze miała świadomość, że wyzywająco bogaty pan Skeffington, który miał niezwykle dar ciągłego bogacenia się, był cudowną partią dla pozostającej bez grosza dziewczyny. Tak jak Bach robił co chciał ze zbiorom małych czarnych znaczków, szeregując je według własnego uznania w tę czy inną nieśmiertelną fugę, tak Job postępował z pieniędzmi. Na jedno jego spojrzenie wpadały mu one w płasach do kieszeni; a było to spojrzenie zupełnie inne niż to wiernopoddań-cze, które znała Fanny, ponieważ wzrok pana Skeffing-tona znany jego kolegom finansistom był twardy jak stal i bystry jak u sokoła. Miał on niezawodny instynkt przyciągania do siebie pieniędzy, a po ich zdobyciu - obracania nimi ze swobodą geniusza. Z reguły kupował w najwłaściwszym momencie i w takiej samej chwili sprzedawał. W życiu prywatnym był człowiekiem szczodrym, życzliwym, uczuciowym i oddanym

- idealnym zięciem dla zrujnowanego księcia, który po ich rozwodzie i utracie takiego krewnego szczerze się zasmucił, i to nie tylko dlatego, że bogactwo Skeffing-tona było dlań prawdziwą łaską niebios.

„Fanny, moja droga, czy musisz to robić, czy naprawdę musisz?” - pytał stary książę. - „A nie sądzisz, że gdybyś podjęła poważną próbę, to może by...?”

Fanny potrząsnęła głową. „Nie siedem,” odparła. „Poza tym to już przeszło w nawyk i niewykluczone,

że niedługo będzie ich siedemdziesiąt. Czy byś mi, ojczy, doradzał wybaczyć całą siedemdziesiątkę?" Nie, do wybaczenia mężowi siedemdziesięciu kochanek ojciec by jej nie namawiał.

\*

Trippington był właśnie w trakcie przygotowań do wstąpienia do szkoły średniej, kiedy Fanny zaręczyła się i przyszła, by mu pierwszemu o tym oznajmić.

- Co, ten Żyd? - wykrzyknął przerażony. - Ależ Fan, nie możesz tego zrobić.

- Nie mogę? Sam zobaczysz. To bardzo miły człowiek, nadzwyczaj życzliwy. Najżyczliwszy ze wszystkich ludzi, jakich znamy i naprawdę najmiłszy.

- Ale pomyśl o jego nosie.

- Tak, myślałam o tym dużo. I doszłam do wniosku, że nos to jeszcze nie wszystko.

- Akurat, nie wszystko. Poczekaj, aż każdy dzień będziesz zaczynała od widoku jego nosa kiwającego się nad bekonem.

- Nie będzie żadnego bekonu. Ja zostanę również Żydówką, a Żydzi nie jedzą bekonu.

- Ty również Żydówką? - zawołał tym razem już całkowicie zdruzgotany. - Ależ Fan, ty *nie możesz* tego zrobić.

Wówczas Fanny otoczyła go ramieniem i próbowała pocałować, on jednak odtrącił ją i siedział ściskając głowę rękami.

- No, mój mały kochany Trippy - Fanny pochyliła się nad nim muskając go delikatnie rzesami w nadziei, że go tym rozweseli. - Nie bądź taki niemądry i nie wylewaj wiadra zimnej wody na moje cudowne plany. Proszę cię, kochanie, bądź dobrym bratem i daj mi swoje błogosławieństwo.

Trippingtona jednak nie zwiodyły te pochlebstwa w najmniejszym stopniu, rzucił więc jedynie: „Niech

to diabli", by natychmiast, jakby w nagłym oszołomieniu, oświadczyć, że musi pilnie wyjść, gdyż czuje zbliżający się atak mdłości.

A teraz ten, którego Fanny wychodząc za Joba chciała ratować, gdyż mógłby odziedziczyć dziesiątki hektarów żyznej ziemi zastawionych z konieczności przez ich ojca, a uwolnionych dzięki temu mariażowi od długów - ten jedyny brat dawno już odszedł z jej życia, tak jak odszedł również zbawca tego dziedzictwa, Job. Trippy zniknął na zawsze za zgrzytliwymi wrotami śmierci; Job odszedł oczywiście również bezpowrotnie, choć w nie w tym samym znaczeniu. Z Jobem Fanny, gdyby tylko chciała, mogłaby się spotkać, zaprosić na obiad, jak to dziwacznie sugerował sir Stilton; zTrippym zaś... no cóż; czy jednak mimo wszystko nie było dla jej brata szczęściem, że nie zdążył się zestarzeć? Czy nie jest pocieszająca myśl, że teraz, kiedy wszystko zapowiada rychłe nadejście dni grozy, jej bezcenny brat jest wreszcie bezpieczny?

\*

Pogrążona w myślach Fanny dotarła tymczasem do ustronnej ścieżki. Idąc spacerowym krokiem skrajem szerokiego trawnika wzdłuż wysokiego szarego muru, poruszała się z takim wdziękiem, że obserwowanie jej było prawdziwą przyjemnością. Dwaj wykładowcy, którzy w izbie wychodzącej na ogród wiedli właśnie spór na temat Pitagorasa, na chwilę zamilkli, aby popatrzeć na przechodzącą Fanny.

- Któż to jest? - zapytał jeden z nich, pośpiesznie poprawiając okulary, by lepiej widzieć.
- Nie wiem - odparł drugi, pośpiesznie poprawiając swoje. - Ale z tego, co widać, rzekłbym, że jest atrakcyjną damą.
- No cóż, niewiele widzimy. A kobiety oglądane z tyłu często się różnią od kobiet widzianych z przodu. Chcę powiedzieć, że są bardziej interesujące.



- Racja, racja, a które wolisz?

- Jedne i drugie - padła odpowiedź. - Ale wróćmy do Pitagorasa...

Fanny doszła do miejsca, w którym ścieżka zakręcała wokół zamieszkałych przez gawrony drzew i, coraz bardziej się zwężając, zawracała w kierunku południowym, z powrotem ku żelaznej bramie ogrodu. Na zakręcie tym stała ławka, na której mimo mroźnego popołudnia i ocienionego miejsca siedział młodzieniec z dziewczyną. Szczepieni wzajemnym uściskiem, byli bez reszty pochłonięci całowaniem się. Robili to tak szczerze, gorąco i żywiołowo, że Fanny czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widziała. Czapka dziewczyny leżała na ziemi - spadła tam nie zauważona; poza potarganymi ciemnymi lokami jej głowa była zupełnie niewidoczna. Młodzi byli tak bardzo sobą zajęci, a ten mroczny zakątek tak silnie ocieniony zaroślami, zaś chód wysmukłej, by nie rzec - wychudzonej Fanny tak lekki, że dopiero kiedy znalazła się tuż przed nimi, obie strony wzajemnie się dostrzegły. Nadepnęła niemal na ich beztrosko wyrzucone, jakby zapomniane nogi, i niezwykle tym zaskoczona i zażenowana, a także pełna szczerzej skruchy z powodu zakłócenia tego, co przecież jest jedną z najprzyjemniejszych chwil w życiu, wyjąkała jakieś przeproszenie, by z pochyloną głową i dyskretnie opuszczonymi oczami szybko się wycofać, kiedy tych dwoje popełniło błąd charakterystyczny dla królików - zamiast pozostać w nieruchomym uścisku, młodzi gwałtownie się od siebie oderwali i wówczas Fanny stwierdziła, że chłopcem był Dwight.

- Ooo - wykrztusił, chowając nogi, odruchowo poprawiając szalik i przeciągając dłonią po włosach. Oblał się szkarłatnym rumieńcem.

- Ooo - wykrztusiła Fanny i zamilkła, gdyż po raz pierwszy w życiu nie była w stanie sprostać sytuacji towarzyskiej, w jakiej się znalazła.

Dziewczyna, której równie purpurowy rumieniec był jednak skutkiem namiętnego całowania się, siedziała na swoim miejscu z włosami w bezgranicznym nieładzie (to godne zazdrości, nawet w tej krytycznej chwili pomyślała Fanny, mieć tyle włosów, że kiedy są w nieładzie, to ten nieład jest bezgraniczny) i na poły zmieszana, na poły czupurna, wpatrywała się w tę niewątpliwie wielką damę, która najwyraźniej znała Dwighta.

Czyżby to była jego matka? Dziewczyna słyszała, że bogate amerykańskie damy są nadzwyczaj eleganckie. No więc jeśli to jego matka, to czy nie szykuje się tu jakaś awantura? Nie uczyniła jednak nic złego, poza zrobieniem małej przyjemności sobie i Dwightowi. Czy jest w tym coś zdrożnego? Szarpnęła Dwighta za rękaw.

- Jeśli to twoja matka, to mógłbyś mnie jej przedstawić szepnęła; cała trójka stała jednak zbyt blisko siebie, by szept był właściwym sposobem na zachowanie taktu.

- Zrób to, Dwight - rzekła Fanny, głęboko mu współczując.

Dwight coś wymamrotał, ale ani Fanny, ani dziewczyna niewiele z tego zrozumiały. Zabrzmiało to jak panna Parker, Perkins, Parbury, Parkington, coś zaczynającego się na Par- i ginącego w niebycie. Dziewczyna zaś uchwyciła tylko pojedynczą sylabę Skeff-. Jednak już to wystarczyło, by stwierdzić, że Fanny nie jest jego matką, o ile nie wyszła za mąż po raz drugi. Zatem może jest ciotką Dwighta, choć byłoby doprawdy dziwne, gdyby powodem jego wielkiego zmieszania był widok ciotki.

Następnie wymieniono uściski dłoni. Kiedy dziewczyna wstała do tej ceremonii, okazało się, że jest ubranym w żółty sweter z dzianiny małym stworzeniem, przysadzistym, pełnym krągłości i rzeczywiście jędrnym, pomyślała Fanny, która patrząc na stojącą już w całej okazałości dziewczynę, współczuła Dwi-ghtowi bardziej niż kiedykolwiek. Jak bardzo musiał ten biedak cierpieć z powodu jej, Fanny, wychudzenia, a także wskutek wyraźnego unikania przez nią zbyt bliskich kontaktów między nimi, w każdym razie nie były to kontakty bliższe niż te sprzed jej choroby, kiedy to miała jeszcze pod dostatkiem włosów i pozwalała mu ich dotykać. Ta mała, krępa, tryskająca przez swój sweter świeżą dojrzałością istota była zdrowym, pełnym życia i rozpieranym energią organizmem. Obserwując ją Fanny czuła się tak, jak gdyby jej własny szkielet tylko dla przyzwoitości okrywała skóra, ona sama zaś była jedynie wyblakłym duchem wędrującym z lodowatej przeszłości i zabłąkanym pośród ciepłokrwistego pokolenia, do którego w najmniejszym stopniu nie należy. Patrząc na ten buchający z dziewczyny nadmiar młodości, Fanny nie czuła się nawet dotknięta tym, że uznano ją za matkę Dwighta. Mogłaby przecież z powodzeniem nią być. Taki wniosek dla młodego żywego umysłu był zupełnie naturalny. Poza tym Fanny za bardzo współczuła kompletnie bezradnemu w tej sytuacji Dwightowi, żeby czuć jakkolwiek urazę. Nie miała jednak pojęcia, co dalej począć, podobnie zresztą jak i Dwight. Po tym co ujrzała i wobec tego, że tych dwoje o tym wiedziało, podjęcie zwykłej rozmowy byłoby po prostu komedianctwem. Okazanie przez nią wspaniałomyślności jeszcze by tylko bardziej upokorzyło biednego Dwighta, zaś prozaiczna propozycja na przykład wspólnego pójścia do

Mitre'a lub gdzie indziej na kawę i wypicia jej razem przy stoliku byłaby i komedianctwem, i najbardziej wyrafinowaną torturą dla nieszczęsnego młodzieńca.

Sytuację rozładowała dziewczyna. Zniechęcona wyrazem twarzy tych dwojga i nie zamierzając uczestniczyć w jakiejś utarczce właśnie teraz, kiedy była tak bardzo radosna, szybko się schyliła, porwała leżącą na ziemi czapkę, którą nasadziła na głowę z dziecięcą beztróską, nie dbając o to, czy tkwi tam ona prosto czy na bakier, i powiedziała:

- No to na razie. Muszę lecieć do domu przygotować podwieczorek dla mamy... - i skinąwszy głową w stronę Fanny dodała - Do widzenia, pani Skeff - Dwightowi zaś rzuciła wesoło - Może zobaczymy się wieczorem!/? - Oddaliła się śpiesznie drobnymi, skocznymi kroczkami. Trudno powiedzieć, by jej odejście poprawiło sytuację, bo choć ją w jakimś stopniu zmieniło, to jednak nadal była to jedna z tych trudnych chwil, które się dają rozładować tylko poprzez kolejne pogorszenie.

- Tak mi przykro, Dwight - to było wszystko, co potrafiła wymyślić po chwili bolesnego milczenia, kiedy powoli wracali ścieżką, którą tu nadeszła. - Mam na myśli...

Co właściwie miała na myśli? Podejrzewała, że chodzi jej o to nagłe najście i przerwanie im randki. Dwight, który jeszcze przed chwilą był uosobieniem namiętnego miłosnego porywu, teraz mógłby myśleć lub mówić dosłownie o wszystkim - tylko nie o miłości. - Nic się nie stało - odparł z rękami w kieszeniach i wbitym w ziemię wzrokiem, posępnie rozkopując stopami żwir na skraju ścieżki.

Niezbyt właściwa odpowiedź. A zresztą - zastanowiła się Fanny - czy jest możliwa jakakolwiek sensowna odpowiedź, której mógłby udzielić ten nieszczęsny chłopak?

- Nie musisz mi towarzyszyć - odezwała się po następnej chwili przykrego milczenia. - Chyba że wolałbyś,... że jest jeszcze coś, co...

Przerwała, ponieważ ilekroć zaczynała mówić, zawsze utykała w ślepym zaułku.

- Nic się nie stało - powtórzył Dwight, znów niezbyt roztropnie, ciągle podkopując żwir ścieżki. Niestety, cała elokwencja tego biedaka uleciała akurat wtedy, gdy Fanny po raz pierwszy w jego towarzystwie była tak bardzo obecna duchem.

\*

Obserwujący ich ponowne pojawienie się na ścieżce dwaj wykładowcy z pokoju na piętrze znów pośpiesznie poprawili okulary. Tym razem Fanny szła w ich kierunku, co pozwoliło im stwierdzić, że oglądana z przodu jest równie atrakcyjna jak widziana z tyłu, albo że tak się przynajmniej z tej odległości wydawało dwóm krótkowidzom, którzy nadwreżyli wzrok ślęcząc nad greką. W istocie wydawała się nawet bardziej niż atrakcyjna - była zdecydowanie piękna, niemal bliska ideału, jaki stanowiła dla nich Helena Trojańska.

Ochoczo poniechali dyskusji o Pitagorasie i w skupieniu śledzili zbliżającą się damę.

- Dobrze wiedziałem, że niedługo pozostanie bez towarzystwa - rzekł nieco starszy z nich.

- To ten mały Amerykanin z Rhodes - wychylając się, powiedział nieco młodszy.

- Ale żeby iść i wyciągać go z tak dziwnego miejsca jak te krzaki na końcu ogrodu.

- Tak jak Mojżesza-noworodka.

- A ona - niby królewska córka.

- Mogłaby nią być z powodzeniem, choć równie dobrze - córą bogów.

- Dziwne tylko, że ten wybraniec nie wygląda na uszczęśliwionego.

- Rzeczywiście. Idzie jak na ścięcie.
- Aha, wygląda na przybitego.
- Tak, typowy szubienicznik. Zadziwiające. *Si jeunesse savait...*
- O tak, w samej rzeczy. No dobrze. A co do tej twojej teorii...

Ponieważ para znikła właśnie pod oknem, wskutek czego, aby cokolwiek widzieć, musieliby się mocno z niego wychylić, co byłoby rzeczą niestosowną, nie pozostało im nic innego, jak wrócić do Pitagorasa.

### 3

Zanim Fanny dotarła z powrotem do pensjonatu, w którym jadła lunch, cały Oksford zasiadał już do podwieczorku. Dwighta pożegnała przy wejściu do jego apartamentu, udając, że śpieszy na jakieś spotkanie, o czym mu powiedziała z bladym uśmiechem, bo tylko na taki było ją stać; przy okazji wyjaśniając, że właśnie to spotkanie stanowiło powód jej dzisiejszej bytności w Oksfordzie. Wdzięczna za jego gotowość doprowadzenia jej wszędzie tam, dokąd zamierzała się udać, powiedziała, że z łatwością trafi sama, więc on nie musi się trudzić, i uczyniwszy wszystko, by nie sprawiać wrażenia, że ma o cokolwiek żal, odeszła w zmierzch, znikając z jego życia. Nie wyobrażała sobie, że jeszcze kiedykolwiek znajdzie się w podobnej sytuacji. „On jest ostatni” pomyślała chłodno. „Czuję przez skórę, że on jest ostatni i że czasy mojego romansowania, jak to określił Byles, rzeczywiście i ostatecznie dobiegły końca.”

Tuż przed rozstaniem, trzymając wyciągniętą na pożegnanie dłoń, Fanny powiedziała: „Nie trap się, Dwight. To się może przytrafić każdemu...”, ale i to zabrzmiało fatalnie - jakoś bardzo wyniośle i wielkodusznie czy też tak, jakby mu wybaczała, chcąc go odzyskać, albo wreszcie jak gdyby jej to było zupełnie obojętne.

Nie, tu należało tylko milczeć.

W sklepie z materiałami piśmiennymi Fanny kupiła rozkład jazdy, z którego wynikało, że najbliższy pociąg pośpieszny do Paddington odchodzi za ponad godzinę. Wolą więc raczej wrócić i poczekać w zajęździe, w którym spodziewała się znaleźć tylko samotną damę, aniżeli oglądać przepelnione herbaciarnie większych hoteli. Stara pani nie budziła już jej irytacji. Wręcz przeciwnie; Fanny wyobraziła sobie, jakie by to było kojące - posiedzieć z samą sobą o dwadzieścia lat starszą, w czasach kiedy dzień dzisiejszy będzie już zamierzchłą, niemal zupełnie zapomnianą przeszłością, a jeśli nie zapomnianą, to wywołującą jedynie uśmiech.

A właściwie dlaczego czekać z tym uśmiechem aż tak długo? - rozmyślała Fanny. Trzymając w ręku rozkład jazdy, szła w kierunku pensjonatu pogrążającymi się w zmierzchu ulicami. Dlaczego by się nie pośmiać już teraz? Czyż ona, która tak często potrafiła ironizować na swój temat, nie powinna skorzystać z tej niezrównanej okazji do autoironii?

„Przestań być zgorzkniała, Fanny” - skarciła ją jedna jej połowa. „Przecież nie jestem” - oświadczyła druga.

A jednak była.. Została oszukana i ośmieszona; wciągnięta w jedną z najbardziej upokarzających sytuacji, zarezerwowanych jedynie dla podstarzałych kobiet, które podejmują ryzyko romansowania z mło-

dymi chłopcami. Fanny nie miała nawet wymówki, jakiej używają nieszczęsne, rozdierane niestosownymi ciętami kobiety w średnim wieku. W tych krytycznych dla niej dniach kierowała nią wyłącznie próżność i pragnienie, by poczuć swoją moc, upewnić się co do siły działania własnej urody.

A jakie korzyści czerpał z tego Dwight? Choć niełatwo jej było się do tego przyznać, gdyż odczuwała w tym swe wielkie upokorzenie, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że dla Dwighta jako młodzieńca o nad wiek rozwiniętym instynkcie przedsiębiorczości, co szło w parze z jego amerykańskim pochodzeniem, romans ten był użyteczny pod względem towarzyskim. W jej domu spotykał się z wszystkimi, których uważał za wartych poznania. W nagrodę za jego przywiązanie Fanny przedstawiała go osobistościom, które go wręcz oszałamiały. Dzięki niej stał się niezwykle elegancki i towarzyski. Jakże się potem biedaczek musiał męczyć, gdy w ramach rewanżu budował dla niej swe kunsztowne frazy i emanował wyszukaną elokwencją! Fanny chłonęła to bez reszty. Mimo że czuła znudzenie, wierzyła każdemu jego słowu. I kiedy Dwight powiedział, siedząc u jej stóp z głową wspartą na jej kolanach, podczas gdy ona delikatnymi palcami gładziła go po włosach i pocieszała - tak, pocieszała! - kiedy więc powiedział, że nie wyobraża sobie życia bez niej, wchłonęła również i to. Zadziwiająca była ta jej zdolność absorpcji. Jakże często i jak bardzo musiało go to bawić... „Ależ Fanny, nie bądź zgorzkniała”. „Przecież nie jestem”.

\*

Stara dama - która właśnie przeżywała swe najprzyjemniejsze chwile dnia, polegające na stawianiu pasjansa przed pójściem na górę, by się przebrać do



obiadu, co polegało na narzuceniu na codzienne ubranie koronkowego szala - była niezbyt zachwycona widokiem stojącej w drzwiach tej samej osoby, która już wcześniej tego dnia narzucała jej swoje towarzystwo. To prawda, że po ucięciu sobie drzemki, wypiciu herbaty i zjedzeniu niemałej ilości grzanek z masłem była teraz w innym nastroju. Bardzo mocna czarna herbata zawsze ją ożywiała, zaś grzanka z masłem sprawiała, że trybiki jej umysłu, jak naoliwione, zaczynały się obracać sprawniej i bez oporu. Tak więc jeśli kiedykolwiek w ciągu doby można ją było uznać za przystępną, to właśnie teraz.

A jednak nie była zachwycona i kiedy Fanny, otwierając z wahaniem drzwi, zapytała:

- Czy jeśli nie będę palić, to mogę tu zostać przez chwilę? - dama odparła niemal tak samo gderliwie, jakby nie miała za sobą drzemki, wypitej herbaty i zjedzonych grzanek:

- Dyrekcja z pewnością odpowiedziałaby, że tak - i pozostała pochylona nad swym pasjensem, jak gdyby wciąż była sama.

Fanny usiadła z drugiej strony kominka, ściągnęła rękawiczki i grzejąc swe szczupłe dłonie próbowała zapomnieć o Dwighcie.

Stara dama, rzucając w jej kierunku spojrzenia znad okularów między jedną a drugą kartą, zdecydowała, że musiało ją spotkać jakieś niepowodzenie. Fanny wyglądała jeszcze mizerniej niż poprzednio; a zatem buszowanie po mieście nie zakończyło się pomyślnie. A ponieważ łatwiej jej przychodziło okazywanie życzliwości ludziom, którzy otrzymali zasłużone cięgi niż tym, którzy to jeszcze mieli przed sobą, uszlachetniona masą grzanek z masłem stara dama zapytała:

- Czy napije się pani herbaty?

Fanny rozejrzała się wokół nieobecny wzrokiem. Ze stołu wciąż jeszcze nie sprzątnięto zastawy do podwieczorku, co w tym obskurnym pomieszczeniu stwarzało pozory przytulności. Paliły się lampy, zasłony były zaciągnięte. Do kominka dołożono drew i w jego ciepłym blasku dama nie przypominała już tak bardzo nieboszczki jak przedtem; właściwie nie przypominała jej wcale, lecz była pełna życia, okazując starczą radość ze swych drobnych przyjemności. A więc można się zadowalać czymś tak skromnym? - zastanawiała się Fanny. Być odartym ze wszystkiego, co przydaje życiu uroku i nie przejmować się? Może jednak ta dama nie została niczego pozbawiona, ponieważ nigdy tego nie miała? Nie ma więc do czego tęsknić i stąd ta jej obojętność.

- Owszem - rzekła Fanny i pociągnęła za wiszący obok kominka dzwonek. - Chyba się napiję.

- Nie mogę pani zaproponować niczego nadzwyczajnego - powiedziała dama. - Ale polecam grzanekę z masłem.

- Więc się na nią skuszę - Fanny doszła do wniosku, że lepiej będzie porozmawiać z kimś obcym i obojętnym na jej sprawy, niż siedzieć w milczeniu i zapominać o Dwighcie. Dodała więc - Czy mieszkanie w hotelach nie jest trochę nużące?

- Pani sama powinna to wiedzieć najlepiej.

- Ja? A to dlaczego?

- Czyż nie należy pani do trupy?

- Do trupy? Myśli pani o tych ludziach z teatru, o których mi pani opowiadała? Nie, nie należę.

- Wzięłam panią za jedną z nich. Ten kolor włosów...

- Jest zupełnie naturalny - rzekła pośpiesznie Fanny, tym pośpieszniej, że było wręcz przeciwnie.

- O, niewątpliwie - odparła stara dama, po czym zapadło ciężkie milczenie.

Był to z pewnością dzień, w którym na Fanny spadło wiele ciosów, więc to dodatkowe drobne upokorzenie nie wywarło na niej większego wrażenia. Pomyślała jedynie: „Ta biedna staruszka jednak nie jest szczęśliwa, w przeciwnym wypadku nie byłaby taka cierpka.” Czy jednak człowiek stary, zastanawiała się, musi być nieszczęśliwy? Czy to nieuniknione? Na pewno nie w wypadku przypominającej lapońskie białe noce damy, która zachowała łagodne usposobienie, co było oczywistym sukcesem, jeśli się zważy, że goniła resztką sił. Jak na źródło pocieszenia jest to jednak postać niezbyt rzeczywista. Realna natomiast była inna, siedząca tu nad kartami staruszka o zasznurowanych ustach; a za dwadzieścia lat - a może mniej, jeśli się zważy szybkość jej degradacji - równie dobrze usta Fanny mogą się ściągnąć do rozmiaru niekształtnej małej sakiewki. Ach te upokorzenia, jakie niesie ze sobą starość! Trudno doprawdy uwierzyć w pogodę, spokój i promiennosc. Czy wobec tego nie powinna być raczej niezwykle życzliwa dla tego żalosego obrazu własnej przyszłości, w nadziei, że ktoś kiedyś, gdy i ona już będzie bezradna, odplaci jej tym samym? Stara dama nie była jednak bynajmniej bezradna i gdyby wiedziała, że Fanny zamierza być dla niej życzliwa, stanowczo by się temu sprzeciwiła.

- No więc - rzekła, gdy uznała, że jej milczenie spełniło już swoją rolę - jeśli pani nie należy do trupy, to może się czegoś o pani dowiem.

- Wkrótce kończę pięćdziesiąt lat - padła niespodziewana odpowiedź.

Na to stara dama zdjęła okulary, odłożyła je na bok i z zaciekawieniem spojrzała na Fanny. Patrzyła na nią przez wąskie szparki oczu ledwie wyzierających

spod pomarszczonych powiek, zainteresowana wbrew własnym intencjom.

- Co za szczerłość - rzekła. - Czy mogę wiedzieć, dlaczego mi to pani oznajmiła?

- Ponieważ mnie to dręczy, i to bardzo, a także dlatego, że łatwo jest rozmawiać z nieznaną osobą, która może się okazać pomocna w rozsądniejszej ocenie sytuacji.

W tej chwili wkroczył przywołany dzwonkiem kelner, dzięki czemu staruszka mogła nie zareagować na uwagę o pomocy, której miałyby udzielić. Bo niby dlaczego? Nikt nie śpieszył z pomocą jej, kiedy miała pięćdziesiąt lat, ani też kiedy skończyła lat siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt. Niech każdy stoi o własnych siłach. Nienawidziła mięczaków.

- Oceniałam panią na sześćdziesiąt - rzekła, a widząc, że Fanny lekko się zachnęła, dodała - jeśli mamy być ze sobą szczerze.

- Sześćdziesiąt - Fanny z wysiłkiem powtórzyła to słowo. Sześćdziesiąt. Jeśli tak właśnie wyglądała, to czy można się dziwić, że Dwight...?

Patrzyła nieruchomo na staruszkę, bawiąc się pierścionkami, które przesuwała na palcach.

- Dlaczego jednak - zapytała po chwili - wzięła mnie pani za aktorkę. Czy oni by mnie trzymali, gdybym miała... - Nie, nie była w stanie jeszcze raz wymówić tego słowa.

- Sądziłam, że mogłaby pani grać księżne, postacie podstarzałych światowych księżnych. Można by panią świetnie ucharakteryzować na kogoś takiego, tyle że one mają zazwyczaj duże biusty.

Właściwie gdyby nie pani dziewczęcy strój, gdyby ten pokój był sceną, to nie widziałabym w pani absolutnie nic niestosownego. A tak...

- No cóż, sama mi pani zaproponowała wypicie

herbaty - rzekła Fanny. - Nie mogę wyjść przed jej podaniem. Może byśmy więc tymczasem szczerze porozmawiały? Tak bardzo bym chciała choć raz porozmawiać naprawdę bezpośrednio i otwarcie. Sądzę, że między osobami obcymi to jest możliwe. Bo czy każda z nas nie może powiedzieć czegoś, co dla drugiej okaże się zbawienne? Pani jest starsza ode mnie, to znaczy... - tu przerwała, gdyż zdjęło ją przerażenie, że nie jest już niczego pewna - ...prawda?

- Oczywiście, że tak - warknęła staruszka, z odrazą odrzucając absurdalny pomysł wzajemnego wspierania się. - Mam osiemdziesiąt trzy lata i bardzo mi z tym dobrze. Koniec z głupstwami. Choć nie powiem, żeby ich kiedykolwiek było wiele. Nie byłam żadną zawodową pięknoscią, w co, jak sądzę, pani się wpakowała.

- Wcale się nie wpakowałam. To przyszło do mnie samo. Zaczęło się w kołysce i od tamtej pory trwa nieprzerwanie. A właściwie - dodała widząc drwinę malującą się na pobrużdżonej twarzy - trwało do niedawna, do całkiem niedawna. I wie pani, co sobie zaczynam uświadamiać? Że przerażające jest być *byłą* pięknoscią.

- Ej że, ejże - rzekła wielce tym zirytowana staruszka.

- Ależ tak - upierała się Fanny. - To coś niezwykle *przerażającego*.

- Ejże, ejże - powtórzyła stara dama i cierpko przestrzegła, żeby się Fanny tak bardzo nie przeceniała.

- Nie robię tego - Fanny obstawała przy swoim.

- Ejże, ejże - odezwała się ponownie staruszka i stwierdziła, że prawdziwie piękne kobiety, jakie żyły w dziejach świata, można policzyć na palcach jednej ręki.

- A ja byłam jedną z nich - Fanny trwała w uporze, zaś staruszka, tak rozwścieczona, że nie była w stanie wykrztusić słowa, bębniła palcami po stole.

- Czy to możliwe, żeby pani nie dostrzegła *jakichkolwiek* śladów? - zapytała pochylając się ku niej Fanny. - *Ani jednego?*

Rozdrażniona staruszka gwałtownie odwróciła głowę w bok, odmawiając przyglądania się jej i jeszcze silniej zabębniła palcami.

- Przecież jesteśmy wobec siebie szczerze - nalegała Fanny. - Tak właśnie pani powiedziała. Poniechajmy więc salonowej konwersacji i mówmy bez ogródek to, co myślimy. Mogę o tym rozmawiać jedynie z obcą osobą, z kimś, kogo już nigdy ponownie nie spotkam. Ja sobie stąd pójdę, a pani umrze, tak, pani bez wątpienia umrze - powtórzyła widząc, że na dźwięk tych słów tym razem stara jejmość lekko się skurczyła. - Oczywiście ja też umrę, i nawet mogę umrzeć pierwsza, więc chyba szkoda tracić choćby minuty z tych niewielu, jakie ze sobą spędzimy, bawiąc się w konwenanse.

- Ale może ja chcę być konwencjonalna? Może *usilnie* tego pragnę? - odpowiedziała bez namysłu staruszka.

- Ma pani tyle czasu do stracenia? - Fanny spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

Stara kobieta zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Tak, nie pozostaje mi pani dłużna - odezwała się wreszcie, dotknięta w tym samym stopniu co oceniona na sześćdziesiąt lat Fanny; im bowiem dłużej żyła, tym trudniej znosiła myśl o rozstaniu się z życiem - a to dlatego, że tak bardzo zdążyła się do niego przywiązać i dlatego, że przeżywszy wszystkich swoich krewnych, była wolna od wszelkich trosk. Teraz ceniła sobie niczym nie zakłócony po-

rządek dnia codziennego, spokój ducha płynący z rutynowych, powtarzających się czynności. Nie było to, oczywiście, życie pełne wydarzeń, ale ona wcale ich nie pragnęła; wprawdzie nie przeżyła ich w przeszłości zbyt wiele, ale zupełnie jej to wystarczało. Jedyne, czego teraz pragnęła, to ciepło, pokarm, łóżko i kolejny dzień nie gorszy od poprzedniego.

Zdawała sobie sprawę, że są to niewielkie wymagania i że chyba nie ma większego powodu, aby jeszcze przez kilka najbliższych lat nie miały być zaspokajane. Była zdrowa jak rydz, może trochę zbyt tęga, ale bez przesady; a niebezpieczeństwo upadku w łazience, do czego tak bardzo skłonni są starzy ludzie, wykluczyła w ten sposób, że przestała zaglądać do jakichkolwiek łazienek - nie widziała zatem przeszkód w dożyciu stu lat. Czemu więc ta źle wychowana osoba tak obcesowo twierdzi, że ona nie ma zbyt wiele czasu do stracenia? Szczerłość zbyt łatwo przechodzi w grubiaństwo, jeśli w ogóle kiedykolwiek jest przydatna w rozmowie.

Wszedł kelner z herbatą. Wydawało się, że ustawiając naczynia na stoliku przy kominku, robił to dłużej niż zwykle, jednak Fanny, ten nieproszony gość, zwróciła na niego tyle uwagi co na martwy sprzęt i mówiła dalej:

- Pani mnie źle zrozumiała. Nie mam najmniejszego zamiaru komukolwiek dokuczyć; jestem po prostu nieszczęśliwa.

- Niech więc pani lepiej pije herbatę, póki gorąca - kwaśno powiedziała staruszka, tak aby kelner zauważył, że w pokoju znajduje się przynajmniej jedna rozsądna osoba. Jej irytację zwiększyło zignorowanie przez Fanny obecności kelnera. Co on sobie może pomyśleć? Wiedział przecież, że jest to dla niej zupełnie obca kobieta, cóż więc mógł na Boga wywnioskować z tej całej poufałości? *Jestem po prostu nieszczęśliwa* - dobre sobie, parsknęła stara dama.

- Jeśli pani jest nieszczęśliwa - rzekła po wyjściu kelnera, który tak opieszale zamykał za sobą drzwi, jakby pragnął usłyszeć coś więcej - to sędzę, że może pani podziękować samej sobie. Przypuszczam też, że szczypta konwenansów i zwyczajności, które pani uważa za stratę czasu, mogłaby zdecydowanie poprawić pani widoki.

- Zdecydowanie poprawić moje widoki! Wielkie nieba, moje widoki - powtórzyła Fanny śmiejąc się nienaturalnie.

- Niech mi tylko pani o nich nie opowiada, gdyż nie mam ochoty tego słuchać - przerwała staruszka unosząc ostrzegawczo rękę.

Fanny zdjęła kapelusz, cisnęła go na kanapę, a włosy wsunęła za uszy. Bolała ją głowa. Czuła, że znów wychodzi na idiotkę - bo czyż nie była już raz arcyidiotką przez te ostatnie miesiące z Dwightem? Teraz jest nią ponownie, kiedy sobie wyobraża, że będąc w potrzebie, wycisnie słowo otuchy z kogoś, kto najwyraźniej jest zimny jak kamień.

- Pani mnie nawet nie *próbuje zrozumieć* - powiedziała i odwróciła się, by sobie nalać do filiżanki bardzo mocnej herbaty.

Bez kapelusza Fanny wydała się staruszce o wiele bardziej do przyjęcia. Niewykluczone, że można by się teraz nawet doszukać pewnych śladów wielkiej urody: jej czoło emanowało jakąś subtelną elegancją, niezależnie od krzykliwości przyczernionych rzęs i uszminkowanych na czerwono ust. Jako córka rzeźbiarza, który dzięki swym dokonaniom w epoce wiktoriańskiej otrzymał tytuł szlachecki, stara dama w czasach młodości słyszała wiele rozważań na temat modelowania oraz konstrukcji kostnej ludzkiej czaszki; mogła więc teraz stwierdzić, że konstrukcja modelu, który miała właśnie przed sobą, wzbudziłaby



niewątpliwie wielkie uznanie ojca i jego przyjaciół. Na przykład ta linia brwi, albo niezwykle delikatny, niemal dziewczęcy wdzięk skroni.

Jednak konstrukcja kostna to jeszcze nie wszystko

- nie kamuflowała tego jej kosmetycznego kamuflażu

- zadowolona zatrzymała się przez chwilę nad tym sformułowaniem, rada, że odzyskała swą dawną zdolność do tworzenia kalamburów. Była - jak twierdził jej ojciec - jedyną w całej rodzinie osobą z poczuciem humoru. „Powinnaś to wysłać do Puncha, Maud” - powtarzał często. Mimo więc osiemdziesięciu trzech lat, jakie liczyła sobie jej powłoka cielesna, umysł bynajmniej tak stary nie był. Zresztą czy to właśnie nie stan umysłu utrzymuje ciało przy życiu?

- Rozumiem wszystko doskonale - powiedziała.

- Drażni panią jej pięćdziesiąt lat; straciła pani urodę i to również się pani nie podoba. I zagwoździła mnie pani tu za tym stołem, wiedząc, że jeśli spróbuję się wyrwać i pójść na górę do mojego pokoju, to okażę się bezduszna, a więc raczej zostanę i chcąc nie chcąc wysłucham potoku pani opowieści o sobie. Jest pani nieodrodną siostrą Starego Żeglarza i tak jak wszyscy egoiści ma wrodzony talent do zatrzymywania słuchaczy wbrew ich woli - tu cisnęła na stół kolejną kartę.

- To jest właśnie ta postać - Fanny zastygła na chwilę z dzbankiem herbaty w ręce. - Ta postać, której nie mogłam sobie przypomnieć po lunchu, kiedy pani tak bardzo się użalała.

- Ja się użalałam?

- Tak to on, Stary Żeglarz. Dlatego właśnie wyszłam z hotelu: pani wierciła mi dziurę w brzuchu, tak jak on robił to z każdym, kogo spotkał.

- Co ja takiego robiłam? - wykrzyknęła staruszka, a jej ściągnięte usta ukształtowały się w literę „o” w wyrazie pełnej oburzenia niechęci.

- No cóż, zatrzymywała pani słuchacza wbrew jego woli - odrzekła z uśmiechem Fanny.
  - Nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś podobnego!
  - wykrzyknęła dotknięta do żywego stara dama.
  - A jeśli jeszcze pani sobie wyobraża, że próbowałabym zatrzymywać osobę zupełnie obcą, i to osobę, która...
  - Wydaje mi się - rzekła Fanny, napełniając filiżankę, podczas gdy staruszka nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa - że nie dość, iż nie jesteśmy osobami zupełnie sobie obcymi, to jeszcze stałyśmy się sobie niezwykle bliskie.
  - Jeśli przez bliskie rozumie pani obraźliwe...
  - Ależ nie - szczerze.
  - To na jedno wychodzi.
  - Nieprawda. Obraza dotyczy kogoś konkretnego. My zaś jesteśmy dla siebie zupełną abstrakcją, ponieważ nigdy się już więcej nie spotkamy.
  - No więc, czy to będzie szczerze, czy obraźliwe
  - zapytała bystro staruszka - jeśli na to odpowiem: *co za szczęście?*
  - W każdym razie jestem pewna, że to będzie wiarygodne - odparła Fanny uśmiechając się ponownie. Znów się uśmiechnęła; ona, która zaledwie przed godziną...
- Sięgnęła po grzankę i jadła ją wpatrując się w ogień. Zapomniała o istnieniu starej damy. Raz jeszcze przeniosła się myślą do ogrodu New College i omal nie potknęła o dwie pary wyciągniętych nóg...
- Odjazd? - zapytała z nadzieją w głosie staruszka, gdyż Fanny gwałtownym ruchem odsunęła swój fotel od kominka.
  - Zrobiło mi się gorąco - wyjaśniła Fanny; i rzeczywiście wszystko ją piekło i paliło, ale nie sprawił tego ogień płonący na kominku.

- Aha, czułam, że tak naprawdę to pani nie wychodzi - rzekła stara dama, która ożywiła się przez chwilę.
- Muszę poczekać na taksówkę. Kazałam ją sprowadzić.
- Kiedy przyjedzie?
- Myślę, że lada chwila.
- No więc ponieważ również uważam, że już się więcej nie spotkamy, chcę pani coś powiedzieć na odchodnym.
- Czy to będzie obraźliwe?
- Nie, to będzie szczere. Nie obchodzi mnie, co pani z tym zrobi. Proszę posłuchać. Mimo że powierzchowność przemawia na pani niekorzyść...
- Jestem ciekawa, po co pani o tym mówi - przerwała Fanny. - Różnimy się między sobą wyglądem, ale nie uważam, żeby on przemawiał przeciwko mnie czy pani. Przeżywamy życie na różne sposoby i na tym koniec.
- Na bardzo różne sposoby. Niech mi pani pozwoli dokończyć. Mimo że powierzchowność niewątpliwie przemawia przeciw pani, jak by to ujął każdy duchowny czy jakakolwiek inna godna zaufania osoba, to jednak ma pani pewne ogólne zadatki na interesującą osobowość, choć może określenie *interesującą* jest nieco przesadzone.
- Tak - rzekła Fanny, szukając czegoś w torebce, z której wyjęła papieros i zapaliła. - Och, zapomniałam - powiedziała wyrzucając go do kominka, ponieważ staruszka natychmiast zaczęła głośno kaszleć. - Tak - powtórzyła z poważną miną. - Często myślałam, że mogliby być ze mnie ludzie, gdyby mnie w odpowiedniej chwili wzięto w karby.
- Taksówka przyjechała, proszę pani - oznajmił kelner otwierając drzwi.

- No, może nie tak często - poprawiła się i sięgnęła po kapelusz - ponieważ w życiu, jakie prowadzę, właściwie się nie myśli; może tylko od czasu do czasu.
  - Życie, jakie pani prowadzi? - powtórzyła staruszka i na nowo ogarnęły ją podejrzenia, a wypowiedziany komplement wydał się jej przedwczesny.
  - Czy pani naprawdę chce powiedzieć, że...
  - Tak, że mam pięćdziesiąt lat - rzekła Fanny. Sięgnęła po kapelusz i wkładała go przed wiszącym nad kominkiem lustrem, czyniąc to z przyzwyczajenia tak starannie, jakby kapelusze miały jeszcze dla niej jakiegokolwiek znaczenie.
  - Ciągle te pięćdziesiąt i pięćdziesiąt. Wiem już wszystko na ten temat - stara dama była rozdrażniona.
  - Ale jest jeszcze coś więcej - rzekła Fanny, pociągając kosmyk włosów, by sprawdzić, czy się dobrze trzyma, tak jakby to ciągle miało jakieś znaczenie. - Jestem idiotką.
  - Ba, tego mi również nie musi pani mówić
  - uspokoiła ją staruszka.
- Gotowa do wyjścia, Fanny wciągnęła rękawiczki.
- Tego właśnie popołudnia - zakończyła - po lunchu, a dokładnie po mojej ostatniej bytności w tym pokoju, dokonałam odkrycia, że nie ma idiotki doskonalszej niż idiotka podstarzała.
  - No, przecież *wiedziałam*, że coś się pani nie udało! - triumfalnie wykrzyknęła stara dama. - Tylko proszę mi teraz o tym nie opowiadać - dodała szybko, unosząc rękę - bo się pani spóźni na pociąg.
- \*

Przez całą drogę do Slough, ostatniego przystanku przed Paddington, podróżująca samotnie w swym przedziale Fanny była pogrążona w rozmyślaniach.

- Muszę to wszystko rozważyć - powiedziała do siebie. - Przecież wszyscy nie mogą się mylić. To szalenie nieprzyjemne, jeśli się musi cokolwiek gruntownie przemyśleć. Fanny uważała się za niezwykle odważną i rozsądną i lubiła zakładać, że jeśli powstanie po temu okazja, to ona nie spisze się mniej chwalebnie niż jej słynne poprzedniczki. Teraz zaś przyszła ta chwila, i to chwila tak żałosna i odrażająca, zaś w oczach osób postronnych - tak nieodparcie głupia, że popisywanie się tu jakimkolwiek heroizmem byłoby absurdalne. Cóż bowiem może być mniej poważnego niż kobieta, która się miota w bezsilnej złości, ponieważ stwierdziła, że również i ją dotyka starość, a po jej urodzie nie ma już śladu? Ale jednocześnie coś bardziej tragicznego niż przywykła do swego wspaniałego wyglądu niewiasta, która konstatuje, że utraciwszy urodę, nie ma niczego w zamian, niczego, na czym mogłaby się oprzeć?

- I właśnie w tym rzecz - pomyślała. - *Powinno* się mieć coś, na czym by się można oprzeć. We właściwym czasie ktoś mi powinien był o tym powiedzieć.

Ale kto? I czy ona chciałaby tego słuchać? Przyjaciele, krewni, cały świat - wszyscy zawzięcie utwierdzali ją w jej głupocie. Jedynym człowiekiem, który mógłby z niej wykrzesać coś lepszego, był Jim Conderley. Tak jak to wyznała staruszce, Fanny często myślała o tkwiących w niej możliwościach, które odpowiednio rozwinięte, pomogłyby się jej wznieść na wyższy poziom. Jim jednak był w niej beznadziejnie zadurzony. Potrafił ją jedynie uwielbiać i cytować poezję. Fanny oczywiście sporo sobie wówczas z tej poezji przyswoiła, z czego wysnuła wniosek, że byłaby sobie w stanie przyswoić również wiele innych rzeczy, gdyby je ktokolwiek zechciał jej we właś-

ciwym czasie podsunać. Zamiast tego jednak wszyscy karmili ją wyłącznie zachwytem nad jej urodą. Była tego w pełni świadoma.

- Jesteś poważnie upośledzona - powiedziała do swego odbicia w oknie.

Nawet to odbicie wygląda staro, pomyślała. Zapewne wkrótce sam jej cień zacznie się rozpadać, wówczas jednak uzna się za całkowicie pokonaną. Na razie przynajmniej pod tym względem nie ma żadnych problemów - stwierdziła z zadowoleniem, że cień jest nadal niezwykle elegancki i wysmukły. Fanny oparła głowę na poduszce siedzenia i zaśmiała się słabo. Niejednokrotnie, będąc w w kłopotliwym położeniu, lubiła się do siebie zaśmiać. Nigdy jednak nie wypadło to tak blado - a widok jej odbijających się w szybie zapadłych policzków, który obserwowała kątem oka, do reszty odebrał jej ochotę do śmiechu.

Zapadłe policzki - spekulowała - były jednak w pełni usprawiedliwione po bezsennej nocy i po spadających na nią przez cały dzień ciosach. A jednak przed pięciu laty, a nawet jeszcze przed rokiem, żadne klęski czy bezsenne noce nie potrafiły odebrać jej odbiciu stałego promiennego blasku.

Powodem tego wszystkiego jest jej przerażająca choroba. Tak ciężkiego schorzenia w wieku niemal pięćdziesięciu lat nie da się absolutnie porównać z chorobą trzydziestolatki i ponieważ nie ma już co liczyć na odzyskanie wielkiej urody, warto by pomyśleć, co począć z czekającą ją nudną, bezsensowną przyszłością.

Bo z pewnością straszliwie nudną i straszliwie bezsensowną. Czy powinna poszukać jakiejś dobrej pracy? Chodzić na wykłady? Uczyć się języków? A może zgłębiać sytuację polityczną w Europie? Jakież to ponure. Czy jednak powolne zapadanie się w starość, poprzez kolejne etapy rosnącej depresji

i rozgoryczenia, znaczone - to dobre! - reumatyzmem i głuchotą, czy to nie jest rozwiązanie znacznie bardziej ponure?

Fanny ujrzała obraz siebie samej, stopniowo przechodzący w niepochlebną karykaturę, a nawet więcej - w zjadliwą parodię tego, czym była kiedyś; a więc obraz staruszki, która gnana strachem przed samotnością, ciągle jeszcze bywa na przyjęciach, choć jeśli się tam już znajdzie, nie jest w stanie przemóc ogarniającej jej senności; staruszki wciąż łasej na zaproszenia i zamawiającej kolejne workowate suknie; starej damy, o której będzie się młodym, obojętnym ludziom opowiadało jako o kobiecie tak kiedyś pięknej, że byliby tym prawdziwie zaskoczeni.

- Choć trudno to sobie wyobrazić - słyszała owe wyjaśnienia - ale ta stara dama, tam w kącie, to lady Frances Skeffington; tak, tak, ta wsparta na laseczce staruszka z trzęsącą się głową, była kiedyś niezwykłą piękną.

Uroda, uroda... Cóż po niej, kiedy już przeminie? Zostawia po sobie tylko dojmujący żal i lęk przed zaczynaniem czegoś nowego. Wszystko poza nią znaczy się w życiu jakimś śladem. Na przykład mężowie zostawiają, lub powinni zostawiać, po sobie dzieci, te z kolei - własną dziatwę i nimi wszystkimi można by się teraz zajmować. Właśnie o swą bez-dzietność miała Fanny do Joba największy żal. Jeszcze dziś rano myślała zupełnie inaczej; była zadowolona z takiego stanu rzeczy, nie chciała bowiem żadnych komplikacji z powodu istnienia tych żywych metryk. Teraz jednak, kiedy swoją metrykę miała wypisaną na twarzy, kiedy zdawało się, że jest cała ostemplowana datownikiem, podczas gdy małe pospolite dziewczyny aż kipiące ze swych żółtych sweterków...

- Ależ Fanny, przestań być taka zgorzkniała.

\*

W tej właśnie chwili pociąg zaczął zwalniać bieg, co wyrwało Fanny z jej zamyślenia. Sądząc, że wsiadła do ekspresu zatrzymującego się dopiero w Paddington, uznała że jest już u celu. Wstała więc i otworzyła okno.

A na peronie stał Pontyfridd, który z plikiem papierów pod pachą czekał, by wsiąść do pociągu. Ponieważ nic nie było w stanie umknąć jego uwagi, natychmiast ją zauważył stojącą w drzwiach wagonu i wymachując laseczką, pośpieszył w jej kierunku.

- Co za szczęście - zawołał lekko zdyszany, gdy dotarł do jej drzwi.

- Ale ja właśnie wysiadam - rzekła Fanny, próbując to uczynić.

- Nie, kochanie, to ja wsiadam - odparł, zatrzymując ją.

- Przecież to Paddington.

- Nie, to Slough.

Fanny była zirytowana. Jeśli miała już dziś wszystkiego powyżej uszu, to odnosiło się to zwłaszcza do George'a. Wiele wysiłku kosztowało ją odzyskanie równowagi po tym, co jej powiedział lub próbował sugerować w drodze z Londynu; teraz zaś, wyczerpana wszystkim, co ją dotychczas spotkało, z pewnością wyglądała gorzej niż kiedykolwiek i jego roziskrzony, bystre oczy były ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Przypuśćmy, że przewierci ją wzrokiem, tak bezbronną ze zmęczenia - co wówczas ujrzy w jej myślach? Załóżmy więc, że będzie to Dwight. Fanny potrafiła sobie doskonale wyobrazić, co by pomyślał o niej George, gdyby dowiedział się o Dwighcie.

Usiadłszy, opadła na oparcie i sapnęła:

- Uff.



- Zmęczona? - zapytał George. Zamknął okno i siadł naprzeciwko.

„George jest człowiekiem, pomyślała Fanny, w którego towarzystwie można przebywać tylko wtedy, gdy się jest w najlepszej formie. Wyklucza to te jego wszystkie indagacje w rodzaju *Zmęczona?*, *Czy ci nie zimno?*, a więc pytania o nieprzyjemnych podtekstach.

- Tak, trochę - odpowiedziała przymykając oczy. Nie była już w stanie borykać się z Georgem. Niech sobie na nią patrzy, jeśli ma ochotę, przynajmniej ona na niego patrzeć nie musi.

Następnie poczuła, że przesiadł się na miejsce obok i otoczył ją ramieniem.

- No, no - rzekł ze współczuciem w głosie, przyciągając ją ku sobie. - Moje maleństwo. Widzę, że w Oksfordzie nie bawiłaś się zbyt dobrze, prawda? Wesprzyj głowę na kuzynie George'u i zapomnij o wszystkim.

To było miłe. Właśnie do tego zawsze tęskniła - by móc przytulić się do życzliwego, opiekuńczego mężczyzny, którego jedynym pragnieniem byłoby trzymanie jej w ramionach, bezpieczną w bliskości jego serca.

Wydała lekkie westchnienie ulgi, wtulając się w jego płaszcz. Oksford. Nie, nie bawiła się dobrze w Oksfordzie, jeśli nie liczyć - zniewolona przytulną miękkością jego płaszcza zdołała się lekko uśmiechnąć - wołowego puddingu. Wszystko, co nastąpiło po nim, było jednym gradem ciosów zadanych prosto w twarz. Teraz, jako zmęczona pięćdziesięciolatka, pragnęła chyba tylko jednego - znaleźć się w kołysce pod opieką niańki, spokojnie wrócić do początku tego, co już przeżyła.

Odzyskać poczucie bezpieczeństwa, znaleźć opiekę, czuć miłość - popaść w roz-

koszny błogostan. Jeśli zaś piastunką miałby być mężczyzna, a kołyską-jego silne, troskliwe ramiona, to tym lepiej.

- Zdecydowanie potrzebujesz męża, moja sarenko - powiedział George, pochylając głowę w stronę jej małego uszka zdobnego w wielki klejnot.

- Ach, nie - protest Fanny utonął w jego płaszczu.-To okropne.

Jednak dla jej pełnego niepokoju, upokorzonego i łaknącego pocieszenia serca ukojeniem było to, że znalazł się wreszcie przynajmniej jeden mężczyzna, który uznał ewentualne zawarcie przez nią małżeństwa za coś zupełnie naturalnego.

- Myślę o mężu, którego masz już od lat, moja droga, i do którego przywykłaś - rzekł George, wszystko psując, i ciągnął dalej tak, że nie było już nawet czego naprawiać. - Mówię ci, w końcu życia nie ma nic lepszego nad męża.

Fanny zaniemówiła. A więc i George dołączył do całej reszty. Jeszcze raz sobie powtórzyła, że wszyscy nie mogą się mylić. Ludzie, których dziś spotkała, nie znali się wzajemnie, a jednak wszyscy wypowiadali podobne uwagi. Może rzeczywiście należy zrobić coś więcej, niż tylko chować swą potępioną twarz w płaszcz George'a i poddawać się nieutulonemu żalowi?

- Mógłbyś być Bylesem - mruknęła smutno po chwili.

- Kim mógłbym być? - zapytał George pochylając się jeszcze niżej, gdyż trudno było dosłyszeć to mruczenie pośród stukotu pędzącego pociągu.

- Bylesem, tym neurologiem. Dziś rano powiedział mi prawie dokładnie to samo. O mężach i końcówkach.

- Mówisz o lekarzu Niggs? Jeśli tak, to on jest rozsądniejszy, niż myślałem. To oczywiste, że takie stworzonko jak ty potrzebuje męża. Ale, ale - czy

nie słyszałaś ostatnio czegoś o tym, z którym zaczęłaś życie? O tym facecie z biblijnym imieniem - Ezaw czy coś w tym rodzaju. A może Izrael?

- To był Job - powiedziała Fanny i wysunęła się spod jego ramienia.

Już samo to imię podziało na nią elektryzująco. Usiadła sztywno wyprostowana z policzkiem zarumienionym od zetknięcia z jego płaszczem i z włosami w nieładzie.

Znów Job, trafił nawet tu, do pociągu. Jego imię w ustach pełnego życzliwości kuzyna.

- Ach tak, Job. Cóż to za imię. Nie wiesz, co się z nim dzieje?

- A co powinnam wiedzieć?

- Czy nie wstrzymał ci pensji?

- Pensji? Ja nie dostaję żadnej pensji. Job dokonał podziału majątku. Ale gdybym dostawała, to dlaczego by mi ją miał wstrzymać?

- No cóż, doszły mnie pogłoski, że od dłuższego czasu jest w tarapatach, że stracił pieniądze i traci je systematycznie.

Patrzyła na niego jak urzeczona.

- Job i tracenie pieniędzy? - zapytała, a oczy pociemniały jej ze zdumienia. Wydawało się jej wręcz nieprawdopodobne, aby Job, który był obdarzony tak wielkim darem zdobywania pieniędzy, miał je kiedykolwiek stracić.

- No cóż, plotki, plotki. Że niby w Meksyku czy gdzieś tam - powiedział George wymijająco, niezbyt pewny swych informacji. Teraz, gdy Fanny odsunęła się od niego, siedział odchyłony do tyłu, z rękami w kieszeniach płaszcza i skrzyżowanymi nogami. - Wiesz przecież, jak się rozchodzą plotki; więc oczywiście od razu zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko w jakiś sposób nie odbiło się na tobie.

- Nic mi się nie stało, bo nic się nie mogło stać.

- Eee, myślę, że to po prostu gadanie. Podobno po wielu latach powrócił do Anglii. W każdym razie cieszę się, że ty jesteś bezpieczna. Job nigdy cię nie niepokoił, od czasu jak się go pozbyłaś, prawda? Zawsze postępował uczciwie? No cóż, biedaczysko był w tobie bardzo zakochany, Bóg jeden wie, jak bardzo! - George uśmiechnął się, gdyż po raz pierwszy od wielu lat stanął mu przed oczami obraz Joba, najtwardszego finansisty w Europie, który, nie bacząc na upokorzenia, podążał za Fanny na wszystkie przyjęcia, gdzie adorował ją, nie odrywając od niej wzroku, rumieniąc się, gdy spojrzała nań kątem oka, drżąc, gdy się znalazł w jej pobliżu. Po chwili milczenia George mówił dalej. - Szkoda, że nie potrafiłaś mu wybaczyć. To był naprawdę porządny gość. Co na dłuższą metę znaczą w życiu mężczyzny jakieś drobne przygody z kilkoma dziewczętami? A teraz mógłby się tobą opiekować. Fanny była wściekła.

- Dziękuję ci - rzekła twardo. - Sama się doskonale potrafię sobą zająć. I jestem już *chora* - dodała gwałtownie - tak, dosłownie *chora* od gadania o tej *dłuższej mecie*.

Ściskając leżącą na kolanach torebkę, spoglądała wzrokiem pełnym oburzenia i buntu. Czego to się już dziś nasłuchiwała i co ją jeszcze czeka? Pociąg minąwszy właśnie Ealing Broadway, zaczął zwalniać i od Paddington dzieliło ich już tylko kilka minut. George mógłby przez ten krótki czas dać spokój Jobowi i nie wtłaczać go gwałtownie z powrotem do jej myśli, ponieważ wracała właśnie do domu z nadzieją, że nie zastanie tam swego byłego męża. Przez cały dzień usilnie starała się nie myśleć o nieszczęsnym urojeniu, próbując uwierzyć, że dzięki temu po powrocie

będzie już od niego wolna, a tymczasem teraz właśnie George - ten sam George, który był na równi z Trippem zaszokowany ich małżeństwem - przypomniał jej o Jobie, nazywając go przy tym porządnym i zasługującym na wybaczenie gościem.

- Ależ kochanie - George, zaskoczony gwałtowną reakcją Fanny, uspokajająco położył rękę na jej dłoni.

Oburzenie Fanny było jednak zbyt wielkie, by się dała tak łatwo uspokoić.

- Niczym nie różnisz się od Bylesa - zawołała, wrywając gwałtownie rękę, i kiedy pociąg zaczął wjeżdżać na Paddington, zanim jeszcze George zdążył wyprostować skrzyżowane nogi i zebrać swoje papiery, skinęła na bagażowego, by jej otworzył drzwi, i wysiadła. Zniknęła w tłumie na peronie, gdzie lekkim, szybkim krokiem, charakterystycznym dla osoby drobnej i zdecydowanej, wymijała stojące na jej drodze grupki pasażerów.

- Ho, ho - westchnął George i zaczął bez pośpiechu zbierać swoje dokumenty.

\*

W wiozącej ją do domu taksówce, Fanny - trzymając głowę równie wysoko jak po opuszczeniu gabinetu sir Stiltona i z podobnie roziskrzonym wzrokiem - zdecydowała, że nikt nie będzie jej zmuszał do skruchy z powodu niewybaczenia winy Jobowi i że przestanie już znosić jego figle ze straszaniem jej. Był w Meksyku? Powinien tam więc pozostać. Przypuszczała, że nie mogąc albo nie chcąc tego zrobić, wziął się, by ją prześladować w jej domu przy Charles Street. Jeśli go tam po powrocie zastanie, po prostu odwróci się na pięcie i pojedzie do hotelu.

Fanny zastała tam Skeffingtona, natychmiast odwróciła się na pięcie i pojechała do hotelu. Z tyłu,

za lokajem, który otworzył drzwi, za nadzorującym go majordomem, za wścibską-postacią panny Cartwright, która przybiegła ze swego saloniku, za nimi wszystkimi majaczyła postać Skeffingtona.

- Nie - zawołała, stając ja wryta i mrużąc oczy, znalazłszy się w jasno oświetlonym pomieszczeniu. - Nie - stała tak przez chwilę, wpatrując się gdzieś w przestrzeń poza nimi.

- No, więc doskonale - powiedziała, jak gdyby podjęła nagłą decyzję. - To wszystko załatwia. Pojadę do hotelu Claridge'a. Panno Cartwright, zechce pani powiedzieć Manby, żeby mi tam sprowadziła moje rzeczy?

Taksówkarz, który ją przywiózł z Paddington, nie zdążył jeszcze schować pieniędzy za kurs, kiedy Fanny pojawiła się ponownie. Wsiadła i pojechali dalej.

Lokaj, majordom i panna Cartwright popatrzyli po sobie wzajemnie. Panna Cartwright nie była kimś, kto ma w zwyczaju spoglądać na lokajów, jednak ta kłopotliwa sytuacja zniwelowała społeczne różnice.

*Doskonale, to wszystko załatwia.* Co właściwie miały znaczyć te słowa? I do kogo były skierowane? Żadne z nich trojga nie miało najmniejszego pojęcia.

- Dziwne - rzekła panna Cartwright. Majordom pokręcił głową.

- Powiedziałbym osobliwe - stwierdził lokaj, pragnąc się przypodobać majordomowi.

A kiedy w godzinę później Manby przyjechała do Claridge'a, niosąc te wszystkie wyrafinowane przybory, bez których jej pani nie mogłaby się ani rozebrać do snu, ani też rano, po wstaniu, ubrać - zastała Fanny rozciągniętą na łóżku w ubraniu, jedynie bez kapelusza, pogrążoną w głębokim śnie.

#### 4

Leżące w hrabstwie Suffolk Upswich - rezydencja lorda Conderleya, gdzie po rezygnacji z rozlicznych stanowisk i przejściu na emeryturę osiadł on wraz ze swą młodą jeszcze żoną i zupełnie małymi dziećmi - cieszyło się właśnie błogosławieństwem tej lutowej pogody, dzięki której zaczynają się pokazywać krokusy. Wystarczyło kilka mroźnych dni, kiedy wspaniałe czerwone słońce zapadało każdego późnego popołudnia za pasmo wzgórz na zachodzie, a następnie gwałtownej zmiany kierunku wiatru na południowy, by krokusy wystrzeliły spod ziemi, a skowronki wzniosły się ku niebu.

Upswich leżało niedaleko od Ipswich, co czasem powodowało nieporozumienia. Od Ipswich różniło się jednak w sposób zasadniczy. Był to po prostu pojedynczy piękny stary dom otoczony rozległym, wiekowym parkiem. Kiedy więc lord Conderley otrzymał od króla tytuł szlachecki i mógł sobie wybrać dowolne nazwisko, nie potrafił wymyślić żadnego lepszego niż to, które miał dotychczas; pozostał zatem przy starym z dodatkiem „Upswich”.

W Upswich ponad siedemdziesięcioletni już Conderley pisał pamiętniki, włóczył się po swym skalnym ogrodzie, obserwował zwyczaje ptaków, łowił ryby i rozkoszował się bogatą biblioteką. Uczucie nudy było mu obce, bo z chwilą gdy miała się ona pojawić, lord szedł porozmawiać ze swą młodą jeszcze i całkowicie go satysfakcjonującą żoną. Rozmawiali więc z przyjemnością o dzieciach i ich przyszłości albo on<sup>1</sup> czytał jej na głos, podczas gdy ona robiła na drutach. Aczkolwiek Conderley uważał ożenek w późnym wieku za rzecz niezwykle dla mężczyzny zachwyca-

jąca, to jednak kryła się tu pewna niedogodność polegająca na tym, że zanim zrodzone z tego małżeństwa dzieci dorosną, ich ojciec będzie już zbyt stary, aby się im na cokolwiek przydać; tak stary, że mógłby być ich dziadkiem albo nawet pradziadkiem. Kiedy jego najmłodsze dziecko, syn, osiągnie pełnoletniość, on, jeśli tego dożyje, będzie miał już lat ponad pięćdziesiąt, co jest wiekiem dobrym raczej do grzania się przy kominku i wspierania na lasce niż do dawania nauk i świecenia przykładem pełnemu energii młodemu człowiekowi. Lord Conderley zdawał sobie sprawę, że nauki przekazywane drżącym głosem mogą nie odnieść właściwego skutku, tak jak na przykład nie można być odważnym i sumiennym wykonawcą swych obowiązków, jeśli wskutek wieku straciło się już ochotę do osiągnięcia jeszcze czegokolwiek.

Conderley nie rozmawiał jednak o tym wszystkim z żoną. Była to jedyna rysa na nieskazitelnym szczęściu ich domowego ogniska i lord nie miał zamiaru martwić żony tym, jak bardzo go od czasu do czasu dręczyły podobne niepokoje.

Ona zaś - córka prostych, ale miłych wieśniaków, rodziny, w której poza nią było jeszcze czterech braci i dwie siostry, a wszyscy godni najwyższego szacunku - stanowiła w jego opinii materiał na najlepszą żonę. Była zdrowa i miała łagodne usposobienie; odznaczała się rozsądkiem i prostodusznością; nie wzbraniała się przed nauką; okazywanie mu szacunku sprawiało jej prawdziwą radość; ciekawiło ją wszystko, co robił; nie znała dawnych przyjaciółek męża i lubiła słuchać jego głośnego czytania. Zwłaszcza to ostatnie było czymś wspaniałym, ponieważ Conderley uwielbiał czytać na głos; tyle tylko że niekiedy, gdy w gorące letnie popołudnie czytał jej w ogrodzie,



mogła zmorzona drzemką przeoczyć jedno czy drugie zdanie, podobnie zresztą jak i w zimie przy kominku po pracowitym dniu.

Byli po ślubie już prawie dziesięć lat i Conderley, siedząc przy śniadaniu, rozmyślał właśnie nad jakąś czułą niespodzianką, którą zamierzał przygotować dla żony z okazji tej rocznicy, gdy nadszedł list od Fanny.

O jej istnieniu żona nie miała najmniejszego pojęcia. Ten szalony epizod - szalony dla niego, ponieważ nigdy tak głęboko nie kochał, a bynajmniej nie szalony dla Fanny, choć zaznała w tym romansie tak wiele szczęścia i radości - rozegrał się i zakończył na całe lata przed jego małżeństwem; w związku z tym Conderley nie widział powodu, dla którego miałby do niego wracać czy choćby o nim napomykać. W swych wspomnieniach z nabożeństwem czcił Fanny jako istotę najbardziej godną uwielbienia z tych, które kiedykolwiek znał. Czcił ją również jako wielką kreatorkę zmiennych nastrojów. W ciągu tych trzech lat, kiedy pozostawała jego najdroższą przyjaciółką, Conderley posiadał głęboką wiedzę o tym, czym jest kontrast między uniesieniem i rozpaczą, stanami, o których istnieniu, on - człowiek delikatny

i spokojny, typ dworskiego urzędnika, w wolnych chwilach czytający klasyków, nie rozstający się z tomikiem Horacego - nie miał przedtem najmniejszego pojęcia. Niezależnie od uwielbienia i miłości, jaką ją darzył, ta wyjątkowa istota, z takim zachwytem wchłaniająca wszystko, co jej podsuwał jako godne zainteresowania, tak skora do słuchania, tak pełna wdzięczności, gdy jej wyjaśniał piękno tych rzeczy, ta istota była również najbardziej czarującym kompanem. W ciągu tych trzech lat nie było na świecie szczęśliwszego od niego mężczyzny, nie było też jednak bardziej żalosego - żalosego, ponieważ

wyjątkowa umiejętność przystosowywania się, która pozwoliła jej tak łatwo wejść w jego życie, w jego sprawy, do jego serca, by uwić tam sobie przytulne gniazdko, sprawiała mu ustawiczne katusze związane z obawą, że Fanny może zawsze zrobić to samo z każdym innym mężczyzną. I tak też po pewnym czasie uczyniła, a był to ten tandenty Edward Montmorency, ostatni człowiek, o którego by ją Conderley podejrzewał. Fanny odprawiła go delikatnie - z największym współczuciem i czułością, tak bardzo zanosząc się przy tym płaczem, że sam ją musiał pocieszać i osuszać jej łzy; Condêrley zaś tak ciężko to odchorował, że był zmuszony wyjechać na sześciomiesięczny urlop zdrowotny, a po powrocie przestał gdziekolwiek bywać, poza swoją pracą na dworze królewskim, z obawy, że gdyby się przypadkiem znalazł w odległości umożliwiającej rozmowę z Fanny, mógłby paść martwy u jej stóp.

Nie jest to historia przeznaczona do wiadomości żony, którą się lubi i ma jej wiele do zawdzięczenia i dzięki której jest się szczęśliwym. Nawet w najbardziej teoretycznych rozważaniach nie potrafił sobie wyobrazić, że pada martwy u stóp swojej żony. Nie bardzo się nawet orientował, czy ona je ma. Była idealną kobietą na długą drogę, kobietą z którą można żyć bez wstrząsów. Ich ciepłe współżycie opierało się na tkliwości i dobroci. Krótki okres narzeczeństwa był pełen tkliwości, a miodowy miesiąc - przepelniony dobrocią. Od tej pory ich życie było nieprzerwanym ciągiem tkliwości i dobroci. Zapragnął pogodnej towarzyszkii w domowych pieleszach i oto ją miał. Gdy odczuł tęsknotę za dziećmi - otrzymał je. Żona nie była wprawdzie specjalnie ładna, ale nawet teraz, po trzydziestce, jej młodość wciąż jeszcze stanowiła dla niego atrakcję. Po co zresztą staremu

mężczyźnie kłopot w postaci bardzo ładnej żony? Żeby ściągała na siebie pożądlive spojrzenia innych mężczyzn?

Audrey nie stwarzała takiego niebezpieczeństwa, i to nie tylko dlatego, że ze swymi zaokrąglonymi różowymi policzkami i niedużymi jasnymi oczami była nie tyle ładna co raczej tylko miła i krzepka, ale także dlatego, że nie pozwalałoby na to jej skromne wiejskie wychowanie i uczciwy stały charakter. Stojąc pewnie na nogach, pełen wewnętrznego zadowolenia, Conderley mógł teraz z ufnością wkroczyć w ostatni etap swego życia. Kiedy więc przy śniadaniu, a było to w tydzień po bytności Fanny w Oksfordzie, ujrzał pośród korespondencji dobrze mu znany charakter pisma, ten sam, na widok którego kiedyś serce zaczynało mu bić jak oszalałe grożąc zapaścią - miał już poza sobą tak długi okres niczym niezmaconego szczęścia, którego dostąpił z bożej łaski, że w chwili tej nie poczuł zupełnie nic poza lekkim zaskoczeniem.

Fanny. Czego ona może chcieć? Jakie to dziwne, że musiała do niego napisać.

Po przeczytaniu listu poczuł, że jego szczęście nie jest już tak niezmacone. A przecież nic się właściwie nie zmieniło. Oto wokół stołu nadal siedziały jego czyste i rozpromienione dzieci - przytroczony do wysokiego krzesła mały Jim z piastunką u boku, karmiony przez nią owsianką, po drugiej stronie najstarsza Audrey i średnia Joan; a w przeciwległym końcu - świeżo wypucowana mydłem, w schludnej porannej sukience, jego gładka żona, która żartując z dziećmi, jednocześnie przeglądała swoje listy.

Do wnętrza wlewały się promienie słońca, w pokoju pachniało smacznym śniadaniem, krokusy ożywiały trawnik pod oknem; a takie stoły jak ten stały

teraz w każdym angielskim domu. Jednak nie wszędzie takie same, gdyż na stole Conderleya leżał list od Fanny, który teraz, gdy adresat znał już jego treść, zdawał się temu stołowi przydawać jakiś nowy aspekt. Nie było już tak rodzinnie, przytulnie i monotonnie jak przy wczorajszym czy przedwczorajszym śniadaniu, ani też jak przy żadnym innym z czasów jego małżeńskiego życia. Kładło się na nie cieniem pytanie, a właściwie kilka pytań. Conderley, chcąc odsunąć od siebie te myśli choć na chwilę, odłożył list i rozejrzał się wokół.

Jakże wciąż jeszcze nieporządnie je Jim, zauważył obserwując, ile owsianki zamiast trafiać do środka zostaje na buzi małego. Stwierdził też, że obie córki, które miały stały zwyczaj zadawania sobie przy posiłkach zagadek, śmiały się ze swej zabawy cokolwiek za głośno. W końcu wreszcie stwierdził, drgnąwszy niedostrzegalnie, że przypatruje mu się żona.

- Czy coś się stało? - zapytała pogodnie, napotkawszy jego wzrok.

- Słucham, kochanie?

- Myślałam, że zmartwił cię ten list, który czytałeś.

- Ach, to. Nie, nie tyle zmartwił, ile raczej znudził.

- Nianiu, nie poszła *ani jedna* łyżka. Tak, słucham cię, Jim? Dzieci, wolałabym, żebyście się nauczyły śmiać dyskretnie, same przyznacie, że tak jest o wiele przyjemniej i spokojniej. No więc, Jim?

- Może po śniadaniu - odparł niewyraźnie Jim i zajął się innymi listami.

Ale po śniadaniu nie poszło mu łatwiej. Udali się ramię w ramię do biblioteki, gdzie ona zapaliła papierosa, a on fajkę; następnie Jim, pykając w milczeniu, zaproponował rundkę wokół ogrodu.

Przeszli się po ogrodzie. Przez ten czas ciekawość żony zdecydowanie się nasiliła.

- No więc, Jim? - spytała w końcu, gdy ciągle w milczeniu szli krok w krok po zalanym promieniami słońca tarasie, biegnącym wzdłuż południowej ściany domu.

Odchrząknął. Jej zaciekawienie rosło z każdą chwilą.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem o Fanny Skeffing-gton? - zaczął, choć doskonale wiedział, że ona nie może tego pamiętać, ponieważ nigdy jej o tym nie mówił; po prostu lekka obłuda, do której uciekają się niektórzy mężowie.
- Nie - odparła Audrey - nie pamiętam. Kto to taki?
- Cóż, to stare dzieje i sędzę, że zapomniałaś. Ale ponieważ ona należała do mojego... naszego kręgu towarzyskiego, to jestem całkowicie przekonany, że musiałem ci o niej opowiadać.
- Nie - odrzekła zdecydowanie Audrey. - Nie opowiadałeś.
- No, mniejsza z tym. W każdym razie ona chce tu przyjechać w następny weekend.
- Po co?
- Złożyć nam wizytę, kochanie, oraz - jak pisze - zaprzyjaźnić się z tobą.
- Ze mną? Dlaczego?
- Moje drogie dziecko, równie rozsądne byłoby pytać, dlaczego ludzie w ogóle chcą się ze sobą przyjaźnić.
- Czy ty chcesz, żeby tu przyjechała?
- Nie.
- Więc jej odpowiedz, że to niemożliwe.
- Czy nie byłoby to raczej obcesowe?
- Mogłabym wymyślić tysiąc wymówek, a żadna z nich nie byłaby ani odrobinę obcesowa. Jeśli chcesz, mogę napisać.
- Myślę, że to nie jest najlepszy plan. Ona ciebie przecież jeszcze nie zna, i chociaż mam nadzieję, że to się wkrótce stanie...

- No więc *chcesz*, żeby przyjechała - przerwała mu Audrey.
- Czy ci już nie powiedziałem, że tego nie chcę?
- odparł Jim zapominając nieco o swojej wrodzonej delikatności.
- To dlaczego masz nadzieję, że ona mnie wkrótce pozna?
- Moja droga, a niby dlaczego ktoś w ogóle cokolwiek mówi? - odciął się jej Conderley, jeszcze bardziej zapominając o swej wrodzonej delikatności.

Przemierzali taras w milczeniu. Zdawał sobie sprawę z tego, jak przyjemnie jest mieć prostolinijną żonę i że jego połowicę trudno przecenić, niemniej są sytuacje lub raczej krótkie, przelotne chwile, kiedy trochę więcej domyślności, odrobina wyobraźni... Ona zaś pomyślała: „To przez tę pieczeń w cieście. Nie powinnam mu była jej podawać wczoraj przed nocą.”

Conderley uspokoił się i rzekł:

- Biedna Fanny, nie widziałem jej od lat.
- Ona jest biedna?
- Nie pod względem finansowym.
- Więc pod jakim?
- Przypuszczam, że pod takim, o jakim mówimy o wszystkich ludziach, którzy się starzeją.
- Ona się starzeje?
- Moja droga, a cóż to za pytanie.

To z całą pewnością ta pieczeń. Wygląda na naprawdę zdenerwowanego, a przecież wiedziała, że to do Jima zupełnie niepodobne.

- Chodzi mi o to - rzekła pogodnie, bo trudno się przecież przejmować skutkami niestrawności męża
- czy ona jest dość stara.
- Od czasu, kiedy ją widziałem po raz ostatni, upłynęło już chyba ze dwadzieścia lat.

- No, to ona musi być dobrze stara - powiedziała uspokojona Audrey. Coś ją jednak zaniepokoiło... - Nazywałeś ją Fanny? - pytała dalej.

- Gdybyś nie żyła tak głęboko zakopana w swych lasach i polach, wiedziałabyś, że w kręgu towarzyskim, do którego ja należałem, wszyscy zwracali się do siebie używając imion chrzestnych - wyjaśnił głosem ponownie pobrzmiwającym pieczeni zapiekaną w cieście.

- Ależ Jim, czy ty naprawdę nazywasz to imieniem...\* - wyszeptała Audrey, zbyt jednak wstrząśnięta, by wymówić to czcigodne słowo.

- No, moje drogie dziecko... doprawdy... - zaoponował Conderley, tym razem pieczeń nie budziła już najmniejszych wątpliwości.

Milcząc, przemierzali taras w przeciwnym kierunku. Audrey przyrzekała sobie, że już nigdy więcej nie poda mu ciężkostrawnej potrawy później niż w porze lunchu; Conderley zaś zastanawiał się, dlaczego ona mu tak bardzo wszystko utrudnia.

- Czy ta Fanny jakaśtam... - zaczęła Audrey.

- Skeffington. Fanny Skeffington. Lady Frances Skeffington - wtrącił, mówiąc głośno i niezwykle wyraźnie.

- No więc Skeffington. Czy ona nazywała cię Jimem?

- Moja droga, przecież ci właśnie powiedziałem, że zwracaliśmy się do siebie używając imion chrzestnych. Teraz jednak powiedz mi, Audrey - ciągnął łagodniejszym tonem, gdyż sam się zorientował, jak wielka irytacja przebija przez jego słowa, a także

**\*Rzeczownik *Fanny*, który funkcjonuje jako imię żeńskie, jest również wulgarnym slangowym określeniem żeńskiego narządu płciowego. Pochodzi ono prawdopodobnie od imienia bohaterki *Pamiętników Fanny Hill* Johna Clelanda z 1749 r. (przyp. tłum.)**

nieprzyjemnie zdziwił, że zwykły list od Fanny spowodował ich pierwszą jeśli nie sprzeczkę, to na pewno ochłodzenie we wzajemnym odnoszeniu się do siebie - powiedz mi, Audrey, czy wiedząc, że ona jest, jak powiadasz, dobrze stara - tu przez chwilę spróbował sobie bezskutecznie wyobrazić starą Fanny

- i że w swym liście mówi...

- Mogę zobaczyć? - przerwała Audrey, wyciągając rękę.

Na to nie był przygotowany. Nie przyszło mu do głowy, że ona zechce obejrzeć ten list.

Zażenowany udawał, że szuka po kieszeniach.

- Chyba go zostawiłem w bibliotece - powiedział, ściskając list w schowanej w kieszeni ręce.

A właściwie dlaczego to zrobił? Przecież w liście nie było niczego do ukrywania. Może jedynie kilka egzaltowanych słów, które by można łatwo wytłumaczyć. Co go zatem zmusiło do udawania, że zostawił list w bibliotece?

Choć stwierdził, że nie ma pojęcia, to jednak wiedział, że je ma i że wiąże się ono z określeniem „profanacja”.

Poczuł się tym zaskoczony. Jego żona profanująca list innej kobiety poprzez jego przeczytanie!

„Mój Boże” - pomyślał Conderley. - „Mój Boże”.

- I rozważał, czy nie byłoby lepiej nie doprowadzać do przyjazdu Fanny.

- Więc mi powiedz, o czym ona pisze - rzekła Audrey.

- Coś na temat swojej choroby i o tym, że bardzo pragnie zobaczyć jeszcze raz swych starych przyjaciół...

- ... przed śmiercią - wtrąciła Audrey, a Conderley doznał pierwszego w dziejach ich wspólnego pożycia wstrząsu.



Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Conderley starał się zapanować nad swym niekłamany gniewem. Żeby z taką beztrąską, z taką bezwzględnością mówić o śmierci Fanny, *o śmierci Fanny*, która była jednym wielkim symbolem jego wiedzy o życiu - płomiennym, pulsującym, dręczącym, wspaniałym życiu, w porównaniu z którym egzystencja, jaką wiódł z Audrey, była zaledwie snem ślimaka... A więc Fanny zdecydowanie powinna przyjechać. Conderley postanowił nie odsuwać wizyty osoby, która kiedyś była mu tak droga, dla kogoś, kto nie był mu bliski w najmniejszym stopniu. Tak! Przez chwilę jego żona, dobra i oddana mu Audrey, matka jego dzieci, wierna towarzyszka w wolnych chwilach, niestrudzona służebnica dbająca o jego wygody, wydała mu się zupełnie obca.

- Odpowiedź może być tylko jedna - rzekł wreszcie, kiedy już był w stanie mówić spokojnie. - Napiszę, że będziemy oboje zachwyceni.

- Co oczywiście wcale nie będzie prawdą - Audrey wciąż była denerwująco szczerą. - Ja nie będę ani trochę zachwycona - znów ujęła Conderleya za rękę, ten ją jednak cofnął. - Jeśli i ty nie będziesz. A czy ty będziesz zadowolony? Nie bardzo się mogę połapać.

Popatrzyła na niego z uczuciem. Nie miała pojęcia, że wzbudza jego gniew. Była bardzo przywiązana do jego wizerunku, jaki sobie wytworzyła i pielęgnowała w sercu ośmielona jego pełną taktu życzliwością.

- Widzisz, moja droga Audrey - był wciąż bardzo chłodny, a jego ramię zwisało bezwładnie, zupełnie nie reagując na jej przyjazny uścisk. - Istnieje jeszcze coś takiego jak kurtuazja wobec starych przyjaciół.

- Tak, wiem o tym - odparła, trzymając jego rękę tuż przy swoim boku. - Dlatego zrobię wszystko, co

uznasz za stosowne i przyrzekam, że będę doskonałą panią domu. Ale przed jej przyjazdem będziesz mi musiał jeszcze wiele rzeczy wyjaśnić, żebym wiedziała, czego się trzymać.

- Mamy jeszcze na to dużo czasu - powiedział odprężony Conderley i zerknął na zegarek. - Jestem umówiony na dziesiątą z Jacksonem - dodał nagle i bez słowa, nabijając fajkę, oddalił się w kierunku cieplarni.

\*

Do czasu przyjazdu Fanny w najbliższą sobotę po południu - miała to być najkrótsza wersja weekendu - Audrey wiedziała o niej nie to, czego się mogła dowiedzieć, lecz wszystko to, co chciała wiedzieć; Conderley zaś, już spokojny i zdziwiony, że tak bardzo dał się ponieść nerwom, zastanowił się głęboko, do jakiego stopnia tak bliska sercu żona może się okazać obca. Wiedziała więc, kim był ojciec Fanny, wiedziała też, że jej jedyny brat zginął na wojnie, że Fanny wyszła za mąż za Żyda (jak mogła? - dociekała), że mąż się z nią rozwiódł...

- Nie, to ona rozwiodła się z nim - poprawił ją Conderley.

- To na jedno wychodzi.

- Ależ bynajmniej. Musisz to rozróżniać.

...i wreszcie, dzięki herbarzowi Debretta, wiedziała, że Fanny w przyszłym miesiącu, dwunastego marca, kończy pięćdziesiąt lat - i to było wszystko. Conderley wyjaśnił, że Fanny nie wyszła ponownie za mąż, i zupełnie bezwiednie zasugerował, że od chwili rozstania z mężem wiodła na Charles Street surowe samotne życie, niemal jak dziewczyna westalka, pod opieką wiernej służącej, która z pewnością trafi do kolumny Timesa zatytułowanej Wierna Służba.

- Biedaczka - powiedziała Audrey z lekkim westchnieniem ulgi, wsuwając dłoń do jego ręki. - I do tego żadnych dzieci. To wszystko jest takie smutne.

Najbardziej jednak interesował ją rozwód. Głędziła o tym do znudzenia. A kiedy wreszcie Conderley wypomnił jej tę natarczywość, wyjaśniła, że przecież nigdy jeszcze dotąd nie spotkała nikogo rozwiedzonego, nie mówiąc już o podejmowaniu go we własnym domu, i że będzie to w jej życiu dość ważnym wydarzeniem.

- To on jest rozwiedziony - poprawił ją cierpliwie.

- To na jedno wychodzi - odparła Audrey, która zdawała się tu nie odróżniać strony ponoszącej winę od niewinnej. - Rozwód zawsze będzie tylko rozwodem, prawda Jim? - popatrzyła na niego jakby w oczekiwaniu, że będzie w stanie jej zaprzeczyć, on jednak sięgnął po Timesa i pogrzyżył się w nim bez reszty.

Po chwili wróciła do swego ględzenia.

- Mama mówiła, że królowa - chodziło jej o królową Wiktorię - nie przyjmowała na dworze rozwiedzionych, ani winnych, ani niewinnych.

Conderley nadal tonął w swojej gazecie, gdy znów podjęła ten temat:

- Ja ci powiem, Jim, że nie ma dymu bez ognia. I raz jeszcze, po kolejnej przerwie, podczas której Conderley nawet nie drgnął.

- Jak się ktoś raz otarł o brudy, to nie może pozostać czysty.

- *O Boże* - jęknął do siebie Conderley nagle tracąc ducha. Ostatnim razem taki okrzyk wyrwał mu się całe lata temu.

Kiedy Fanny przyjechała, oboje czekali na nią w progu. Audrey włożyła wiele starania w przygoto-

wanie domu, wypełniając go wiejskim kwieciami, krokusami i przebiśnigami, najpiękniejszą bielizną stołową, a także eksponując książki, które według niej mogły podziałać ożywczo na kogoś odzyskującego siły po niedawnej chorobie, takie jak na przykład „Rzymskie spacerzy”. Na wszystkich kominkach palił się żywo ogień. W holu czekała herbata. Conderley do ostatniej chwili nie wyłaniał się spoza swego Timesa i dopiero wtedy, gdy usłyszał zatrzymujący się samochód, odrzucił gazetę, by wraz z żoną wyjść na schody przed domem.

Teraz, gdy już nadeszła ta chwila, czuł niemal bolesną niechęć na myśl o spotkaniu z Fanny i miał żal do Audrey za to, że kiedy tak stali na schodach, ona wsunęła mu rękę pod ramię. Nie ma przecież żadnych wątpliwości, że on do niej należy, czy jednak potrzebna jest taka otwarta demonstracja swych praw do własności?

Ale Conderley był wobec niej niesprawiedliwy, bowiem Audrey przylgnęła do niego instynktownie powodowana jedynie zwykłą treścią. Poza tym pomyliła Fanny z Manby, która pierwsza wysiadła z samochodu. - Ależ Jim, jaka ona stara - wyszeptała. - *Fatalna* ta pięćdziesiątka. - a kiedy odkryła swą pomyłkę, zawstydziała się jeszcze bardziej, irytując go w stopniu niewspółmiernym do przyczyny. Ale oto i Fanny we własnej osobie pochylająca głowę, by się nie uderzyć o framugę drzwi samochodu. Conderley pośpieszył z pomocą i kiedy przytrzymał ją za rękę w czasie wysiadania, spojrzeli na siebie z bliska po raz pierwszy od tego rozdzierającego serce popołudnia sprzed dwudziestu lat, gdy osuszał jej łzy pożegnania.

Och, *biedny* Jim - pomyślała Fanny z wahaniem, niezbyt pewna, a jednocześnie aż nazbyt pewna, że

to on; przygnębiona faktem, że tak bardzo się przygarbił i posiwiął.

Na Boga, biedna Fanny - pomyślał wstrząśnięty Conderley.

A to z powodu jej intensywnego makijażu. Każda kobieta wyruszająca na spotkanie z mężczyzną, który ją kiedyś uwielbiał, starałaby się wyglądać jak najlepiej. Fanny nie zaniedbała pod tym względem niczego, więc Conderleyowi - od lat mieszkającemu na wsi wśród ogorzałych, odzianych w tweedowe spódnice kobiet i którego żona do twarzy używała jedynie mydła - wygląd Fanny wydał się wysoce niestosowny. Na domiar złego jeszcze to jej wychudzenie. Już same zapadłe policzki są czymś przygnębiającym, jednak umalowane - to wręcz tragedia.

*Wspaniała, śliczna maleńka Fanny...*

Słowa te przez całe lata płynęły nieśmiało niby cicha, chropawa melodyjka z pozytywki. Pochylił się ku jej dłoni, by ukryć własne uczucia, ona zaś patrząc nań z tej perspektywy, widziała jedynie mocno przerzedzone włosy na ciemieniu, a prawdę powiedziawszy - niemal całkowity ich brak.

Niestety, biedny Jimie - pomyślała Fanny żałując, że tu jest.

Niestety, biedna Fanny - pomyślał Jim żałując że jej pozwolił przyjechać. Osobliwe zaś było to, że żadne z nich nie miało najmniejszego pojęcia, jak wygląda w oczach drugiego.

Pierwsza odezwała się Fanny. - To cudowne, że znów się widzimy. Nie wyobrażasz sobie, drogi Jimie, jak bardzo się cieszę - powiedziała, próbując sobie wmówić, że ten dziwaczny staruszek jest kimś dobrze jej znanym.

On jednak, podtrzymując dłonią jej szkieletowaty, ostry łokieć podczas wchodzenia po schodach, jesz-

cze przez chwilę milczał. Wreszcie odezwał się, oddychając z niejakim wysiłkiem, gdyż jednoczesne mówienie i wspinanie się po schodach sprawiało mu pewną trudność: - Żałuję tylko, że już wcześniej nie wpadłaś na ten pomysł.

Wcześniej - to znaczy, wtedy gdy była jeszcze młoda czy zanim się tak zestarzała? Nie, to tylko zwykła kurtuazja z jego strony. Wyczytała to z dwornego pochylenia jego głowy w jej kierunku, z dobrotliwego spojrzenia zmęczonych oczu.

„Biedny Jim, to straszne mieć tak bardzo zmęczone oczy” pomyślała Fanny, odwracając szybko głowę i zapominając, że jej oczy są nie mniej zmęczone.

- Jakież zdumiewający stary dom! - zawołała przyglądając się pokrywającej go patynie czasu. - O! A to jest Audrey?

Zbliżająca się z uśmiechem powitania na ustach Audrey natychmiast stwierdziła, aczkolwiek nikogo takiego nigdy jeszcze dotąd nie spotkała, że Fanny jest w każdym calu *divorcée* i dobrze się stało, że poza nią nie ma u nich innych gości. Czowała, że nie jest to osoba, którą by się można pochwalić przed biskupem. Ciekawe też, co by na to wszystko powiedziała mama. Audrey, choć eleganckie kobiety widywała jedynie na ekscentrycznych ilustracjach w Tatlerze, zdawała sobie jednak sprawę, że inne eleganckie kobiety nie widziałyby w Fanny niczego nadzwyczajnego. Jim nie wspomniał o tej stronie ich gościa. Mimo to Audrey od razu rozpoznała ten typ i poczuła jeszcze większe zawstydzenie.

- Jestem pewna, że z ochotą napije się pani herbaty - to było wszystko, co zdołała powiedzieć na powitanie po tym, jak Fanny ucałowała ją z afektacją.

- Mogłabym być z powodzeniem pani matką - zaśmiała się Fanny usprawiedliwiając ten pocałunek.

Conderley uznał tę uwagę za niezbyt szczęśliwą.

- Może więc pójdziemy napić się herbaty? - Audrey nadal nie była w stanie wymyślić niczego innego, a ponieważ zbliża się podwieczorek, pomyślał zdenerwowany Conderley, wkrótce zacznie swoje zwykłe o tej porze gędzenie. Uświadomił sobie przy tym ze zgrozą, że ilekroć pojawiała się Fanny, czy to za pośrednictwem listu, czy w rozmowie, czy wreszcie we własnej osobie, natychmiast popadał w rozdrażnienie w stosunku do Audrey.

Żona wskazała drogę do holu, sama podążając skromnie z boku. Nagle poczuła się nie tylko nadzwyczaj młoda, co samo w sobie było przyjemne, ale obrzuciwszy błyskawicznym spojrzeniem strój Fanny, zrozumiała, że ona sama, Audrey, nie ma pojęcia, jak się ubrać. Było to dla niej przygnębiające, gdyż dotychczas zawsze uważała, że nie ma z tym kłopotu; trzymała się zatem dyskretnie z boku, licząc że w ten sposób Fanny nie będzie się jej mogła tak od razu dokładnie przyjrzeć.

A przecież czym się w końcu ich ubiory różniły? zastanowiła się Audrey. Obie miały na sobie stroje spacerowe. Choć trudno było wskazać jakiegokolwiek różnice, to jednak były one różne - tak różne jak inne były ich twarze, myślała Audrey, która też natychmiast dostrzegła, że pod makijażem przybyłej, pomimo jej zapadłych policzków, kryją się wciąż jeszcze tak piękne rysy, jakimi ona sama nigdy się nie odznaczała. Audrey była zawsze co najwyżej miłym i świeżym stworzonkiem i miała tego świadomość; zawsze więc czuła do Jima głęboką wdzięczność za to, że był tak cudowny i zechciał się z nią ożenić. Wszystkie te różnice w strojach i fizjonomiach wytworzyły u Audrey poczucie tak silnego kompleksu niższości, że nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

Fanny była jednak osobą stworzoną do przełamywania nieśmiałości u innych. Sama całkowicie bezpretensjonalna, ponieważ nigdy nie miała żadnych kłopotów związanych z wrażeniem, jakie wywierała na otoczeniu, umiała się wczuć w czyjąś sytuację, co było zresztą jedną z jej najbardziej ujmujących zalet, a jednocześnie jednym z głównych niebezpieczeństw dla otoczenia, gdyż angażowała w to całe swoje serce. Z kimkolwiek rozmawiała, czyniła to tak, jakby jej rozmówca był jedyną osobą, z którą w tej właśnie chwili miała ochotę przebywać. Wystarczyło więc, by Audrey zajęła się herbatą - a Fanny, która jak każda kobieta, natychmiast wyczuła skrepowanie, wzięła na siebie całą resztę aż do chwili, gdy jej mała gospodyni odzyska równowagę. Była ciekawa, czy Jim uznał za stosowne opowiedzieć o niej swej żonie. Jeśli tak, to tym szybciej należy nawiązać z nią przyjazny kontakt. W każdym razie wywarła na niej wrażenie subtelność skromnego pierwiosnka, jaką wyczuwała w Audrey, a ponieważ nigdy w życiu nie była ani zazdrosna, ani zaborcza i zawsze pragnęła, by wszyscy, których kiedykolwiek kochała, znali się wzajemnie i byli między sobą szczęśliwi - odczuła zadowolenie z tego, że biedny Jim znalazł taką cichą zatokę i w niej zacumował.

*I tak przez lata ich nikła łódeczka w przystani się cichej kołysze...*

- Wiesz - zwróciła się do Jima, który siedział w milczeniu obejmując filiżankę kościstymi palcami, jak gdyby chciał je w ten sposób ogrzać. - Od chwili, kiedy cię ujrzałam, zaczęłam myśleć o czymś tak pięknym jak poezja.

- Doprawdy, Fanny? - odparł rumieniąc się. - Jakie to miłe z twojej strony.



- A widząc ciebie i Audrey tak bardzo bezpiecznych i szczęśliwych razem - rumiane policzki Audrey, ku zachwytowi Fanny, zaróżowiły się jeszcze bardziej
- przypominałam sobie coś, co lubiłeś cytować...
- To on już wtedy cytował? - zdawało się, że Audrey na chwilę wyjrzała zza kurtyny swej nieśmiałości.
- Jestem przekonana, że on przyszedł na ten świat z cytatem na ustach - uśmiechnęła się Fanny, sięgając w kierunku kanapek i biorąc jedną z nich; jak to dobrze, że nie trzeba się kłopotać częstowaniem, pomyślała Audrey. - Ale patrząc na was, pomyślałam o łódzkiej i zatoce, to chyba Wordsworth? - Fanny uśmiechnęła się wewnętrznie z poczuciem zgorszenia, kiedy teraz, znów w obecności Jima, przypominała sobie obrazoburcze określenie, jakim Edward obdarzył wielkiego poetę. „Rybia Gęba”. Okropne. Stara Rybia Gęba. Jednak nawet teraz miała chęć zachichotać. Układna Fanny wiedziała, że wystarczy tylko napomknąć o poezji, aby sprawić Jimowi radość, oczywiście zakładając, że jego biedny kochany umysł nie opustoszał tak jak jego biedna kochana głowa. Najwyraźniej jednak tak nie było, gdyż odstawwszy pielęgnowaną dotąd filiżankę, Jim po raz pierwszy wyraźnie się ożywił: wstał i wyszedł z pokoju, by natychmiast do niego wrócić - Bogu dzięki, odetchnęła Audrey zatrwożona jego postępowaniem
- z opasłym tomem w rękach.
- To tu - powiedział, wskazując palcem właściwe miejsce. Jego bezbarwny palec o gruzłowatych stawach drżał.
- Przeczytaj to głośno - zaproponowała Fanny, zapalając papierosa. To świetnie, pomyślała Audrey, że nie trzeba się o nic martwić.

Fanny usiadła wygodniej w swoim krześle. Audrey odprężyła się już na tyle, że pozwoliła sobie na to samo. Jim miał przyjemny głos i czytał dobrze. Takie czytanie na głos to prawdziwa deska ratunku, pomyślała Fanny. Słuchający nie musi wypowiadać ani słowa, nie ma też potrzeby wysilania swego wyczerpanego i udreżonego umysłu, który w tym czasie może sobie gdzieś leniwie błędzić. Pod tym względem głośne czytanie jest o wiele korzystniejsze niż szachy, zdecydowała Fanny, ponieważ ta gra nie tylko wymaga umysłowego skupienia, ale w porównaniu z czytaniem zmusza tymi swoimi „szachami” i „matami” niemal do gadatliwości. Grać w szachy nauczył ją Perry, to znaczy sir Peregrine Lanks, Radca Jej Królewskiej Mości, który nastał po Edwardzie, a skończył jako pełen wyrozumiałości zmęczony cierpiętnik; nalegał na to, gdyż nie interesował go ten inny sposób, po jaki sięgają ci, którzy przestali mieć sobie cokolwiek do powiedzenia; ona zaś, mimo że niechętnie, nauczyła się tej gry, ponieważ po pierwszym tygodniu jego nabożnego uwielbienia zaczęła podejrzewać, że Perry choć ją jeszcze ciągle namiętnie adoruje, to jednak jednocześnie widzi w niej zwykłą gęś. Jeśliby więc grała dobrze w szachy, które są niewątpliwie grą dla osób inteligentnych, może by uznał, że i ona wyposażona jest w mózg. Udała się zatem w tajemnicy do szachowego specjalisty, pewnego Rosjanina, którego wynalazła jej sekretarka, i zaczęła pobierać lekcje. Każdego wolnego ranka chodziła tam w towarzystwie Manby i po pewnym czasie Lanks zdumiał się jej postęпами. Stwierdził, że chyba poczyniła je instynktownie. Był rzeczywiście podniecony, gdyż z podobnymi uzdolnieniami zetknął się po raz pierwszy. „Nie ma rzeczy, której nie potrafiłabyś zrobić, moja ty cudowna Fan-

ny", zawołał pewnego dnia oczarowany ruchem, którym się jej udało uszczknąć mu królową. Następnie szachowy mistrz zaczął jej pomagać w przesuwaniu figur królewskich, kładąc na jej rękach swoje dłonie, a za każdym razem, kiedy dawał jej mata, a zdarzało się to nierzadko, zaczynał pogruchiwać, „Maaat” gulgotał raczej, niż mówił, spoglądając na nią maślanym wzrokiem. „Ach, maaat” tokował znowu i wzdychał, podczas gdy Manby

- dystygowana i skromna - siedziała w swym kącie, udając, że przegląda rosyjską prasę.

Porzuciła więc lekcje, kładąc kres postępom w grze, a Lanks coraz bardziej zniecierpliwiony i zaskoczony, wrócił do swej pierwotnej teorii na jej temat.

Fanny wspominała to wszystko leniwie, jednocześnie słuchając, choć się weń nie wsłuchując, przyjemnego głosu Jima. Nie patrzyła na niego, mimo że teraz, gdy miał wzrok przykuty do tekstu, mogła to robić bez skrepowania. Byłoby chyba niemal nieprzyzwoitością przyglądać się komuś, kto ma swój wiek tak jawnie wypisany na twarzy. Woląла posłuchać jego głosu, który podobnie jak charakter pisma, wciąż jeszcze się nie zmienił. Na kominku ogień buchał i trzaskał, w pokoju pachniały wiosenne kwiaty, a z ogrodu, gdzie w zapadającym zmierzchu śpiewały drozdy, doleciał tupot przebiegających rozszczebiotanych i roześmianych dzieci, zaś ze sposobu, w jaki Audrey poderwała się z krzesła i zaraz ponownie usiadła, a także z szybkiej zmiany wyrazu jej twarzy - z pełnej uszanowania uwagi na uczucie prawdziwego zainteresowania - Fanny wyczytała, że muszą to być ich dzieci.

Czy naprawdę dobrze zrobiła tu przyjeżdżając?

- pomyślała targana wątpliwościami, czując, że traci

odwagę. Czy rzeczywiście może jej to w czymkolwiek pomóc, jeśli zobaczy, jak szczęśliwi są inni, jak świetnie - można by powiedzieć - przygotowani do wejścia w noc? W tę noc, która dla Jima nie jest już tak bardzo odległa; w tę noc, o której i ona, od czasu swej choroby, zaczęła poważnie rozmyślać. Teraz jednak, kiedy u jego boku czuwała oddana żona, Jim nie miał najmniejszych powodów, by się tym martwić.

Gdy przyjdzie kolej na nią, Fanny będzie musiała liczyć na swoją Manby.

Dopiero wieczorem, po obiedzie, zostali przez kilka minut sami. Audrey poszła ucałować leżące w łóżkach dzieci, co było sumiennie przestrzeganą ceremonią, i Fanny z Conderleyem po raz pierwszy znaleźli się w sytuacji sam na sam.

Natychmiast oboje poczuli się nieswojo. Czyżby właśnie wzajemne skrępowanie było oznaką kresu przyjaźni? - pomyślała Fanny. Nie powinno, nie może. To by był zupełny nonsens. Prawdziwy kłopot polegał jednak na tym, że nie mogła uwierzyć, iż z tym dziwacznym staruszkiem, który właśnie nabijał fajkę wspierając się omdlewająco o gzyms kominka, pozostawała kiedyś w tak zażyłych stosunkach.

- Czy fajka nie będzie ci przeszkadzać?

- Wiesz, że nie będzie - odparła; lubiła ten zapach, nigdy więc nie miała do niego pretensji o fajkę. On jednak o tym nie wiedział. Zapomniał już takich szczegółów. Pamiętał jedynie o swoich cierpieniach. Fanny natomiast zachowała w pamięci wszystkie drobiazgi, zresztą w jej wypadku ich romans nie wiązał się z żadną udreką.

A jednak jej głos nie zmienił się ani trochę, pomyślał Conderley. Jeśli na nią nie patrzył, miał wrażenie,

że oto znów jego utracona Fanny siedzi tu obok niego na niskim krześle przy małym stoliku, na którym stoi bukiet fiołków; przy stoliku Audrey i przy jej fiołkach. Ale tylko wtedy, kiedy na nią nie patrzył, kiedy nie patrzył na swoją Fanny. Lepiej więc będzie, jeśli na nią spojrzy. Słuchanie z przymkniętymi powiekami tego drogiego..., kiedyś drogiego głosu, nie jest ani taktowne, ani w żaden sposób dla niego korzystne.

To bzdura - mówiła tymczasem do siebie w duchu Fanny - żeby dwoje tak starych przyjaciół czuło wobec siebie zażenowanie. Przynajmniej ja zamierzam zachowywać się naturalnie. - I na początek rzekła:

- Powiedz mi, Jim, czy ja się bardzo zmieniłam? Drgnął tak silnie, że upuścił woreczek z tytoniem.
- Czy się zmieniłaś? W jakim sensie? - zapytał mozolnie podnosząc go z podłogi. Już od dłuższego czasu podnoszenie czegokolwiek przychodziło mu z trudnością.
- Dobrze wiesz, w jakim sensie. Proszę, bądź szczerzy i powiedz, czy *bardzo*? - mówiła dalej, przewyciężając udzielając się jej od niego zażenowanie i usilnie próbując być z nim doskonale nieskrępowana i pogodna. - Nie masz pojęcia, jak trudno jest spojrzeć na siebie samą oczami innych ludzi. Patrząc zbyt często na swoją twarz w lustrze, człowiek się do niej przyzwyczaja. Gdybym mogła na nią spoglądać tylko sporadycznie...
- No cóż, nie zapominaj, że kiedy ja... kiedy się przyjaźniliśmy, ty byłaś młodą dziewczyną - powiedział. - Od tego czasu oczywiście wyrosłaś.
- George Pontyfridd powiedział mi onegdaj, że jeszcze nie zdażyłam wyrosnąć, a przynajmniej że trwa to u mnie bardzo długo. Nie miał jednak na

myśli strony fizycznej. Początkowo myślałam, że chodzi mu właśnie o to, ale po zastanowieniu się, zrozumiałam, że mówił o moim umyśle, wyobraźni, zdolności rozumienia ludzi albo czymś w tym rodzaju.

- Kobiety zdają się zachowywać w sobie pewne typowo dziecięce cechy... - zaczął sentencjonalnie Conderley, mając nadzieję na rychły powrót Audrey.

- Chcesz powiedzieć, że pozostają idiotkami - uśmiechnęła się Fanny. A ponieważ zamiast odpowiedzieć, jedynie potrząsnął przecząco głową, dodała - Gdybym to powiedziała Perry'emu...

- Któż to taki?

- Peregrine Lanks, przecież wiesz.

Conderley przytaknął ponuro. Rzeczywiście wiedział. Wiedział, że po tym całym Montmorencym... zresztą jakież to ma teraz znaczenie?

- Gdybym więc powiedziała Perry'emu - podjęła na nowo - że kobiety pozostają idiotkami, odparłby, że mu to wyjęłam z ust. Ty jednak jesteś uprzejmiejszy, Jim, i... - tu miała już dodać „masz słabszy refleks”, ale się pohamowała.

- Lanks zrobił piękną karierę - zauważył Conderley zapalając fajkę i czyniąc rozpaczliwe wysiłki, aby uciec od tematów osobistych. - Odmówił przyjęcia stanowiska ministra spraw wewnętrznych, gdyż nie chciał się wyrzec ogromnej fortuny, jaką zbijał na adwokaturze.

- Wiem o tym. To wspaniałe, ale czy mamy' zamiar o nim rozmawiać? Za chwilę zaczniesz mówić o Hitlerze.

- A dlaczego by nie? Jest to teraz przecież tak przerażająca postać.

- Och, mój drogi Jimie, a więc nawet i ty. Ta cała europejska sytuacja - westchnęła Fanny. - No dobrze,

niech będzie. - Również i ona zapragnęła powrotu Audrey.

- Ale chyba nie ma wątpliwości, że jest to temat wysoce interesujący w sytuacji, gdy... - zaczął Conderley dłubiąc coś przy fajce, która nie chciała ciągnąć.

- No więc czy *uważasz*, że się zmieniłam? - rzuciła szybko Fanny.

Popatrzył na nią przez chwilę, nie widząc związku.

- Ależ Fanny, zmiłuj się - zaczął prosząco i dodał.

- Przecież ja chyba też się zmieniłem.

- Ci mężczyźni. A zawsze mi mówiłeś, że...

- Fanny, proszę cię - znów uderzył w błagalny ton.

- A jednak to prawda - ciągnęła nieubłaganie.

- Otóż kiedy ci zarzucałam, że interesujesz się mną tylko dla mojej urody, ty zawsze odpowiadałeś, że kochasz moją duszę. Czy rzeczywiście tak było? Pytam, ponieważ niezależnie od tego, jak wyglądam na zewnątrz, w środku mam ciągle dokładnie taką samą duszę.

- Może nie powinniśmy sobie wzajemnie przypominać naszych dawnych wypowiedzi? - zaproponował pełen niepokoju.

- Nie sądzę, żebym to *ja* szczególnie wiele mówiła.

- Może dlatego, że niewiele odczuwałaś.

- Och, Jim! Ja, która byłam tak bardzo do ciebie przez całe lata przywiązana - zaprotestowała Fanny.

- Czy mam ci powiedzieć, co naprawdę o tym myślę? - zapytał Conderley, gorąco pragnąc skierować tę rozmowę na zupełnie inne tory.

- Tak, chcę tego - odparła zbierając się w sobie.

- Otóż uważam, że jesteś, byłaś i zawsze będziesz najbardziej czarującą kobietą na świecie –  
powiedzia-

wszy to złożył najuroczystszy, dworski, godny Buckingham i Windsoru ukłon.

Fanny opadła z powrotem na poduszki. Ta deklaracja wraz z ukłonem oddaliła ich od siebie o całe wieki, o całe kontynenty.

- To zabrzmiało strasznie nieszczerze - rzekła w końcu ponuro. - Nie sądziłam, że teraz jesteśmy już tylko dwojgiem znajomych.

- Zanim się wdamy w szczegóły - powiedział spoglądając na nią - ustalmy, co rozumiesz przez znajomych.

Musi się jej koniecznie przyjrzeć. Podszedł więc do kontaktów i zapalił więcej świateł, zapalił je wszystkie, zalewając pokój blaskiem. Gdyby jej nie zobaczył, poprzestając jedynie na słuchaniu głosu, sprawiłoby mu to ból. Conderley nie spodziewał się, że jest jeszcze zdolny do odczuwania bolesnej tęsknoty nawet za niedolami swych młodszych lat. Głos Fanny zawsze jednak ścisnął go za serce, i głos ten, niestety, był wciąż taki sam. Trzeba się więc jej przyjrzeć - przyjrzeć i doznać wstrząsu. Lepszy jest dla żonatego mężczyzny szok niż bolesne cierpienie. I dlaczego, u licha, nie wraca ta Audrey?

- Ot, po prostu. Znajomych - odpowiedziała apatycznie. - Prawiących sobie komplementy.

Wygłaszających zgrabne mówki. A więc czyniących to wszystko, co jest początkiem znajomości. Nie wiedziałam jednak, że tak samo wygląda jej koniec.

- Proszę cię, Fanny - znów uciekł się do prośby. Zamilkli oboje i z utęsknieniem czekali na powrót Audrey.

\*

Kiedy wreszcie nadeszła i otworzyła drzwi pokoju, zdziwiło ją jaskrawe światło, a panująca cisza nasunęła podejrzenie, że nie ma tam nikogo. Kiedy ich



wreszcie dostrzegła, zagłębionych w przepastnych fotelach i milczących, nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

Jednak jej widok sprawił im wyraźną przyjemność. Fanny wyprostowała się z werwą, czule uśmiechnęła i zapytała o dzieci. Jim pracowicie przysunął jej fotel, podał poduszkę, wreszcie przyniósł przybory do robienia na drutach.

Audrey była tym niezwykle zaskoczona. Przecież zazwyczaj to ona krzątała się wokół wszystkich, a nie odwrotnie, i zresztą słusznie - pomyślała bez wahania, nigdy bowiem nie miała wątpliwości co do wszelkich przewag, jakimi Jim nad nią górował, i co do tego, że ożenek z nią był z jego strony aktem wielkiej łaski.

Przekonanie takie jest dla żony rzeczą pożyteczną i gwarantuje harmonię domowego ogniska.

Conderley - doskonale zorientowany w sytuacji, gdyż każdego dnia miał na to niezliczone dowody - uznał to rozumowanie za wzruszające i raczej trudne do wytłumaczenia, zważywszy dzielącą ich ogromną różnicę wieku oraz to że za dziesięć lat różnica ta znacznie się powiększy. Za dziesięć lat Conderley będzie trzęsącym się osiemdziesięciolatkiem, podczas gdy ona - ciągle jeszcze zaledwie po czterdziestce, a więc, jak sam doskonale pamiętał, w najbardziej aktywnym okresie życia. Wiedząc zatem, że Audrey wkrótce zrozumie, jak bardzo starego mężczyznę poślubiła, starał się być miły dla swego pocziwego małżeństwa dopóty, dopóki jeszcze w nim drzemia jakieś siły witalne; mając też świadomość, że w ciągu ostatnich kilku dni był podenerwowany i skłonny do arogancji, a wszystko to w jakiś sposób wiązało się z Fanny, w akcie skruchy podjął pewne symboliczne działania i przyniósł żonie robótkę na drutach.

- Czy dobrze się czujesz, Jim? - zapytała po chwili zaniepokojona. Przyniósł jej robótkę. Ale z drugiej strony ta cisza, którą zastała po powrocie...

- Doskonale, moja droga, a czemu pytasz?

- Pomyślałam, że... ach, nie wiem. Tak sobie tylko pomyślałam. - powiedziała Audrey i pochyliła głowę nad robótką, pogrążając się w swym zawstydzeniu.

\*

W niedzielę Conderleyowie poszli do kościoła. Fanny, jako Żydówka, została w domu.

- Ale przecież ona nie jest Żydówką - protestowała Audrey, choć jednocześnie poczuła raczej ulgę na myśl, że pastor nie obejrzy jej gościa.

- Jeśli chodzi o wyznanie, to jest - wyjaśnił krótko Conderley. - Nie miał chęci rozmawiać o Fanny w przeciwieństwie do Audrey, która na jej temat mogłaby mówić bez przerwy.

Poprzez przynależność religijną Fanny oczywiście wciąż jeszcze pozostawała Żydówką, ponieważ po rozwodzie z Jobem nie zadała sobie trudu, by powrócić do poprzedniego wyznania. Prawdę mówiąc, nie była zachwycona koniecznością zmiany wiary tylko w tym celu, by móc poślubić krezusa; kiedy jednak miała okazję powrotu do wyznania swych przodków, nie uczyniła tego. Jaki by miał płynąć pożytek z ponownego objęcia (chyba właściwe określenie?) wiary, której nigdy nie czuła specjalnie (chyba się dobrze wyraża) żywo? Jej wiara była bardzo nieskomplikowana, taka jaką może wyznawać osoba nieprzeciętnie bogata. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga - odpowiedziałaby Fanny, gdyby ktoś usilnie ją prosił o jakąś religijną deklarację.

Conderley, pilnie przestrzegający obrządku swego Kościoła, nawet w chwilach największego zadurzenia podejrzewał ją, że tak naprawdę jest poganką; a Perry

Lanks był przekonany, o czym jej zresztą powiedział, że jest po prostu nieodpowiedzialną hedonistką.

Do ich opinii nie przywiązywała najmniejszej wagi

- bawiły ją tylko. W tamtych czasach zbyt była zajęta i swą wspaniałą urodą, żeby się wdawać w jakieś głębsze rozmyślania. Życie gnało ją z zapierającą dech szybkością od emocji do emocji; największą z nich była wojna, podczas której Fanny pracowała we Francji.

- Byłabyś chodzącą doskonałością, gdybyś *cokolwiek* wiedziała albo przynajmniej potrafiła sobie wyobrazić - powiedział do niej pewnego dnia Perry Lanks, gdy już mu dokuczyła jej jałowa umysłowość.

- Nie mam czasu.

- Dobrze sobie! Masz do dyspozycji cały czas, jaki istnieje, tak samo jak my wszyscy. Kłopot polega jednak na tym, moja Fanny, że ty nie masz o niczym pojęcia i *niczego* nie jesteś sobie w stanie wyobrazić.

- Więc mnie naucz.

- Nie potrafię, ponieważ ty nawet nie podejrzewasz, że istnieje coś, czego się warto dowiedzieć. Jeśli zaś chodzi o wyobraźnię...

Tu wznosił ręce do nieba.

Tak więc przez sześć dni tygodnia Fanny pracowała, wykonując wszystkie zaplanowane czynności, i ani przez chwilę nie myśląc o swym religijnym statusie, o którym przypominała sobie dopiero siódmego dnia, by móc dłużej porozkoszować się łóżkiem. Nie dla niej taka wyprawa pod skrzydłami gospodyni delikatnie uciszającej swych podopiecznych, gdy całym stadkiem podążali w kierunku stałej rodzinnej ławki w zmurszałym wiejskim kościółku. Mogła sobie przyjemnie pomitrzeć w swej sypialni aż do pory lunchu; mogłaby też, gdyby na jakimś wczorajszym przyjęciu spotkała kogoś szczególnie

interesującego, umówić się z nim na spenetrowanie ogrodu i cieplarni, mimo że po południu miała je zwiedzać w towarzystwie gospodarza - ale z drugiej jednak strony, powiedziała sobie, decydując się radośnie na tę pierwszą ewentualność, nie można mieć wszystkiego naraz.

Tym razem jednak, po raz pierwszy w jej życiu podczas wiejskiego weekendu nie było żadnego przyjęcia i z tego, co zdążyła wywnioskować, u Conder-leyów takie wieczorki nie odbywały się nigdy. Przypuszczała, że gdyby poślubiła Conderleya - jakże często stare ekstrawaganckie biedaczysko Jim ją o to błagał - ten piękny dom wybudowany za panowania Williama i Mary trząsłby się od przyjęć, dla których Fanny zdawała się być w tamtych czasach magnesem. Gdziekolwiek się pojawiała, tam zawsze organizowano jakiś wieczorek. O ileż lepszym wyjściem dla Jima był ożenek z Audrey, jak nieskończenie szczęśliwszy był on dostając zamiast niej - Audrey, tę miłą, gładką żonkę o tyle od niego młodszą, a jednak gotową wieść tryb życia odpowiedni dla człowieka o tyle od niej starszego. Zresztą i Audrey mogła mówić o szczęściu, gdyż związek ten uchronił ją od małżeństwa z jakimś pastorem. Wszystko wokół Audrey kojarzyło się Fanny z kościelną ławką. Mogła ją sobie wyobrazić, jak w niej siedzi pogrążona w modlitwie u stóp kazalnicy. Poza tym namiętność, Fanny wiedziała o tym dobrze, jest zdecydowanie złym fundamentem dla instytucji małżeństwa. Jim jako jej mąż byłby kłębkim nerwów - nieznośnie zazdrosny i podejrzliwy.

Nie, najlepiej jest jednak dla niej pozostać samotną. Fanny była zadowolona, że nie poślubiła żadnego z nich. Oznaczało to jednak zbliżającą się samotność i coraz większe trudności w jej znoszeniu. Pomyślała,

że może by warto nawiązać kontakt z postarzałymi kobietami, by się od nich dowiedzieć, jak sobie radzą, według terminologii George'a, w końcówce życia; jednak na wspomnienie innych starych kobiet Fanny przepełniło obrzydzenie. Poza tym zetknęła się przed tygodniem z jedną z nich w Oksfordzie i po prostu dostała po łapach.

Tak czy inaczej miała wspaniałe życie. Pomyślała o tym starając się być wdzięczna losowi. Teraz jednak przyszedł czas zapłaty. Rachunki zaczną przychodzić po pięćdziesiątce. Jakże jednak trudno jest w tej nijakiej terażniejszości czuć wdzięczność za najbarwniejszą, najbardziej zachwycającą przeszłość. To mniej więcej tak, jak gdyby głodny próbował zaspokajać łaknienie, wspominając wszystkie dania, jakie kiedyś jadł. I tej właśnie niedzieli w Upswich, Fanny, która w piękne poranki wpadała zazwyczaj w doskonały nastrój, stwierdziła zaskoczona i niemal tym urażona, że obraz raz na zawsze spożytych dań wprowadził ją w głębokie przygnębienie.

Wyjdzie na dwór, by pospacerować w promieniach słońca. Będzie rozsądna i otrząśnie się z tej melancholii, a jeśli nie, to przynajmniej znajdzie radość w tym, że jako kobieta z nikim nie związana może spokojnie popadać w melancholię, kiedy tylko zechce, bez wciągania w swoje złe humory męża i dzieci, osób bezradnych i pozbawionych możliwości ucieczki i narażonych na cierpienia, gdy ich matka i żona popada w przygnębienie. Tak, pójdzie na szybki spacer i obmyśli, co powie Jimowi, kiedy ponownie znajdzie się z nim sam na sam, a podjęła decyzję, że do tego doprowadzi. Ich wczorajsza wieczorna rozmowa była żalсна; w tej następnej, dzisiejszej, Fanny postanowiła być rzeczywiście naturalna, rozsądna i przyjazna. Łaknęła rady prawdziwego przyjaciela.

Któż zaś mógł bardziej się do tego nadawać niż jeden z jej najstarszych i przez trzy lata z pewnością jeden z najdroższych przyjaciół?

Kiedy więc oceniła, że modły Conderleyów osiągają punkt szczytowy, kazała sobie przynieść ciepłe buty oraz czapkę z dzianiny i ruszyła poprzez krokusy, aby obejrzeć ogrody i park, które od wielu lat, gdyby tylko tak zdecydowała, mogły należeć do niej; a wędrując przez angielską wieś w promieniach łagodnego lutowego słońca, w wyjątkowo spokojny niedzielny poranek, poczuła się lepiej, ponieważ wciąż jeszcze potrafiła być szczęśliwa. Fanny miała zdolność szybkiego odzyskiwania dobrego nastroju i żeby się załamać, musiałaby otrzymać wiele kolejnych ciosów. Na razie jeszcze czegoś podobnego nie doświadczyła; być może ów dzień spędzony w Oksfordzie miał już pewien posmak czekających ją klęsk. Na lunchu pojawiła się więc wzmocniona psychicznie, pogodna i zadowolona, że dzieci których dotychczas jeszcze nie widziała, również uczestniczą w posiłku.

Dzieci były dość brzydkie i niezwykle żywe. Fanny zastanowiła się, jakie miałyby twarze, gdyby to ona była ich matką. Patrząc na nie oraz na pełną zadowolenia minę Audrey, która przypominała mruczącą kotkę, i na nie ukrywaną dumę Jima z syna, Fanny pomyślała sobie, że właśnie dzieci są prawdziwą, trwałą podstawą i gwarancją szczęścia w małżeństwie. Dlatego do instytucji małżeństwa należy podchodzić w duchu zalecanym przez książeczkę do nabożeństwa, nie lekko i swawolnie, lecz z głębokim szacunkiem, dyskrecją, rozsądkiem, trzeźwością i bogobojuścią, a więc zupełnie inaczej niż do przygód romansowych.

Fanny stwierdziła, że mali Conderleyowie nie byli wychowywani w atmosferze zastraszenia, siedząca bowiem obok niej mała Audrey głośnym, wspieranym

żywą gestykulacją szeptem zapytała ojca, czy nie uważa on, że ta cudna pani jest najpiękniejszą damą, jaką kiedykolwiek widział; mała Joan natomiast zupełnie bez związku, a przynajmniej Fanny, wciąż jeszcze w czapeczce z dzianiny na głowie, żywiła nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z nią, otóż mała Joan z wielkim animuszem zachęciła ją do podania różnicy między młodą dziewczyną a starą kobietą i wyjaśniła triumfalnie...

- Ależ wiem, znam to jeszcze z dzieciństwa - próbowała przerwać Fanny.

...wyjaśniła triumfalnie, nie dając się zbić z tropu, że ta pierwsza nawet bez czepka jest wesoła i beztroska, a druga choćby i w czepku - stroskana i bez włoska. Tu mały Jim, chwytając aluzję, wycelował łyżką w głowę Fanny i wrzasnął „W czepku!”, na co jego siostry wybuchnęły śmiechem, a ośmielony tym chłopiec znów mierzając do niej łyżką, zawył: „Żółte włosy jak krokusy!”, po czym śmiejąc się najgłośniej ze wszystkich, zaczął energicznie podskakiwać na swym krześle.

- Uważam, moja droga - Conderley zwrócił się łagodnie do żony, kiedy już mógł być usłyszany - że chyba naszym dzieciom zostawiamy trochę za wiele swobody.

- To wskutek bytności w kościele - wyjaśniła zakłopotana choć dumna Audrey, bo czyż dzieci nie wykazują wielkiej inteligencji, głośno wyrażając to, co biskup i jej matka pomyśleliby w duchu, gdyby tu teraz byli?

Fanny była ubawiona tym wyjaśnieniem. To doprawdy paradne, jeśli z kościoła wychodzi się w tak pełnym furii nastroju. Nagle oczami wyobraźni ujrzała pochód, na którego czele posuwali się wykonujący akrobatyczne „gwiazdy” kościelni, za nimi kroczyli stawiając wysoko nogi wikariusze, za którymi podążał

upojony modłami tłum parafian. Ponieważ nigdy w życiu nie miała powodu lękać się osobistych przytyków, Fanny przyjęła te dziecięce uwagi jako komplementy, choć wolałaby, żeby to nie miało nic wspólnego z jej włosami. Od czasu choroby była na ich punkcie bardzo wrażliwa; nie miała też pewności, czy Antoine właściwie dobrał odcień. Co prawda *powiedział*, że jest to kolor naturalny i jeśli tak nawet było, to zdaje się, że nie harmonizował on już tak świetnie z jej twarzą jak kiedyś. Z całą pewnością Antoine popełnił poważny błąd, jeśli widok jej włosów małemu Jimowi skojarzył się z żółtymi krokusami rosnącymi na trawniku przed domem. W poniedziałek, zaraz po powrocie, będzie musiała odwiedzić swego fryzjera.

- Przypuszczam, że będzie pani chciała trochę odpocząć w swoim pokoju - powiedziała Audrey, gdy już wypili kawę, a piastunka zabrała od nich dzieci. Jej onieśmienie nieco już osłabło. W obecności Fanny trudno jednak było zbyt długo trwać w zawstydzeniu.

- W niedziele mam zwyczaj - powiedziała rumieniąc się Audrey - czytać dzieciom przez godzinę po lunchu.

- Czy ma to na nie taki sam wpływ jak kościół?

- zapytała z nadzieją w głosie Fanny. - Bo jeśli tak, to proszę i mnie pozwolić posłuchać.

- Obawiam się, że dzieci nie były dzisiaj zbyt grzeczne - rzekła przepraszająco Audrey.

- Myślę, że trzeba im poświęcić więcej uwagi

- dodał łagodnie Conderley.

- Próbuję — powiedziała Audrey, a pełen pokory i prostoty sposób, w jaki to wyraziła, sprawił, że Fanny szybko się poderwała z miejsca, by ją pocałować.

- Moja kochana - rzekła.

Na twarzy Audrey pojawił się rumieniec o najgłębszym odcieniu jej różowości. Choć Fanny tak bardzo się jej podobała, to jednak w tym zwrocie Audrey



wyczuła pewną niestosowność. Jest on co prawda używany także i w jej rodzinie, ale po to, by wyrazić uczucie. Również ona z Jimem, niewątpliwie kochając się wzajemnie, tak jak dwoje ludzi powinno się kochać, zwracają się do siebie w ten sposób, a raz mąż nazwał ją „najukochańszą”, mianowicie wtedy, gdy powiła mu małego Jima, ale była to oczywiście wyjątkowa sytuacja. Tak więc, pomimo że Audrey było przyjemnie usłyszeć to z ust Fanny, jednocześnie poczuła się nieswojo, bo czy ktoś niemal zupełnie obcy powinien używać tak dobitnego określenia?

To zaś, o czym myślał Conderley, który nabijając fajkę, przyglądał się w milczeniu, zupełnie nie nadawało się do uzewnętrznienia. Jedną z jego myśli prawdopodobnie skupiała się na pocieszającym fakcie, że nazajutrz miał być poniedziałek, inna mówiła mu, że starość ma swoje niewątpliwe zalety. Oto za kilka lat nie będzie już odczuwał jakichkolwiek potrzeb. Jeśli jest to stan przypominający śmierć - to trudno, myślał Conderley upychając tytoń kciukiem, ale za to jaki spokój.

Do spokoju jednak było jeszcze bardzo daleko, ponieważ nadeszła właśnie chwila, o czym Conderley doskonale wiedział, kiedy gospodarz proponuje mały spacer i oprowadza swego gościa po cieplarniach. Fanny puściła mimo uszu zachętę do odpoczynku w pokoju na górze, nie pozostało więc nic innego, niż zaproponować tę wycieczkę.

Conderley miał wielką nadzieję, że Fanny odmówi. Wczorajsza dziesięciominutowa rozmowa po obiedzie była dla nich obojga tak przygnębiająca, że chyba niemożliwe, by Fanny pragnęła jej powtórzenia w większym wymiarze. Gdyby poszła grzecznie na górę i nie pokazywała się aż do podwieczorku, wówczas trzy czwarte wizyty miałyby już bezpiecznie za sobą, a on obmyślił już plan uniknięcia tych kolej-

nych dziesięciu minut sam na sam, jakie groziły po kolacji. Pomysł był prosty: Otóż wszyscy pójdą ucałować leżące w łóżeczkach dzieci.

Jednak Fanny nie odmówiła. Conderley uznał, że to Audrey jest temu winna.

- Fanny, czy masz ochotę obejrzeć cieplarnię? - chcąc nie chcąc zapytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, Audrey zawołała z entuzjazmem, który był zupełnie nie na miejscu.

- Ależ tak, Jim, idźcie tam. To wypełni czas do podwieczorku.

W obliczu tej gorliwości w dysponowaniu jej osobą Fanny musiała pójść, nawet jeśli pierwotnie nie miała takiego zamiaru. Ale ona tego właśnie pragnęła od początku i teraz - odpowiednio obuta i ubrana, uzbrojona w laskę, nie jakąś hebanową, o rączce z kości słoniowej i obitą na końcu gumą laseczkę, która na nią czeka w przyszłości, ale w solidną okutą metalem laskę - wyruszyła z Conderleyem w zwyczajową trasę, zaś obserwująca ich z okna Audrey stwierdziła, że Jim zaczyna się coraz bardziej garbić, natomiast Fanny, jak na swój wiek, zachowała doprawdy świetną sylwetkę. „Z tyłu wygląda doskonale” pomyślała Audrey, która czy to z przodu, czy z tyłu zawsze była tylko baryłkowata.

- Może zabierzemy psy? - zapytał Conderley, kiedy mijali stajnie. Uznał, że jeden lub dwa psy mogą się przydać do wypełniania przerw w rozmowie albo do zmiany jej tematu, jeśli zacznie być trudna do zniesienia.

Fanny odrzekła, że lubi psy i Conderley zwabił je gwizdem.

- Do nogi, Emily, do nogi, Spunks, staruchu - zawołał, wabiąc dwa foksteriery, prawdziwe ozdoby swojej rasy.

Zaczęły go obskakiwać. - Siad, siad - bezskutecznie uspokajał je Conderley.

Fanny poklepała je po łbach i nie cofnęła się, gdy zaczęły wskakiwać również na nią, brudząc jej płaszcz, ponieważ nigdy się nie przejmowała szkodami, których usuwanie należało do obowiązków Man-by; a po nawoływaniach i połajankach ze strony Conderley a, po straszliwym harmi derze czynionym przez psy, kiedy się wreszcie od nich uwolniła, tak że mogli już ruszyć na spacer, podczas gdy zwierzaki biegały, robiąc wokół nich jedno ogromne, wspaniałe koło za drugim - Fanny zauważyła:

- One są właśnie tym, czego nam trzeba.

- Kto? - spytał Conderley, tracąc dech po tych wszystkich utarczkach.

- Emily i Spunks, o ile dobrze pamiętam? Jeśli nie będziemy wiedzieli, o czym dalej mówić, zaczniemy gwizdać na psy i rzucać im komendy.

- Ale my wiemy, o czym dalej mówić - odparł zaniepokojony jej przenikliwością. Fanny zachowywała się zresztą w ogóle wyjątkowo deprymująco. Najlepszym tego przykładem było wczorajsze niezręczne dziesięciominutowe sam na sam w bibliotece. Nie powinna tu była, oczywiście, przyjeżdżać. On, oczywiście, powinien był temu zapobiec. Jeśli już jednak przyjechała, jeśli już temu nie zapobiegł, to widząc, jak trudna jest sytuacja, mogłaby dołożyć starań i nie przekraczać granicy przyzwoitości. Gdzie przebiegała ta granica, tego zbyt dokładnie nie wiedział i nawet nie był w stanie teraz się nad tym zastanawiać, ponieważ musiał gwizdem przywoływać psy, które rzuciły się w beładny pościg za kotem.

Conderley uwielbiał koty. Nie mógł doprawdy pozwolić, by te psy...

- Spunks! Emily! - krzyczał zdyszany między

energicznymi gwizdnięciami, przyspieszając kroku niemal aż do biegu, który mu, jak sądziła Fanny, na pewno nie służył. - Dobrze pieski! - wołał Conderley

- Dobrze pieski, do nogi. Nie bój się, biedny kiciusiu, już wszystko w porządku. No, dobre pieski!

Kot umknął na drzewo. Zdezorientowane psy, zupełnie obojętne na to, czy je ktoś uważa za dobre, czy nie, usiłowały na nie wskoczyć, wściekle przy tym ujadając.

- Może byłoby jednak lepiej zabrać je z powrotem do stajni - powiedział Conderley, z trudem łapiąc powietrze po kolejnych bezowocnych próbach zapanowania nad sytuacją.

- Chyba tak - powiedziała Fanny - i wyruszyć ponownie.

On jednak nie bardzo chciał rozstać się z psami. Dopóki im towarzyszyły, mógł na nie przynajmniej gwizdać, mógł też nawet puścić się za nimi w pościg.

- Tylko, że jeśli je zostawimy - dodała Fanny

- stracimy nasze przyzwoitki.

- Ależ moja droga... - zaczął Conderley.

Jej przenikliwość była naprawdę niepokojąca i tak jak u dziecka objawiała się w sposób nie zawołowany i zupełnie nieoczekiwane. Jak u dziecka - tyle że pięćdziesięcioletniego. Dziwne połączenie, pomyślał.

- Tu mamy - powiedział otwierając drzwi - ogród warzywny.

- Uroczy, cóż za obfitość urodzaju.

- A tu - Conderley poprowadził ją do szklarni

- trzymamy w chłodzie pierwiosnki.

- Urocze, jest ich cała masa.

- Ubóstwiam pierwiosnki - powiedział Conderley, pieszcząc delikatnie palcami ich płatki. - Czyż to nie rozkoszne małe kwiatuszki?

- O, tak. I bardzo mi przypominają Audrey.

- Też często o tym myślałem - odparł z zadowoleniem.
- Czy mogę tu zapalić? - zapytała wyjmując papierośnicę. - Nie zaszkodzi to pierwiosnkom? A tak przy okazji - mówiła dalej przypalając papierosa zapalniczką. - Nie zapytałeś mnie jeszcze, w jakim celu tu przyjechałam.
- Conderley był zadowolony, że nie musi jej przytrzymywać zapalanej zapałki. Ostatnio ręka trzęsła mu się już tak bardzo, że byłoby to dla nich obojga kłopotliwe, gdyż Fanny gotowa pomyśleć...
- Powiedziałaś mi przecież w liście - odparł - że pragniesz się zobaczyć ze starym przyjacielem i poznać jego żonę. Byłem bardzo wzruszony.
- Chodzi jednak o coś więcej.
- Rzeczywiście? - zapytał niespokojnie, rozejrzał się za psami i wyszedł ze szklarni. Psy natomiast w odległym kącie warzywnika wygrzebywały z ziemi selery, nie zwracając uwagi na jego gwizdanie.
- Tutaj zaś - powiedział wracając i czując na sobie lekko rozbawiony wzrok Fanny - tu natomiast - ciągnął w drodze ku kolejnym drzwiom - są nasze liliowce. Audrey lubi mieć ich duży zapas na Wielkanoc.
- Dla kościoła - rzekła Fanny nie ruszając się z miejsca.
- Tak, dla kościoła - zgodził się Conderley. - A nad nimi...
- Wiele ostatnio rozmyślałam - przerwała mu oparta o drzwi i nieciekawa ani liliowców, ani tego co się znajduje nad nimi.
- Doprawdy? - zapytał znów ogarnięty niepokojem, choć niezupełnie rozumiał dlaczego, bezskutecznie pogwizdując na psy.
- Tak, rozmyślałam zamknięta u Claridge'a.
- To raczej dziwne miejsce na rozmyślania w za-

mknięciu. Tam mamy nasze goździki - pełen nadziei podjął na nowo wskazując kolejne drzwi. -  
Zauważyłaś je może wczoraj na stole w jadalni.

- Nie szkodzi - Fanny zignorowała goździki. - Nie wychodziłam z pokoju i nie widziałam żywej duszy poza Martą. Pamiętasz Martę?

- Lady Tintagel? Oczywiście. To najbardziej czarująca z twoich kuzynek.

- Była akurat z mężem przejazdem w Londynie i spotkała Manby na ulicy.

- Cieszę się, że Manby jest ciągle przy tobie.

- Ach, więc ją pamiętasz. O fajce nie pamiętałeś.

- O fajce?

- Och, drobiazg - machnęła ręką, w której trzymała papierosa.

- Wyprowadziłaś się z Charles Street? - zapytał.

- Zauważyłem, że list jest z Claridge'a, ale pomyślałem sobie, że...

- Na Charles Street jest Job.

Wytrzeszczył na nią oczy. W pierwszej chwili nie wiedział, o kim ona mówi. O Jobie nie wspominała niemal od ćwierć wieku.

- Często go ostatnio widywałam - mówiła dalej, starając się sprawiać wrażenie jak najbardziej rzeczowej i obiektywnej. - Postanowiłam się więc stamtąd wynieść.

Conderley gapił się na nią, ściągając swe krzaczaste białe brwi. Zawsze były krzaczaste, a teraz jeszcze do tego pobielwały.

- Ależ Fanny, ja nie pojmuję - powiedział.

- Ja również - odparła krzywiąc się z lekka.

- I nie jestem w stanie wyrazić, jak strasznie nie lubię - zaczerpnęła powietrza - jak bardzo nie lubię być *pokonana*. Wiesz dobrze, Jimie, że nigdy jeszcze nie byłam *pokonana*. Wyobraź sobie rejteradę przed

własnymi głupimi nerwami i to z opuszczoną chorągiewką...

Załamana się. Zdumiony patrzył na nią w milczeniu. Cóż to za dziwna rozmowa? W swoim domu nigdy nie prowadził dziwnych rozmów; wszystko było tam tak uporządkowane, spójne i miłe jak te rzędy schludnych rozkosznych pierwiosnków.

- To byłoby upokarzające - powiedziała szukając w jego twarzy śladów człowieka będącego kiedyś jej bliskim przyjacielem, w nadziei, że jeśli go odnajdzie, może otrzymać od niego jakąś pociechę i wsparcie.

- Czy nie byłoby upokarzające - powtórzyła, a ponieważ on wciąż milczał, jej zmęczony głos wyraźnie przygasł - uciekać przed czymś, czego tam w rzeczywistości inie było?

Kiedy jednak Jim nadal stał i gapił się na nią w milczeniu, Fanny zaczęła się zastanawiać, że może i jego tu nie ma. Czy nie opowiada jakiemuś dziwaczному staruchowi o sprawach, które ludzie rozsądni zatrzymują jedynie do wiadomości swych lekarzy? W końcu wygląd o czymś świadczy. On zaś wyglądał inaczej, gdyż był inny. Rozpadł się i skamieniał, zmatowiał i spowolniał, pragnąc tylko jednego - uniknięcia kłopotów, pomyślała o nim krzywdząco. Była to oczywiście postawa najrozsądniejsza i Fanny niewątpliwie również kiedyś osiągnie ten stan.

Conderley jednak, mimo że wyglądał inaczej i rzeczywiście spowolniał, jednak nie stał się kimś innym. Wszystko, czego teraz potrzebował, to trochę więcej czasu na zorientowanie się, w czym rzecz. Nie znosił, gdy się mu gwałtownie próbowało wtłoczyć do głowy coś nowego. Wszystko przenikało do niej spokojnie i powoli.

- Masz na myśli Skeffingtona? - zapytał wreszcie.

- Tak, mam na myśli Skeffingtona - odparła.

- Może tego nie pamiętasz, ale był kiedyś moim mężem - dokończyła, nie będąc przez chwilę w stanie uniknąć pewnej zgryźliwości.

- Ależ moja droga, powiedziałaś, że go tam w rzeczywistości nie było.

- Wiem. To idiotyczne, prawda? Czysty wytwór mojej wyobraźni. Nie masz jednak pojęcia, jak naprawdę męczące jest... - jej oczy wypełniły się łzami upokorzenia, bezradości, udręki i aby je przed nim ukryć, udała, że się pochyła nad pierwiosnkami.

Conderley zatroskał się poważnie. Nie mógł pojąć, o czym ona, u licha, mówi, ale widząc jej oczy pełne łez, ujął ją za rękę.

- Obawiam się, Fanny, że masz jakieś kłopoty

- powiedział z ogromną życzliwością w głosie.

- Jestem udręczona - odpowiedziała obejrzawszy się na niego i próbując uśmiechem stłumić napierające łzy.

Wsunął sobie pod ramię jej rękę i poklepał pocieszająco po dłoni.

- Jeżeli jesteś w kłopotcie... - zaczął. I nagle powiedział zdecydowanym głosem: - Chodźmy. Chodźmy na spacer i wszystko mi opowiesz.

Wyprowadził ją z cieplarni, zapominając zagwizdać na psy, a nawet zamknąć drzwi pomieszczenia z cennymi pierwiosnkami i ruszyli razem przez park, następnie polami, w kierunku odległych lasów, nad którymi wisiało chylące się już ku zachodowi słońce.

\*

W godzinę później, idąc obok siebie, podążali z wolna z powrotem. Wygodnie było iść w ten sposób; poza tym oboje byli zmęczeni, ponieważ zajęci rozmową, zaszli dalej, niż sądzili. Tylko raz odpoczęli na przewróconej kłodzie, ale na krótko,



gdyż była zbyt twarda. Dla Fanny z powodu wychudzenia wszystko wydawało się zbyt twarde; podczas gdy Conderleyowi z wielką trudnością przychodziło siadać na czymś niskim, zaś wstawanie z tego było dlań prawie niemożliwe. "

- Dwa biedne staruchy - uśmiechnęła się Fanny, widząc jak on podniósłszy się z trudem sam śpieszy z niepewną pomocą, by jej ułatwić wstanie. Do tego czasu zdążyła mu już bowiem opowiedzieć o swojej chorobie, o wizycie u Bylesa, o obawach dotyczących przyszłości i była tak naturalna, jak tylko to jest możliwe w stosunku do człowieka, którego sądząc z jego wyglądu zbyt dobrze nie знаła. To uczucie można jednak było zneutralizować, unikając patrzenia na niego. Fanny potrafiła zachować zupełną swobodę, jeśli poprzestawała na słuchaniu miłego głosu Conderleya. On zaś odczuwał zupełnie to samo w stosunku do niej, z tą tylko różnicą, że podczas gdy ona patrząc na niego, odczuwała współczucie, on spoglądając na nią - doznawał wstrząsu.

„Biedna Fanny” - myślał Conderley mimowolnie wzdrygając się, ilekroć jego wzrok spoczął na tej widmowej parodii przeszłości. - „Wygląda jak uszminkowany upiór.”

„Biedny Jim” - myślała Fanny. - „A więc to taki on właśnie był zawsze wewnątrz, tylko że dopiero teraz się to ujawniło. Przeróżające, demaskatorskie działanie czasu.”

Niemniej jednak, kiedy drżąc pomógł już jej wstać z kłody, a ona rzekła: „Dwa biedne staruchy”, zaprotestował i stwierdził, że to głupie, by tak o niej mówić; zapewniając ją jednocześnie, że jeszcze przez całe długie lata Fanny może być...

- Pożyteczna - pomogła mu, gdy zdawało się, że Conderley szuka odpowiedniego słowa.

- No cóż, dlaczego by nie? - powiedział, znów biorąc ją za rękę, kiedy ruszyli w dalszą drogę. - Trzeba przecież coś zrobić. Trudno przez całe życie być...

- Błyskotką - znów mu pośpieszyła z pomocą.

- Nie to zamierzałem powiedzieć.

- Naprawdę nie, kochanie?

Stała się wobec niego na tyle swobodna, że tak jak kiedyś zaczęła go nazywać „kochanie” i była ciekawa, czy Audrey...

- Nieważne, mów dalej. Jeśli ktoś nie może przez całe życie być tym, czego ty nie zamierzałeś powiedzieć, to niechże przynajmniej będzie pożyteczny. A czy możesz mi dokładnie objaśnić, jak ty byś się do tego zabrał, będąc na moim miejscu? To znaczy - do stania się pożytecznym. Sprawienia w ostatniej chwili, że własne życie nie okaże się pomyłką. Po to właśnie tu przyjechałam - żeby wysłuchać twoich rad.

Conderley zawahał się.

- No cóż, weźmy na przykład - rzekł niepewnie po chwili - tę historię z biednym Skeffingtonem.

- Dlaczego biednym?

- Myślę, że teraz można by go tak bez przesady określić. W swoim wieku i straciwszy ciebie może być już tylko samotny.

- Ale mnie stracił bardzo dawno temu. I, jak wiadomo, ożenił się ponownie. Nie zapominaj poza tym, że mu te maszynistki wybaczałam. No, może nie w nieskończoność - tu na powierzchni jej pamięci ukazał się fragment wraku, jakim był duchowny, niejaki Hyslup, który przez krótki czas pozostawał jej bliskim przyjacielem (chronologicznie mieścił się on gdzieś między Lanksem i Dwigthem, choć nigdy nie potrafiła tego dokładnie uściślić, i był dowodem jej jedyne go wkroczenia do świata osób duchownych)

- a to dlatego, że z tyloma maszynistkami wówczas nie pracował, ale wybaczyłam mu co najmniej sześć z nich. Mam więc nadzieję, że nie zamierzasz mi doradzić, żebym...
- Nie chcę ci doradzać niczego na temat Skeffing-tona. Troszczę się jedynie o ciebie. To bardzo źle, że widzisz go w ten sposób.
- To wręcz potworne i w najwyższym stopniu denerwujące.
- Wygląda na to, że twoje nerwy są w bardzo kiepskim stanie.
- Tak, Jim, to właśnie u siebie podejrzewam.
- A zatem być może zupełna zmiana otoczenia...
- Przecież poszłam do Claridge'a.
- Ależ bądź poważna, Fanny.
- Na miłość boską, czy uważasz, że nie jestem?
- Posłuchaj mnie więc przez chwilę, żebym ci mógł powiedzieć, co naprawdę o tym myślę, dobrze?
- Dobrze, ale tylko wtedy, jeśli to nie będzie kolejna gładka mowa zakończona dworskim ukłonem.
- Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale to wszystko z powodu zdenerwowania.
- Ach, kochany Jimie, doprawdy nie czułam się dotknięta. Teraz wszakże nie jesteś zdenerwowany. Jest nam tu przecież swojsko, prawda? Powiedz więc wszystko, co miałeś zamiar powiedzieć. Swojsko. Ulubione słowo biednej Fanny. Nieczęsto słyszał, żeby go ktoś używał. Nawet w czasach największego rozkwitu swej urody z nostalgią mówiła o swojskości; zdawało się, że tęskni do jakiegoś swojskiego zakątka, w którym mogłaby się zwinąć w kłębek, bezpieczna i wolna od zagrożeń, jakie z sobą niosą porywy miłości. Obawiał się, że jeśli kiedykolwiek kobieta utraciła kontrolę nad swym życiem, to na

pewno dotknęło to biedną Fanny. Patrząc zresztą z obecnej perspektywy, Conderley doszedł do wniosku, że ona zawsze dawała się nieść fali, odmawiając niezliczonym propozycjom zarzucenia kotwicy, nie wyłączając również jego, jakże błagalnej oferty! Nadeszła jednak chwila, kiedy ta kotwica stała się czymś nieodzownym dla wygody kobiety; może niekoniecznie dla jej szczęścia, gdyż nie był pewny, czy szczęścia nie odczuwają jedynie dzieci, ale dla wygody. Dopóki była młoda, mogła się radośnie unosić na fali swej popularności. Kiedy jednak osiągnęła czterdziestkę, powinna już mieć męża i dzieci, a w pięćdziesiątym roku życia powinna je mieć już od lat dwudziestu.

- No, Jim - ponagliła go Fanny. - Co mi zamierzasz powiedzieć?
- Że powinnaś się wybrać w sześciomiesięczną podróż.
- Co takiego? Dać się przepędzić Jobowi? Nigdy.
- Wygląda na to, że on już to zrobił. Wyrzucił cię z twojego domu.
- Pójście do Claridge'a nie jest ucieczką. Mogę stamtąd wrócić w każdej chwili.
- Jeśli więc ten pomysł ci nie odpowiada, jestem skłonny zgodzić się z...
- Chyba nie z Bylesem? Przecież mi nie powiesz, że się zgadzasz z Bylesem - stanęła i zawołała wpatrując się w niego nieruchomo.
- Jeśli Skeffington zachowuje się jak duch, należy go uciszyć - powiedział stanowczo Conderley.
- Uciszyć? Ależ tak się właśnie wyraził Byles.
- Hm, myślę, że nie przesadził specjalnie, kiedy ci zaproponował zaproszenie Skeffingtona na obiad - powiedział Conderley stygnącym głosem, ponieważ spojrział na nią w chwili, gdy stała do niego przodem.

Doprawdy nie powinna, pomyślał, doprawdy *nie powinna się* aż tak intensywnie malować.

- Ależ Jim - zaprotestowała. I uparcie się w niego wpatrując, w jego białe brwi, w jego zmienioną, zapadłą twarz, zadała sobie pytanie, jakim prawem ten obcy człowiek udziela jej rad, jakichkolwiek rad, a zwłaszcza rad tak niewyobrażalnie głupich. Byles, George, Jim. Banda idiotów występujących w sprawie tego nieszczęsnego Joba.

- Takie rzeczy po prostu nie uchodzą.

- Moja droga, w pewnym wieku wszystko uchodzi - usłyszała w odpowiedzi.

Poczuła się upokorzona i rzekła:

- Tak, zapomniałam. Ciągle zapominam, jak już jestem stara - i wsunawszy mu rękę pod ramię, przywierając do niego, jak gdyby w poszukiwaniu oparcia w tym nagle trudniejszym i dziwniejszym świecie, pomyślała, jak bardzo jest denerwujące, że ze starością, poza wszelkimi dolegliwościami tego stanu, wiąże się wolność łamania wszelkich obowiązujących w latach młodości nakazów przyzwoitego prowadzenia się. Mogłaby więc, gdyby tylko zechciała, wyjechać w tej chwili z każdym, kto by na to przystał, na przykład do Paryża lub gdziekolwiek indziej, i nikt by nie powiedział na ten temat złego słowa. Jakież to zimny, pozbawiony jakichkolwiek zabezpieczeń, nagi świat. Jak bardzo było to wszystko *żałosne*.

Conderley nie mógł ścierpieć upokorzenia Fanny; trzymał ją więc pod rękę bardzo blisko siebie podczas drogi powrotnej do domu - to znaczy nie aż do samego domu, ponieważ z chwilą kiedy pojawił się on w zasięgu ich wzroku, Jim delikatnie uwolnił się z tego uścisku.

- Chodzi o Audrey? - uśmiechnęła się Fanny, kiedy ją puścił.

- Oczywiście, moja droga - odparł, ponieważ był człowiekiem surowych zasad, a poza tym nie miał najmniejszej ochoty tracić małej, treściwej Audrey dla tego nikłego cienia kobiety.

\*

Ale żony wiedzą wszystko. Nic nie umknie ich pełnej skupienia czujności. Conderley nawet nie zdążył w saloniku dojść do stołu z herbatą, kiedy patrząc nań uważnie swym wiernym wzrokiem, Audrey pomyślała, że w wyglądzie męża zaszła jakaś zmiana, a kiedy Fanny, która poszła na górę, by zmienić zabłocone obuwie, zeszła z powrotem na dół, Audrey nabrała pewności. Tak, był on zupełnie inny. W znacznie większej komitywie z Fanny; jak gdyby sobie coś wzajemnie wygarnęli - przyszło jej do głowy.

Tylko co by to mogło być? Czyżby mieli sobie coś takiego do powiedzenia? Wróciła myślą do wczorajszego wieczoru i tej śmiertelnej ciszy, gdy weszła do biblioteki, oraz wielkiej troskliwości Jima o jej wygodę.

Jej daleka kuzynka, która wyszła za mąż za przedsiębiorcę z Liverpoolu i była zdania, że życie znają tylko ci, którzy mieszkają w miastach portowych, ostrzegła ją swego czasu, żeby się miała na baczności, jeśli Jim kiedykolwiek zacznie być dla niej szczególnie troskliwy. Teraz Audrey przypomniawszy sobie to ostrzeżenie. Aż do tej chwili nie było okazji, by o tym myśleć. A jeśli, dodała kuzynka, Jim zacznie dawać prezenty, Audrey powinna mieć oczy szeroko otwarte; gdy zaś prezenty te będą coraz wartościowsze, na przykład naszyjnik z pereł, nie powinna tracić ani chwili, by zapobiec najgorszemu.

- Prezent z biżuterii zawsze oznacza, że gdzieś tam trwa romans - powiedziała kuzynka - i zawsze pozamałżeński. Zdarza się, że mąż, któremu żona

właśnie powiła długo oczekiwanego następcę, podaruje jej jakieś klejnoty, i to raczej nie musi wzbudzać podejrzeń; w innym zaś wypadku otrzymawszy taki prezent, żona powinna natychmiast zatrudnić detektywa.

Jim jednak nigdy nie dawał jej ani pereł, ani innych klejnotów, więc wszystko było w porządku. Jego prezentami, dawanymi zawsze tylko na Boże Narodzenie i na urodziny, były albo ładnie oprawione tomiki poetyckie, choć nie w safian, który już mógłby według Audrey wzbudzać pewne podejrzenia, albo wieczne pióra, nie złote, znów ewentualnie podejrzane, lecz skromne - czarne. Kiedyś podarował jej ogrodniczy rydel, a ona przyjęła ten prezent z entuzjazmem, który go zaskoczył.

Tak więc prezenty jej nie zaniepokoiły, myślała nalewając herbatę, natomiast ta nagła szczególna troskliwość, gdyby ją starannie rozważyć, mogłaby dawać pewne podstawy. To przecież tak dla niego niezwykle, że przyniósł jej robótkę i podsunął poduszkę. Szkoda, że matka mieszka tak daleko.

Przyjemnie byłoby porozmawiać z nią i zapytać - oczywiście bez wspomnienia o Jimie, który jest zbyt wielką świętością, by o nim mówić - czy kiedykolwiek ojciec nagle zajął się nią tak gorliwie, a jeżeli tak, to czy to oznaczało, że jego myśli błądziły tam, gdzie nie powinny.

I właśnie wtedy, gdy zapragnęła, by jej matka wpadała do nich częściej, a Fanny nie opuszczała swego domu, zaś Jim nie miał żadnych innych znajomych prócz niej, Audrey; właśnie wtedy gdy, jak na urągowisko, nalewała tym dwojgu herbatę - usłyszała, że Fanny, odmawiając proponowanej jej przez Jima drożdżowej bułeczki, powiedziała: „Nie, dziękuję, kochanie.”

Kochanie? Audreyomal nie wypuściła dzbanka z herbatą. Czy ta lady Frances, o której istnieniu jeszcze przed tygodniem nawet nie słyszała, powiedziała właśnie do jej Jima, jej własnego, jedyne go Jima - „kochanie”? W jakich oni zatem pozostają stosunkach? W jakich stosunkach byli kiedyś? Głęboko i boleśnie wstrząśnięta spojrzała na Fanny, a potem na Jima, napotkała jego wzrok, w którym - jak się jej wydało - również dostrzegła panikę. Niemniej natychmiast odwrócił głowę, udając wielkie zintereso-wanie chlebem i masłem, co było dla niego równie niezwykle i tylko pogłębiło jej zakłopotanie. Nigdy nie jadał chleba z masłem. Tymczasem teraz oddał się temu bez reszty, jak gdyby szukał jakiejś ucieczki.

Jednakże Fanny, która dzięki długiemu doświadczeniu wyrobiła sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu, gdy chodziło o odczucia żon, przechwyciła oba te spojrzenia, zdumiona sposobem, w jaki ten głu ptas Jim okazuje zażenowanie, i zwracając się do Audrey, wyjaśniła, że w jej czasach - co podkreśliła dla wykazania różnicy dzielących je epok - wszyscy mieli zwyczaj zwracania się do siebie per „kochanie”.

- Po prostu tak - ciągnęła - jak Francuzi, którzy, jak pani wie, ciągle mówią do siebie „madame” i „monsieur.”

- Wobec tego życzę sobie, by go pani nazywała „monsieur” - powiedziała nieoczekiwanie Audrey. Fanny była zmieszana, podobnie jak Conderley. Ta gwałtowna czupurność, niczym u broniącej swych młodych przepiórki, zmieszała ich oboje. W głowie Conderleya załęgła się myśl o przewadze mężów, których żony zostały wychowane tak, by mając jakieś złe strony, potrafiły je maskować; a myśl ta stała się jeszcze bardziej natarczywa, gdy Fanny zaczęła mówić uspokajająco - a przecież żadna dobrze wy-



chowana żona, pomyślał Conderley, nie wymaga publicznego uspokajania.

- Ależ, *kochanie* co Audrey natychmiast przerwała, hałaśliwie stawiając na tacy dzbanek z herbatą, i powiedziała z niszczycielską otwartością, która nimi głęboko wstrząsnęła:

- Rozumiem, że chciała pani powiedzieć „madame”?

Conderley był silnie wytrącony z równowagi. Nie spodziewał się bowiem prostactwa. Nie w tym salonie. Jeśliby coś takiego miało się tu objawić, choć nie widział po temu najmniejszego powodu, to były w tym domu mniej eksponowane miejsca niż salon. Na przykład sypialnie - jego lub Audrey. Jednak okazywanie tego podczas podwieczorku, wobec gościa, którym była Fanny, wywołało u Conderleya dziwaczne pragnienie natychmiastowej rozmowy z rodzicami Audrey na temat ich metod wychowawczych.

Był rozżalony na Fanny za jej głupotę, gdy powiedziała doń „kochanie” - on nie zrobił tego ani razu, czyniąc największe wysiłki, by nie popaść w dawne nawyki; czuł złość do Audrey za jej nieokrzesanie, za to, że jest jak jeź, jak jeżozwierz, jak wszystko co gruboskórne i z kolcami; był wreszcie rozeźlony na samego siebie, gdyż od czasu przyjazdu Fanny tak bardzo się cieszył, kiedy Audrey była razem z nimi w pokoju. Nic nie mogło być bardziej niewinnego i chwalebego niż jego uczucia i sposób postępowania. A jeśli podczas spaceru wziął Fanny za rękę, i wsunął ją sobie pod ramię powodowany czystym współczuciem i starą przyjaźnią, to czyż nie puścił jej natychmiast, gdy się znaleźli w zasięgu wzroku od domu?

- Moja droga Audrey... - zaczął, ale nie był w stanie powiedzieć niczego więcej, więc tylko dodał - ... doprawdy.

- Przecież to zupełnie naturalne - nadal zdradzając swe prostactwo broniła się z animuszem Audrey.
- Jestem pewna, że to zupełnie naturalne. Która kobieta będzie chciała, żeby inna mówiła do jej męża „kochanie”, a on sam wyglądał wtedy na..., na...
- zamierzała powiedzieć „winnego”, ale zabrakło jej odwagi. - Przepraszam, jeśli się wydałam grubiańska
- zakończyła buńczuczny tonem, który się kłócił z tymi słowami. - Ale uważam, że to jest zupełnie naturalne i że moja matka powiedziała by to samo
- następnie zaczęła gorączkowo i hałaśliwie ustawiać na tacy filiżanki i spodki do herbaty. Czy chce w ten sposób utrzymać fason, czy też powstrzymać wybuch płaczu? - zastanawiała się Fanny. Byłoby okropnie, gdyby to małe biedactwo miało się rozpląkać. Fanny czuła, że jej dotychczasowe zmieszanie, zresztą stan tak bardzo jej obcy, pogłębiłoby się ponad wszelką miarę, gdyby Audrey zapłakała.
- Posłuchajcie dzieci - powiedziała. - Są dwie rzeczy, które mogą zrobić osoby zaczynające się kłócić...
- Ja się nie kłócę - sprzeciwiła się oburzona Audrey, głośno trzaskając filiżankami.
- No więc przekomarzać się.
- Też nie, to nieprawda - tym razem niechcący przewróciła dzbanek z mlekiem.
- Ależ Audrey - rzekł Conderley spoglądając bezradnie na powstały bałagan.
- No więc osoby zaczynające robić to, co my robimy - podjęła Fanny. - Pierwsza możliwość to taka, że kość niezgody, czyli ja, natychmiast wraca do swego domu, a druga - że zostaje do końca, tak jak było uzgodnione, ale pod warunkiem, że będzie się do Jima zwracać per „monsieur.”

- Pani sobie teraz ze mnie podkpiwa - krzyknęła Audrey energicznie wycierając rozlane mleko chusteczką.

- Przysięgam, że nie - odparła Fanny. Conderley zaś, który ponownie zajął się chlebem i masłem, pomyślał: „Jakież to doprawdy przykre...”, co w ustach człowieka wytwornego było tym, czym „Do diabła z tymi kobietami!” w wykonaniu kogoś o bardziej niewyparzonym języku.

\*

Ocalenie dla niego, a właściwie dla wszystkich trojga - tak im się przynajmniej wydało, choć w istocie ocaleniem nie było - pojawiło się wraz z wtargnięciem do salonu najpierw zbliżających się wesołych, pogodnych głosów, a następnie ich równie wesołych i pogodnych właścicieli.

Było to czworo Cookhamów. Rodzina Audrey. Ojciec, matka i dwie niezamężne siostry. Zjawili się tu iście cudownym zrzędzeniem losu. Ponieważ mieszkali o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, ich stary samochód był stale bliski rozsypania się, a benzyna droga, nigdy nie wpadali po prostu na godzinę, lecz w stałych odstępach czasu, mniej więcej trzy razy do roku, przyjeżdżali do Conderleyów z bagażami i zostawali u nich przez tydzień.

Swój zimowy pobyt odbyli na Boże Narodzenie

i ponownie należałoby się ich spodziewać najwcześniej na Wielkanoc. Wspaniale więc, że jakby zesłani przez niebiosy pojawili się właśnie teraz, kiedy Audrey tak bardzo ich potrzebowała. Rzuciła się matce w ramiona, ściskając ją niemal histerycznie, podczas gdy rodzina zgodnym chórem wyjaśniała, że w tak cudowny dzień nie mogli się oprzeć pokusie wyjazdu na piknik, a ponieważ obrali kierunek na Upswich, zdecydowali się raz na szaleństwo w postaci kilku

dodatkowych galonów benzyny i postanowili wracać wieczorem, by zaskoczyć Jima i Audrey i przedłużyć wycieczkę na cały dzień.

Stanowiąca jedność, kochająca się rodzinka

- wszyscy wzajemnie sobą zachwyceni, uradowani pięknym dniem i piknikiem. Musieli tyle wykrzyzczyć od siebie i tyle wysłuchać od Audrey, że dopiero po kilku minutach uświadomili sobie obecność Fanny.

Kiedy więc zakończyli obopólne uściski z Audrey, która posunęła się niemal do ostentacji, co wzbudziło pewne obawy matki związane z samopoczuciem córki, skierowali się z powitaniem w stronę swego znamienitego zięcia i szwagra, by tu, ku swemu zaskoczeniu, ujrzeć gościa. Gdy ją dostrzegli, wszelkie wątpliwości, jakie w nich wzbudził jej widok, natychmiast podświadomie wytłumaczyli na jej korzyść, na zewnątrz pozostając równie serdeczni jak dotychczas; pani Cookham, złote serce, najmniej podejrzliwa z kobiet, rzuciła nieświadomie „Biedactwo!"; dziewczęta były ciekawe, cóż to za niezwykłą osobę trzyma w zanadrzu Audrey, i jedynie ojciec posunął się do dość zdecydowanej konstatacji - „no, no!"

- Ach! - rzekła Audrey, która na błogosławioną chwilę zapomniała o istnieniu Fanny, a przypomniała sobie o nim widząc, gdzie kierują się ich spojrzenia.

- Ach tak, to jest przyjaciółka Jima, która przyjechała do niego na weekend.

Trudno o bardziej niezręczną i niefortunną prezentację. Conderley miał szczerą nadzieję, że było to niezamierzone. Uznał za niemożliwe, aby Audrey, okazawszy już z nagłą swe prostactwo, była jeszcze do tego złośliwa. Nie, ona po prostu straciła głowę, choć oczywiście dla członka dworu królewskiego, jakim był Conderley, popadnięcie w taki stan jest godne najwyższego ubolewania.

Natychmiast wysunął się do przodu i sam przejął obowiązek prezentacji. Każde z Cookhamów zostało przedstawione Fanny w należyty sposób, a więc z podaniem nazwisk, najpierw ich, później jej, wymawianych dobitnie i z niezbędnymi wyjaśnieniami uzupełniającymi w rodzaju „moja teściowa",

„mój teść”, „moje szwagierki”, choć po nazwisku Fanny nie następowało jakiegokolwiek uzupełnienie. Następnie, po nagle zapadłej ciszy, salon na nowo wypełnił się pogodnym świergotem. Wyglądało to tak, jak gdyby się po nim rozpierzchło stadko wesołych wróbli. Nastawieni na rozrywkę Cookhamowie, nie myśleli sobie jej psuć z powodu niespodziewanego pojawienia się Fanny i niemal natychmiast stracili dla niej zainteresowanie. Rozprawiali, śmiali się, jedli ciastka i bez przerwy pili herbatę. Dziewczęta, tryskające zdrowiem i głodne po śniadaniu złożonym jedynie z kanapek, szybko wchłonęły wszystko, co było do zjedzenia i nawet Fanny siedząca obok pani Cookham - uważała bowiem, że w tych okolicznościach rozsądnie będzie jak najszybciej zaprzyjaźnić się z matką Audrey - poczuła, że się poddaje wiszającemu w powietrzu dobremu nastrojowi i zaczęła sobie nalewać kolejne filiżanki herbaty; podczas gdy Audrey w tej zniewalającej atmosferze niemal bożonarodzeniowej życzliwości, chcąc nie chcąc, nieco się rozpogodziła i pomyślała, że może była trochę niemądra. Choć może jednak nie?

W każdym razie cudownie było znów mieć tu matkę; tym bardziej że tak niespodziewanie. I jak ona miło wygląda, myślała Audrey z uwielbieniem, z tą ogorzałą, pomarszczoną twarzą i siwym kosmykiem wymykającym się niesfornie spod starego wycieczkowego kapelusza - w porównaniu z wypolerowaną

jak szkło, biało-czerwoną Fanny, której każdy żółty jak krokus włoszek - jakież ten mały Jim jest roztropny - był tak doskonale skręcony i ułożony dokładnie tam, gdzie się powinien znajdować, że można było dostać bólu w plecach ze współczucia dla dziewczyny, która musiała to wszystko wykonać stojąc co najmniej przez godzinę.

Dziewczęta, jedząc, szczebiotały; Audrey pilnie dostarczała im swych smakołyków; jej matka i Fanny od razu się zaprzyjaźniły i tylko major Cookham, emerytowany oficer, który w młodości stacjonował w Hounslow, znajdującym się w zasięgu londyńskich plotek, zdawał się coś rozważać.

Conderley obserwował to wszystko z niechęcią. W stanie udręczenia, w jakim się znajdował po lap-susie Fanny i niewłaściwym zachowaniu Audrey, na wszystko patrzył z niechęcią, a już zwłaszcza na kogoś, kto w zamyśleniu spoglądał na Fanny. Oczywiście nikt z Cookhamów nie był zdolny do popadania w zamyślenie; tym niemniej, jeśli głowa rodziny, zazwyczaj gaduła z gatunku tych, jakich się spotyka na każdym kroku, a także gotowy bez zastrzeżeń zaakceptować każdego, kogo spotka na swej drodze; jeśli ktoś taki przyglądając się Fanny, popada w zamyślenie, to to się już Conderleyowi nie podobało.

- Może herbaty, ojczy? - zapytał gwałtownie, aby odwrócić jego uwagę.

Kiedy poślubiał Audrey, bawiło go, że będzie mógł nazywać „ojcem” młodszego od siebie człowieka, zaś major Cookham ubawiony był możliwością nazywania synem człowieka od siebie starszego, a ponieważ obaj byli ludźmi o stałych przyzwyczajeniach, których życie stanowiło jeden ciąg dokładnie powtarzających się zdarzeń, nie nużył ich bynajmniej żart, do którego przywykli od lat, i który za każdym razem

bawił ich w takim samym stopniu. Teraz jednak Conderley się nie śmiał. Zdanie „Może herbaty, oj-  
cze?” wypowiedział gwałtownie, jakby to było wyzwanie, bynajmniej nie sugerując, że chodziło o  
żart.

- Proszę, jeśli łaska - odparł major Cookham i natychmiast dorzucił, zanim jeszcze jego zięć zdążył się  
odwrócić, żeby ją przynieść: - Jestem bardzo ciekaw poznania twojej przyjaciółki, Jim.

- Ona jest również przyjaciółką Audrey - powiedział podenerwowany Conderley.

- Ach, oczywiście, mój drogi chłopcze, rozumie się. Powiedz mi...

Ale Conderley poszedł już po herbatę.

Gdy tylko wrócił, major Cookham podjął na nowo.

- Powiedz mi, Jim - rzekł - czy ona nie była kiedyś wielką...

- Nie - odparł Conderley. - Może ciasta, ojczy?

- Ach, myślałem, że to ta sama dama - mówił teść - którą pamiętam z Hounslow, kiedy jeszcze byłem  
młodym chłopakiem. Powiedz mi, czy ona była..., czy był tam niejaki...

- Nie - odrzekł Conderley, ściągając groźnie swe krzaczaste brwi. - Nie była. W każdym razie *ona* nie  
była. Może *on* był.

- Cóż, dziwna, dziwna sprawa - powiedział major Cookham sięgając po kawałek ciasta. - Ale rozu-  
miem. To oczywiście zmienia postać rzeczy.

- Tak, całkowicie.

- Rzeczywiście. Wiesz jednak, że w czasach królowej Wiktorii...

- Do diabła z czasami królowej Wiktorii - rzekł Conderley i odwrócił się na pięcie.

Major Cookham był zdumiony. Na chwilę przerwał mieszanie herbaty i popatrzył za Conderleyem z  
niedowierzaniem. Fakt, że jego zięć, tak długo związany

z dworem, mógł posłać do diabła coś, co się wiązało z królewskością, odebrało mu dech. Nie pamiętał też, aby Conderley kiedykolwiek wcześniej użył tego wyrażenia. Major mógł teraz tylko obserwować oddalającego się zięcia, a następnie począł powoli, w jeszcze głębszym zamyśleniu, mieszać swą herbatę.

W końcu jednak Conderley wrócił. Musiał wrócić, ponieważ właściwie nie miał dokąd pójść. Niepodobieństwem było dołączyć do Audrey i jej sióstr, gdyż był zbyt zagniewany na Audrey, nie mógł się też przyłączyć do Fanny i swej teściowej, ponieważ to właśnie Fanny ściągnęła na niego cały ten kłopot w charakterystyczny dla siebie, bezmyślny sposób. Tak więc wrócił do teścia i usiadł przy nim na kanapie.

Cookham, który wybuch na temat czasów królowej Wiktorii przyjął prostodusznie jako skutek zjedzenia przez tego biedaka czegoś niestrawnego, co podała mu na lunch Audrey, miał możliwość podjęcia na nowo rozmowy o Fanny i niezwłocznie to uczynił.

- A Audrey ją lubi - powiedział, wciąż w zamyśleniu mieszając herbatę.

Kryjące się w tej uwadze domniemanie do głębi poruszyło Conderleya.

- Zdaje się, że moja teściowa również - zauważył z niepotrzebnym naciskiem, spoglądając na siedzące przy oknie i pochłonięte rozmową niewiasty.

Major Cookham popatrzył w tamtą stronę i przytaknął. Rzeczywiście, można by rzec - siedzą głowa przy głowie. Tylko że pomyśleć: głowa a głowa. Trudno o większy kontrast.

- Bardzo się od siebie różnią - zauważył, wciąż nieśpiesznie mieszając herbatę, a nieskory do podejrzliwości Conderley przyjrzał mu się uważnie.

Tymczasem przy oknie nastąpiło poruszenie i pani



Cookham odwróciła się z uśmiechem, następnie wstała i podeszła do nich.

- Ted, pójdź i porozmawiaj z lady Frances - powiedziała. - A ja chcę się czegoś dowiedzieć od mojego kochanego zięcia. - Bardzo Conderleya lubiła, a on jej tę sympatię odwzajemniał. Choć jednak nie w tej chwili. W tej chwili nie darzył sympatią nikogo. Kiedy więc major odszedł i ukłoniwszy się dwornie jakby prosząc o pozwolenie, usiadł obok Fanny, pani Cookham czule położyła rękę na dłoni Conderleya i rzekła:

- No więc, Jim? - na co on odpowiedział: - Słucham, mamó? - siedząc sztywno jak kij i w najmniejszym stopniu nie odwzajemniając tej pieśczości.

- Podoba mi się twoja Fanny - oznajmiła pani Cookham, siadając obok niego na kanapie.

- Ona jest w równym stopniu moja jak Audrey.

- No więc podobają mi się te wasze obie Fanny, choć może to nie brzmi gramatycznie. Ona mi o wszystkim opowiedziała.

- Doprawdy?

- Jej życie nie było chyba wesołe.

- Rzeczywiście?

- Nie wiedziałeś o tym? - pani Cookham była lekko zaskoczona.

- A skąd miałbym wiedzieć?

- Przecież była twoją przyjaciółką. Ach prawda, oczywiście, również przyjaciółką Audrey. Nie bądź taki naburmuszony, Jim. Czy nie jesteś dziś trochę zdenerwowany, mój drogi? - dała mu lekkiego klapsa, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, złożyła ręce na podołku, ponieważ była kobietą, która ochoczo dostosowywała się do nastrojów mężczyzn.

- Nie chodzi o to, żeby się skarżyła - powiedziała po chwili milczenia, podczas której zastanawiała się,

co Audrey mogła temu kochanemu człowiekowi podać na lunch, ponieważ poczciwi Cookhamowie każdy rodzaj zachowania naruszającego pogodny nastrój przypisywali zakłóceniom w pracy żołądka.

- Ona jest bardzo dzielna, ale nigdy nie mając życia rodzinnego, dzieci i w tak młodym wieku straciwszy męża...

- *Biedactwo* - rzekł Conderley, a uczynił to ku, własnemu zdumieniu, z przekąsem. Ale czyż nie był już dziś wystawiony na zbyt wiele prób? No i te ciągle rozmowy o Fanny. Najpierw z Audrey, potem z teściem, a teraz z teściową. Czyżby doprawdy nie było już na świecie innego tematu?

Pani Cookham spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy ty jej nie lubisz? - zapytała.

- Czy jej nie lubię? - powtórzył Conderley. Dziwaczność tego pytania przysłoniła mu na chwilę jego zdenerwowanie. Przed oczami żywo stanęły mu obrazy z przeszłości. Był ciekaw reakcji teściowej, gdyby i ona mogła je ujrzeć - ale uznałaby je za zbyt nieprawdopodobne, by w nie uwierzyć.

- Czy byłaby teraz tutaj, gdybym jej nie lubił?

- odparł i usłyszał odpowiedź wypowiedzianą z łagodną przekorą:

- No, ale mogłaby ją zaprosić również Audrey. Powiedziałeś przecież, że ona także jest jej przyjaciółką. - Conderleyowi pozostało jedynie stwierdzić, że oboje teściowie są dzisiaj wyjątkowo nieznośni.

Ponieważ siedział w milczeniu, jak zwykle zgodna pani Cookham nie odzywała się również. Oboje przyglądali się natomiast grupie osób siedzących za stołem i tym dwojgu przy oknie. Major Cookham sprawiał wrażenie, że jest i zaniepokojony, i radosny,

- wciąż złośliwie rozmyślał Conderley. Zaniepokojony, gdyż tylko taki mógł być efekt znalezienia się

w bezpośredniej bliskości makijażu Fanny, a radosny - ponieważ miał okazję poprawić swą opinię o niej. W każdym razie zaduma majora zniknęła bez śladu, a gawędziarstwo, w jakie popadł, świadczyło niezbicie, iż dał się skusić do mówienia o sobie. Conderley dobrze pamiętał, że Fanny wykazywała w tym kierunku nieprzeciętne zdolności. W jej rękach mężczyzna stawał się jedną wielką tubą, przez którą odkrywał przed nią największe tajniki swego serca, podczas gdy ona z najbardziej czarującą uwagą słuchała go, chwaliła, wydawała okrzyki, współczuła, słowem wyciągała z niego wszystko. Dzięki odległości, jaka ich dzieliła - a był to duży i oświetlony teraz lampami salon - szczegóły zniszczenia urody Fanny przestały być dostrzegalne; widać zaś było jedynie piękny zarys małej głowy oraz profilu, wyraźnie rysujące się na tle ciemnych zasłon. Poza tym Fanny miała na sobie sweter z wysokim, sięgającym niemal uszu golfem, który zakrywał najbardziej newralgiczną część jej szyi. Tak więc z tej odległości i w tym świetle widoczny pozostał jedynie sam kształt piękna. Jak nieciekawie i zwyczajnie na tle tej indywidualności prezentowała się trójka kobiet siedzących przy stole. Bardziej niż zwyczajnie, wręcz pospolicie, pomyślał Conderley, ponieważ nic nie mogło powstrzymać biegu jego myśli. Siostry były bez wątpienia pospolite, a co za tym idzie, nie owijając w bawełnę, pospolita była również Audrey mimo swych wszystkich dodatnich, pocziwych cech. Była to dobra, pełna życzliwości, bezpośrednia, oddana, tryskająca zdrowiem matka jego dzieci - a jednak wszystko to nie chroniło jej od pospolitości. Cóż bowiem mogło być bardziej pospolitego niż ten wybuch sprzed pół godziny? I czym by się on zakończył, gdyby nie nagłe przybycie jej rodziny? Jeśli zważyć,

od jak bardzo bolesnej sceny Cookhamowie prawdopodobnie uratowali go swym przyjazdem, to przyzwoitość nakazywałaby potraktować ich nieco bardziej przychylnie. Odwrócił się więc ku pani Cookham, by naprawić swoje postępowanie i już miał jej powiedzieć coś miłego, kiedy ta wprawiała go w stan szoku, wykrzykując z nagłą:

- Doprawdy nie rozumiem, co powoduje mężczyznami, że robią takie przerażające rzeczy!

Popatrzył na nią zdumiony.

- Co takiego robią? - zapytał niezbyt spokojnie. Gdyby natomiast powiedziała „myślą coś tak przerażającego”, jego niepokój byłby absolutny, gdyż to, co właśnie myślał, było rzeczywiście przerażające. Choć mogło być prawdą, to przecież przyzwoity mąż wiele słusznych myśli powinien z całą stanowczością tłumić i Conderley wiedział, że tym razem tak właśnie było. Pełen zażenowania, o wszystko obwinił Fanny. Nigdy jeszcze, przed jej pojawieniem się na scenie, Conderley nie myślał o Audrey inaczej niż z uczuciem i wielkim uznaniem. Fanny nie powinna była przyjeżdżać. On nie powinien był do tego dopuścić.

- No... odchodzą z inną kobietą - powiedziała pani Cookham.

Ba! On czegoś takiego nie zrobił. Odetchnął z ulgą. Nie odszedł z inną kobietą od żony, gdyż o to przecież chodziło teściowej. Prawdę mówiąc, nie odszedł ani z inną, ani w ogóle z jakąkolwiek kobietą. Jedyną bowiem kobietą, z którą kiedykolwiek pragnął gdzieś odejść, czyli Fanny, wykluczyła taką możliwość.

- To smutne, jeśli się pamięta te wszystkie przysięgi składane przed ołtarzem - ciągnęła pani Cookham.

Ależ on dotrzymał co do joty wszystkich przysięg i nigdy nie miał najmniejszej ochoty ich łamać. Miał

tak nieskazitelnie czyste sumienie, że mógł uprzejmie zapytać:

- O kogo mamie chodzi?

- O męża tej bieduli, lady Frances. Nie powiedziała mi, co on zrobił. Ale kiedy zapytałam, gdzie się podziewa, odparła, że go utraciła. Stało się to ćwierć wieku temu. Wyobraź sobie - przez cały ten czas ta biedaczka skazana była na samotność. A musiała być przecież bardzo ładna i byłaby jeszcze teraz, gdyby umyła twarz. Spójrz na nią. Z pewnego oddalenia wydaje się niezwykle piękna. A kiedy jej powiedziałam, że jako tak młoda wdowa powinna była powtórnie wyjść za mąż, wyjaśniła, że nie jest wdową. Wówczas oczywiście wszystkiego się domyśliłam i chciałam ją pocieszyć, ale szczęśliwej mężatce niełatwo jest nieść pociechę nieszczęśliwej mężatce i nie sprawiać przy tym wrażenia nieszczerzej.

- Myślę, że do tej pory już się z tym jakoś uporała

- poddał pod rozwagę Conderley. - Minęło przecież tyle czasu. - I zadumał się nad tym, jaki użytek z tego czasu zrobiła Fanny; nad tą rozświetloną feerią ekscytujących zdarzeń, a także nad tym, jak bardzo to wszystko przekracza granice wyobraźni prostodusznej, tak zawsze otwartej, szczerzej i skromnej teściowej, która przez całe życie nie ruszała się ze swej zapadłej wioski dalej niż do najbliższego katedralnego miasteczka.

- Ach, wiem, wiem. I ona bynajmniej nie oczekiwała współczucia. Chodzi mi tylko o Teda. Kiedy sobie pomyślę, że on mógłby kiedykolwiek...

Urwała, jemu zaś jako zięciowi nie wypadało się w to zagłębiać, więc nie odpowiedział.

- Powiedziałam jej jednak - odezwała się wreszcie

- że według mnie po tak długim czasie przebaczenie byłoby zupełnie na miejscu. Zdobyłam się w końcu na odwagę, by jej doradzić odzyskanie męża i upo-

rządkowanie wszystkiego od nowa. Ale to łatwo pouczyć kogoś, żeby wybaczył. A swoją drogą jestem ciekawa, czy potrafiłabym odzyskać Teda, gdyby on...

Znów nie dokończyła i znów Conderley jako zięć nie mógł podjąć tego wątku.

- Udzieliłem jej niemal identycznej rady - powiedział po chwili.

- Doprawdy, mój drogi? I sądzisz, że ona się do niej dostosuje?

- Nie.

- Ja też. Już sam ten pomysł tak ją, zdaje się, zbulwersował, że wolałam od niej uciec i pozwolić, by z kolei Ted z nią porozmawiał. To, co powiem, jest bardzo zuchwałe, ale jakimś cudem weszliśmy w tak bliską komitywę...

- Bardzo mi łatwo w to uwierzyć. Fanny po prostu taka jest. Bliskie znajomości zawiera w ciągu pięciu minut - powiedział Conderley, przypominając sobie wiele zdarzeń z przeszłości.

- To wspaniała cecha - pochwaliła pani Cookham tym goręcej, że Conderley zdawał się do tego odnosić krytycznie. - Pozwala zaoszczędzić czas.

- Tak, ale ten kij ma dwa końce. Początek może być cudowny, ale w następnej chwili można się znaleźć za progiem...

W jego głosie nagle zabrzmiała uraza. Teściowa spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- ...z trzaskiem - mówił dalej po chwili przerwy, kiedy przypominał sobie inne zdarzenia - zamykanych drzwi.

Dziwny jest dzisiaj ten Jim, pomyślała pani Cookham. Mimo jak najlepszej woli, by uznawać go za ideał, nie mogła tego nie zauważyć. A poza tym były jeszcze płonące, czerwone policzki Audrey i jej przesadna - jak się teraz matce wydało - radość, kiedy

niespodziewanie do nich przybyli. Rzuciła się jej w ramiona, jakby szukała ratunku. Nie było to całkiem zwyczajne zachowanie. Oczywiście wszystko dałoby się wytłumaczyć, gdyby Audrey oczekiwała dziecka, ale jeśli nie, to była naprawdę dziwna. To samo dotyczy Jima - również i on wykazywał niezwykle dla siebie objawy. A przynajmniej on na pewno nie spodziewał się dziecka.

- ... zamykanych drzwi - powtórzył, tak jakby zapomniał o jej istnieniu i mówił do siebie, uniósłszy jednocześnie rękę, by ją sobie następnie ciężko opuścić na kolano.

Mogła go tylko obserwować. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak należy rozumieć tę uwagę.

Wydawało się, że Conderley czuje do kogoś jakiś żal, ona zaś była w pełnej gotowości, by współczuć temu drogiemu człowiekowi, gdyby tylko wiedziała, o co chodzi. Nie wiedziała jednak nic.

Skonfundowana uciekła się do słów pogodnego pocieszenia.

- Ależ nie, mój drogi - powiedziała, dodając mu otuchy i poklepując macierzyńsko po dłoni. - Nie, nie, kochany. Doprawdy nie chcę, żebyś tak na to patrzył.

\*

Cookhamowie zostali na obiedzie. Conderley nalegał, by to uczynili, niemal tak samo gorąco jak Audrey. Czuł, że w ten sposób będzie można uniknąć jakichś dalszych incydentów tego wieczora, a Audrey pragnęła gdzieś na osobności dowiedzieć się od matki, bez aluzji do Jima, czy kiedykolwiek jakaś inna kobieta zwróciła się do ojca per „kochanie”, a jeśli tak, to jak matka się wówczas zachowała.

Jeżeli goście, którzy przyjeżdżają na podwieczorek, zostają ostatecznie na obiedzie, to około godziny wpół do siódmej wyglądają już na bardzo zasiedzia-

łych w domu gospodarzy i właśnie o tej mniej więcej porze Fanny poczuła ciężar swych lat. Nie miała żadnych wątpliwości, że major Cookham jest niezwykle miłym, uprzejmym i dobrym człowiekiem, ale około wpół do siódmej odczuła przykrość na myśl, że zamierza on przedłużyć swą wizytę. Obiad miał się zacząć nie wcześniej niż o wpół do dziewiątej. Nikt nie szedł się przebrać, gdyż Cookhamowie nie mieli takiej możliwości, wszyscy więc siedzieli oto nadal w salonie, a Fanny odpowiadała śmiechem na to, co mówił do niej major Cookham. Początkowo robiła to spontanicznie, z czasem jednak jej uśmiech pojawiał się jako stała reakcja; ponieważ jednak nie potrafiła utrzymywać na równie stałym poziomie swej uwagi, doszło do tego, że gdy major zaczął jej relacjonować bitwę o most pod Vimy, Fanny zaśmiała się równie energicznie jak przedtem, dodając jeszcze „doprawdy zabawne”, a spostrzegłszy nagle swój błąd, usiłowała go zatuszować wybuchem kaszlu.

Na szczęście major Cookham tak bardzo był pochłonięty autobiografią, że niczego nie zauważył. Kiedy po minucie odjęła od ust chusteczkę, stwierdziła, że kaszel nie odwiedzie Cookhama od podjęcia wątku. Nic też nie dawały odruchy zniecierpliwienia, rozglądanie się dookoła; nie pomagało wpadanie mu w słowo, by w ten sposób przyspieszyć tok opowiadania. Fanny wypróbowała wszystkiego. Nikt też nie pośpieszył jej z pomocą. Będzie więc musiała tego majora Cookhama wchłonać całkowicie i zupełnie sama, pomyślała z rozpaczą. Audrey zniknęła bowiem gdzieś z matką, zaś jej siostry obsiadły z obu stron Jima i trzymając go serdecznie pod rękę, dawały upust nie kończącemu się potokowi paplaniny i śmiechów, pełne prostodusznej ufności w jego zainteresowanie tym wszystkim, co się z nimi działo od ich ostatniego spotkania.



Prostoduszna ufność. To właśnie łączy wszystkich Cookhamów, pomyślała Fanny przenosząc wzrok z sióstr na ich zafascynowanego własną biografią rodziciela. Z jaką prostoduszną ufnością w jej zainteresowanie roztaczał przed nią dzieje swego życia; z jaką prostoduszną ufnością jego małżonka doradzała jej przebaczenie Jobowi i odzyskanie go. Udzielać podobnych rad kierując się tylko swą ufnością - to doprawdy niezwykle. A dla osób, które tak jak Fanny czują się stare i zmęczone, postawa taka jest wręcz przytłaczająca. Po godzinie niczym nie zmaconej narracji majora Cookhama powieki zaczęły ciążyć Fanny nie tylko ze znużenia, ale również dlatego, że jej pięćdziesiąt lat stało się bardziej uciążliwe niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo pięćdziesięciolatką i zdawała sobie sprawę, że o tej porze musi już wyglądać po prostu upiornie, z wyraźnie rysującą się każdą zmarszczką oraz wpadłymi policzkami i oczodołami. Świadomość tego wpędzała ją w jeszcze większe przygnębienie. Nic, zupełnie nic nie było w stanie natchnąć ufnością zmęczonej Fanny, a już tym bardziej prostoduszną ufnością. Życie jest grą, powiedziała do siebie, w której ostatecznie każdy okazuje się przegrany. Można, tak jak ona, przez jakiś czas ciągle wygrywać, ale potem w takiej samej proporcji zacznie się ponosić klęski. Idzie się do góry, a potem spada. Ale po upadku nie ma już powrotu i jest się skończonym.

Fanny snuła te ponure refleksje, podczas gdy major Cookham ciągnął swą opowieść, nie wyobrażając sobie, by ona nie bawiła się tym na równi z nim. Już wcześniej zauważyła u innych mężczyzn tę naiwną wiarę w odwzajemnianie przez słuchacza ich własnej radości i uznała, że jest w tym coś sympatycznego, coś co przemawiało do jej macierzyńskiego instynktu,

podobnie jak czyjaś otwartość czy szczerłość. Jednak major Cookham swoją otwartość posunął zbyt daleko. Wrażliwość macierzyńskiego instynktu Fanny miała granice, które przekroczył opowiadając o swych cierpieniach z nocy, kiedy rodziła się Audrey, oraz jeszcze większych, gdy brała ślub.

- Ależ to niemożliwe - powiedziała Fanny, próbując się uśmiechnąć mimo ogarniającej ją przemożnej chęci złożenia głowy na parapecie okna i zapadnięcia w sen. Dlaczego Jim ją w to wszystko wmanewrował na koniec męczącego i burzliwego dnia? Jak mógł ją na tak długo zostawić na pastwę swego teścia, którego przecież doskonale zna?

- Daję pani słowo honoru, lady Frances, że to prawda. Doskonale wiedziałem, w czyje ją oddaję ręce, ale ojciec bardzo głęboko, może nawet głębiej niż matka, przeżywa chwilę, gdy jego pierwsze piskłę opuszcza wspólne gniazdo.

Tu jednak Fanny zrozumiała, że jest u kresu wytrzymałości. W jednej chwili poczuła, że więcej znieść nie będzie w stanie i że nie ma powodu, by to przedłużać. Podniosła się, wyciągnęła rękę do majora Cookhama, który zaskoczony zerwał się na równe nogi, i ze swoim słynnym wdziękiem powiedziała mu „do widzenia”, tłumacząc że musi się teraz przygotować ponieważ wraca dziś wieczorem samochodem do Londynu.

O ucieczce zdecydowała w ułamku sekundy. Wiedziała doskonale, o czym Audrey rozmawia z matką, i zupełnie nie czuła się na siłach, by podczas długiego obiadu stawiać czoła podejrzliwej teściowej i rozwścieczonej żonie. Poza tym z pewnością posadzono by obok niej majora Cookhama, a to przepełniłoby miarę. Jim wiedział o gadulstwie teścia. Czyżby chciał ją w ten sposób ukarać za to, że się do niego zwróciła per „kochanie” w obecności Audrey? Jeśli tak, to nie był on już z pewnością Jimem, którego znała kiedyś, wobec czego im pręcej opuści ona ten dom, tym lepiej. Kółka rodzinne nigdy jej nie odpowiadały. Musi więc wracać do Londynu i rozwiązać swoje kłopoty samodzielnie,

najlepiej jak potrafi. A wreszcie w sytuacji, gdy gospodarz jest przygnębiony, gospodyni zdenerwowana, matka gospodyni pełna podejrzliwości, a jej ojciec piewą własnego życia, gościowi nie pozostaje nic innego niż tylko uciekać. Musiała jeszcze wykrzesać resztkę sił, by się zdobyć na niezbędne kłamstewko podane w aurze stosownej niewinności. Była pewna, że da sobie z tym radę, gdyż miała już sporą praktykę w dziedzinie towarzyskiej obłudy. Pożegnawszy się więc z majorem Cookhamem, którego obdarzyła ostatnim uśmiechem, ruszyła przez salon w stronę Conderleya. Kiedy się do niego zbliżała, wstał zadowolony, że ma sposobność uwolnić się od swych serdecznych szwagierek, choć zaskoczony tym, że Fanny tak nagle zostawiła teścia samego. Jego zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej, a właściwie przerodziło się w zdumienie, gdy całą swą postacią zdradzając pośpiech powiedziała:

- Jim, *muszę* sprawdzić, czy Manby jest już gotowa.

- Czy jest gotowa? - powtórzył. - Do czego? Wiesz przecież, że nie zamierzamy się przebierać do obiadu.

- Ależ mój drogi, czyżbyś zapomniał, że *muszę* wracać do Londynu? I że jest już dla mnie najwyższy czas, żeby wyruszyć? Powiedziałeś już chyba mojemu szoferowi, prawda?

Conderleya zamurowało. Teść, który również był najwyraźniej zdeprimowany swym nagłym osamotnieniem, przesunął się z wolna na środek pokoju i zaczął bez żadnego zainteresowania grzebać w leżą-

cych na stole książkach i gazetach, sprawiając wrażenie niemal zagniewanego. Nikt nie lubi, gdy potok jego opowiadania przerywa mu nagle zniknięcie audytorium, a zwłaszcza wówczas, gdy uważa, że to zniknięcie ma jakiś związek z samym opowiadaniem. Tego ostatniego major Cookham nie podejrzewał, ponieważ miał ogromny udział w owej rodzinnej prostodusznej ufności, ale z całą pewnością pamiętał, jak przedstawiając go, Audrey oznajmiła, że lady Frances przyjechała na cały weekend. A weekend jeszcze się nie skończył. Nastąpi to dopiero jutro po śniadaniu, on zaś nie powiedział wszystkiego, co miał do powiedzenia. Zawiedziony i rozczarowany, gdyż zupełnie nowy słuchacz był darem niebios w jego spokojnym życiu emeryta, oferującym mu jako partnera do rozmowy jedynie proboszcza, major przerzucał leżące na stole książki i gazety tak bliski nadąsania, jak to jest tylko możliwe w wypadku pana Cookhama.

Major Cookham był pierwszą osobą mającą powód do zdenerwowania.

Conderley, który nie mógł zupełnie zrozumieć, o co chodzi, miał całkowitą pewność, że umawiali się na pobyt Fanny od soboty do poniedziałku. Tymczasem oto stała przed nim, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia, że mógł tak pomyśleć.

- Ależ Jim, mówiłam ci z pewnością, że muszę wracać, ponieważ umówiłam się z Tintegelami na dzisiejszy wieczór na obiad. Obawiam się, że i tak będę straszliwie spóźniona - powiedziała.

Kwestionowanie tego zakrawałoby na grubiaństwo, choć rzeczywiście jej nie wierzył, a cała sytuacja przypominała mu w miniaturze tę sprzed dwudziestu laty, kiedy Fanny równie delikatnie i równie sprytnie wyrzucała go za próg.

Conderley był drugą osobą mającą powód do zdenerwowania.

Audrey po serdecznej rozmowie z panią Cookham była pewna, że padła ofiarą perfidii Jima i Fanny i że jej życie leży w gruzach. Jeśli jednak była oburzona obecnością tej kobiety w swym domu, to jeszcze bardziej oburzyła ją przekazana przez Conderleya wiadomość, że Fanny wyjeżdża. Oświadczyła stanowczo, że nie było mowy o pobycie do niedzieli wieczór. Wysłane przez nich i przyjęte przez Fanny zaproszenie obejmowało cały weekend, oczywiście jeżeli Jim nie pomylił się pisząc list.

Audrey była trzecią osobą mającą powód do zdenerwowania.

- Moje drogie dziecko, musiałem z pewnością coś pomieszać, albo też nie przeczytałem zbyt uważnie odpowiedzi Fanny - powiedział zdenerwowany Conderley.

- Mnie też nie pokazałeś tego listu - zawołała Audrey. - On mi nie pokazał *żadnego* jej listu - wyjaśniła matce, odwracając się ku niej gwałtownie.

- Sza, sza, no już - uspokajała ją pani Cookham, która byłaby czwartą osobą mającą powód do zdenerwowania, gdyby nie jej niezwykle łagodne usposobienie.

- A teraz proszę cię, Audrey - powiedział wyczerpany, lecz wciąż pełen godności Conderley. - Bądź tak uprzejma i pójdz do Fanny. Ona jest bardzo przygnębiona tym nieporozumieniem...

- A to dobre! - zawołała Audrey.

- Cicho, moja kochana, no cicho - łagodziła sytuację matka, biorąc córkę za rękę.

- Fanny mówi, że z pewnością by z nami została, gdyby nie umówione spotkanie na obiad.

- Aha! Idź i powiedz to głupiemu! - wykrzyknęła Audrey.

- Cicho, moja kochana, cicho - powtarzała uspokajająco matka, obejmując ją ramieniem.

- Powtarzam, że to całkowicie moja wina - powiedział Conderley. - Nie jestem w stanie zrobić niczego więcej. I doprawdy muszę cię, Audrey, prosić, byś pamiętała, że powinnaś być damą.

Ostre to były słowa, tym bardziej że wypowiedziała je osoba tak życzliwa. Audrey nigdy ich dotąd nie słyszała. Trochę ją to otrzeźwiło. Czasem podejrzewała, że bycie damą to raczej jej słaby punkt. Jeżeli Jim poprosiłaby o tym pamiętała, to oznaczało, że po prostu damą nie była. Tylko to ją mogło zmusić do milczenia. Zamilkła więc i niemal zwiesiła głowę.

Pani Cookham zaś zadawała sobie pytanie, czy mężczyzna mający cokolwiek na sumieniu mógłby być tak surowy, a przy tym pełen majestatu. Zawsze nieskora do uwierzenia w zło i jednocześnie dumna ze swego zięcia i niezwykle doń przywiązana - odpowiedziała przecząco. O ileż lepiej jest tak właśnie myśleć i pozostawać szczęśliwą, niż wszystko zepsuć podejrzeniami, co właśnie zdawała się czynić jej biedna mała córeczka. Pani Cookham przeczuwała, że nikt się nigdy nie dowie, co naprawdę łączyło kiedyś Jima z lady Frances. Prawdopodobnie ich stosunki były zupełnie niewinne, bo jeśli nie, to dlaczego się nie pobrali? Mogli to uczynić. Nic nie stało na przeszkodzie. On był kawalerem i mimo rozwodu - pani Cookham była zrazu wstrząśnięta, kiedy Audrey jej o tym powiedziała, ale trwało to tylko przez chwilę, ponieważ dzięki pogodnemu usposobieniu odzyskiwała równowagę po każdym szoku tak szybko jak chyba nikt inny - mimo to więc Fanny mogła za niego wyjść, jeśli już nie z błogosławieństwem Kościoła, to przecież absolutnie le-

galnie w urzędzie stanu cywilnego. A jednak się nie pobrali. Jim pozostał w stanie wolnym i następnie poślubił Audrey. Czym więc tu się martwić? - zapytywała córkę.

Jej córka jednak uparcie się zamartwiała.

- Istnieje coś gorszego niż małżeństwo, mamó - powiedziała niejasno, szlochając i najwyraźniej niszcząc swój obecny spokój ducha czymś, co się mogło lub nie mogło wydarzyć w odległej przeszłości.

Pani Cookham pokręciła głową. Biedactwo.

- Czy ty się nie spodziewasz dziecka? - Nie potrafiła wymyślić nic innego. I właśnie w chwili, gdy Audrey z oburzeniem zapytała, czy się już nie można zdenerwować nie będąc w ciąży, wszedł Conderley i obwieścił wyjazd Fanny. Znajdując się w stanie wzburzenia, uległa tej części swej osobowości, która nie była damą, co znalazło wyraz w tak godnym pożałowania języku, jak w chwili, gdy doradziła Jimowi, „by to powiedział głupiemu.”

Czy Jim jej to kiedykolwiek przebaczy? On, tak pedantyczny w sprawach etykiety, tak łagodny w obejściu, tak dżentelmeński w każdym calu? Być może przebaczy, ale czy zechce zapomnieć? Czy ten „głupi” będzie ich rozdzielał do końca życia jako przeszkoda nie do pokonania? Oto lady Conderley z Upswich, żona obecnego, a matka przyszłego lorda, grubiańsko podaje w wątpliwość słowa męża, polecając mu, żeby je powtórzył „głupiemu”. Gdy tymczasem nie miała pojęcia, o jakiego „głupiego” chodzi i dlaczego trzeba do niego iść i cokolwiek mu powtarzać.

Audrey szła powoli w stronę męża, pełna skruchy i lęku.

- Jim - zaczęła.

- Posłuchaj, Jim.

- Proponuję - powiedział, nie zwracając uwagi na jej bojaźliwość - żebyś natychmiast poszła do pokoju Fanny i zrobiła to, co należy zrobić.
  - Ach, Jim, a co należy zrobić? Wygląda na to, że ja robię tylko to, czego nie należy robić - zawołała żałośnie Audrey, w tym samym stopniu pokorna, jak przed chwilą była rozjuszona. Ale przecież tak bardzo, tak bardzo go kochała. Podeszła lękliwie do tego nieprzejednanego człowieka i odważyła się przyłgnąć do jego ramienia. Przytknęła doń swój policzek rozpalony do czerwoności przeżyciami tego popołudnia.
  - Dajże spokój, Audrey - powiedział nieco łagodniej Conderley.
  - Według mnie to ona się spodziewa dziecka
  - oznajmiła matka.
- Conderley wlepił wzrok w panią Cookham, a następnie spojrział w dół na ciemną, gładko zaczesaną głowę przy jego ramieniu.
- Czy rzeczywiście, moja droga Audrey? - zapytał obejmując ją ramieniem z nagłą życzliwością. - Powiedz, czy to prawda.
- Nie ma to jak dzieci - pomyślała pani Cookham, sposobiąc się do taktownego opuszczenia pokoju.
- Doprawdy nie wiem, czym byśmy bez nich byli.

## 5

Po wizycie u przyjaciół przyjemnie jest czasem wrócić do domu.

Fanny po ostatnich słowach pożegnania, po rozdaniu ostatnich uśmiechów i wymianie ostatnich po-



całunków ze skruszoną Audrey oraz, w imię godnego zejścia ze sceny, zaprosiwszy niemal wszystkich do siebie na Charles Street, odczuła tę przyjemność szczególnie silnie. Nawet gdyby w rzeczywistości nie zmierzała do domu, lecz do hotelu Claridge'a. Cudownie było wyjechać. Kiedy więc stopnie schodów, światła i machający jej na pożegnanie Conderleyowie i Cookhamowie zniknęli z tyłu w ciemnościach, Fanny opadła na poduszki oparcia, przymknęła oczy i podziękowała Bogu. Jak wspaniałą rzeczą jest nikogo nie widzieć, z nikim nie rozmawiać, nikogo nie słuchać, z nikim nie być. Nawet z Manby, która siedząc obok szofera, bezpiecznie oddzielona szklaną ścianką, nie mogła zapytać, czy jej pani nie jest zimno w nogi i czy ma podać dodatkowy pled. Ach, jak niebiańsko jest być samą, pomyślała Fanny pogrążona w ciemności i dla nikogo niedostępna, jak niebiańsko jest nigdy już nie być w Upswich.

Jeżeli jednak gość wyjeżdża z takim właśnie nastawieniem, a gospodarze pozostają w wyraźnie cierpięcniczym nastroju, to na pewno nie można mówić, że była to wizyta w pełni udana. Nikomu się jednak nie śniło, by tak ją właśnie nazwać. Audrey była o tym całkowicie przekonana, Conderleyem targały najpoważniejsze i najbardziej już usprawiedliwione wątpliwości, zaś Fanny widziała jak na dłoni, ustawicznie to sobie powtarzając, że była po prostu głupia. Była głupia sądząc, że ten biedak Jim, o dwadzieścia lat starszy i beznadziejnie wrośnięty w swoje pielesze, który widział w niej jedynie zjawę z przeszłości, może się dla niej okazać jakąkolwiek ucieczką. Staruszkowie nie mogą być ucieczką dla nikogo. Oni sami jej potrzebują, ponieważ są bojaźliwi, lękają się opowiedzialności, są gotowi doradzać kobiecie zaprzyjaźnianie się z byłym mężem, odsuwają się od

niej na bezpieczną odległość w pobliżu domu. Prawdę mówiąc, nie ma już w nich śladu *miłości*. Rzecz nie w tym, że chciałoby się ją u nich znaleźć, jednak ludzie pozbawieni tego uczucia czy choćby predyspozycji w tym kierunku chyba nie mogą być dobrzy. Kiedy miłość odchodzi z ich życia, stają się wysuszeni jak szkielety, zimni jak kamienie, obojętni, zajęci sobą, nieczuli.

Potok tych tak bardzo niesprawiedliwych refleksji, które jednak dodały jej przynajmniej otuchy i siły, urwał się, gdy Fanny minęła Ipswich, a zaraz potem zdziwiło ją, że mogła się zachować tak niegrzecznie, przerywając w podobny sposób swą wizytę; po kilku następnych kilometrach była już tym głęboko zawstydzona. Kiedy zaś mijała Colchester, poczuła szczerą skruchę i stwierdziła, że nie zna nikogo, kto by postąpił równie niegodnie. I mówić, że to ktoś jest nieludzki i nieczuły! Przecież właśnie ona była nieludzka i nieczuła wobec innych, kiedy pragnąc wyjechać za wszelką cenę, kłamała bez żadnych skrpułów. A wszystko tylko dlatego, że była znudzona i zmęczona; tylko dlatego, że jakimś głupim słowem bezmyślnie wzbudziwszy gniew Audrey, przestraszyła się, że nie zniesie jakichkolwiek scen, które mogłyby z tego wyniknąć. A przecież o tej porze na niedzielnym weekendowym przyjęciu niemal każdy ma prawo być znudzony i zmęczony. I czy większość gości nie mówi właśnie czegoś, co może wzbudzić czyjeś zdenerwowanie? Jednak inni goście, bardziej od niej obyczajni, nie wyjeżdżają rujnując obiadowe plany swych gospodarzy; inni goście nie wychodzą tylko dlatego, że grozi im siedzenie u boku majora Cookhama.

Kapryśne, egoistyczne i niewybaczone zachowanie. Cóż może uczynić, by je naprawić? Wiedziała

doskonale, że nic; wiedziała równie dobrze, że z Conderleyem nie spotka się już nigdy więcej. Fanny nie chciała się do tego przed sobą otwarcie przyznać, ale podświadomie była pewna, że tak właśnie będzie. Ten rozdział został zamknięty raz na zawsze. Zakończył się właśnie dziwaczny, krótki epilog tej historii; epilog, który nastąpił po dwudziestu latach w Upswich, i teraz to był już naprawdę koniec. Smutne. Jej życie jeszcze bardziej opustoszało. Podniecenie wywołane zrazu udanym wyjazdem zaczęło gasnąć, ustępując miejsca złości spowodowanej własnym zachowaniem, które teraz wydało się jej nadzwyczaj płaskie, bezwzględne, godne politowania.

Patrząc przez okno na przemykające za nim żywo płoty oświetlane na chwilę i natychmiast zapadające w ciemność - podobnie jak jej własne życie - Fanny próbowała zebrać się w sobie rozważając, jak absurdalne jest uleganie tak niszczącym doznaniom z powodu Jima, człowieka, bez którego od bardzo dawna doskonale się obywatła. Teraz był on już tylko miłym, niezdarnym starcem, który czyni nieudolne, rozpaczliwe wysiłki, by podążać za blednącymi z każdym dniem światełkami. A jednak mimo uświadomienia sobie tego wszystkiego, mimo przekonania, że to prawda - nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdyby tylko miała możliwość jakoś go rozwinąć, zdjąć z niego warstwę po warstwie, odkryłaby w nim jeszcze tego samego człowieka, który obdarzał ją całymi naręczami kwiatów i z bezwzględną pasją karmił jajami siewek w czasach, gdy były one właściwie bezcenne.

Mogłaby też dodać, choć wolała tego nie robić - człowieka, który żył tylko dla niej i któryomalże dla niej nie umarł. Odruchowo wykluczyła owe bardziej żalosne aspekty tej historii, bo jakże niepoważne

wydają się one teraz. Któż, patrząc na biednego, starego Jima, mógłby przypuścić, że kiedykolwiek miał on w sobie tyle wigoru, aby się niemal doprowadzić do śmierci? Dobrze więc, że go Fanny nie mogła „rozwinąć”, przez co Conderley musiał pozostać ciasno zawinięty jak mumia na następne dwadzieścia lat. Tak naprawdę to nikt nie pragnie doświadczać jakichkolwiek powtórek z życia, choćby nawet jego życie stawało się coraz bardziej samotne i puste. Tu Fanny pomyślała o jeszcze jednym swym wielbicielu (nie wytrzymała z nim zbyt długo, ponieważ gdy tylko zaczynał mówić o czymś innym niż o miłości, przestawała cokolwiek rozumieć), który uporczywie wygłaszał twierdzenie, że przeszłość jest tak samo realna jak terażniejszość i jeśli tylko Fanny spojrzy na nią pod właściwym kątem, to stwierdzi, że to, co robiła kiedyś, trwa nadal; a więc ów nudziarz utrzymywałby z pewnością, że Fanny wciąż jeszcze trzyma tamte naręcza kwiatów, że ciągle, o zgrozo, zajada jaja siejek, a biedny Jim nadalomalże dla niej nie umiera.

Doprawdy żalodne. Jeśli się w to uwierzy, można popaść w zupełny bezruch w obawie przed znalezieniem się w pułapce nieustannych powtórek. Te powtórki to zdecydowanie nic dobrego. I właśnie wtedy, gdy taką samopowielającą się kopią zaczął być Jim, wirujący w nieustannym kołowrotku obezwładniającego nabożeństwa, Fanny poczuła, że musi, jeśli chce uniknąć uduszenia, wyrwać się na oferowane jej przez Edwarda świeże powietrze lasów i łąk oraz że nie wolno jej teraz o tym wszystkim zapominać tylko dlatego, że jest zmęczoną, starą kobietą pogrążoną w ciemnościach - i ulegać jakimkolwiek sentymentom wobec Jima. Najwłaściwsza postawa, jaką zresztą chciała sobie przyswoić, powinna się wyrażać

radością z tego, że Jim pozbył się emocjonalnego obciążenia i był teraz zadowolony z siebie i ze swojej Audrey oraz że nie groziła mu samotność i nigdy nie będzie musiał zaznać tego stanu. Samotność czekała właśnie ją. W jej życiu nie było małżonka, dzięki któremu poczułaby się ważna i cudowna. Wręcz przeciwnie - po długich latach poczucia swej ważności i cudowności nagle stała się po prostu biedną Fanny. Wiedziała o tym doskonale i było to przygnębiające uczucie. W tej jednak chwili nie miało większego znaczenia. Trzeba raczej pomyśleć trochę o Jimie, tak by go rozgrzeszyć i pożegnać, a następnie ostatecznie i na zawsze o nim zapomnieć.

- Żegnaj, Jim - wyszeptała, od razu przechodząc do czynu i pochylając głowę w tym ostatnim ceremonialnym geście. - Żegnaj, drogi, kochany Jimie, którego znałam kiedyś; dziękuję ci za wszystko i niech cię Bóg ma w swej opiece.

On zaś, w zalanej ciepłym światłem jadalni w Upswich, spożywając szczególnie smaczny, przeznaczony dla Fanny obiad, przy stole ozdobionym świeżymi goździkami, pełnym kolorowych świec, zastawionym rodzinnym srebrem i pięknym, starym szkłem Conderleyów, a wszystko to dla jej uczczenia; on, siedząc w atmosferze harmonii i uczuć odzyskanych dzięki dziecku, którego, jak się potem okazało, Audrey jednak nie oczekiwała, nie miał oczywiście pojęcia, że właśnie sływa na niego jakieś błogosławieństwo, dziękczynienie i że ktoś go bezpowrotnie opuszcza; a wszystko to płynie ku memu z ciemnego i zimnego wnętrza samochodu znajdującego się gdzieś między Colchester a Chelmsford; płynie od tej, która kiedyś była całym jego życiem. Kiedy jednak wznosił swój kielich, akurat w chwili, gdy Cookhamowie wdali się w ożywioną rozmowę

o sprawach od dawna dla siebie oczywistych, i przepijał do żony, co by ją uszczęśliwiło, gdyby miała większą pewność co do dziecka - Conderley zawahał się nagle, odstawił kielich, wyglądając na zakłopotanego.

„O Boże, co ja takiego znów zrobiłam?” natychmiast pomyślała w duchu Audrey, pamiętając doskonale, że od chwili pojednania w sypialni jej konto było czyste jak kryształ; uniosła więc swoją lampkę, uśmiechnęła z nadzieją i powiedziała:

- No, Jim?

- Pomyślałem sobie tylko, że... - zaczął, znów się jednak zawahał, wyglądając na zakłopotanego.

Nigdy nie dokończył tego zdania. Nie wypił też ostatecznie za niczyje zdrowie. Ponieważ myślał właśnie o „biednej Fanny”, a myślał o niej po raz ostatni w swym życiu z uczuciem bólu.

## 6

Tego samego wieczoru w Bethnal Green, przez które miała przejeżdżać Fanny, spełniał swą misyjną posługę duchowny o nazwisku Hyslup, którym była kiedyś zainteresowana z powodu jego wspaniałego głosu i głębokiej miłości, jaką ją darzył. Trwał właśnie Wielki Post, a Hyslup żarliwie go przestrzegał.

Posługę swą spełniał przy Bunbury Mews, małej bocznej uliczce odchodzącej od głównego traktu; a wielki przyrodzony dar przemawiania oraz płomienna wiara w to, że jego wskazania są jedyną drogą wiodącą do zbawienia, z łatwością zgromadziły wo-

kół niego pobożny tłumek. Opuściwszy swe małe misyjne mieszkanie po niedzielnej mszy wielkopostnej, ubrany w sutannę i poprzedzany migotliwym krzyżem, wspiał się na krzesło dostarczone, a następnie podtrzymywane przez wiernego, i od razu rozpoczął przepięknie sączyć do uszu złaknionej biedoty otuchę, pociechę i nadzieję. Był tam policjant na służbie, który również pragnąc posłuchać Hyslupa, nie przeszkadzał wciąż rosnącemu tłumowi, jedynie pilnował, by nie rozprzestrzenił się on na główną ulicę; słowa kaznodziei trafiały bowiem do każdego serca, a zbawienia pragnie dostąpić większość ludzi.

Fanny, pokorna i w takim właśnie nastroju, w którym łaknie się zbawienia, dotarła do rogu Bunbury Mews w chwili, gdy jadący z przeciwka tramwaj stanął i zatarasował drogę jej samochodowi. Wyjrzała więc od niechcienia przez okno i ku swemu zdumieniu dostrzegła kilka metrów dalej stojącego na krześle i z zapalem gestykulującego człowieka, którego czasem nazywała w myślach miłutkim małym Milesem. W tej samej chwili z równym zdumieniem dojrzała go także Manby ze swego przedniego siedzenia.

- Przecież to jest ten Yslup - powiedziała podekscytowana do szofera, zniekształcając nazwisko duchownego - No wiesz, ten co się tak długo kręcił koło pani. - I kojarząc go sobie jedynie z porą lunchu przy Charles Street, z kwiatami, które ustawicznie przesyłał, i ciągłymi telefonami, dodała: - A to ci dopiero.

Był to jeden ze zbiegów okoliczności, jakie życie czasem gotuje człowiekowi. Zdumiona Fanny dopatrzyła się w tym natychmiast jakiegoś szczególnego znaczenia, opuściła więc okno, by lepiej widzieć i słyszeć.

To, niestety, nie pomogło, choć było oczywiste, że jej dawny wielbiciel wykazywał się wielką elokwen-

cją. Świadczyły o tym twarze słuchaczy i Fanny była zaskoczona, ponieważ pamiętała go jako człowieka z zawiązanym językiem, człowieka, który się raczej w nią wpatrywał niż rozmawiał. Kiedy jednak zaczął mówić, jakże cudownie brzmiał jego głos, jak dojmująco przenikał do szpiku kości! Przywoływał jej na myśl dojrzałe morele, rozpryskujące się figi. Gdy po raz pierwszy przerwał tę pełną miłosnej udręki ciszę, aby zapytać, czy może nazywać ją „Fanny”, wydało się jej, że nigdy nie słyszała piękniejszego imienia, a kiedy kilka dni później, stoczywszy wewnętrzną walkę, która po tej długiej niemocie była zrozumiała, wyznał jej, że ją uwielbia, te krótkie słowa wypełniły pokój niby muzyka.

Siedząc w samochodzie, Fanny przypatrywała mu się z wielkim zaciekawieniem. Oto ktoś, kto mógłby jej pomóc. Jeżeli zna tajemnicę życia wiecznego, a że tak jest, świadczy wielkie skupienie jego słuchaczy, to czemu nie miałby się tym z nią choć w części podzielić? Może w końcu właśnie religia jest tym, czego jej rzeczywiście potrzeba, choć prawdę mówiąc perspektywa znalezienia się w pozycji klęczącej nie budziła w niej zbyt wielkiego entuzjazmu. Gdyby to jednak miało zmniejszyć jej poczucie beznadziejności, gdyby dzięki temu przestała myśleć o upokarzającym upływie czasu, może byłoby warte zachodu? Zaledwie przed kilkoma minutami, kiedy jej uwielbiający szybkość szoferomalże nie wpakował się do rowu, a ona w pierwszym odruchu chciała zapukać w szybę, by go natychmiast zwolnić i poszukać kogoś bardziej rozważnego, nagle tego poniechała powodowana ponurą refleksją nad sensem troszczenia się o swoje bezpieczeństwo. Po co? Po co kobieta znajdująca się w jej skórze, pięćdziesięcioletniej i znoszonej, miałaby dbać o swoje bezpieczeństwo? Jeśli-



by więc religia mogła ją uchronić przed podobnie defetystycznymi myślami i omamić - tu miała na myśli perswazję - że wykazanie dostatecznego hartu wystarczy, by jej dusza przejęła całe, niechby nawet inaczej rozumiane piękno, którym kiedyś szczyliło się jej ciało, oraz całą, też inaczej pojmowaną, radość z tego, że się żyje, działa i do czegoś tęskni - wówczas ostatecznie mogłaby tego spróbować.

Oczywiście przy pomocy Milesa. Przyjemnie byłoby odbudować tę znajomość na wyższym duchowym poziomie, pomyślała Fanny, uśmiechając się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Okoliczności życiowe sprawiły, że jeszcze nigdy dotąd nie wznosiła się w sferę religijności. Będąc z Jimem, wspięła się ku dziedzinie poezji, pozostając tam jednak tylko tak długo, jak on jej na to pozwolił; ale wciąż jeszcze było to daleko od stanu uduchowienia. W każdym razie porozmawia z Milesem i zorientuje się, co on jej może doradzić. Dzięki charakterystycznej dla siebie łatwości, z jaką potrafiła odzyskiwać dobry nastrój, widząc teraz możliwość uzyskania pomocy, poczuła się lepiej, otrząsnęła z przygnębienia i zaczęła żywo reagować na to, co się działo na krześle. Więc taki był teraz Miles; pełen pasji i całkowicie panujący nad tłumem. Zatem po odejściu od niej odnalazł swój język. A właściwie to może ona od niego odeszła? No cóż, w każdym razie to on był tym, który znalazł się za drzwiami, a odzyskany język okazał się językiem aniołów. Wystarczy spojrzeć na skupione wokół niego pełne przejęcia twarze; popatrzeć, jak zachłannie piją każde jego słowo. Wszystko to musiało w nim tkwić już w czasach, kiedy się poznali, choć Fanny nigdy by go o to nie podejrzewała. Być może w ujawnieniu tego przeszkadzała mu jego wielka miłość do niej. Być może ona ze swej

strony nie wysilała się zbytnio, by mu pomóc w wyrażeniu swojego ja. Znajdujący się poza jej kręgiem towarzyskim, skromny, młody, poznany na bazarze duchowny otrzymał zaproszenie do jej domu tylko dlatego, że naprawdę w cudowny sposób mówił „Dzień dobry” i „Do widzenia.”

Jeśli Fanny dobrze pamięta, to nie mogła go zaliczyć do swych wielkich sukcesów. Przyjaciele brali ją na stronę i mówili: „Kochanie, jakież to miły malec, ale czemu jest tak milczący?”

Chronologicznie mieścił się on między Perrym Lanksem a tym, który twierdził, że przeszłość jest terażniejszością, i początkowo Fanny go lubiła, ponieważ w porównaniu z bystrym Lanksem wydawał się niezwykle kojący. Była w nim, lub tak się przynajmniej zdawało, jakaś dziecięca prostota, niemal ła-wość. Później ta właśnie jego cecha urosła do przyczyny znudzenia Fanny. Okazało się, że jednak szare komórki u mężczyzny, których u Milesea stwierdziła niewiele, były dla niej ważniejsze. W tym bowiem czasie Fanny zdążyła się już przyzwyczać do towarzystwa mniej lub bardziej utalentowanych mężczyzn, którym wyrywała strzępki wiedzy, gdy przechodzili wartko przez jej życie, a potem gromadziła odpryski ich myśli.

Znajomość z Milesem nie przyniosła jej żadnych tego rodzaju korzyści. On po prostu siadał i patrzył na nią w milczeniu, co po pewnym czasie zaczęło ją nużyć. A jednak przy rozstaniu rozplakała się. Na pożegnanie udzielił jej ostatniego błogosławieństwa i Fanny pamięta, że wywołane tym wielkie wzruszenie spowodowało u niej wybuch płaczu.

\*

I oto miała go teraz przed sobą; niewiarygodnie i zdecydowanie na lepsze odmienionego człowieka.

Ile to już lat minęło od czasów, kiedy tak siadywał i patrzył na nią? Pięć..., siedem? Nie, chyba więcej. Miał wówczas trzydzieści lat, a więc był mężczyzną w wieku, który zaczął ją wtedy interesować; teraz zaś, trawiony wewnętrznym ogniem i prawdopodobnie znekany przestrzeganiem postu, wyglądał na czterdzieści. Duchowni noszący sutanny mają skłonność do poszczenia. Fanny nie widziała, dlaczego ma to ze sobą związek, ale najwyraźniej tak było. Jedna z jej ciotek miała męża duchownego, który również nosił sutannę i w piątki oraz w Wielki Post prawie nic nie brał do ust. Bywał wtedy tak wściekły, że nie sposób było z nim wytrzymać w jednym pokoju. Fanny zaczęła się zastanawiać, jaki Miles może być w domu. Czy na wpół zagłodzony i wyczerpany swym oratorstwem nie wracał do mieszkania i nie spędzał zbyt wiele czasu z żoną? A może w ogóle nie był żonaty? Otaczała go aura jakiejś sugestywnej bezcielesności, która świadczyła, że jego życiowe potrzeby równały się niemal zeru. Do twarzy mu było z tą bezcielesnością. Jak sympatycznie wyglądał teraz jej drogi Miles! O wszystkich, którzy ją kiedyś kochali, Fanny myślała równie ciepło, i jeśli jej tylko czas na to pozwalał, zawsze była gotowa pozostawać z nimi na przyjacielskiej stopie; teraz zaś, patrząc znów na Milesa, bardzo zapagnęła dowiedzieć się, czy po ich rozstaniu los okazał się dla niego łaskawy. Co było treścią jego kazania wygłaszanego z taką afektacją? Czemu nie miałyby wysiąść, by podejść bliżej i posłuchać? Nic jej nie nagliło do pośpiesznego powrotu do Claridge'a, a ponieważ przez przypadek ich ścieżki skrzyżowały się ze sobą, szkoda byłoby nie skorzystać z tego w jak największym stopniu. Zapukała w szybkę i poleciła szoferowi, by wysiadł i otworzył jej drzwi.

W tej właśnie chwili ruszył ponownie tramwaj, a z tyłu zaczęły napierać inne samochody, wskutek czego powstało małe zamieszanie i szofer Fanny znalazł się w niezwykle przykrew sytuacji. Pełen szacunku dla swej chlebodawczyni, nie śmiał jej ponaglać, gdy tymczasem z przodu krzyczał na niego policjant, a z tyłu ryczały klaksony samochodów, jego pani zaś wykazując niezmacony spokój, przywykła robić to, co uznała za stosowne, niezależnie od czasu i miejsca, bynajmniej się nie spieszyła.

- Gdzież to my jesteśmy? - znieruchomiła na stopniu samochodu, by zadać to pytanie i rozejrzeć się wokół.

- W Bethnal Green - szofer z trudnością nadał tym słowom uprzejme brzmienie.

- Ach, Bethnal Green? - powtórzyła Fanny, ciągle się rozglądając, podczas gdy klaksony wyły już jak szalone. - Jedź dalej, Griffith - tak jakby to mógł uczynić. - I poczekaj na mnie gdzieś dalej. -

Następnie wraz z depczącą jej po piętach Manby ruszyła w kierunku tłumu w taki sposób, jak gdyby oczekiwała, że ludzie jej ustąpią. Tak też się rzeczywiście stało.

\*

Miles obserwował ją. W kierunku głównej ulicy zaczął patrzeć od chwili, gdy dobiegł go wszczęty przez klaksony zgiełk, dzięki czemu dostrzegł, jak wysiadając z samochodu, Fanny zatrzymała się na stopniu i na krótko górowała nad tłumem.

Fanny. Wróciła właśnie w chwili, kiedy po długim okresie gorzkich rozważań zrozumiał, jak wiele ma jej do zawdzięczenia. A właściwie wszystko. Pełen wdzięczności uświadomił sobie, do czego się przyczyniła, łamiąc mu serce. Będąc zrazu najbardziej godną politowania istotą, jaką jest usidlony przez

obcą kobietę duchowny, dzięki Fanny stanął o własnych siłach i odzyskał swój wielki dar - moc poruszania tłumu; dzięki niej także, choć może się to wydawać dziwne, mógł się teraz szczerze poświęcić Bogu.

Ucieszyło go przybycie Fanny, gdyż będzie jej mógł za to wszystko podziękować. Z zadowoleniem też zauważył, że nie odnalazł już w sobie ani odrobiny dawnego uczucia; patrzył więc na nią, kiedy się zbliżała, z tak doskonałą obojętnością, że nawet nie przerwał potoku wymowy. Oto jego siostra.

Ogromnie zmieniona i sądząc z wyglądu, niestety wyraźnie grzeszna siostra. Tym lepiej. Mógłby jej służyć pomocą. Swoje dzieło prowadzi przecież nie wśród ludzi bogobojnych, ale wśród zepsutych. Tak jak ona kiedyś pomogła jemu, odsuwając go od siebie, tak teraz on - w ostatniej, jak się wydaje, chwili - spłacając swój dług mógłby jej, tak bardzo postarzałej, wskazać drogę zbawienia.

Niespodziewana obecność Fanny stała się dla niego źródłem natchnienia. Sam czuł, że nigdy nie przemawiał tak dobrze jak teraz. Modlił się w duchu, aby przynajmniej niektóre jego słowa znalazły dostęp do ukrytych i z pewnością wypalonych zakamarków jej duszy. A Fanny rzeczywiście słuchała z wielką uwagą. Stojąc dostatecznie blisko, rozkoszowała się cudownym potokiem elokwencji płynącym z ust Milesa. Jakie to wspaniałe, myślała bezgranicznie szczęśliwa, że jego losy potoczyły się tak pomyślnie. Również i z bliska wyglądał pięknie. Post i pochłaniający go wewnętrzny żar wyszły mu tylko na dobre.

Fanny przyglądała mu się, słuchając z zaciekawieniem. Kiedyś był z lekka otyły. Może nie tyle gruby, ile pucułowaty. Dlatego właśnie nie mogła uznać, żeby był szczególnie atrakcyjny, kiedy siedział w mil-

czeniu, nie wypowiadając nawet jej imienia swym przyprawiającym o drzenie serca głosem. Jest oczywiście wielką niesprawiedliwością, że taka błahostka jak otyłość stawiała kochanka na straconej pozycji, ale tak niestety było; dla kogoś zaś, kto posiadał dar wspaniałego głosu, a także jak widać, łatwość przemawiania, popadnięcie w niemotę wskutek uwielbienia kobiety, połączone z otyłością, to po prostu klęska. Fanny była zachwycona, że Miles pozbył się nadwagi i przewyciężył niemotę, że pokonał wszystko, by jako triumfujący i natchniony znaleźć się wreszcie na tym krześle, na które w dużym stopniu wywindowała go sama.

Wszyscy ci mężczyźni zawdzięczali jej naprawdę wiele, rozmyślała Fanny, przepelniona poczuciem niemal osobistej dumy z powodu płynącego z krzesła strumienia krasomówstwa. Odchodząc z jej życia, kilkakrotnie byli przyczyną straszliwego, rozdzierającego serce zamieszania, sprawiając że czasem podejrzewała siebie o gruboskórność; tak naprawdę jednak każde takie rozstanie było dla nich początkiem czegoś lepszego i radośniejszego. Choćby taki Jim - tak bardzo zadowolony z siebie i zachwycony swą żoną. A teraz Miles. Wiedziona impulsem wyrwała kartkę z notesu i nabazgrała: *Jesteś wspaniały, Miles. Pozwól mi się z tobą spotkać. Może mogłabym ci towarzyszyć przy kolacji, kiedy już zakończysz ten cudowny występ? Gdzie zamierzasz ją zjeść?*

*Fanny.*

Karteczkę wraz z szylingiem podała stojącemu obok chłopcu, prosząc go o podanie jej w jakiś sposób panu Hyslupowi.

- Ojcu Yslupowi? - poprawił ją chłopak.

- No tak - zgodziła się Fanny.

- Temu na krześle?

- Właśnie jemu.

Przyzwyczajony do otrzymywania podczas swych oracji różnych liścików, Miles zręcznie odebrał kartkę od chłopca, zerknął na nią nie przerywając wywodu i spojrzawszy prosto na wciśniętą w przejęty tłum Fanny, uniósł rękę i przekazał jej oszczędny znak krzyża. Cała trzódka, choć nieco zaskoczona tym gestem wykonanym w samym środku kazania, przyjęła to do siebie i skłoniła głowy. Fanny jednak wiedziała, że znak przeznaczony był dla niej i zadowolona szepnęła do siebie:

- Kochany Miles.

Co to jednak mogło oznaczać? Czy że Fanny ma na niego czekać? Że chce z nią porozmawiać? A może ją w ten sposób odprawił? Ten sam gest Miles wykonał nad nią podczas żalnej sceny ich rozstania, kiedy widziała go po raz ostatni i kiedy to ona jego odprawiała. Nie, teraz on się jej nie pozbywał, zdecydowała Fanny, on ją po prostu pobłogosławił, zupełnie tak samo jak wówczas. Poczła się tymi dwoma błogosławieństwami spięta niby kłamrą, co wzbudziło w niej tak rzadkie ostatnio, a tak częste kiedyś poczucie bezpieczeństwa i spokoju.

Czekała zatem pełna przyjaznych uczuć dla Milesa. Ponieważ jednak miała się z nim za chwilę spotkać, przede wszystkim pomyślała o własnym wyglądzie. Nie była pewna, czy to będzie niestosowne lub naganne, jeśli otworzy torebkę i zajmie się swą twarzą. Tylko trochę pudru, żadnego różu ani czerni. W końcu to jest zgromadzenie na otwartym powietrzu, nie w kościele. Mogłaby się schować za tego mężczyznę przed nią i schylić nieco głowę.

Miles jednak zdawał się być wszędzie i nic nie uszło jego uwagi. Gdy bowiem ukryta za stojącym

przed nią człowiekiem, stwierdziwszy w lusterku, jak zatrważający jest stan jej twarzy, zaczęła z niezwykłą starannością i w przekonaniu, że jest niewidoczna, nakładać sobie puder - on w swym kazaniu, przemówieniu, wykładzie czy cokolwiek to było natychmiast podjął wątek ladaczniczy. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż prędzej czy później każdy duchowny przechodzi do tego tematu, ale jego uwagom towarzyszyły jak na komendę skierowane na nią spojrzenia otaczających ją ludzi. Ten niewątpliwy zbieg okoliczności niezwykle rozsierdził Manby, która rozejrzała się wokół piorunującym wzrokiem i przyciszonym z powodu bliskości kościoła głosem powiedziała wyraźnie, pragnąc wykluczyć jakiegokolwiek nieporozumienia:

- Jaśnie pani nie powinna się zadawć z takimi jak tu.

- Uspokój się - skarciła ją Fanny, z jednej strony przywykła do tego, że przyciąga ludzkie spojrzenia, z drugiej zaś pewna, że nie jest ladaczną. Nie ma więc powodu do zdenerwowania. - Pozwól mi słuchać. - I wróciła do swych zabiegów, trudno bowiem zostać z upudrowaną tylko jedną stroną twarzy, a jednocześnie słuchała tego, co mówił Miles.

A to, co mówił, było cudowne. Cokolwiek wypowiadał tym wspaniałym głosem, stawało się natychmiast ważne i piękne; do tego ta pasja i głębokie przekonanie do własnych racji. Cała jego postać dosłownie drżała. Wszystkie grzeszne kobiety, ladacznicze, szynkarki, cudzołżnice dzięki jego dotknięciu stawały się czyste jak kryształ. Mając do czynienia z artystą, same stawały się postaciami w najwyższym stopniu fascynującymi, pomyślała Fanny. Jego szynkarki były niezwykle nastrojowe, jego cudzołżnice - to sama muzyka. Kiedy Miles zaczął mówić o tych ostatnich, najbliżsi sąsiedzi Fanny znów próbowali na nią popatrywać,



powstrzymał ich jednak złowrogi wzrok Manby, która trzymała teraz rękę na pulsie. Ich spojrzenia nie przeszkadzały Fanny, nie dbała też o to, co sobie o niej myślą. Niech patrzają - mówiła do siebie, pilnie się pudrując - niech myślą, co chcą. Nigdy nie cudzołożyła, więc o co chodzi? Niemądra ta Manby. W takich sprawach służący zawsze wykazywali głupotę bojąc się, że ich dobre imię może doznać uszczerbku. Biedacy. Tracą tyle radości, i nie tylko radości, lecz czegoś tak cudownego jak poezja, jak promienne złudzenia. O ileż bogatsi byliby w przeżycia, gdyby choć trochę zrozumieli anielską prostotę rozkosznej, subtelnej miłości, miłości nie poprzedzanej całą tą wrzawą prawnego sankcjonowania i zawierania nienaruszalnego kontraktu przed ołtarzem; rozkosznie tajemniczej miłości, która jeśli się nawet kończy łzami, może być najgorętszym i opartym na głębokiej przyjaźni doznaniem w życiu. W rzeczy samej, mimo swego całego doświadczenia, Fanny chwilami powątpiewała, czy dwoje ludzi może być przyjaciółmi, prawdziwymi, bliskimi i nieskrepowanymi przyjaciółmi, nie będąc uprzednio kochankami. Trudno jednak oczekiwać, żeby Manby zdołała to pojąć.

Skończywszy z twarzą, zamknęła puderniczkę, wsunęła ją do torebki i była gotowa do odśpiewania końcowej pieśni, co uczyniła z wielką przyjemnością, ponieważ śpiewała ją często jeszcze jako dziewczynka, a słowa i melodia tego hymnu przypomniały jej słoneczne dni dzieciństwa, kiedy to jeszcze nie wiedziała, czego ostatecznie doświadczy w życiu dzięki swej urodzie.

Fanny była naprawdę bardzo zadowolona. Spędziła nadzwyczaj miłe, a dla niej również niezwykle, pół godziny; teraz zaś - kiedy po odebraniu ostatniego błogosławieństwa rozpuszczony tłum rozchodził się

opornie - odruchowo wygładziła futro i bezwiednie poprawiła kapelusz, a wszystko to w związku z kolacją, którą miała zjeść w towarzystwie czystego, mądrego i o niebo lepszego Milesa.

\*

Było to krótkie przywitanie. Z jej strony - ciepłe, z jego - pośpieszne. Zaraz też poprowadził ją w kierunku swojego mieszkania.

Manby podążała za nimi. Nie było to polecenie Fanny, ale służąca nie zamierzała w takim miejscu spuszczać swej pani z oka. Poza tym nie ufała Yslupowi - w myślach pozbawiała go zarówno początkowego „H”, jak i dodatku „pan”. Czuła, że on nie może być prawdziwym dżentelmenem, bo człowiek, który kiedyś siadał za stołem w domu przy Charles Street, nie powinien wystawać teraz na krześle w Bethnal Green. To był upadek, a Manby nie chciała mieć z tym nic wspólnego i obserwowała z niepokojem, jak jej pani oddała się z kimś takim, przyjaźnie z nim gawędząc. Szła więc za nimi, zapytując sama siebie, co z tego wyniknie, podczas gdy spotykani ludzie usuwali się na ich widok z szacunkiem i głęboką powagą, co odnosiło się również do Manby.

- Czy domyślasz się, Fanny, co oni wszyscy sobie teraz wyobrażają? - zapytał Miles, odpowiedziawszy z namaszczeniem na kilka uniżonych pozdrowień.

- Nie wiem, a ty wiesz?

- Oczywiście że tak. W moich parafianach czytam jak w otwartej księdze. Oni myślą i mają nadzieję, że ja cię ocale.

- To dlatego spoglądają z takim niesmakiem?

- Nie jest ważne, w jaki sposób patrzą - odparł krótko.

- No cóż, mój miły... - Miles zamrugał na dźwięk

słów, które kiedyś otwierały niebiańskie rozkosze.

- To byłoby zachwycające, gdyby było prawdziwe.

- Być ratowaną to nic zachwycającego, Fanny

- powiedział karcąco.

Nie zaszli jeszcze zbyt daleko, a już Fanny kilkoma wypowiedziami, które zasłużyły na jego przyganę, spowodowała, że rozmowa zupełnie się nie kleiła; były to słowa, które raczej burzyły niż budowały. Jak niewiele się ona zmieniła, myślał Miles. Poza wyglądem, dla którego jedynym właściwym określeniem jest „ruina”, nie zmieniła się zupełnie, a upływający czas najwyraźniej ani trochę jej nie utemperował. Ciągłe to samo lekkomyślne zadufanie, że jeśli go pochwali, to on musi natychmiast wpaść w zachwyt; ta sama niezdolność do zachowania powagi, którą obserwował przy Charles Street, charakterystyczna zresztą dla wszystkich spotykanych w jej domu niemądrych kobiet. Słowem Fanny wciąż jeszcze należała do Charles Street, podczas gdy on wywodził się już wyłącznie z Bethnal Green.

- No dobrze, jeśli ci się nie podoba „zachwycające”, niech będzie „cudowne” - powiedziała patrząc nań z uśmiechem. Ta biedaczka nie powinna się uśmiechać, pomyślał Miles, bo za każdym razem pojawia się inny układ zmarszczek. - To by było cudowne, gdybyś mnie ocalił, Miles. Proszę cię, spróbuj. Nie zdziwiłabym się ani trochę, gdyby ci się to udało. Jestem pewna, że ty potrafiłbyś przekabacić każdego.

- To nie ma nic wspólnego z przekabacaniem, Fanny - zganiał ją ponownie. - Kapłan nie przekabaca. On się modli, a łaska spływa z góry.

Przeprosiła go, choć uczyniła to tak bez troski, jak gdyby jego karcenie zupełnie jej nie obchodziło.

- Dzisiejszego wieczoru używam samych niewłaściwych słów - powiedziała, nie sprawiając zupełnie

wrażenia, że tak rzeczywiście myśli, co również nie uszło uwagi Milesa. Fanny zaś zastanowiła się, czy on, choć tak bardzo wychudzony zewnątrz, nie pozostał wciąż pucułowaty wewnątrz. Myślała o jego umyśle. Wywatowanym mózgu.

Jej przeprosiny przyjął skinieniem głowy.

- Jeżeli nie poczyniłaś poważnych postępów - powiedział - w dziedzinie religii od tamych czasów, kiedy do ciebie wpadałem z wizytą - co za dziwaczne określenie ich znajomości, pomyślała Fanny - to jesteś jeszcze ciągle w „zerówce” i w związku z tym masz skłonność do błędzenia.

- Czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, co oznacza „w zerówce”? - poprosiła na pozór potulnie, ale on nie miał wątpliwości, że Fanny nigdy taka naprawdę nie była. Nie leżało to w jej naturze. Uprzejma - tak, może nawet zbyt uprzejma, co się później okazało tragiczne w skutkach, kiedy się jej dał wyprowadzić w pole. Ale nigdy potulna.

Wyjaśnił, że chodzi tu o poziom zbliżony do zera.

Zapytała więc, czy według niego pod względem rozwoju duchowego ona wciąż jeszcze nie wyszła ze żłobka.

- Z bożego żłobka, Fanny - odparł, po czym przez pewien czas milczał.

Odczuwał przyjemność nazywając ją nadal „Fanny”, imieniem, które rzadko ośmielał się wymawiać; pozwoliło mu to zrozumieć, jak bardzo zmieniła się sytuacja. Kiedy tak szli ramię przy ramieniu, a każda kolejna latarnia dostarczała mu innego obrazu jej twarzy, Miles nie bez trudności zwalczył pokusę, żeby sobie pogratulować. Byłoby to bowiem z jego strony nieludzkie. Do tego jeszcze jej wiek. Kiedy do niej wpadał z wizytą, nie miał najmniejszego pojęcia, o ile jest ona od niego starsza. Było to wówczas

niezauważalne. Teraz uderzyło go, że on sam przeżywał właśnie najlepsze lata dla mężczyzny, podczas gdy ona osiągnęła wiek najgorszy dla kobiety. A jak różne zajmowali dziś pozycje! On stał się świadomym narzędziem boskiego miłosierdzia, podczas gdy ona... no cóż, choć nie miał ochoty nazwać po imieniu tego, czym stała się ona, to z pewnością wymagało to wielkiego rozgrzeszenia. Jeśli więc z woli Boga właśnie on miałby być narzędziem, które doprowadzi tę dawną piękność do tronu przebaczenia, uznałby to za najcudowniejszą chwilę w swej karierze duchownego.

\*

Na razie jednak widział, że Fanny jest jeszcze daleka od stanu pokory. Spojrzała na niego z uśmiechem, gdy mówił o bożym żłobku, i nie powiedziała ani słowa. Uśmiechnęła się niemal tak, jakby coś rozważała, choć trudno ją o taką rzecz posądzać. Czyżby więc zupełnie nie zdawała sobie sprawy z ogromnej zmiany, jaka zaszła w relacji między nimi? Beztroska pewność siebie przebijająca z jej zachowania pozwalała przypuszczać, że Fanny ciągle jeszcze uważa go za swego niewolnika. To dziwne, że próżność, jaka towarzyszy wielkiej urodzie i jest do wybaczenia, a w każdym razie można ją zrozumieć, gdy to piękno jeszcze trwa; że ta próżność nie znika wraz z wiekiem. Biedna, wytracona z równowagi i szybko starzejąca się kobieta. Tak bardzo jej współczuł. Nie mogła sobie nawet pozwolić na uśmiech, który jeszcze bardziej ją postarzał. Jednak mimo współczucia jeszcze tego wieczoru będzie musiał wyjaśnić, jak rzeczywiście sprawy stoją. Uczyni to dziękując jej z całą powagą i z głębi serca za to, co dla niego zrobiła przed laty, wyzwalając go z zawstydzających więzów. Już samo podkreślenie skan-

daliczności tych więzów i wyeksponowanie jego radości, gdy się ich pozbył, musi jej dać wyraźnie do zrozumienia, jak rzeczywiście sprawy stoją.

- Nie śpiesz się tak - Fanny przerwała mu te rozmyślenia, które przyśpieszyły jego krok.

- Przepraszam cię - powiedział zwalniając, choć zupełnie nie podobał mu się sposób, w jaki wydała mu ten niemal rozkaz.

Ciągle ta sama wyniosła piękność, pomyślał, czując zwykłe przyziemne rozdrażnienie. W dawnych czasach miała zwyczaj wydawania mu poleceń, by zrobił to czy owo, a on z nieopisanie upokarzającą gorliwością rzucał się, by to wykonać. Jednak te czasy minęły bezpowrotnie, rozważał Miles, i przyszła pora, kiedy Fanny mogłaby przynajmniej dodać „proszę”.

- Nie pomyślałem, Fanny, że może nie jesteś w takiej formie jak kiedyś - powiedział.

Nie wzięła mu tego za złe i tylko się uśmiechnęła.

- Tak - odpowiedziała. - Brakuje mi także paru innych przyjemnych rzeczy, które kiedyś miałam.

Przykro mi to mówić. Ale jest też coś, co odczuwam *znacznie* silniej niż przedtem: to radość z tego, że cię widzę, Kochany Milesie.

Kochany Milesie. Kolejna czułość. I to gorące oświadczenie, że jego widok cieszy ją bardziej niż kiedykolwiek.

Zdecydował, że najrozsądniej będzie puścić to mimo uszu. Wiedział, że często najlepiej jest udać, że się czegoś nie słyszy, nie widzi, o czymś nie wie; zaczął jej więc opowiadać z rozmyślną wyrazistością o swych ślubach czystości, o swym całkowitym poddaniu się religijnemu trybowi życia, z całym związanym z tym ubóstwem i ograniczeniami, i o tym, że domowe sprawy prowadzi mu jego siostra, która

również ślubowała celibat, choć on chwilami, obserwując ją, odnosi wrażenie, że to chyba nie było potrzebne.

- To moja rodzona siostra - powiedział - ale przecież i ty, Fanny, jesteś moją siostrą.

- Doprawdy? To mi się podoba - odpowiedziała.

- To taki przyjemny, przyjacielski związek. O wiele bardziej wartościowy niż ten nasz dawny... to znaczy

- dodała widząc, że Miles pochmurnieje - niż wtedy kiedy wpadałeś do mnie z wizytą. - Pomyślała przy tym, że Miles w roli brata-kapłana mógłby być bardzo pożyteczny w jej zmaganiach z Jobem, udając się na przykład na Charles Street, by go uspokoić.

- Mam ich wiele - powiedział Miles z westchnieniem, które natychmiast stłumił.

- Wiele czego?

- Sióstr.

- To twoi rodzice byli tacy płodni?

- Wszystkie ubogie i cierpiące kobiety są moimi siostrami - powiedział chłodno; bowiem mimo że sam ustawicznie zalecał płodność małżeństwom ze swej trzódki, to jednak z jakiegoś powodu określenie to w odniesieniu do jego rodziców wydało mu się niestosowne.

- Ach tak? - zapytała Fanny nieco rozczarowana; ponieważ być jedną z tłumu nieszczęśliwych kobiet, upatrujących w Milesie jedyne człowieka, który poświęci im swój czas i pomoże w sprawie ich własnych Jobów - to już nie wyglądało tak dobrze.

- Ależ kochanie - na to określenie Miles zmarszczył brwi. - Ja nie jestem ani uboga, ani cierpiąca, jestem całkiem bogata.

Miles przez chwilę milczał. Przystanął pod latarnią, by zajrzeć Fanny w twarz, podczas gdy zbliżająca się grupa przechodniów zrobiła dla nich miejsce, schodząc z uszanowaniem na jezdnię.

- Bogata? - zapytał. - Uważasz się za bogatą? Pozwól sobie powiedzieć, że jesteś prawdziwie uboga. Nawet to wydało się jej sympatyczne. Ile w nim zrozumienia. Jednak nie jest wywatowany od środka. Przez ubóstwo rozumiał jej wygłodniałą duszę, jej niespokojny, błądzący po omacku umysł i jej serce z wolna wysychające po odejściu nawet Dwighta - wszystko, co osobie kończącej pięćdziesiąt lat zaczyna sprawiać kłopoty. Miles odgadł to dzięki swemu instynktowi. Żyjąc w czystości, rozumowała Fanny, prawdopodobnie rozwinął w sobie kobiecą intuicję. Takie rzeczy zdarzają się nawet w świecie zwierząt. W każdym razie Manby miała kiedyś kocura, którego musiała wykastrować, a ten pierwsze co zaraz potem zrobił, to się okocił.

Zadowolona uśmiechnęła się do Milesa, podczas gdy światło latarni bezlitośnie zalewało jej twarz.

- Cieszę się - powiedziała.

- Cieszysz się? - powtórzył zaskoczony. - Czy ty chociaż rozumiesz, o czym ja mówię?

- Oczywiście. O tym, że jestem biedną, błądzącą, mniej lub bardziej zagubioną duszą. - To zadziwiający, pomyślał, jak wiele kobiet lubi mówić o sobie jako o biednych i zagubionych duszach. - I że zamierzasz mi pomóc. Wiesz, że możesz to uczynić, Milesie. Nie myślę tu jednak o sprawach religii. Chodzi o Joba. On zadręcza mnie na śmierć. Trzeba koniecznie coś z nim zrobić.

\*

Miles patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. Kto to jest Job? Szukając w pamięci, nie znalazł żadnego Joba. Ponieważ jej małżeństwo zakończyło się na długo przed ich poznanie się, a on sam nie miał zupełnie dostępu do jej świata, więc nigdy nie słyszał o Jobie. To znaczy o Jobie jako takim. Wiedział



bowiem, że w życiu Fanny był jakiś Skeffington, bo skąd by się u niej wzięło to nazwisko. Wiedział też, że ten Skeffington był grzesznikiem, od którego Fanny była zmuszona odejść; Miles nigdy jednak nie kojarzył go z jakimkolwiek Jobem.

- Kto to jest Job? - zapytał więc, przyglądając się okrutnie oświetlonej przez latarnię twarzy. Patrząc tak na nią i przypominając sobie jej dawne piękno, doszedł do wniosku, że ma przed sobą rzeczywiście biedną, błędzącą i zgubioną duszę, a wzięwszy pod uwagę jej wytworny ubiór i lśniący samochód - również trywialną duszę, która traci czas na tuszowanie swego zniszczenia, jakie zostało po dawno minionej miłości, tą godną pożałowania fasadą z farby i gipsu. Tak, jest zdecydowanie trywialna. Trywialna, nonszalancka i przesiąknięta doczesnością. W każdym razie zdecydował stanowczo, że zanim cokolwiek zrobi, by jej pomóc w dojściu do Boga, ona będzie musiała zmyć twarz.

- Mój kochany - powiedziała ubawiona jego pytaniem; a on nie cierpiał, gdy go tak nazywała. - Jakie to pokrzepiające, że ktoś tego nie wie. - Miałam kiedyś męża o tym imieniu. Nie mogę jednak opowiadać o nim szczegółowo tu, pod latarnią. To temat dobry do omawiania pod dachem. A więc teraz rusz się i porozmawiamy o tym u ciebie.

„Miałam kiedyś męża o tym imieniu.” Nieuleczalna nonszalancja. I to „rusz się” - niczym do małego chłopczyka albo psa.

Miles ruszył więc, ponieważ nie miał innego wyjścia, choć uczynił to z niechęcią. Fanny najwyraźniej nie miała najmniejszego pojęcia o jego obecnej pozycji i ważności - pomyślał o tym z najgłębszą pokorą, przypisując to wyłącznie bożej łasce. A przecież stała tam w tłumie poddając się powodzi jego

słów, których, wiedział o tym dobrze, nie słyszy się codziennie. Miles miał świadomość, że dzięki boskiej pomocy osiągnął niezwykle wysoką pozycję wśród oratorów i gdyby na przykład wykorzystał ten dar w dziedzinie polityki, to droga do każdego bez wyjątku stanowiska stałaby przed nim otworem. I czy wówczas, zastanawiał się Miles, Fanny odezwałaby się na przykład do premiera tak samo arogancko, jak uczyniła to w stosunku do w gruncie rzeczy bardziej godnego szacunku kapłana: „Rusz się”?

Fanny zaś, z niezmaconą, choć nad wyraz irytującą, pogodą ducha „ruszyła się” sama, licząc na to, że on za nią podąży. Przywykły już od lat do głębokiego szacunku i czci ze strony otoczenia, do tego, że gdy tylko się zatrzymywał, wszyscy robili to samo, a kiedy zamierał w bezruchu, nikt nie śmiał nawet drgnąć - patrzył teraz na Fanny z rozdrażnieniem, jakie nie przystoi duchownemu, co sobie z bólem uświadomił, lecz w żaden sposób nie potrafił się opanować. To prawda, że jego parafianie znali go tylko jako swego boskiego pasterza, jako przewodnika i przywódcę w pokonywaniu wysokiej stromizny wiodącej ku niebiosom i nigdy go nie widzieli, jak upodlony namiętnością leży u stóp kobiety. Fanny, niestety, widywała go często w takiej sytuacji. Z każdą kolejną coraz bardziej rozdzierającą wizytą obserwowała u niego rosnące upokorzenie i wzmagającą się namiętność; zachowywał się niczym niewolnik błagający o dowody swego poniżenia, jak pies dyszący w oczekiwaniu dobrego słowa. Pełen gorzkiego wstydu musiał więc przyznać, że z jej punktu widzenia istnieje pewne usprawiedliwienie dla takiego bezmyślnego zachowania. Ale jeszcze tego wieczoru Fanny przejrzy na oczy. W zdjęciu łusek z jej powiek pomoże mu siostra, która przebywając z nim przecież na co dzień,

zna doskonale jego pozycję. Tymczasem jednak nie pozostawało mu nic innego, jak tylko po raz ostatni ulec bałamutnemu, pełnemu arogancji kobiecemu rozkazowi - i „ruszyć się”.

Podążył więc za nią pełen wewnętrznego wzburzenia, choć na pozór spokojny. To samo uczyniła Manby, która trwała w oczekiwaniu pod inną latarnią, powtarzając od czasu do czasu pytanie, jakie często sobie zadawała podczas swej służby u Fanny: „Co dalej?”

\*

Kiedy dotarli do mieszkania Milesa, obecność Manby stała się kłopotliwa. Miles nie wiedział o niej aż do chwili, kiedy u szczytu pokrytych linoleum schodów odwrócił się do Fanny, by ją ostrzec, że musi jego mieszkanie, jego siostrę i kolację wziąć takimi jakimi one są - zastanowiła się, czy może być inaczej - i wówczas dostrzegł, że na dole ktoś stoi.

Była to skromna, przysadzista postać w czerni, najwyraźniej towarzysząca Fanny. Niewątpliwie jej służąca. Jeden z tych rozpuszczonych pasożytów, które obsiadają bogate i zepsute kobiety. Jak kleszcze na psie. Napęczniałe z przesyty.

Ponownie wpadł w irytację. Dziwne i dręczące było to dla Milesa, który tak bardzo wierzył, że zdołał już pokonać swoją słabość i że z boską pomocą potrafi zachować pogodę ducha, co w ciągu ostatniego kwadransa kilkakrotnie mu się nie udało; prawdę powiedziawszy jego wzburzenie, od początku ich spaceru, trwało nieprzerwanie. A teraz jeszcze ta służąca. Cóż można doprawdy zrobić ze służącą wielkiej damy w takim jak jego mieszkaniu, gdzie gotowanie odbywa się na maszynie gazowej stojącej w kącie pokoju, gdyż nie ma tam kuchni, w której ta kobieta mogłaby usiąść i poczekać? Fanny była bez

wątpienia grzesznicą, jego siostra przyjmie ją więc z otwartymi ramionami, ponieważ jej rolą jest tak właśnie witać w domu grzeszne kobiety, gdy tymczasem nawet ze znacznej odległości widać jak na dłoni, że ta służąca wiodła życie bogobojne.

Ani on, ani jego siostra nie mogli interesować się istotami bezgrzesznymi czy też poświęcać im swego czasu, ponieważ ich posłannictwem było niesienie światła, które by rozjaśniało ciemności, a jeśli tych ciemności nie ma, to strata czasu jest oczywista. Poza tym Miles od razu zauważył, że służąca jest gruba, a więc na pewno nie ma zwyczaju pościć, jeśliby więc weszła na górę, musiałaby usiąść razem z nimi w jego małym saloniku i uczestniczyć w kolacji, to z całą pewnością by jej nie pochwaliła. A Miles dokładnie wiedział, co ma być na kolację. W każdy bowiem niedzielny zimowy wieczór bywało to samo: półmisek ziemniaków w mundurkach, sałatka z ćwikły i puszka sardynek, która choć im dwojgu wystarczała aż nadto, ponieważ siostra prawie ich nie jadła, to dla trojga byłaby już za skromna, a o czterech osobach lepiej nie mówić. Ktoś musiałby się więc poświęcić, a ponieważ, jak wiadomo, *noblesse oblige*, nie byłaby to służąca.

Miles na próżno starał się nie myśleć o podobnie przyziemnych sprawach, ale był tak zmęczony i tak bardzo złaknięty pożywienia, że myśl, iż ktoś mógłby pozbawić go większej części kolacji, była dla niego zbyt bolesna. W ciągu całego tygodnia przestrzegał surowego postu, a dopiero dziś, w niedzielę, w dniu, do którego starał się nie tęsknić, mógł sobie pozwolić na zjedzenie czegoś więcej. Stwierdził z ubolewaniem, że jest lichym, niewytrwałym postnikiem. Słyszał kiedyś, że jeśli się nie je, a tylko pije wodę, to można osiągnąć stan zupełnej obojętności

wobec jedzenia. Czy zatem on, Miles, nie powinien dążyć do takiego stanu? Czy nie jest wskazane, by rozpoczął stosować tak wielkie ograniczenia, że z jego życia zniknie wszelki komfort, z wyjątkiem szklanki wody trzy razy dziennie?

Aż się skurczył na myśl o tak przytłaczającym przedsięwzięciu. Tego przynajmniej wieczoru nie zniósłby już ani jednej próby więcej. Musi zjeść swoją kolację. Cokolwiek się będzie działo w przyszłym tygodniu, on musi jeszcze tym razem zjeść swoją kolację. Nie można jednak pozwolić na to, by w czasie, kiedy ją będzie spożywał, służąca stała na dole w zimnym korytarzu czy też na podeście, gdzie nie było nawet tyle miejsca, żeby się obrócić ani na czym usiąść. Miles stanął więc wobec konieczności zaproszenia jej do mieszkania. Będzie prawdopodobnie musiał patrzeć, jak ona pochłania większą część jego kolacji. I ze ściśniętym sercem, choć wiedział, że serce kapłana nie powinno ulegać takiemu zjawisku, wyjmując klucz do drzwi rzekł do Fanny:

- Wydaje mi się, że na dole jest twoja służąca.

- Co? Manby? - zawołała wychylona za poręcz schodów Fanny, wpatrując się w ciemność na dole.

- Czy jaśnie pani mnie wołała? - natychmiast odpowiedziała Manby pełnym szacunku, choć zdecydowanym głosem.

\*

Manby. To imię uderzyło w Milesa niby obuchem. Zapomniał o swoim głodzie. Manby. Ta kobieta jest wciąż przy Fanny.

Pamiętał ją doskonale i poczuł piekącą świadomość, że ona musi go pamiętać równie żywo. Nigdy nie zamienił z nią słowa, lecz znał ją dobrze. Widział ją kilka razy w czasie tego zawstydzającego okresu swego zniewolenia, kiedy wzywana przez Fanny

przynosiła jej chusteczkę lub coś innego, zawsze w najbardziej niefortunnej dla niego chwili, albo kiedy wychodziła z jadalni, gdzie rozstawiała kwiaty na kolejny z licznych proszonych obiadów. Jednak tego ostatniego, strasznego dnia, na którego wspomnienie cierpła mu skóra, wyszła stamtąd akurat w chwili, gdy on, potykając się, zbiegał ze schodów, zalany łzami i przepelniony jedynym pragnieniem, aby opuścić ten dom niepostrzeżenie. A tymczasem to właśnie ona stała i patrzyła na niego. Przypomnienie tej przerażającej sytuacji, wstrząsu, jaki wówczas przeżył, wciąż jeszcze paliło go żywym ogniem.

Na dźwięk jej imienia ta bolesna scena znów wyłoniła się z przeszłości. Tego wieczoru miał się odbyć proszony obiad, więc Manby, której talent do układania kwiatów był już od dawna znany i wykorzystywany przy takich okazjach, skończyła właśnie w jadalni rozstawiać efekty swej pracy i wyszła do holu w chwili, gdy on, potykając się, zbiegał ze schodów.

Zdumiona widokiem pędzącego na oślep duchownego, Manby stała i patrzyła z wytrzeszczonymi oczami. Wiedziała, co to mogło oznaczać i właściwie nie powinno jej nic dziwić, ale był to pierwszy duchowny, który się znalazł w tej tak znanej jej sytuacji i prawdopodobnie zestawienie jego koloratki z tymi okolicznościami sprawiło, że stanęła jak wryta.

On zaś, ujrawszy wyraz jej twarzy, doznał nagłego i upiornego olśnienia, że Manby była świadkiem, jak wychodzono stąd w ten sposób już w przeszłości. Oślepy od łez i upokorzenia, nie mógł odnaleźć kapelusza i wówczas Manby podeszła, pomogła odszukać to nakrycie i w końcu sama nasadziła mu je na głowę.

Nie, miał nadzieję, że już nigdy więcej nie ujrzy Manby na oczy.

\*

- Będzie lepiej, jeśli poczekaś na mnie w samochodzie - zawołała Fanny z góry.

- Tak, znacznie lepiej - rozległ się mocny, dojrzały i tubalny głos Milesa.

- Nie trafiłabym do niego, proszę jaśnie pani - wyjaśniła z dołu Manby z szacunkiem, ale zdecydowanie, gdyż na widok ciemnych schodów, które wydzielały nawet inną woń niż normalne schody, postanowiła, że się nie ruszy, dopóki jej pani stamtąd nie wyjdzie.

Właśnie w tej chwili panna Hyslup, słysząc rozmowę, uchyliła drzwi i wysunęła mizerną, poszarzałą twarz.

- O co chodzi, Miles? - zapytała i otworzyła szerzej drzwi ujrawszy brata.

Miles zwrócił się do Fanny.

- To moja rodzona siostra - wyjaśnił przedstawiając je sobie. - A to, droga Muriel, - ciągnął dalej, biorąc za rękę Fanny - jest moja siostra w Bogu.

- Ach tak - powiedziała Muriel. Co dalej? - pomyślała Manby.

\*

Panna Hyslup była krótkowidzem i w słabym świetle nie widziała Fanny zbyt dokładnie; odebrała jedynie wrażenie wielkiej urody i wysmukłej elegancji. Futro. Jasne włosy. Blask pereł. Zapach fiołków.

Stała, przyglądając się jej niepewnie. Siostry w Bogu, które Miles zazwyczaj przyprowadzał do domu, w najmniejszym stopniu nie przypominały tej tutaj; były to ubogie, żalosne stworzenia, które potrzebowały jedynie natychmiastowego posiłku, następnie ciepłego miejsca przy ogniu, by się wysuszyć, później

jakiejś porady, wreszcie - błogosławieństwa wraz z numerkiem do przychodni lekarskiej. Panna Hyslup wiedziała, jak z nimi postępować i rozmawiać; co jednak począć z kimś, kto tak zdecydowanie nie wymaga żadnej pomocy, jak ta osoba na podeście schodów?

- Ale pani jest szykowną damą - powiedziała patrząc na nią zażenowana i pełna wątpliwości. - W jaki sposób stała się pani jedną z jego sióstr w Bogu?

- To się chyba stało zupełnie niespodziewanie

- powiedziała z uśmiechem Fanny. - Tam, na ulicy.

- Ach, rozumiem, na ulicy - nagle dla panny Hyslup wszystko stało się jasne. No cóż, czeka ją trudne zadanie. Będzie to jej pierwsze doświadczenie z zamożną siostrą i tylko zachodziła w głowę, co taka osoba mogła robić na ulicach Bethnal Green; ale to nie jej sprawa; skoro Miles przyprowadził do domu kogoś wymagającego pomocy, to trzeba jej udzielić.

Zebrawszy się w sobie, na ile tylko mogła, ponieważ była porządnie wystraszona, podjęła ryzykowne obowiązki gospodyni-wybawicielki, ujmując Fanny za rękę. To się mieściło w ramach jej pracy: brać te biedaczki za rękę - można przecież nosić futra, a ciągle być biedaczką; tak jak nosząc szlacheckie insygnia, można nadal nie wywyższać się nad innych

- w geście powitania, które powinno być ciepłe przynajmniej na pozór. Niezbyt panując nad nerwami, uścisnęła więc trzymaną dłoń, zaś Fanny, która zawsze na życzliwość odpowiadała życzliwością, serdecznie odwzajemniła tę pieśczętę.

To jeszcze bardziej pogłębiło zdenerwowanie panny Hyslup. Przecież to ona jest od tego, by rozdzielać uściski, a nie, by je przyjmować. Zdarzało się, że czasem na zakończenie rozmowy składała pocałunek na jakimś bladym policzku, który to biernie przy-



jmował, ale nigdy nie próbowano się odwzajemnić; gdyby się stało inaczej, byłaby tym niepomiernie zdziwiona. No cóż, widocznie futro prawdopodobnie sprawia, że inne jest też zachowanie; ale nie jej o tym sądzić. Z niejakim wysiłkiem, by się jakoś utrzymać w swej roli, powiedziała nieśmiało, ale stanowczo:

- Bardzo się cieszę, że panią widzę - i pociągnęła przybyłą do pokoju, przysunęła trzecie krzesło, poprosiła o rozebranie się i spokojnym, ale niezwykle gościnnym tonem wyraziła nadzieję, że Fanny jest głodna. - Ponieważ - powiedziała - właśnie zamierzamy zasiąść do kolacji.

Na razie wszystko szło dobrze. W ten właśnie sposób panna Hyslup traktowała biednych i wyglądało na to, że i tym razem metoda okazała się skuteczna, ponieważ Fanny posłusznie zdjęła futro, rozpylając na pokój woń tysiąca fiołków. Świeżych fiołków, a panna Hyslup obawiała się, że fiołków grzesznych, lecz jakże słodkich w zapachu - odwróciła więc głowę, by nie odczuwać zbyt wielkiej przyjemności w ich wachaniu. Jakie to smutne, myślała, jakie smutne, *smutne*, że te cudowne owoce boskiego tworzenia używane są jako zapłata za prowadzenie się, którego panna Hyslup nigdy nie pozwoliła sobie nawet dokładnie wyobrazić. A wszystko to w Wielki Post.

- Niestety, niewiele mam do zaproponowania. Jedyne kilka sardynek - powiedziała, popadając w jeszcze większe zdenerwowanie z powodu tej grzesznej woni. Wydawało się jej, że grzech nie powinien pachnieć przyjemnie i z zasady nie pachniał, o czym nikt nie wiedział tak dobrze jak ona.

- Ależ ja ubóstwiam sardynki - powiedziała Fanny, która czuła, że okazując niezwykle zadowolenie i uznanie, musi jakoś wynagrodzić przygnębiające warunki, w jakich mieszka tych dwoje.

Panna Hyslup nie miałaby nic przeciwko temu, żeby Fanny nie „ubóstwiała” sardynek, ponieważ jedna ich puszka może się szybko wyczerpać, krążąc wokół stołu, a wydaje się, że Miles w niedzielne wieczory potrafi zjeść każdą ich ilość. A poza tym czyż słowo „ubóstwiać” w ustach osoby tak szczególnej, nawet użyte w połączeniu z sardynkami, nie jest czymś wysoce niestosownym? To przecież święte słowo, które mówi o świętych rzeczach. Chyba te nieszczęsne kobiety nie powinny go używać, niezależnie od tego, czy są eleganckie, czy obszarpane? Panna Hyslup nigdy nie słyszała go od którejkolwiek z tych obszarpanych. Ta była pierwszą z sióstr Milesa, z której ust ono padło. A na myśl o ustach Fanny panna Hyslup lekko zadrżała.

Prawdopodobnie posiadanie futra dodaje odwagi; zresztą nie jej o tym sądzić. I starając się nadać swym słowom odpowiednio uprzejme brzmienie, powiedziała:

- Cieszę się.

- Jest jeszcze kobieta - wtrącił Miles, który zamknął drzwi i stał z biretem w ręce, zbyt niepewny dalszego biegu wypadków, by go powiesić na zwykłym miejscu.

- Kobieta? - powtórzyła siostra, nieruchomiejąc w chwili unoszenia pokrywki półmiska, na którym w zgrabnym kolistym ordynku leżało dwanaście sardynek, tak że bok jednej dotykał ogona następnej. Przez chwilę sądziła, że Miles określił w ten sposób kogoś, kto jest ni to panną, ni to wdową. Zdawała sobie sprawę, że jako świetny orator miał on niezwykle bogate słownictwo, co wykorzystywał przy każdej okazji i nigdy nie była pewna, jakiego słowa użyje za chwilę. - Gdzie? - zapytała rozglądając się nerwowo.

- Ach tak, moja... Tam na dole - powiedziała Fanny, przypominając sobie o Manby.

- Mówisz o służącej tej pani? - zapytała panna Hyslup, czując, że się jej robi jeszcze bardziej słabo.

- A więc - dodała odważnie, bo czy służącą tej pani, skoro już tu przyszła, również nie należy otoczyć opieką? - ona tu też musi wejść.- I żalonym wzrokiem pożegnała się z sardynkami.

Służąca zdenerwowała ją chyba najbardziej. Już dostatecznie onieśmiały ją fiołki, i futro, ale to było coś o wiele trudniejszego do zrozumienia. Czy służącą pani, która jest kobietą nieszczęśliwą, należy również uważać za osobę godną pożałowania? Czy ona także zasłużyła na miano siostry Milesa?

Rozejrzała się po małym pomieszczeniu, które już teraz zdawało się pękać w szwach z przeludnienia. Czy pomieści jeszcze kogoś więcej? Tak, musi pomieścić, pomyślała, rozprostowując ramiona, musi jeszcze pomieścić służącą tej pani. Nigdy dotąd w swym życiu z kimś takim się nie zetknęła, a wszystko, co na ten temat słyszała, napawało ją lękiem.

Wykonała ruch w kierunku drzwi.

- Ależ nie, tu nie ma miejsca - sprzeciwiła się Fanny, łapiąc ją za rękaw i pociągając z powrotem; następnym stopniem poufałości byłby już tylko klaps, jaki się wymierza niesfornemu stworzeniu. - Idź ty

- zwróciła się do Milesa. - I powiedz temu uparciuchowi, że wystając na zimnych schodach dostanie zapalenia płuc. Niech więc natychmiast wraca do samochodu, a jeśli się boi iść sama, to ją odprowadź. Wysłuchawszy tego wszystkiego panna Hyslup miała wrażenie, że stoi na śliskim zboczu, walcząc o utrzymanie się na własnych nogach. Futro, służąca, samochód, a teraz, jeszcze bardziej zaskakujące - wydawanie poleceń. Tak, poleceń. Wydawanie poleceń Milesowi, który w tym domu, w tej okolicy sam był krynicą wszelkich nakazów. Czym sobie te elegantki *zasłużyły*, aby być tak pewne siebie i despotyczne! Mimo zamętu w głowie, znalazła czas, by się za-

stanowić, czy świetnie sytuowana siostra Milesa zechce przyjąć jego opiekę lub pomoc jego siostry. Jej specyficzna praca polegała na wspomaganiu kobiet złych, ale godnych litości. Ta natomiast jest z pewnością zła, gdyż inaczej Miles by jej tu nie sprowadził, ale bynajmniej nie wygląda na godną litości. Bo i dlaczego by się nad nią użalać, tknięta nagłą intuicją zadała sobie pytanie panna Hyslup, skoro najwyraźniej znajduje się u szczytu swego... no powiedzmy zaangażowania? Panna Hyslup nie mogła nie zauważyć, choć nie rozmawiała o tym z bratem, że godne litości są zawsze te, które nie mogą już sobie dalej radzić, ponieważ przestały być atrakcyjne. W przeciwnym wypadku z litością dla nich należy poczekać do chwili, gdy utracą urodę. I zdarzało się, że w chwilach krańcowego zmęczenia, nie posiadając żadnych innych zainteresowań, podobnie jak większość nie kochanych przez nikogo kobiet, zastanawiała się, jak też może wyglądać Królestwo Niebieskie, kiedy ona już tam trafi po przejściu swej ciernistej drogi, skoro jest wypełnione tłumem zmaltertowanych dusz.

\*

Miles pokrył się głębokim rumieńcem. Znów rozkazy, i to w obecności Muriel, co jeszcze pogarsza sytuację. A do tego jakie rozkazy - ich konsekwencją ma być spacer *tête-à-tête* z Manby, który on, omdlały z głodu i zmęczony całodziennymi modłami, miał odbyć w przykry, zimny lutowy wieczór. Miał go odbyć w towarzystwie Manby, jedynej osoby na świecie, której nigdy nie potrafił wybaczyć. Choć doskonale wiedział, że w niczym nie zawiniła, że była tylko przypadkowym widzem, nigdy jej jednak nie wybaczył tego, że widziała go w chwili upokorzenia. Mógł i wybaczyć sprawczyni jego poniżenia, Fanny, którą jednak jako grzesznicę zamierzał właśnie zba-

wiać, ale służąca tego nie potrzebowała. Całkowicie niewinna, była jedynie cnotliwym pasożytem. Tu znów pomyślał o niej - choć się przed tym wzbraniał, bo ostatecznie był księdzem i trwał Wielki Post - pomyślał o niej jako o kleszczu na psie.

Siostra, która natychmiast dostrzegła jego zachmurzone czoło, spojrzała nań z niepokojem. Wiedziała, że biedny Miles poczuł się dotknięty tym rozkazywaniem i ubolewała nad koniecznością jego ponownego wyjścia w zimny wieczór. Z drugiej jednak strony nie powinni chyba pozwolić zginąć służącej tej pani, zważywszy że ich misja w Bethnal Green polega na zapobieganiu podobnym wypadkom. Ponieważ w żadnym domu nie zapanuje prawdziwy pokój, dopóki choć jedno czoło pokrywa cień, panna Hyslop miała chęć wyręczyć Milesa; jednak trzymana za rękaw przez przybyłą nie mogła tego uczynić.

- Sądzę - odezwała się wreszcie niepewnie, z niechęcią i jednocześnie skruchą, jak ktoś, kto się znalazł między młotem a kowadłem - że nie powinniśmy jej zostawiać w tym zimnie na dole.

Teraz znów Muriel, pomyślał z goryczą Miles, i spochmurniał zatrwającą. Nawet Muriel stanęła w obronie tej tam.

Takie są po prostu kobiety, pomyślał. One zawsze będą ze sobą trzymać. Wystarczą dwie niewiasty i mężczyzna, aby je za chwilę miał przeciwko sobie. Pojedynczo można się z nimi doskonale uporać. W ten sposób radził sobie świetnie z Muriel, wielce oporną wobec czyichkolwiek podbechtywań przeciw bratu i która sprawowała się wzorowo jako oddana siostra i współpracownica. Wydawała mu polecenia dotyczące ciepłej odzieży, którą powinien włożyć pod sutannę, kiedy zamierzał przemawiać pod gołym niebem, lub wypicia przed nocą czegoś gorącego, jeśli

czuł zbliżające się przeziębienie; to się jednak mieściło w granicach jej uprawnień; we wszystkim zaś innym był on jej przewodnikiem i przełożonym w o wiele większym stopniu, niżby się to mogło dziać w odniesieniu do żony, która gdyby chciała, mogłaby go postawić w sytuacji zebrzącego o jej względy.

Panna Hyslup poważnie zatrwożona miną brata, podjęła bardziej zdecydowany wysiłek, by uwolnić swoje ramię i odwróciła się w kierunku drzwi.

- Więc ja pójdę, mój drogi - powiedziała pośpiesznie.

Fanny jednak trzymała ją silnie.

- Nie, nie - sprzeciwiła się. - Pozwólmy pójść jemu. On wróci za minutkę, prawda? - dodała zwracając się do Milesa, siostrze zaś rzuciła: - Widzę, że go pani rozpieszcza.

Jedynie co w tej sytuacji była w stanie uczynić panna Hyslup, to w oszłomieniu wodzić wzrokiem od brata do Fanny.

\*

Miles widział, że pozostało mu już tylko udać, że rzeczywiście idzie.

Odprowadzany zaniepokojonym, krytycznym spojrzeniem siostry, otworzył ostrożnie drzwi, wyszedł na zewnątrz i zamknął je za sobą bezszelestnie. To niesłychane, że Muriel do tego dopuściła; ona, która w przeciwieństwie do Fanny tak dobrze wie, jak bardzo w niedzielny wieczór potrzebny mu jest wypoczynek i strawa. Nic go jednak nie zmusi, by cokolwiek robił z Manby. Mogły go do niej wysłać, a on mógł udać, że idzie, ale to wszystko. Zamknąwszy więc drzwi tak powoli i ostrożnie, że nie spowodował najmniejszego stuknięcia, stanął na wąskim podeście, słuchając dobiegającego z dołu odchrzą-

kiwania, które świadczyło o tym, że Manby ciągle tam jest.

Każde z nich powinno pozostać na swoim miejscu tak długo, aż przyjdzie odpowiednia chwila, by Miles mógł wrócić do pokoju i oświadczyć, że nigdzie jej nie widział, co, jeśli teraz nie wyrzy poza poręcz schodów, będzie prawdą. Może to i jezuicki wybieg, ale wizja odprowadzania Manby, która ostatnim razem, kiedy się widzieli, włożyła mu na głowę jego własny kapelusz i na dodatek, gdyby nie uciekł w porę, otarłaby mu również łzy - ta perspektywa była zbyt dręcząca, aby ją mógł znieść. Jeśli człowiek znajdzie się w takiej sytuacji, musi się imać wszystkiego, aby z niej wyjść. A znalazł się w niej nie ze swej winy; tu zawiniła Fanny. To ona swymi poleceniami i despotycznym wtrącaniem się pchnęła go w te opałę. Od pierwszych chwil ich znajomości aż po dzień, kiedy go odprawiła, Fanny wpędzała go wyłącznie w kłopoty i oto teraz, po dziesięciu latach jego pracy nad swym zbawieniem w Bethnal Green i kiedy zaczynał już o niej powoli zapominać, zjawiała się znów i ponownie ściągnęła na niego kłopoty.

Miles, w konflikcie z samym sobą, cierpiąc z powodu wymuszonej okolicznościami własnej dwulicowości, oparty o ścianę spróbował się wznieść ponad tę sytuację i podczas gdy Manby ciągle na dole odchrząkiwała, on ucieszył swe serce modlitwą. W końcu jednak dokonał wstrząsającego odkrycia, że kiedy Manby przestaje odchrząkiwać, on słyszy przez tandetne drzwi rozmowę jego siostry i Fanny tak wyraźnie, jakby się znajdował z nimi w pokoju.

Nienawidząc podsłuchiwania, tak jak zresztą wszelkich podstępów - choć musiał przyznać, że to, co teraz robi, jest takim właśnie działaniem - starał się nie słyszeć tej rozmowy i zatykał sobie uszy

palcami; po chwili jednak, zmęczony niewygodną pozycją, zaczął szukać po kieszeniach sutanny czegoś zastępczego, by móc opuścić zdętwiałe ramiona, i znalazł liścik Fanny.

Coś w sam raz. Ale czy rzeczywiście?

Zawahał się. Ostatecznie przed laty jej pismo było dla niego zbyt drogocenne, by użycia go do zatkania sobie uszu nie uznać za świętokradztwo. W pokoju powiedziano jednak coś, co usunęło jego uczuciowe opory. Fanny zapytała bowiem Muriel, jak to możliwe, że jej brat jest taki niski - tak jakby niewysocy ludzie nie mogli być wybitni, na przykład Napoleon, poeta Keats, a nawet - pomyślał z największym szacunkiem - Sam Błogosławiony Zbawiciel, o czym świadczą wymiary grobu Józefa z Arymatei.

Miles zawsze był wrażliwy na punkcie swego wzrostu, kiedy więc usłyszał, że Fanny o tym wspomina, przestał się wahać, bezszelestnie podarł jej liścik, podzielił go na połowy, zrolował w dwa zgrabne czopki i wetknął je sobie do uszu. Natychmiast odczuł wypełniające go dziwne zadowolenie i mimo świadomości, że było ono niewiele warte, podziałało niczym balsam, ponieważ dokonując tego zabiegu, skrycie ją poniżył, wyrównał z nią rachunki, odpłacił, i nieważne, że ona o tym nie wiedziała. Tak, ale czy nie jest to po prostu uraza? Doznał wstrząsu. Oto on, który głosił potrzebę miłości, zrozumienia, miłosierdzia, wybaczenia, on łaknie odwetu! Jak daleko mu jeszcze do znalezienia się w stanie łaski, jak silnie krępują go więzy pospolitej przyziemności!

Szukając pocieszenia, podał w wątpliwość, czy taka myśl mogłaby się w nim zrodzić zupełnie samodzielnie - czyż bowiem nie było jego najszczęśliwszym pragnieniem zbawić tę kobietę? I w ten sposób, zamiast dodać sobie otuchy, pograżył się w herezji. Bo jeśli to nie była jego własna myśl - nie potrafił powstrzymać dalszego toku rozumowania - a jednocześnie była to myśl zła, musiała mu ją wsączyć do umysłu jakaś dziwna i straszliwa siła, która istnieje równolegle z Bogiem i czasem przewyższa go swą mocą.



Zanim się zorientował, co czyni, popadł w grzech herezji.

Przerażony, próbował natychmiast znaleźć ukojenie w modlitwie.

Nie poczuł jednak nic. Nic się nie wydarzyło.

- Muszę więcej pościć - zdecydował nieszczęśnik.

\*

Kiedy zostały same z Fanny, panna Hyslup stała przez chwilę dręczona niepewnością, przypominając sobie udzielane jej często przez Milesa pouczenia. „Najważniejsze jest”, przypominał jej w równych odstępach czasu, „okazywanie tym biednym kobietom uczucia”. Ogarnęło ją zatem paralizujące niemal przerażenie, że będzie musiała okazać uczucie osobie tak wykwintnej. Na początek więc spróbowała się uśmiechnąć, choć wiedziała, że efektem musiał być jakiś okropny grymas, a na koniec opanowując drżenie głosu, powiedziała:

- Czy zechce pani usiąść? Fanny usiadła.

Wówczas panna Hyslup zaczęła szukać okularów. Robiła to trochę dlatego, by zyskać na czasie, ale przede wszystkim po to, by dobrze widzieć. Szukała więc w swych przepastnych kieszeniach, w szufladzie stołu, na kredensie zarzuconym puszkami z ovaltiną, sanatogenem, oxo, odżywką Bengera i wieloma innymi specyfikami, którymi faszrowała swego utalentowanego brata, by podtrzymać jego siły witalne.

Najważniejsze jest w tej chwili to, by mogła się bez przeszkód przyjrzeć tej najnowszej siostrze Milesa. Musi się zorientować, co jest z nią nie w porządku, a było niemal pewne, że wykraczała poza dotychczasowe doświadczenie panny Hyslup.

Silnie krótkowzroczna, pozbawiona okularów, była bezradna i dręczona najdziwaczniejszymi przywidzeniami. Na przykład bez okularów wydawało się jej, że siedzi tu zamknięta z piękną kobietą, w co nie mogła uwierzyć. Nie była przyzwyczajona do obcowania z wielką urodą, która nigdy nie stanęła na jej drodze, może najwyżej kiedyś przypadkiem, ukryta w postaci małego dziecka, ale żeby oto weszła do jej pokoju i na jej prośbę usiadła, to wydawało się wręcz nieprawdopodobne. A jednak, na ile się mogła zorientować przy swojej ślepotcie, najwyraźniej tak właśnie było; przyszła tu w obłoku cudownej woni, tak odmiennej od znanych pannie Hyslup zapachów, zachowując się wobec nich dwojga z zapierającą dech niefrasobliwą poufałością.

- Czy pani czegoś szuka? - zapytała Fanny gotowa przyjść z pomocą, jeśli się dowie, o co chodzi. Widziała, że nie jest to zbyt mądre pytanie, gdyż było oczywiste, że panna Huslup czegoś szuka.

- Moich okularów - odpowiedziała w roztargnieniu.

Nie, w poszukiwaniu okularów Fanny jej nie pomoże. Ostatnio była w ogóle przeciwna noszeniu czegoś takiego przez ludzi.

Panna Hyslup szukała nadal. Jeśli jeszcze trochę zmitręży czasu, może wróci Miles i wszystko wyjaśni. Nie powinien był sprowadzać do domu kogoś takiego bez słowa wyjaśnienia. Nawykła do okazywania cierpliwości i życzliwości wobec innych sióstr w oczekiwaniu na chwilę, kiedy zechcą się przed nią otworzyć i wyjść ze swych skorup, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w tym wypadku nie było jakiegokolwiek skorupy. Ta siostra siedziała spokojna i zadomowiona, jak gdyby wiedziała, że

panna Hyslup, świadoma swej skromnej wiedzy, wyrażała własne myśli w sposób prosty i raz na zawsze ustalony, a one dwie znały się wzajemnie od dzieciństwa, oraz jak gdyby nie widziała żadnych powodów do wstydu. Wszystko to sprawiło, że panna Hyslup miała nie tylko dręczące poczucie, jak zbyteczne są pokłady skumulowanej w niej życzliwości i cierpliwości, ale także była świadoma, że wszystko stanęło na głowie i że to ona, jako osoba grzeszna, wymaga troski i pocieszenia.

Na chwilę przerwała poszukiwania, by nieuzbrojonym wzrokiem, w miarę możliwości, ocenić z boku ów pozostawiony jej przez Milesa problem, co uczyniła trzaskając stawami spracowanych palców, które jak zwykle w zakłopotaniu naciągała sobie jeden po drugim.

Nie rób tego! - miała ochotę wykrzyknąć skrzywiona Fanny. Głośno zaś powiedziała, chcąc odciągnąć uwagę gospodyni od jej własnych palców:

- Może zechce pani usiąść?

Ponieważ jednak niepodobieństwem jest, by gość- petent zapraszał swego gospodarza-dobroczyńcę do zajęcia miejsca, panna Hyslup jeszcze bardziej zapragnęła powrotu Milesa i jeszcze silniej zaczęła strzelać ze swoich palców.

Proszę, nie rób tego! - błagała w duchu Fanny.

Dobre maniere nie pozwoliły jej uczynić tego głośno, więc z uśmiechem zauważyła, że panna Hyslup jest tak wysoka, iż ona, Fanny, wykręci sobie w końcu kark spoglądając na nią ciągle z dołu, jeśli jej gospodyni wreszcie nie usiadzie; zapytała też, jak

to się stało, że ma tak niskiego brata, czym spowodowała zatkanie uszu Milesa jej własnym liścikiem. A jak się w ogóle dochodzi do posiadania braci, czy to wysokich, czy niskich? Panna Hyslup aż do tej chwili nie była tego zupełnie pewna. Przyzwyczajona do sumiennego odpowiadania na każde postawione jej pytanie - należała na przykład do osób, które skrupulatnie wyliczają wszystkie możliwe fakty w odpowiedzi na zwrot „Co u pani słyhać?” - tym razem poczuła się głęboko zażenowana. Dzieci zazwyczaj otaczają czią swych rodziców, zwłaszcza jeśli ci już nie żyją. Instynktownie unikają dociekania tych aspektów życia rodzicieli, które wiążą się z ich neglizem. Ona sama powodowana jakimś lękiem odruchowo odwracała wzrok od wszystkiego, co można by uznać za niekompletnie ubrane.

Jej gość jednak najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi. Fanny po prostu ponowiła zaproszenie do zajęcia miejsca i posłuszna panna Hyslup uświadomiła sobie, że walczy z nadzwyczaj niestosowną pokusą, by odpowiedzieć „Dziękuję.”

Nie bez trudności stłumiwszy w porę ten odruch, opadła na krzesło naprzeciwko Fanny i natychmiast poczuła pod sobą jakiś przedmiot, by następnie stwierdzić, że siedzi na swoich okularach.

- Ach, oto i są - zawołała podnosząc się ponownie.

- Kto? - zapytała Fanny kierując wzrok na drzwi. Na szczęście były w etui.

\*

Drżącymi nieco rękami nasadziła je na nos.

- Wreszcie widzę - stwierdziła.

- Często lepiej nie widzieć - odparła Fanny.

Nie przeszkadzało jej jednak zupełnie, że ta podstarzała biedula ją sobie obejrzy; nie skurczyła się instynktownie, jak to ostatnio czyniła, by uniknąć

czyjejś wnikliwej obserwacji. Było jej to obojętne, wypełniała ją bowiem wielka litość dla siostry Milesa zmuszonej do życia w tym obskurnym mieszkaniu i jedzenia kolacji w postaci zimnych sardynek. „Biedaczka” myślała, mając tuż przed sobą tę wymizero-waną twarz. „Skromne, na wpół zagłodzone biedactwo, prawdopodobnie maltretowane przez Milesa, *pocziwe* biedactwo.”

Tymczasem panna Hyslup, wstrząśnięta tym, czego potrafią dokonać silne szkła, myślała podobnie: nieszczęsna istota, kiepsko umalowana, wynędzniała, uśmiechnięta, choć wewnątrz z pewnością targana rozpaczą. Panna Hyslup posunęła się w swej litości o wiele dalej, wyobrażając sobie dzień, kiedy już zabraknie futra, garderobianej, fiołków i samochodu, dzień o wiele bliższy, niż się to wydawało bez okularów, kiedy zostanie wydana ostatnia sześciopensówka i kiedy, jak mawiał Miles, kobiety te, jeśli nie wykazują skruchy, kończą w rynsztoku.

Wyobraziwszy sobie ten nieunikniony koniec, poczuła, że zdenerwowanie ją opuszcza, ustępując miejsca uczuciu miłości. Wobec potępionych zawsze się je czuje; panna Hyslup odkryła, że można je poczuć do każdego, gdy tylko się okaże, że jest potępiony. Jeśli czasem, tak jak właśnie teraz, zetknęła się z dobrobytem, który aż kłuł w oczy, wystarczyło jej pomyśleć o dniu, bliższym lub dalszym, ale nieuniknionym, kiedy ten ktoś będzie leżał rozciągnięty pod śmiertelnym całunem - aby nie tylko mu wybaczyć, ale go nawet niemal polubić.

Siedziały tak patrząc na siebie wzajemnie, obie wypełnione współczuciem i pragnieniem niesienia pomocy. Fanny pomyślała, że powinna przekonać Milesa, by jej pozwolił trochę umilić życie jego siostrze. Panna Hyslup zaś uznała, że pierwszym krokiem do poprawy sytuacji będzie nakłonienie tej

straconej duszy, aby zmyła sobie twarz. Teraz, kiedy ujrzała wyraźnie zapadłe policzki i rozpaczliwie zmęczone oczy, te imponujące stroje stały się czymś zupełnie zwyczajnym, tak samo zwyczajnym jak Śmierć. Były zapłatą za Grzech, a to, jak nauczał św. Paweł, oznaczało Śmierć. A cóż innego jeśli nie tkliwość można odczuwać w stosunku do kogoś od stóp do głów spowitego w całun Śmierci?

- Powiedz mi, kochanie, jak masz na imię? - zapytała tym razem zupełnie swobodnie i z wielkim uczuciem. - Brat zapomniał to zrobić.

Fanny odpowiedziała - Fanny - i tak bardzo wzruszyło ją to „kochanie” w ustach istoty, która o wiele bardziej niż ona potrzebuje czułych słów, że położyła dłoń na wielkiej, kościstej spoczywającej na podolku ręce panny Hyslup.

„Biedactwo” - pomyślała Fanny, wyczuwając chropowatość dłoni panny Hyslup.

„Biedactwo” - pomyślała panna Hyslup, wyczuwając jedwabistość dłoni Fanny.

Oto ręka grzechu, pomyślała panna Hyslup spoglądając na swój podolek, i ręka... - nie, nie mogła nazwać swojej - ręką cnoty, ponieważ nie zawsze lubiła Milesa tak, jak powinna. No, a co z tymi filiżankami kakao, które sobie czasem przyrządzała w Wielkim Poście, kiedy poszczenie osiągało już granice śmieszności? Z tymi filiżankami winy, jak by je nazwał Miles, gdyby o nich wiedział; a z jej niespokojnych spojrzeń rzucanych w stronę drzwi oraz pilnego nasłuchiwania kroków brata przez cały czas, kiedy piła, a następnie zacierała wszelkie tego ślady, można by sądzić, że rzeczywiście były to grzeszne filiżanki. Ale czy naprawdę były? Czyż Biblia nie mówi „Po owocach ich poznacie je”? A czy owocem picia kakao nie jest wzmożenie sił niezbędnych do podjęcia dalszego postu?

Panna Hyslup wróciła myślami do tych dwóch dłoni. Z pewnością jej własna ręka znamionowała ciężki trud i pracę, jeśliby można to uznać za cnotę; co do drugiej zaś, to panna Hyslup podejrzewała, że prawdopodobnie nigdy nie zdobyła się na wysiłek większy niż związany z sięganiem po pieniądze. No i te pomalowane paznokcie, z których każdy był niczym reklama rozpusty. Ujrzawszy je, panna Hyslup nie mogła powściągnąć odruchu odrazy, jednak chwila zastanowienia pozwoliła jej uwolnić się od tego uczucia, ponieważ jeśli zbawienie nie przyjdzie w porę, to takie paznokcie były również niczym innym niż tylko symbolem Śmierci. Całkiem zadowolona z siebie - ile to jednak przyjemności daje zdolność wyobrażania sobie czyjegoś zgonu - zapytała więc:

- Po prostu Fanny i nic więcej?

- Ależ nie - odparła Fanny z pełnym czułości uśmiechem, jakim obdarza się chore dziecko, które oczekuje zbawiennej pomocy. - Skeffington.

Pannie Hyslup spodobała się ta szybka odpowiedź. To się u nich raczej nie zdarza. Kiedy przychodzi do podawania nazwisk, każda wzbrania się przed wymienieniem swojego i nie chcąc, by rodziców kojarzono z ich hańbą, woli pozostać Daisy czy Peggy lub nawet Kicią, jak się to zdarzyło w ubiegłym tygodniu. Prawdopodobnie jednak futro chroni nie tylko przed zimnem, ale jeszcze przed innymi rzeczami, na przykład przed wrażliwością, przed szacunkiem dla własnej rodziny; choć z doświadczenia wiedziała, że wszystkie one wyzute są z jakiegokolwiek skromności.

- Skeffington - powtórzyła, jak gdyby robiąc przegląd wszystkich znanych sobie Skeffingtonów, a w istocie zastanawiając się, jak sprawić, by następne zdanie pobrzmiwało wystarczającym uczuciem. Z jednej bowiem strony czuła lekką odrazę na widok tych

paznokci, z drugiej zaś, mimo że próbowała to zwalczyć, miała przed oczami ów wzruszający, żalospny obrazek ze śmiertelnym prześcieradłem i monetami na powiekach, wizję, która natychmiast ją rozklejała.

- Będę cię nazywać Fanny - rzekła zdecydowanie, przewyciężając wstręt.

- Dobrze - odparła ciepło Fanny. - A ja ciebie Muriel.

Poczucie odrazy powróciło.

- Ach - powiedziała zaskoczona panna Hyslup - No, cóż... - Nie spodziewała się podobnej propozycji. Żadnej z nich nigdy się nawet nie śniło, by do niej mówić po imieniu.

- No, cóż... - zaczęła ponownie, bezwiednie wysuwając swą rękę spod dłoni Fanny. - Doprawdy nie wiem... - i rozejrzała się po pokoju jakby szukając ratunku.

Nie znalazła go. Nie było Milesa; nie żyła już jej matka, która by powiedziała Fanny wprost: „Taka kobieta jak pani nie może nazywać mojej córki imieniem danym jej na chrzcie świętym.”

- Czy chce pani powiedzieć, że powinna do mnie mówić „Fanny”, podczas gdy ja do pani „panno Hyslup”? - zapytała Fanny ubawiona, choć jednocześnie nie bez satysfakcji, gdyż odebrała to jako komplement. Siostra Milesa najwyraźniej uznała siebie za o wiele starszą. Choć niewątpliwie tak było, to jednak nie aż tak dalece - skorygowała w myślach Fanny, pamiętając o swych pięćdziesięciu latach.

- One wszystkie tak się do mnie zwracają.

- Kto?

- Siostry w Bogu mojego brata, choć muszę powiedzieć - ciągnęła pośpiesznie w obawie, by nie zerwać i tak już wątlej nici porozumienia - że one są całkiem inne niż pani.



- Tak też myślałam - powiedziała Fanny, pamiętając, co jej opowiadał o nich Miles. Ochrciła je nawet na swój użytek „biedulami Milesa”.

- Więc może... w pani wypadku... - wahała się panna Hyslup. Co by też powiedziała ukochana matka, widząc jej uległość? Albo nawet Miles, co on by sobie pomyślał?

- No, więc - powiedziała zachęcająco Fanny i klepnęła ją po ręce. - Nie przypuszczam, aby pani była ode mnie o *tylę* starsza, żeby to miało usprawiedliwiać moją aż tak dalece posuniętą rewe-rencję.

- Mam czterdzieści osiem lat - oznajmiła panna Hyslup.

- Och! - jęknęła Fanny.

\*

Na chwilę zaniemówiła. Nie do wiary, to chyba niemożliwe. Ta stara, zniszczona kobieta jest o dwa lata młodsza od niej. Jak straszliwie Miles musiał ją maltretować. Oczywiście nie fizycznie; istnieje przecież wiele sposobów, by zmaltretować kobietę, nawet jej nie dotykając. Mogła być przepracowana, niedożywiona, zahukana i zakrzyczana, przytłoczona moralizatorstwem i pouczeniami, by wreszcie w niedzielne wieczory - Fanny spojrzała z niechęcią na stół - otrzymywać na kolację sardynkę.

- Słuchaj, Muriel - powiedziała z przejęciem, ujmując obiema rękami jej wielką dłoń. - Musisz mi pozwolić, bym ci pomogła.

- To zabawne - pomyślała panna Hyslup. Wydawało się niezwykle zabawne, że jedna z nich pragnie pomóc właśnie jej, której praca polega na niesieniu pomocy takim jak one.

- Przecież ty po prostu giniesz - ciągnęła Fanny. - Widzę, że ta nędza cię zabija.

- Złożyliśmy śluby ubóstwa - powiedziała panna Hyslup.
- Doprawdy? Ślubowałaś ubóstwo? Czy tego rzeczywiście pragnęłaś? - pytała z niedowierzaniem Fanny i od razu powzięła podejrzenie, że Miles wymusił to na siostrze.
- Dom nie może być przeciw sobie podzielony
- odparła panna Hyslup.

Złożyli też śluby czystości, ale na szczęście nie ma potrzeby o nich wspominać. Doszła do wniosku, że lepiej za wiele o tym nie opowiadać. A wreszcie o tych szczególnych ślubach nie sposób wręcz mówić. Przekonała się na własnej skórze, że już na samą myśl o tych sprawach robi się człowiekowi gorąco. W każdym razie jej na pewno. Kłopotliwe jest poza tym odrzucanie ciągot, których się nigdy nie odczuwało i o których się właściwie nic nie wie. Jedyna pokusa, najbardziej zbliżona do cielesnej, kojarzyła się jej z termoforem. Muriel podejrzewała, że jest nią niezwykle przyjemność, jakiej doznaje, ilekroć go używa. Od czasu do czasu, w chwilach, które Miles, gdyby o nich wiedział, z pewnością ku jej wstydu nazwałby rozpustnymi

- po nieco obfitszym niż zwykle posiłku albo kiedy nie była krańcowo wyczerpana - Muriel dawała się ponosić wyobraźni i snuła domysły, że być może mąż jest właśnie czymś w rodzaju wspaniałego, wielkiego termofora, który cudownie wypełnia i ogrzewa czyjeś zimne i puste łóżko. A czasem, kiedy odczuwała szczególnie dojmującą tęsknotę za tym, czego nigdy nie miała zaznać, wyławiała ten leżący w jej nogach przedmiot z gładkiej elastycznej gumy i przytulała go oburącz do piersi, wyobrażając sobie, że trzyma dziecko, jej własne, ukochane, rozkoszne, pragnące pieśczoć i gaworzące dzieciątko. Po takich chwilach przez całe dni dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- *Wiedziałam*, że to sprawka Milesa - wykrzyknęła Fanny pełna oburzenia i niepokoju o Muriel. Jeśli Miles ma ochotę cierpieć ubóstwo i upodabniać się wskutek postów do szkieletu, to niech poprzestanie na sobie i nie wciąga w to swej siostry, z której zrobił przedwcześnie postarzałą kobietę. - To potworne, że jego samowola doszła już do tego, że cię zaczął głodzić. Czy mam z nim o tym porozmawiać, kiedy wróci? Czy to pomoże?

Jednak po pierwszym zdaniu Fanny panna Hyslup już dalej nie słuchała. Miles, powtarzała, Miles; ta pani z ulicy nazwała jej brata Milesem. Czyż to nie było dziwne i zupełnie niezwykle? Czy nie świadczyło o arogancji lub zażyłości? Ależ nie, to z pewnością nie może być zażyłość. A zatem - co za arogancja!

- Czyżby pani - zapytała starając się nie być lodowata, choć są chwile, gdy przy najlepszej woli jest to niemożliwe, niezależnie od tego, jak usilnie myśli się o śmiertelnym prześcieradle i pensowych monetach na czyichś oczach - również bezpośrednio zwracała się do mojego brata po imieniu danym mu na chrzcie świętym?

- Ależ zawsze - zapewniła ją Fanny. - No więc czy mam z nim rozmawiać i powiedzieć, jak niewłaściwe jest...

Ale panna Hyslup znów me słuchała. Przełknęła gwałtownie ślinę. Arogancję tego zawsze odczuła jak cios.

- Czy w ten sposób - zaczęła po chwili przerywając Fanny, gdyż jedynym ratunkiem było po prostu nie uwierzyć temu przerażającemu zawsze i w miarę możliwości przyjąć sarkastyczny ton - zaczęła pani do niego mówić na ulicy?

- Tam na ulicy? - powtórzyła jak echo Fanny, spoglądając na nią zaskoczona. - Ależ z Milesem znamy się od lat.

Od lat. Tego już dla panny Hyslup było za wiele. To, że Miles ukrywał fakt wieloletniej znajomości z tą kobietą, wydawało się czymś przerażającym. Czuła podświadomie, że jedynym sposobem taktownego załatwienia się z nią będzie nieowijanie sprawy w bawełnę. Ona, która była pewna tak niewielu rzeczy, wiedziała niewątpliwie jedno: że dla duchownego prywatne spotkanie z taką kobietą, a w wypadku Milesa - ukrywanie tego faktu przed rodzoną siostrą i towarzyszką pracy na tej smutnej niwie, było wielkim błędem.

Przez dłuższy czas siedziała niezdolna cokolwiek powiedzieć. Następnie, z trudem dobywając słowa, ponieważ do jej świadomości zaczęło się niby wąż wślizgiwać podejrzenie, z którym nie byłaby w stanie sobie poradzić, zapytała:

- Od ilu lat? - a Fanny po chwili zastanowienia odpowiedziała, że chyba od około dziesięciu.

- Od dziesięciu lat? - powtórzyła panna Hyslup, mówiąc z jeszcze większą trudnością, gdyż teraz miała wrażenie, że ten wąż wciska się jej przez gardło.

To właśnie pewnego popołudnia przed dziesięciu laty Miles wyszedł z domu jako duchowny, a wrócił jako kapłan. Tylko w ten sposób mogła określić błyskawiczną przemianę, jaka się w nim dokonała.

Wrócił jako kapłan przepelniony goryczą, którego pragnieniem było wzięcie Królestwa Niebieskiego szturmem, do czego pociągnął za sobą ją, swoją siostrę. Rzucił się nagle do ucieczki, panicznej ucieczki przed czymś, co mu się musiało zdarzyć; ucieczki w świat wyrzeczeń, ku fanatycznemu oddaniu się sprawie zbawienia własnego i innych. Porzucił przyjemny i przytulny wikariat w Kensington, złożył

śluby, do czego i ją zmusił, tak jak nakłonił ją również do odwrócenia się wraz z nim plecami od wszystkiego z wyjątkiem samozaparcia, a następnie osiedlił się w najbiedniejszej części Bethnal Green, której nędzę traktował jak swoją włosienicę. Po co to wszystko?

Przez dziesięć lat nieporadnie rozważała ten problem, nigdy jednak nie ośmielając się zapytać Milesa o powód, ponieważ wyraz jego twarzy zamykał jej usta za każdym razem, gdy próbowała nawiązać do tego tematu. Teraz zaś...

Wysunęła rękę spod dłoni Fanny i usiadła wpatrzona w nią przerażonym wzrokiem, nie mogąc w to wszystko uwierzyć. To zupełnie niemożliwe, by Miles już w czasie swych święceń, pozostawiając w zupełnej nieświadomości własną siostrę, po odmówieniu przed śniadaniem rodzinnej modlitwy, po porannej mszy w kościółku wikariatu, po zjedzeniu opatrzonego boskim błogosławieństwem obiadu - urządził jakieś eskapady i nurzał się w grzechu.

A w dodatku robił to popołudniami. Nie ma wątpliwości, że grzeszył o tej porze dnia, gdyż zawsze był już z powrotem na kolacji; a więc musiał ów grzech popełniać czy też mu ulegać, nie potrafiła tu znaleźć lepszego słowa, przy świetle dziennym. A przecież to noc jest właściwą porą, powiedziała do siebie z drżeniem, na te wszystkie wyczyny dokonywane przez ludzi pod osłoną ciemności. Tak jest na pewno, bo w przeciwnym wypadku wszystkie małżeństwa, które wszak mają błogosławieństwo Kościoła i mogłyby dowolnie wybierać porę na te sprawy, nie pozostawałyby na nogach i całkowicie ubrane aż do późna wieczór. Grzeszenie w promieniach bożego słońca przydało temu występкови posmaku szczególnej nikczemności. Jak gdyby coś tak cudownego trzeba było

jeszcze dodatkowo upiększać - pomyślała mimowolnie i natychmiast się zmieszała.

Pochyliła głowę. Czuła się beznadziejnie zdradzona, straszliwie okpiona i rzucona na mieliznę; sama ze swymi ślubami czystości. Jej ślubowanie miało uzasadnienie, ale jak, zachodziła w głowę, śluby czystości mógł składać ktoś, kto *już* nie był czysty? Jaki sens ma barykadowanie wrót stajni, z której ten odrażający rumak już umknął? A najgorsze, najbardziej dojmująco bolesne ze wszystkiego jest to, że Miles był dla niej tak surowy, kiedy się dowiedział o termoforze.

Nie unosząc głowy i nie mogąc opanować drżenia głosu i rąk, mimo że trzymała je silnie zaciśnięte, rzekła:

- To właśnie przed dziesięciu laty mój brat tak nagle stał się religijny.
- Ależ on był religijny również przedtem - zapewniła ją Fanny.
- Stał się nagle religijny - powtórzyła Muriel, najwyraźniej kierując te słowa do swych ciasno splecionych spoczywających na podłożu dłoni.
- No cóż, on przez cały czas naszej znajomości był religijny - upierała się Fanny. - Niezwykle religijny. Miał zwyczaj udzielać mi błogosławieństwa.
- Udzielał pani błogosławieństwa?

Muriel podniosła wzrok i oszołomiona wpatrywała się nieruchomo w ten pobielony i uróżowany grobowiec. Czyżby więc ludzie przy podobnych okazjach jeszcze się błogosławili? Och, jak niewiele wiedziała, jak doprawdy niewiele wiedziała o życiu! Ale żeby to jej własny brat, ten, który się poświęcił Bogu, miał jeszcze do tego wszystkiego dołożyć bluźnierstwo...?

- Tak, to było niezwykle miłe ze strony biednego Milesa - odparła Fanny uśmiechając się czule na

wspomnienie dawnych romansów i przypominając sobie uniesioną rękę Milesa oraz jego cudowny głos. „Niech cię Bóg błogosławi” - mawiał zamiast zwyczajowego „do widzenia”. To ją rozczuliło i właśnie dlatego zносиła go tak długo.

Wówczas śmiertelnie zawstydzona panna Hyslup, chroniąc się przed napierającymi łzami za osłoną ironii, zapytała z niezwykłym dla siebie sarkazmem:

- Pewnie mi pani zaraz powie, że Miles proponował jej małżeństwo.

- Tak, robił to, biedaczysko - odpowiedziała Fanny. - Ale ja nigdy nie wyszłam za mąż.

Słyszając to, panna Hyslup wybuchnęła płaczem. W tej chwili cały jej świat, wszystko, w co wierzyła i czemu ufała - zapadło się pod jej stopami. Była zupełnie zdruzgotana. Oto Miles, nie dość że grzeszył z jedną z nich i chciał się w końcu ożenić, to jeszcze został przez nią odrzucony. Czy pozostała na świecie choćby jedna istota, z której mogłaby być dumna?

- Co począć, co tu począć? - łkała, zamieniając się w kłębek upokorzenia i goryczy, podczas gdy Fanny patrzyła na nią bez słowa, zdumiona tym nagłym załamaniem. - Nic się nie poradzi na to, że się jest czyjąś siostrą, ale żoną można nie być - łkała dalej, wyrzuciwszy przed siebie na stół ręce, na których złożyła siwą głowę kapitulując przed niegodziwością tego świata. - Życie jest zbyt straszne, zbyt straszne. Nnnie mogę już tak dalej. Nnnie chcę już być więcej sssiostrą. Nnnie chcę już być więcej nikim. Chcę sssobie odejść daleko i gdzieś się ukryć, schować.

- Ależ Muriel, proszę - błagała bezradnie Fanny.

Nie mogła zrozumieć, co się właściwie stało. Najwyraźniej Miles musiał być dla swej nieszczęsnej siostry gorszy, niż to się na pozór wydawało, ale skąd nagle ten niemal histeryczny wybuch? Czyżby ona,

Fanny, powiedziała coś niestosownego? A może Muriel tak bardzo wzięła sobie do serca fakt, że ona dała kosza jej bratu?

Fanny wstała i pochyliła się nad nią.

W tej samej chwili Muriel oddepchnęła ją gwałtownie od siebie. Fiołki... *odór* fiołków... Ta kobieta ośmiela się podchodzić do niej tak blisko ze swoją duszną, występłą słodyczą...

Ponieważ nikt jej jeszcze nigdy w życiu nie odepchnął, a już na pewno nie gwałtownie, zaskoczona Fanny stała, nie mogąc przez chwilę dobyć słowa. Jednak widok tragicznej, mokrej od łez twarzy biednej Muriel i jej rozpaczliwych wysiłków, by się podnieść zza stołu, sprawił, że Fanny wszystko jej wybaczyła i zapragnęła tylko pośpieszyć z pociechą i pomocą. Biedula. Doprowadzone do ostateczności biedactwo. Gdyby nie mokra twarz Muriel, Fanny objęłaby ją i ucałowała, nie dbając o to, że znów może zostać odepchnięta.

- Muriel, *musisz* mi wyjaśnić, o co właściwie chodzi

- powiedziała sięgając do torebki po czystą chusteczkę. - Weź, jest nie używana - dodała podając ją. Tego było już dla niej za wiele. Zamachnąwszy się szeroko, odrzuciła rękę z chusteczką na bok, skoczyła szaleńczo ku wyjściu, chwytając z trudem powietrze

- Pójdę go poszukać... Będziecie mi to musieli razem potwierdzić i wyznać całą prawdę... Ja nie mogę... Ja nie będę - otworzyła drzwi.

- Miles! Miles! - krzyczała, gotowa z tym wołaniem pędzić ulicami, przeszukiwać aż do skutku całe Bethnal Green.

Na szczęście dla wszystkich znalazła go natychmiast.

\*

Manby, która stojąc w korytarzu na dole coraz częściej odchrząkiwała z powodu zimna, a w przerwach między kaszlnięciami nasłuchiwała nie mniej uważnie, niż to robił na swoim podeście Miles, zanim jeszcze nie zatkał sobie uszu, zaczęła nabierać przekonania, że nie jest sama i że na górze stoi ktoś, kto również nasłuchuje, zainteresowany tym, co ona robi.



Manby poczuła ciarki na grzbiecie. Co się dzieje za tymi drzwiami, za którymi zniknęła jej pani? Najpierw się one otworzyły, następnie zamknęły, by po chwili znów się otworzyć i zamknąć. Nikt jednak nie zszedł na dół. Manby zaczęła więc coraz bardziej podejrzewać, że na górze, pod drzwiami ktoś stoi bez ruchu i nasłuchuje. Przysłuchuje się każdemu jej poruszeniu. To bardzo nieprzyjemne, pomyślała Manby. Nikt nigdy się jej dotąd nie przysłuchiwał w sytuacji, gdy stała w milczeniu. I to ktoś niewidoczny - niewidoczny i nieruchomy, ukryty na szczycie niemal zupełnie ciemnych i niezbyt czystych schodów. Trzeba jaśnie panią bardzo kochać, żeby znieść to, co ona wyprawia - powiedziała do siebie, buntując się gwałtownie przeciw własnemu położeniu i nie mając nawet ochoty odchrząknąć, tak niezwykle tajemnicza cisza zalegała po każdym jej nieskrępowanym odgłosie. Czy nie powinna pójść na górę i stanąć oko w oko /, tą zgadką? Czy przypadkiem ktoś nie pilnuje pod drzwiami, podczas gdy wewnątrz jej pani znajduje się w straszliwym niebezpieczeństwie? Jediną pociechą był duchowny strój Milesa. Dżentelmeni w sutannach i tych pokraccznych nakryciach głowy są zazwyczaj godni zaufania i prawomyślni, przekonywała samą siebie. Pociecha, jaką jej przyniosła ta refleksja, po pewnym czasie jednak przybladła, a wpełzająca przez wypaczone drzwi mgła zmusiła ją do kilkakrotnego odchrząknięcia; wreszcie niezależnie od obaw o swo-

ją panią Manby zaczęła się lękać o siebie i własne płuca, gdyby miała dłużej wystawać w tej wilgoci; cóż by bowiem poczęła utraciwszy zdrowie?

Dreńczona tymi podwójnymi obawami zebrała się już niemal na odwagę, by ruszyć w górę i sprawdzić, kto się ukrywa na podeście, kiedy w krótkiej przerwie na odpoczynek po jednym napadzie kaszlu, po którym zbliżał się następny, usłyszała coś, co była w stanie określić tylko jako wybuch awantury w pokoju na piętrze. I to wielkiej awantury, takiej, na jaką jej pani nigdy nie powinna być narażona. Przewyciężając strach, natychmiast mszyła w górę po schodach. Tak szybko, jak pozwalała jej na to otyłość, zadyszana wspinała się, by sprawdzić przyczynę tumultu, podczas gdy Miles świadomy jej zbliżania się, zdecydował, że pozostało mu jedynie ruszyć w dół, spotkać ją w połowie schodów, a następnie robiąc dobrą minę do złej gry, zaprosić służącą do mieszkania. W tej jednak chwili za jego plecami rozwarły się z trzaskiem drzwi, z których jak szalona wypadła wykrzykująca jego imię Muriel.

Miles stał tak blisko, że siostra omal się z nim nie zderzyła. Tylko dzięki temu, że schwycił ją za rękę, nie runęli w jakimś nieprzystojnym splątaniu; a ponieważ nigdy przedtem nie widział swej siostry w stanie nawet zbliżonym do takiego szaleństwa, całą winę natychmiast przypisał Fanny, choć nie miał pojęcia, jak i dlaczego się to stało. Ten haniebny szal musiał się w jakiś sposób wiązać z obecnością Fanny. Czyż nie znał Muriel jako osobowości całkowicie bezbarwnej, przypominającej pozbawioną uczuć maszynę, która nie ma jakichkolwiek pragnień i dążeń? Tylko intrygantka w rodzaju Fanny mogła tak bardzo ją rozjuszyć. Gdyby nie powstrzymał siostry, jej krzyki usłyszałyby cały dom. Gdyby mu się nie udało jej

uciszyć, całe Bethnal Green trąbiłoby o tym skandalicznym przedstawieniu.

- Wracaj, wracaj - rozkazał jej surowo przez zęby, starając się wolną ręką znaleźć za jej plecami klamkę drzwi, a drugą, mocno zaciśniętą na jej nadgarstku, popychać Muriel w ich kierunku.

- Dobrze, ale ty chodź ze mną - zawołała siostra, ciągnąc go zawzięcie z taką niemal siłą, jaką on ją popychał. Po cóż bowiem mieszkający nad nimi komunistami miałby ją usłyszeć, a potem wyśmiewać ich oboje na swych wiecach. - Powiedz po prostu prawdę, przy mnie i przy niej, a ja widząc, że ty... W tej właśnie chwili na szczycie schodów pojawiła się zdyszana Manby. Jak opisywała to później pannie Carthwright, „w przyćmionym świetle ujrzała Hyslupów zachowujących się w sposób dla niej niewiarygodny. I był to ten sam ksiądz, który kiedyś przychodził na lunch na Charles Street.”

- Uprzejmie przepraszam, sir, czy mogę porozmawiać z jaśnie panią? - zapytała z szacunkiem, gdy tylko przestała dyszeć.

Jej obecność i pełne uszanowanie zachowanie podziałało jak oliwa wylana na wzburzone wody.

Hyslupowie jednocześnie przerwali swą szarpaninę. Wystarczyło, że ktoś zwrócił się do nich w tak pełen respektu sposób, by odzyskali poczucie godności i dumy.

- Kto to jest? - prawie normalnym już głosem zapytała Muriel, wciąż jednak kurczowo trzymając się płaszcza Milesa.

- Służąca lady Fanny - wyjaśnił, rozluźniając chwyt na nadgarstku siostry.

- Tak, proszę pani. Upraszam więc o pozwolenie pomówienia z jaśnie panią - powiedziała Manby, zwracając się do niej z takim spokojem, jakby to, co przed chwilą ujrzała, było powszechnie przyjętym

sposobem bycia w stosunkach między duchownymi i ich rodziną. - Robi się późno i szofer uważa, że...

\*

Było oczywiste, że Manby uratowała sytuację. W obliczu tak przemawiającej do ich ambicji rewerencji i dobrych manier, wobec takiego spokoju i opanowania, nie mogli zareagować inaczej niż tylko jeszcze większym opanowaniem i spokojem.

Spokój Muriel graniczył z osłupieniem, ponieważ po pierwsze to niemożliwe, aby tak układna służąca mogła pracować u kogoś niegodziwego, a po drugie

- jak ona, Muriel, zachowała się wobec jej chleboda-wczyni, będącej jaśnie panią? Mimo że Muriel nie знаła dotychczas żadnej jaśnie pani, to niezachwianie wierzyła w prawość arystokratek. Jednak, niezależnie od tego przekonania, gdzieś poza całym jej osłupieniem, rodził się w niej bunt. Jeśli bowiem Fanny nie jest jedną z nich, to dlaczego wygląda tak, jakby była?

- pytała Muriel w głębi swego zbuntowanego ducha. Spokój Milesa natomiast zabarwiony był refleksją.

Nigdy by się bowiem nie spodziewał, że może cokolwiek zawdzięczać Manby, a tak właśnie było. Jej obecność zapobiegła scenom, od których Muriel była dosłownie o krok. Z pełnym wdzięczności podziwem stał więc i obserwował, jak Manby przejmuje kontrolę nad wydarzeniami, zachowując się tak spokojnie, jakby się to wszystko działo w sypialni Fanny.

- Oto płaszcz jaśnie pani - powiedziała godnie, zdejmując okrycie z wieszaka, na którym uprzednio powiesiła je Muriel. I bez dalszych ceregieli ubrała swą panią.

- Oto torebka jaśnie pani - oznajmiła, usuwając ją z niebezpiecznie bliskiego sąsiedztwa zatłuszczonego oliwą półmiska z sardynkami.

- Oto chusteczka jaśnie pani - stęknęła schylając

się, by ją podnieść z podłogi, gdzie leżała po tym, jak ją Muriel wytrąciła z ręki Fanny. I nawet wtedy, gdy Manby bez mrugnięcia okiem oznajmiła, jakoby Griffiths przysłał właśnie wiadomość, że jaśnie pani powinna już chyba wracać do domu, ponieważ mgła gęstnieje z każdą chwilą, nawet wówczas Miles, domyśliwszy się, że Griffiths jest szoferem, który w żaden sposób nie mógł przesłać tej wiadomości, ponieważ nie wiedział, gdzie się one znajdują - nawet w takiej sytuacji Miles nie potrafił potępić oszustwa, które miało dla niego tak błogosławione skutki. Nie potrafił, gdyż uwalniało go to od Fanny. Nie miał ochoty już jej dłużej oszczędzać, przynajmniej nie do czasu, aż wreszcie zje swoją kolację. A właściwie nie chciał jej już osłaniać w ogóle. Są pewne osoby, które najlepiej się czują w... no nie, do czego on zmierzał? Jakież to straszne słowo miał na końcu języka?

Fanny wyruszyła natychmiast. Uczyniła to niemal bez słowa, choć jednocześnie okazując wiele czułości Muriel, co zaskoczyło Milesa. Oczywiście, w obecności starej, niewinnej Manby Fanny musiała zachować milczenie, nie mogąc wyjaśnić, że nie jest tą, za którą uważała ją Muriel. Stało się bowiem jasne, że Muriel uznała ją za koleżankę po fachu pozostałych bożych sióstr Milesa. Fanny dziwiła się tylko, że nie wpadła na to wcześniej; ona, która zazwyczaj tak łatwo wyczuwała wszelkie podejrzenia rodzące się w umysłach sióstr, żon, matek i córek. W jaki jednak sposób - zastanawiała się zatrzaśnięta w pokoju przez Muriel, która histerycznie wykrzykiwała na schodach - można udowodnić, że się nie jest prostytutką i nie uwodzi czyjegoś brata? To doprawdy niełatwe. Samo oznajmienie „nie, nie jestem” czy „nie, nie uwodzę”

to o wiele za mało. Natomiast z chwilą wkroczenia Manby wszystko wyjaśniło się samo. Na myśl o tym Fanny poczuła ochotę, by się uśmiechnąć i tylko z trudem utrzymała powagę.

Udało się jej to z chwilą, gdy spojrzała na Muriel. Któż by się śmiał na jej widok?

Podeszła do niej prędko i ucałowała.

- Zostańmy przyjaciółkami i odwiedzajmy się czasem. Tak bardzo bym tego pragnęła.

Muriel, usiłując powrócić do roli gospodyni, nie ruszyła się z miejsca, a tylko zapytała:

- Czy nie miałyby pani ochoty coś przekąsić? Fanny położyła dłonie na jej ramionach i odparła, że z powodu mgły musi już chyba wracać do domu.

Stojąca cicho przy drzwiach Manby skromnie przytaknęła.

A Miles - pięknie się wysławiając i pieszcząc każdą sylabę tak, że stawała się oszlifowanym klejnotem

- zauważył, że o tej porze roku między Bethnal Green a samym Londynem zdarzają się bardzo nieprzyjemne mgły i że chyba rzeczywiście warto już wyruszyć.

Wówczas Fanny, patrząc prosto w umęczone oczy Muriel, karykaturalnie powiększone przez szkła okularów, zbliżyła się do niej i między dwoma pocałunkami szepnęła jej do ucha, że nie czuje do niej żalu.

- Nie przejmuj się. To nie ma znaczenia. Proszę, nie przejmuj się - szeptała. - Ja się nie martwię ani trochę, więc, proszę, nie martw się i ty.

Słyszając to, Muriel doznała kolejnego, głębokiego wstrząsu. Bo czyż kobieta nie powinna się przejąć, jeżeli ją ktoś weźmie za prostytutkę? I to przejąć się naprawdę poważnie?

\*

Fanny, odprowadzana przez Milesa, wracała do samochodu w milczeniu, a w odległości jednej latarni za nimi podążała Manby. Miles, znów odciągnięty wymogami grzeczności od swej kolacji, również szedł bez słowa.

Fanny bynajmniej nie chciała go słuchać. Miała już dość jego cudownego głosu, który jej zobojętniał z chwilą, gdy ujrzała nieszczęsną Muriel i stwierdziła, jaki los Miles zgotował swej siostrze, do złożenia jakich ślubów ją nakłonił. Będzie się musiała zastanowić, jak dopomóc Muriel - może zabierając gdzieś na wakacje, by ją choć na kilka tygodni wyrwać z tego środowiska. Fanny poczuła niekłamana radość na myśl, że się nie związała z fanatycznym duchownym, że się nie związała z kimkolwiek.

Czuła, że znajomość z Milesem dobiegła kresu i kiedy tak szła obok niego, chowając przed mgłą twarz w futrze, uświadomiła sobie, że kończyła po kolei z każdym z tych, którzy kiedyś byli jej oddanymi przyjaciółmi i że wszystko to nabrało wielkiego tempa. Dzisiaj - najpierw Jim, teraz Miles, a tydzień temu - Dwight. Generalne porządki wśród dawnych kochanków poprzez ostateczne usunięcie ich z życia. A może raczej odwrotnie - może to właśnie oni, pochłonięci własnymi sprawami, wyrzucają ją ze swoich biografii?

To była jednak przygnębiająca refleksja. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, że dla tych wszystkich mężczyzn, dawnych swych wielbicieli, Fanny była teraz jedynie muzealnym eksponatem, poruszającym ich w tym samym stopniu, w jakim ciekawość tłumu wzbudzał przywrócony do życia Łazarz; podczas gdy osoby, które jej wcześniej nie znały, takie jak Muriel, natychmiast widzą w niej duszę zgubioną. Być może taki ją właśnie czeka koniec - samotność i potępienie.

Refleksje te były rzeczywiście przygnębiające, mgła - ostra i przenikliwa, chodnik - wilgotny i brudny. Nic więc dziwnego, że Fanny szła w milczeniu.

- Słucham cię, Miles? - odwróciła ku niemu głowę, odsuwając na chwilę futro od ust, gdyż odniosła wrażenie, że się w końcu do niej odezwał i że nie dosłyszała początku.

Kierując się jej dobrem, Miles powtórzył swą wypowiedź.

- Nie ma się co dziwić, moja Fanny - poczuł się w obowiązku wytłumaczyć zachowanie siostry, a jednocześnie udzielić niezbędnej lekcji Fanny - że Muriel wzięła cię za kogoś, kim wolałbym wierzyć, że nie jesteś. W tej wierze utwierdza mnie fakt, że Manby wciąż jest jeszcze przy tobie.

Fanny milczała przez chwilę. Wreszcie zerknęła na niego z ukosa i zapytała z lekkim uśmiechem:

- Czujesz się zawiedziony?

- Zawiedziony? Co też ty, Fanny? - zawołał jak echo.

- Że nie masz kogo ocalać - odparła, nieznośna i przykra do samego końca.

## 7

Griffiths należał do szoferów, którzy nie lubią czekać na zimnie, a zwłaszcza na zimnie i w takim miejscu jak Bethnal Green.

Kiedy więc tylko Fanny wsiadła i rzuciła polecenie: - Do domu - zawiózł ją do domu, to znaczy na Charles Street, choć dobrze wiedział, że ona ma na



myśli hotel Claridge'a. Zrobił tak, ponieważ był wściekły.

Ten prosty odruch pociągnął za sobą nieprzewidziane skutki. Zaczęły one dawać o sobie znać, gdy tylko dotarli do Charles Street, a następnie rozwijały się w sposób najzupełniej niespodziewany przez kilka kolejnych tygodni. Znalazłszy się bowiem na Charles Street, Fanny wyjrzała przez okno samochodu ze zdziwieniem, gdyż nie mogła się zupełnie dopatrzyć wejścia do Claridge'a, i już zamierzała zapytać Griffithsa, dlaczego nie przywiózł jej tam, gdzie mu poleciła, kiedy w panującej na ulicy ciszy niedzielного wieczoru dobiegły ją dźwięki muzyki, a następnie uświadomiła sobie ze zdumieniem, że dochodzą one z jej własnego domu.

Manby usłyszała je również. Zaskoczona odwróciła się z przedniego siedzenia ku swojej pani.

Muzyka dotarła też do Griffithsa, który spojrzał badawczo w zasłonięte okna. Jednak w przeciwieństwie do Manby był bardziej uradowany niż zaskoczony, ponieważ nienawidził majordoma, a przeczuwał, że ten może się znaleźć w opałach.

- Cóż to... - powiedziała niepewnie Fanny, wpatrując się w okna na pierwszym piętrze, gdzie mieścił się salon, z którego rozbrzmiewała muzyka. Nie dostrzegła jednak żadnego światła, wszystkie okna były ciemne i zasłonięte.

Manby podeszła do drzwi samochodu.

- Czy jaśnie pani życzy sobie wysiąść? - zapytała.

- Chyba tak - odparła Fanny. Wysiadła, wyjęła klucze, otworzyła drzwi wejściowe i zapaliła światła.

- *No, no* - rzekła, stojąc nieruchomo i rozglądając się wokół uważnie.

Hol był zavalony płaszczami, zakietami, szalikami, kapeluszami i kaloszami. Trwało tu niewątpliwie

jakieś przyjęcie i było równie oczywiste, że wydano je dla służby, o czym świadczył rodzaj spiętrzonych garderoby. Wiedząc o tym, że chlebodawczyni wyjechała z Londynu na weekend, a także o jej zadowoleniu się u Claridge'a, służący Fanny skorzystali z okazji do wybryku; a była to służba, którą uważała za lojalną i daleką od tego, by za jej plecami robić coś innego, niż robiła przy niej.

Fanny była wstrząśnięta. Spodziewała się bowiem, że starsi służący są zbyt poważni, by uczestniczyć w podobnych przedsięwzięciach, i że jednocześnie utrzymają w korbach młodszych. Nie wiedziała jednak, jak młoda jest nowo poślubiona żona majordoma, do niedawna wdowca. To właśnie ona, tęskniąc za odrobiną rozrywki, tak fatalnie wpłynęła na swego zaślepionego męża.

Przyjęcie było z konieczności trochę ścięśnione; ponieważ okna frontowe musiały pozostać ciemne, bawiono się tylko w pomieszczeniach na tyłach domu - w bibliotece na parterze oraz w dalszej części salonu na piętrze. Poza tym była niedziela i mimo przykładu płynącego z góry, większość uczestników nie tańczyła. A jednak mogło to być całkiem miłe przyjęcie. A więc, na przykład z muzyką, która nie budziła niczyich zastrzeżeń. Zorganizowano to tak, że przed kolacją - którą, korzystając z okazji znalezienia się „na pokojach”, podano nie gdzieś w suterrenach czy innych pomieszczeniach dla służby, lecz w bibliotece - a więc przed kolacją rozbrzmiewała muzyka pobożna, zaś po wieczerzy, w tylnej części salonu, gdzie stało pianino, było więcej muzyki, ale za to mniej pobożnej, ponieważ majordom wiedział ze swego bogatego doświadczenia w obsługiwaniu przyjęć wyższych sfer, a jego młodej żonie o roziskrzonych oczach podpowiadał to raczej instynkt niż do-

świadczanie, że pobożność po kolacji nie jest stanem naturalnym.

I właśnie dokładnie w chwili, gdy Fanny weszła do holu, gdzie przystanąła zdumiona, zabrzmiał z góry, jakby tocząc się po schodach, potężny bas śpiewający stosowną, przedkolacyjną pieśń zatytułowaną *Nazaret*, przy akompaniamencie nie tylko pianina Fanny, ale również klarnetu i radosnego chóru innych, w tym także kobiecych głosów.

*Choć uboga to stajenka, Przybywajcie, adorujcie...*

grzmiał bas górując, a nawet zagłuszając inne głosy.

- Jak świetnie się bawią - pomyślała Fanny, nie mogąc powściągnąć uśmiechu wobec takiej werwy i przez chwilę zazdroszcząc cudownego pokrzepienia, jakiego musi dostarczyć całkowite popuszczenie sobie cugli.

Choćby to jednak było cudowne i pokrzepiające, pozostawało skandalem i dowodziło, że nawet najlepszych, długoletnich służących nie można zostawiać bez nadzoru na dłuższy czas. Przy Jobie nigdy by się nie ośmielili wydawać przyjęcia bez pozwolenia, nawet gdyby mieszkał u Claridge'a, nawet gdyby wiedzieli, że jest gdzieś znacznie dalej, za granicą, na końcu świata. Rozpanoszyli się także w jej salonie, na jej pięknych poduszkach - to niewybaczalne. Wykorzystali to, że mają do czynienia z kobietą, żerując na jej życzliwości. Ale przecież trzeba pozostawać w przyjaznych stosunkach z własną służbą. Nie może być inaczej, jeśli się z kimś mieszka pod jednym dachem. A jeśli przy tym służący byli zawsze wobec niej układni i czarujący, to czy nie należało odpłacić im tym samym? Stała tak, rozglądając się niepewnie, podczas gdy Griffiths, uznawszy, że majordom nie powinien unik-

nać zbliżających się kłopotów, z własnej inicjatywy zrobił wszystko, aby uniemożliwić jej odwrót: błyskawicznie przyniósł do holu bagaże oraz odstawił samochód do garażu. Fanny wiedziała, jak w takim wypadku postąpiłby Job. Znalazłby się natychmiast na górze, gwałtownie otworzył drzwi salonu i zagrział: „Won!” Ale ona nie czuła się na siłach, by grzmieć i nie miała serca - a może odwagi? - by swym nagłym, fatalnym pojawieniem się psuć im zabawę. Wyobraziła sobie, że staje w drzwiach, *Nazaret* cichnie z wolna, a wszystkie usta i oczy robią się okrągłe za strachu.

Nie, takie dramatyczne wejścia nie są w jej stylu. Poza tym sama odczuwałaby zbyt wielkie zażenowanie. To, co w końcu uczyniła, było może oznaką słabości, ale na pewno miało sens; otóż widząc przez otwarte drzwi biblioteki stoły uginające się od jadła, weszła tam, nakazując to samo Manby, usiadła i zaczęła zajadać swoje własne ostrygi, ponieważ była już niemal półżywa z głodu.

Tchórzliwa lawirantka - podpowiadało jej sumienie; ale o ile korzystniej jest być kimś takim i trochę się pożywić, niż iść na górę o pustym żołądku i wpędzać nieszczęsnego Soamesa w śmiertelny wstyd przy jego gościach. Jutro będzie dość czasu, by podjąć stosowne kroki i jeśli tylko uda się jej coś przez noc wymyślić, to na pewno je podejmie. A na razie tak wspaniale było sobie coś zjeść.

*Choć uboga to stajenka, Przybywajcie...*

grzmiał nad jej głową bas.

- Choć tu, Manby - zawołała, widząc, że służąca wciąż stoi w holu. - Skorzystaj z okazji.

Manby weszła, ale tylko po to, by powiedzieć, że zamknie jaśnie panią bezpiecznie w bibliotece, a sa-

ma pójdzie na górę i położy kres tej hańbie i sromocie.

- Niczego takiego nie zrobisz - odrzekła Fanny. - Siadaj i jedz. Chyba już konasz z głodu.

Ujęła służącą za rękę i pociągnęła na sąsiednie krzesło, twierdząc, że nie wierzy, by Manby była zdolna zepsuć komuś zabawę.

- Zepsuć zabawę, proszę jaśnie pani? - powtórzyła Manby, która kipiała oburzeniem na to, co się działo na górze.

- Znacznie przyjemniej jest jeść ostrygi - wyjaśniła Fanny popychając półmisek w stronę służącej...

\*

- No więc, kto z was się wychylił i zaczął jeść pierwszy bez nas? - godzinę później majordom, zupełnie jeszcze nieświadomy swej klęski, rzucił pytanie w stronę zbitych w tłumek gości, którzy wkroczywszy do biblioteki, ujrzeni brudne talerze i opróżnione kieliszki do szampana.

Tymczasem Fanny, przeprowadzona przez Manby tylnymi schodami, leżała już w łóżku.

- Jak myślisz - zatrzymała się na chwilę w drodze na górę, by szepnąć do służącej, gdy już całe jej zaufanie, jakim dążyła służbę, legło w gruzach - czy ktoś z nich będzie również i tam?

- Gdzie, proszę jaśnie pani?

- W moim łóżku.

- Ależ, proszę *jaśnie pani* - wymamrotała Manby, oburzona w najwyższym stopniu; choć po tym, co się już zdarzyło, nie w pełni przekonana, że to niemożliwe.

\*

A jednak nie. W sypialni Fanny nie było nikogo, nawet Joba. Zajęta wydarzeniami na dole, nie miała czasu o nim pomyśleć, a jako zapomniany nie był w stanie jej martwić.

Słuchając dobiegających nawet tu odgłosów z biblioteki i obserwując krzątającą się Manby, która zgrabnie ściągnęła z mebli pokrowce, rozpałała ogień na kominku, przyniosła lnianą pościel z garderoby naprzeciwko i przygotowała łóżko - Fanny próbowała rozstrzygnąć, czy to, że nie zeszła na dół i nie położyła kresu zabawie, było słabością, czy wynikiem jej niezwyklej życzliwości i łagodności. Chyba to jednak słabość. Nie miała pojęcia. Wiedziała natomiast na pewno, że tych nieszczęśników czekają jutro rano bardzo nieprzyjemne chwile; niechże się więc bawią póki czas. Przypuszczała bowiem, że poza Manby i Griffithsem cały personel należy zwolnić. Wszyscy w tym uczestniczyli i wszystkich trzeba odprawić. Ale oczywiście każdy z nich ma na utrzymaniu owdowiałą matkę lub sparaliżowanego ojca, co znacznie utrudni dymisję, a nawet sprawi, że może się ona wydać okrucieństwem. Bo dokąd pójda? Jak zarobią na swoje utrzymanie, jeśli powód ich zwolnienia będzie powszechnie znany?

Biedacy. No, ale ta kolacja. I nowe poduszki w salonie, obleczone w rzadki chiński jedwab, uwalane brylantyną. Wiedziała, że męska część jej służby smaruje sobie nią włosy.

Na myśl o kolacji i poduszkach poczuła przypływ oburzenia, który szybko ustąpił, gdy sobie przypomniała o przyjemności, jaką jej sprawił posiłek w bibliotece; jeśli zaś chodzi o poduszki, to przecież Soames chyba zadbał, żeby ich nie używano. Jak jednak kłopotliwe są te gwałtowne wzburzenia, które jej tak szybko przechodzą. Jeśli nazajutrz będzie podobnie, to w jaki sposób uda się jej wymierzyć sprawiedliwość? Gdy na przykład ktoś zacznie płakać, czy Fanny potrafi wytrwać w bezwzględnej surowości? A jeżeli jej się to

nie uda i po prostu im daruje, to jak ma potem żyć w domu pełnym służby, której nie można już ufać? Manby położyła przed kominkiem nocną koszulę i pantofle swej pani, żeby się ogrzały. Fanny obserwując ją, przypomniała sobie cytat, który często i uparcie przytaczał pewien jej niemiecki apsztyfikant:

*Denn die Frau bedarf der Leitung Und die mdnlichen Begleitung.*

Czyżby to było prawda? Wówczas śmiała się z tego, co on przyjął jako obelgę, za którą, gdyby była mężczyzną, wyzwałby ją na pojedynek. Przepowiadał też z groźbą w głosie, że Fanny dożyje jeszcze czasów, kiedy sobie przypomni jego słowa i przyzna mu rację.

No więc dożyła i przypomniała je sobie, a także przyznała, że czasem - a nie zawsze, jak utrzymywał jej germański wielbiciel i w tym tkwił jego błąd - że w niektórych wyjątkowych sytuacjach ów wierszyk rzeczywiście ma pewien sens. Zdarza się, że kobieta potrzebuje pomocy, nie prowadzenia za rękę, nie stałego towarzystwa, ale po prostu pomocy. I to nie aż tak daleko idącej, by czuła się zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Najlepszy do tego byłby Job, który w chwili, gdy o nim pomyślała, natychmiast znalazł się u jej boku, jak gdyby tylko na to czekał. On jednak nie wchodził w grę; należało więc zrobić przegląd przyjaciół i wybrać najlepszego, który by wziął tę paskudną sprawę na swoje barki.

Może George Pontyfridd? On jednak nigdy nie wracał do Londynu przed wtorkiem, a gdyby nawet był, prawdopodobnie doradziłby jej puszczenie wszystkiego płazem. To bardzo piękne, ale to nie on musiałby później mieszkać z niesubordynowaną służ-

bą. Jeśli im wybaczy, jakże trudno się będzie ustrzec nieufności wobec nich, a im, w ten sposób rozgrzeszonym, niełatwo przyjdzie uniknąć płaskiej służalczości.

Biedacy. Nie, to byłoby dla wszystkich zbyt przykre. George się nie nadaje. Fanny musi znaleźć kogoś mądrzejszego. Który spośród obecnie znajomych mężczyzn mógłby sobie jeszcze poczytać za zaszczyt możliwość przyjścia jej z pomocą? Fanny czuła przez skórę, że żaden. Mężczyźni dzisiejszego pokolenia zupełnie nie potrafią być prawdziwymi przyjaciółmi; co najwyżej znajomymi. Trzeba więc chyba sięgnąć do przeszłości, by znaleźć kogoś, komu sprawi przyjemność przyjście jej z pomocą. A może Peny Lanks?

Tak, na pewno. Kiedy tylko sobie o nim przypomniała, stało się dla niej oczywiste, że to właściwy człowiek. Nie widziała go od lat, ale to nie miało znaczenia, gdyż czuła do niego sentyment równie silny, jak w tamtych czasach potajemnych lekcji szachów. Poza tym zdążył już chyba odpocząć i wyzbyć się uczucia znużonego, pełnego wyrozumienia cierpiętnictwa, które go tak silnie opanowało pod koniec ich romansu. A jako prawnik znał przecież wszelkie tajniki i kruczki; co prawda może jak na sprawę tak drobną był to prawnik zbyt wielki, ale przecież jako jej przyjaciel chyba nie odmówi i raz zniży się do tego poziomu.

Nie mogła sobie wyobrazić nikogo bardziej odpowiedniego. Zadzwoń do niego z samego rana i zostawi majordomowi prośbę, by po powrocie ze wsi Lanks zechciał jej złożyć krótką wizytę, bo przecież i on mógł wyjechać na weekend, ale jako człowiek obciążony wieloma obowiązkami z pewnością wróci wcześniej w poniedziałek.



Tak, Perry jest człowiekiem, który jej pomoże, pomyślała z otuchą. Kochany Perry. W tamtych czasach nie doceniała go należycie, teraz jednak jest już rozsądniejsza.

Podjąwszy to postanowienie, pozwoliła, by Man by ją rozebrała, a następnie wygodnie otuliła się kołdrą i natychmiast zapadła w sen.

\*

W życiu Lanksa upłynęło jednak wiele wody od czasu, kiedy odwiedzał Fanny. Był teraz zupełnie innym człowiekiem. Osiągając kolejne szczeble zawodowej kariery, stał się już postacią tak bardzo wybitną, zarabiał tak znakomicie, że kiedy zaproponowano mu tekę ministra spraw wewnętrznych, zbył to jedynie uśmiechem. Oschły i wyrachowany, raz jeden oderwał się od rzeczywistości i wzniósł ku sferze ułudy i marzeń, jednak gdy tylko Fanny go porzuciła, oddał się bez reszty mnożeniu swego majątku, nagle sobie uświadamiając, że jest to jedyna rzecz, która go naprawdę interesuje. Pochłonięty tym dążeniem i smakując uczucie, że każdy następny dzień jest lepszy od poprzedniego, Lanks zapomniał już o istnieniu czegoś takiego jak miłość i marzenia.

Kiedy więc Fanny do niego zatelefonowała, nie mógł sobie początkowo wyobrazić, kim ona jest. Miał zwyczaj jeździć do swego domku na wsi w piątki po południu i wracać stamtąd w niedzielę wieczorem, dzięki czemu unikał zbytniego pośpiechu w drodze do pracy. Siedział więc właśnie u siebie w domu przy Montague Square i jadł samotnie śniadanie, gdyż jego żona należała do osób spożywających je w łóżku, kiedy zadzwonił telefon.

Weszła pokojówka - Lanks oprócz szofera zatrudniał u siebie wyłącznie kobiety, ponieważ one nie piją whisky - i oznajmiła:

- Jakaś pani pragnie z panem rozmawiać przez telefon, sir Peregrine.

Spojrzał na nią znad czarnej oprawki swego pince-nez, zdumiony jej przypuszczeniem, że go to zainteresuje. Nigdy nie odbierał telefonów. W biurze wiadomości z tego źródła docierały do niego za pośrednictwem młodszych urzędników, a w jego dwóch prywatnych domach nie interesowały go zupełnie.

- Ta pani mówi, że sprawa jest pilna - powiedziała niepewnie pokojówka, gdyż nie lubiła tego spojrzenia znad czarnej oprawki pince-nez. W obecności Lanksa służące szybko traciły kontenans. Był jednym z tych chlebobawców, którzy mają w zwyczaju pytać, co się stało z resztkami wczorajszej szynki.

- Czy podała nazwisko? - zapytał, wracając do lektury Timesa.

- Nie, proszę pana.

- Więc idź i zapytaj.

Zanim jednak pokojówka dotarła do drzwi, Lanks wstał, odrzucił Timesa i poszedł sam, mówiąc do siebie po drodze: „Przyzwoite żony, jeśli takie jeszcze istnieją, powinny siedzieć z mężem przy śniadaniu i odbierać telefony.” Mógł to być jakiś nowy klient - choć miał ich nadmiar, wciąż brał kolejnych, niewolony przyjemną świadomością nieustannego bogacenia się - dobrze sytuowany klient, który nie dodzwoniwszy się do biura, gdyż leniwi młodszy urzędnicy prawdopodobnie jeszcze tam nie dotarli, zatelefonował do jego prywatnego domu.

- Słucham, sir Peregrine Lanks przy aparacie - powiedział więc ceremonialnie do słuchawki.

- Ach Perry, to ty? - usłyszał natychmiast niecierpliwy głos z tamtej strony.

Perry? Nikt go tak nie nazywał. W każdym razie nie bezpośrednio. Jedynie w czasach, gdy był chłop-

cem, a później może jedna lub dwie kobiety. Od dawna jednak nikt już tego nie robił. Jego żona nazywała go Smokiem. Była na tyle niemądra, że nie widziała, jak bardzo go to denerwuje. „No, Smoku” mawiała grożąc mu paluszką „No, Smoku, nie bądźże takim *niegrzecznym* Smokiem.”  
Godne pożałowania.

- Przepraszam, a kto mówi? - zapytał już mniej ceremonialnie.

- Ależ Fanny. I byłabym bardzo wdzięczna, gdyby...

- Fanny? - przerwał jej już całkiem bezceremonialnie. - A czy mogę zobaczyć, kto to jest Fanny?

- Ach, Perry, jak *możesz* pytać, kto to jest Fanny? - zawołał oburzony głos. - Czy ty udajesz, czy może jesteś zły, że zadzwoniłam tak wcześnie?

- Czyżby chodziło o... - zawahał się Lanks, gdyż coś mu już zaczęło świtać - ... o lady Fanny Skeffington?

- Lady Fanny Skeffington! - przedrzeźnił go głos w słuchawce - pewnie ktoś stoi za twoimi plecami i słucha tego, co mówisz, ale u mnie nikogo takiego nie ma, mój drogi... - ponieważ od dawna nikt tak do niego nie mówił, wydało mu się to po prostu groteskowe. - Perry, jestem tak bardzo *znużona*, tak bezgranicznie *znużona*. Przyjedź do mnie i poradź mi, co mam robić. Przyjedź najszybciej, jak możesz. Bądź kochany i przyjeżdżaj od razu, zanim jeszcze zejdem na dół i się z nimi zobaczę. Z jakimi nimi? Z kim? Czyżby straciła wszystkie pieniądze, a teraz miała w mieszkaniu komorników? Będąc człowiekiem rozważnym, nie dociekał tego przez telefon ani też nie brał całkiem na serio przypuszczenia, że chodzi o komorników. Skeffington, jak sobie teraz mgliście przypomniał, stracił wprawdzie cały majątek na jakimś ekstrawaganckim przedsięwzięciu w Meksyku, ale czy nie zostawił jej przy-

zwoitej sumy po rozwodzie? Coś mu się wydawało, 'że tak. Tak, był tego pewien; i nieprawdopodobieństwem jest, by mogła zmarnować taką fortunę. Nabrał pewności, że to nie komornicy byli powodem jej kłopotów; ale że je naprawdę miała, nie ulegało wątpliwości, więc ostatecznie zważywszy, że *dawno, dawno temu...*

Przyplęnęło do niego wyblakłe wspomnienie tego dawnego, raczej wonne niczym zapach róż dla wyposzczonych od dawna nozdrzy i raczej miłe niczym dźwięki muzyki dla coraz mniej już wrażliwego ucha.

- Dobrze więc - powiedział. - Wpadnę po drodze do Tempie. Za dziesięć minut. To ciągle Charles Street, prawda?

- Tak, Charles Street. Jesteś kochany... Ale on już odwiesił słuchawkę.

To przykre i bardzo niemądre odnawiać znajomość z Fanny, pomyślał Lanks stojąc przez chwilę nad milczącym telefonem i ściskając dolną wargę między kciukiem i palcem wskazującym w charakterystycznym geście nadużywanym w karykaturach Lova, a także w Punchu i innych czasopismach. Nie miał czasu na jakieś powtórki, wspomnienia, wskrzeszanie. Co umarło, to umarło i nie należy tego niepokoić. Poza tym pod koniec był już bardzo zmęczony - stopniowo przypominał sobie coraz więcej. Choć od tamtych czasów minęło wiele lat, pamiętał, jak bardzo była dla niego męcząca, trzymając go na uwięzi swoją wspaniałą urodą, gdy jego pierwszy zachwyty już minął, a jednocześnie nie zadając sobie najmniejszego trudu, by z pięknem fizycznym szła w parze inteligencja. Mężczyzna pragnie kobiety nie tylko pięknej, ale i rozumnej, zwłaszcza gdy już minie pierwsze zaślepienie. Fanny zaś potrafiła być równie mądra jak piękna, o czym świadczyła choćby jej

błyskawiczna, lecz krótka, metamorfoza, gdy nauczyła się grać w szachy. Lanks pamiętał, że Fanny miała jak na kobietę bardzo sprawny umysł, i gdyby go wykorzystywała, mogłaby być niemal idealną partnerką. Jednak nie robiła użytku ze swego intelektu i nie była dobrym kompanem. Trzymał się jej o wiele dłużej niż mu na to pozwalała godność, ale ciągle miał nadzieję, że mu się uda na nią wpłynąć; trzymał się w istocie tak długo, aż go sama przepędziła, jeśli można użyć tego określenia dla tak delikatnej odprawy. Była zbyt piękna, a piękno daje ogromną władzę. Żyła tylko chwilą bieżącą i własną urodą - niczym nierządnicą.

Kiedy więc piękno przeminęło, została tylko męcząca uciążliwość. Kobiety z wiekiem stają się coraz bardziej męczące. Niedostatki ich ciał i umysłów wydobywają się stopniowo na powierzchnię jak kamienie na źle utwardzonej drodze. Nie chciał się z nią spotkać. To było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. A jednak...

Otóż właśnie - było jakieś „jednak”. Ponieważ stojąc tak nadal przy telefonie w mrocznym holu i wciąż szczypiąc swą dolną wargę, musiał przyznać, że była jeszcze inna strona tego wszystkiego. Czy mianowicie nie miał czegoś Fanny do zawdzięczenia? I czy nie nazywał kiedyś tego raczej „pięknym długiem”? Nie ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że właśnie dzięki niej w jego życiu jeden jedyny raz zagościła miłość i że to Fanny w tak szalony sposób mu jej dostarczyła. Choć wydaje się to teraz niezwykle, nie ma też wątpliwości, że Lanks kochał ją szaleńczo, a szaleńcza, gwałtowna, aż do całkowitego zapamiętania się miłość uwzniośla mężczyznę, podnosi go na wyżyny nie znane mu wcześniej i których już nigdy więcej nie osiągnie. Przypomniały mu się pewne słowa, których źródła nie mógł od razu zidentyfikować, a przyplłynęły do niego gdzieś z daleka

i wiązały się z tym krótkim okresem idealnego uwielbienia, zanim jeszcze zaczął patrzeć na nią krytycznie i dostrzegać jej błędy. - *Przeto z aniołami i archaniołami, z zastępami niebieskiego wojska...* gdzie on to mógł czytać albo słyszeć?

Dziwne, pomyślał Lanks, jeszcze silniej szczypiąc dolną wargę, ale dzięki Fanny przez kilka tygodni bawił gdzieś bardzo wysoko.

Jako człowiek wielkiej uczciwości zadał sobie pytanie: czy wobec tego, w zamian za to wszystko, kilkuminutowa wizyta na Charles Street powinna wzbudzać jego irytację?

\*

No więc pojechał. Zażądał kapelusza i płaszcza, wsiadł do czekającego nań samochodu i wyruszył; podczas krótkiej drogi przypomniał sobie o wielu sprawach, a nie lubiąc mieć jakichkolwiek zobowiązań, poczuł zadowolenie, że być może udzielając jej jakiejś trafnej rady, pozbędzie się i tego zadłużenia.

Kiedy jednak dobrze znane mu drzwi otworzył blady, rozczochrany młody człowiek w koszuli z krótkimi rękawami, który najwyraźniej znajdował się w samym środku nerwowego załamania, Lanks znów poczuł pierwotne obawy, że Fanny zbankrutowała i jest w swym domu nagabywana przez korników.

Pragnienie uczynienia czegoś w zamian za tych aniołów i archaniołów zostało natychmiast poddane próbie, gdyż niewiele jest rzeczy bardziej dla mężczyzny nieprzyjemnych niż ponowne pojawienie się dawno zapomnianej miłości w charakterze pożycz-kobiorczyni. To ją poniża, rzuca cień interesowności na coś, co jeszcze miejscami mogło być przyjemnym wspomnieniem - tak wytłumaczy swą niechęć udzielenia pożyczki.

Lanks poczuł taki niesmak, że byłby się odwrócił na pięcie i wyniósł stąd ponownie, nie dbając o opinię nie ogolonego służącego, gdyby nie to, że z pomieszczenia, gdzie jak Lanks pamiętał, była biblioteka, wyszedł wkładając po drodze płaszcz majordom, którego przybyły poznał mimo jego niechlujnego stroju i podkrążonych oczu

- Słucham, sir? Ach, dzień dobry, sir Peregrine - powiedział majordom, poruszony swym odkryciem. Sir Peregrine zaprzestał bywać na Charles Street przed wielu laty, ciągle przecież był rozpoznawalny. Oczywiście starszy, bardziej suchy, surowszy; bardziej imponujący - jednak wciąż bez trudu rozpoznawalny.
- Jestem umówiony z jaśnie panią - rzekł kostycznie Lanks, który uznał że zapuchnięcie majordoma i jego skażona tikami fizjonomia nie przynosiły zaszczytu tej rezydencji. Komornicy czy nie komornicy, majordomowi nie powinny puszczać nerwy.
- Aaa tak, proszę pana. Oczywiście. Oczywiście, sir Peregrine - odparł majordom, który podobnie jak młodzieniec w krótkich rękawkach, był jednym kłębkim nerwów.
- Czy coś nie w porządku? - zapytał Lanks, oddając kapelusz i płaszcz i rozglądając się po holu w poszukiwaniu jakichś śladów bytności komorników.
- Nie w porządku? Ależ nie, proszę pana. Nie, sir Peregrine.
- Czy jaśnie pani jest w salonie?
- Jeszcze dziś rano nie widziałem jaśnie pani, proszę pana. Zdaje się, że służąca powiedziała, że...
- Wobec tego poczekam w bibliotece, a ty daj znać na górze, że już jestem. Tylko szybko, proszę, ponieważ nie mam zbyt dużo czasu.

I zanim go majordom zdążył powstrzymać, Lanks, który znał każdy zakamarek tego domu, przemierzył hol, pchnął drzwi biblioteki i wszedł.

Jego oczom ukazał się żaloszny widok. Choć niewiele go ostatnio było w stanie zdziwić, to wydanie przez Fanny tego rodzaju przyjęcia jednak go zaskoczyło. Pokój, który pamiętał jako utrzymywany w niezwykłym, surowym niemal porządku, ozdobiony piękną ciemną boazerią i pełen całych kondygnacji półek z książkami, zaśmiecony był teraz resztkami czegoś, co najwyraźniej było szczególnie huczną kolacją. Grupka załęcznionych służących, kobiet i mężczyzn, usiłowała w szalonym pośpiechu doprowadzić wszystko do ładu. Obrzuciwszy go zatrwożonymi spojrzeniami, gdy wszedł, nie przerwali swej krzątaniny. Pracownicy zgarniali niedopałki i popiół, gnali z tacami pełnymi brudnych naczyń, zdrapywali z dywanów resztki jedzenia, zbierali kawałki szkła z potłuczonych kieliszków i napełniali kosze zdeptanymi pozostałościami ogni bengalskich.

Ognie bengalskie? Lanks, nie wierząc własnym oczom, założył czarne pincenez, by się dokładniej przyjrzeć. Tak, to ognie bengalskie. W żaden sposób nie mógł ich jednak skojarzyć z Fanny.

Stojący niespokojnie za jego plecami nieszczęsny majordom milczał. Przeczuwał, że już w tym domu niewiele będzie miał do powiedzenia. Nadeszła jego godzina. Początkowo nie poddawał się rozpacy, ufając w miłosierdzie Fanny; kiedy jednak ujrzał sir Peregrine'a, wybitną obecnie postać w sądownictwie, i usłyszał o umówionym spotkaniu, nie miał już wątpliwości, że jego zguba jest bliska.

I tak jak większość mężczyzn od czasów Adama, on również całą winą obarczył swą żonę.

- No tak, tu czekać nie mogę - rzekł Lanks



zawracając, a kącki jego ust opadły jeszcze niżej niż zwykle. - Pójdę na górę do salonu.

W salonie jednak, przynajmniej w jego dalszej części, również panowało zamieszanie. Lanks stał w drugim końcu, który uniknął głównego impetu przyjęcia, i z rękami w kieszeniach obserwował z sardonicznym uśmiechem służbę czyszczącą dywany i uklepującą rozpaczliwie poduszki, by im przywrócić pierwotny kształt.

Dlaczego jednak wszyscy oni byli tak przerażeni i tak szaleńczo się śpieszyli? Czyżby Fanny upadła aż tak nisko, że jej przyjęcie zwróciło uwagę policji? Ta możliwość wzięła teraz górę nad komornikami i zaczął ją już z niesmakiem rozważać, gdy w drzwiach pojawiła się Manby, rozpraszając dociekania Lanksa. Postarzała Manby była tak spokojna i godna szacunku, że sama jej obecność wykluczyła jakiegokolwiek dalsze podejrzenia o nikczemne sprawki. Manby nie mogłaby być służącą u kogoś o wątpliwej reputacji.

Było mu wstyd za te wszystkie niskie podejrzenia. Kiedy więc Manby zachowując spokój, tak jakby ostatnio widzieli się wczoraj, a nie przed osiemnastu - tak, przed osiemnastu - łąty zwróciła się do niego i powiedziała:

- Dzień dobry panu, sir Peregrine, czy byłby pan uprzejmy... - on przerwał jej, podszedł, gorąco uściśnął jej dłoń i zapytał, jak się miewa. Jego własna służba nie wierzyłaby własnym oczom, ale Wilton Crescent nigdy nie kojarzyło mu się z miłością.

- Dziękuję, doskonale, sir Peregrine. Mam nadzieję, że i u pana wszystko w porządku - odpowiedziała grzecznie Manby. - Czy byłby pan uprzejmy...

- Widzę, że mnie jeszcze pamiętasz - ponownie jej przerwał zadowolony, choć nie bardzo wiedział,

z jakiego powodu. A może dlatego, że Manby przypominała mu ten okres w jego życiu, kiedy nie liczyło się dla niego nic prócz miłości? *Przeto z aniołami i archaniołami, z zastępami niebieskiego wojska...*

- Ależ oczywiście, sir Peregrine. Czy byłby pan uprzejmy udać się na górę, do salonu jaśnie pani?

\*

Znajomy pokój. Lanks poczuł, że mógłby od razu podjąć na nowo grę w szachy przy kominku, mając tuż przed sobą tę pochyloną nad szachownicą niebiańską twarz. Przestał odczuwać ciężar czasu.

Wydało mu się, że kroczy wstecz, prosto ku swym minionym młodym latom, ku wystygłej miłości. A oto i Fanny...

Nie, rzecz w tym, że to nie była Fanny.

Dobry Boże - pomyślał Lanks, kiedy odwróciła się do niego twarzą.

Podeszła szybko i ujęła go za obie ręce. Była tak uszczęśliwiona jego widokiem, poczuła taką ulgę, że zupełnie zapomniała o tych osiemnastu latach. Nie chcąc zmuszać do czekania człowieka, który jest bardzo zajęty, ubrała się w biegu, a makijaż raczej sobie rzuciła, niż położyła na twarz. Gdyby więc miała czas uważniej przejrzeć się w lustrze, wynik tych zabiegów uznałaby za dziwaczny.

Dobry Boże - pomyślał Lanks, a zastępy niebieskiego wojska raz na zawsze czmychnęły w pomieszczeniu.

Ponieważ nie było innego wyjścia, ujął jej wyciągnięte dłonie, jednak jego uścisk był słaby.

- Perry, jak to miło z twojej strony - zaczęła z uśmiechem, widząc jednak wyraz jego twarzy oraz czując wymuszony uścisk dłoni, dodała pytająco - Perry? - jak gdyby nagle zgubiwszy trop, musiała go odnajdywać trochę po omacku.

- Jakże się miewasz, moja droga Fanny? - zapytał.

- Wewnątrz zawsze tak samo - rzuciła szybką odpowiedź, cofając ręce. Nie była przyzwyczajona, by je trzymano tak od niechcenia.

Nie zareagował na jej odpowiedź, ponieważ zapowiadała ona rychłe niebezpieczeństwo uciążliwego nudzi arstwa. Cóż z tego, że będzie nie zmieniona wewnętrznie, jeśli nie idzie z tym w parze jej zewnętrzna powłoka? Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Powiedz mi, proszę, w jaki sposób mogę ci pomóc - rzekł, spoglądając na zegarek.

- Daj sobie z tym spokój, jeśli jesteś zajęty - obruszona na widok zegarka, dotknięta tym zegarkiem.

- Mam tylko kilka minut, a ty prosiłaś, żebym przyjechał - wyjaśnił jej cierpliwie.

Znów ta jego cierpliwość. Żadna kobieta nie lubi, jeśli mężczyzna jest wobec niej tak ostentacyjnie cierpliwy. Fanny pamiętała nie skrywaną cierpliwość, jaką wykazywał pod koniec ich przyjaźni. A teraz przyjechał do niej po osiemnastu latach i prosił - znów jest cierpliwy.

Fanny była poirytowana. Obserwując cienką linię jego ust, zastanawiała się, czy w jej czasach ich kącki miały zwyczaj opadać w takim właśnie sardonicznym grymasie. Nie mogła sobie tego przypomnieć. Była jednak pewna, że tak nie było. Ale jeżeli jest to jeden ze skutków odniesionego przez mężczyznę sukcesu, nie ma powodu, by się tym przejmować.

Natomiast Lanks, podziwiając rozsądek ludzi, którzy wzdragają się przed spotkaniami po latach, jakie ich już raz na zawsze rozdzieliły, rzekł:

- Gdybyś zechciała mi powiedzieć, co mogę dla ciebie zrobić...

- Dobrze. Mam wielkie zmartwienie. Chodzi o służbę - odparła, gdyż skoro już przyszedł, głupotą byłoby

nie skorzystać z jego pomocy, mimo że korciło ją, by go odprawić a następnie zająć się wszystkim samodzielnie. Dodała więc niespodziewanie, wyciągając tym razem jedną rękę, którą on całkowicie zignorował:

- Nie spierajmy się, Perry. Mam wrażenie, że my się ze sobą wewnętrznie kłócimy.

- Służba? - zapytał Lanks wychytując to słowo z jej wyjaśnienia. Nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w rozważania na temat ich wewnętrznych odczuć; a jeżeli kłopoty ze służbą były jedynym powodem odciążenia zapracowanego człowieka od jego obowiązków, to jego zdaniem Fanny nie miała najmniejszego wycucia wartości. Ale przecież nigdy go nie miała. Zawsze gonila za cieniami, odrzucając świat materialny. A kiedy on sam stał się w pewnej chwili częścią owego świata, również został odrzucony przez tę niemądrą kobietę. Na swoje szczęście.

- Podejdz do kominka. Wszystko ci opowiem - zaproponowała, zbliżyła się do ognia i usiadła jak najbliżej jego blasku. Było jej zimno, zimno do szpiku kości, tak jakby lodowaty świat wypełniali tylko obcy, obojętni ludzie. W ciągu ostatnich dni Fanny odkryła, że Czas dręczy bezradne ludzkie istoty na różne wyrafinowane sposoby, ale najdziwniejszym z nich jest z pewnością przeistaczanie dawnych kochanków w obcych sobie ludzi.

Lanks słuchał na stojąco. Stał oparty o gzyms kominka, szczypiąc dolną wargę w oczekiwaniu na jej wyjaśnienia; kiedy zaś ona podniosła ku niemu wzrok - a będąc nowicjuską w procesie starzenia się, nie wiedziała jeszcze, że kobieta, która osiągnęła ten stan, nigdy nie powinna spoglądać z dołu na kogoś, kto stoi nad nią - dostrzegł worki pod jej oczami i zastanowił się, czy ona sobie zdaje sprawę z ich istnienia. Jeśli już jednak kobieta je ma, to czy powinna tracić czas na zapewnianie, że wewnątrz się nie zmieniła? Obserwując ją musiał wszak przyznać, że nie była to jeszcze całkowita ruina. Wciąż dostrzegał melancholijne ślady wielkiej urody, jej patetyczne pozostałości, na przykład tę niezmienioną, czystą linię nosa albo kształt potencjalnie, jak to zwykł określać, myślącego czoła. Ale to tylko

żałosne resztki tego, czym kiedyś była jej twarz; resztki piękności, które jedynie pogarszały jej dzisiejszy wygląd.

- Jestem ciekawa, czy mógłbyś ich odprawić w moim imieniu? - zapytała Fanny.

- Twoich służących? - zaskoczenie niemal odebrało mu mowę.

Patrzył na nią z takim samym pełnym chłodu niesmakiem, z jakim obserwował jej opuchłego ma-jordoma. To, że on, najbardziej wzięty i najwybitniejszy członek londyńskiej palestry, został wezwany na Charles Street w podobnej sprawie, zdziwiło go niepomiarnie.

- Albo może... - zawahała się Fanny zakłopotana jego zaskoczeniem - może byś mi towarzyszył w chwili, kiedy będę to robić, dobrze Perry? To takie *przykre*, jeśli się musi kogoś odprawiać - wyjaśniła, spoglądając na niego z dołu i znów eksponując swe podkrążone oczy. - Nigdy tego przedtem nie robiłam i jeślibym miała ich wszystkich...

Nigdy tego przedtem nie robiła! Choć niewiele go ostatnio rzeczy było w stanie rozbawić, tym razem odczuł ponurą wesołość. Przecież Fanny miała wielkie doświadczenie w odprawianiu ludzi i nie mogła utracić swej pomysłowości w tej dziedzinie. Lanks był gotów przyznać, że wyrzucanie służby jest bardziej przykre niż pozbywanie się adoratorów, ponie-

waż służący istnieją dla ułatwiania życia, zaś adoratorzy z czasem stają się kłopotliwi, jednak taka specjalistka jak Fanny nie powinna mieć z tym trudności. A poza tym - czy nie ma jakiejś sekretarki, jeśli sama czuje przed tym treść?

Usłyszał, że sekretarka jest, ale i ona nie cierpi takich sytuacji.

- A czy nie masz...

Wiedział jednak, że Fanny nie ma męża. Mimo że był daleki od świata flirtów i oddzielony od niego nawąłem pracy nigdzie nie bywał, to jednak wiadomość o jej powtórny małżeństwie na pewno by do niego dotarła. Pojawiłaby się na ten temat wzmianka w Timesie. Przerzucając jego strony w poszukiwaniu wiadomości o notowaniach giełdowych, z pewnością wyłowiłby jej nazwisko, które przecież kiedyś tak wiele znaczyło w jego życiu.

Fanny przypatrywała się w zamyśleniu jego ustom. „Jakże się zmieniłeś, ty nieugięty człowieku.” Jeśli ona zmieniła się tylko zewnętrznie, to w nim zaszła również przemiana wewnętrzna, co czyniło sytuację podwójnie niekorzystną. Przez krótką chwilę Fanny ujrzała oczami wyobraźni dzisiejsze wnętrze Lanksa - wnętrze pełne wykrzywionych ku dołowi ust i zastanowiła się, czy takie nie było ono naprawdę zawsze, tylko że wtedy przykrywała je maska miłości.

Miłość. Popatrzyli na siebie wzajemnie - ona z dołu, on z góry, i każde z nich zadawało sobie pytanie, czy to możliwe, że kiedykolwiek łączyła ich miłość. Nagle wyraz jego oczu, zimnych i dociekliwych, jednoznacznie jej uświadomił, jak ją teraz postrzega otoczenie. Tydzień lub dwa temu rozplakała się oglądając w lustrze swą twarz po bezsennej nocy i przed położeniem makijażu; teraz zaś - wyspana i umalowana - dostrzegła w jego oczach, a zatem i w oczach

świata, sygnał, że jej uroda to już tylko przeszłość, która nigdy nie wróci.

- Perry... - zaczęła, zapominając o służbie, o powodzie jego wizyty, wpatrzona tylko w ten ciemny ocean swojej przyszłości, przez który przyjdzie jej żeglować w zupełnym osamotnieniu ku narastającej z każdą falą nocy. - Perry, tak się boję...

- Kogo? Sfory służących? Moja droga Fanny! - odparł i kiedy, pragnąc uniknąć odprawiania służby, zaczął dodawać jej otuchy i tłumaczył, że kobiecie o jej poziomie, intelekcie i charakterze powinny być obce podobne uczucia, Fanny przerwała mu.

- Nie, nie... - powiedziała.- Sprawa służby jest niczym w porównaniu z... w porównaniu z...

Następnie, ponieważ Lanks patrzył na nią kłującym wzrokiem, zaczęła splatać i rozplatać dłonie, pochyliła się do przodu i powiedziała: - Czy ty tego nie rozumiesz, ach Perry, czy *naprawdę*, tego nie rozumiesz, jak przerażające, jak potworne jest dla kogoś, kto kiedyś miał wszystko, nagle uświadomienie sobie, że nie będzie miał już nic? Już nigdy nic? I że każdego dnia będzie coraz gorzej? Poczłł nieprzyjemny niepokój. - Moja droga Fanny, nic to znaczy nic i niemożliwe jest, żeby z każdym dniem miało być coraz gorzej - powiedział zimno, gdyż jeśli jej słowa cokolwiek znaczyły, to chodziło tu o to, czego obawiał się na początku - ona potrzebowała pieniędzy. A przyjęcie przez nią jego pieniędzy przyniosłoby im tylko wstyd. Nie można w ten sposób bezcześcić pamięci o tym, co kiedyś było wspaniałym romanssem.

- Ależ tak, to jest możliwe - zapewniła go Fanny, wykręcając sobie dłonie, trawiona silnym uczuciem. Jakie to żalosne, gdy podstarzała kobieta tak demonstracyjnie okazuje swoje rozterki, pomyślał obserwujący ją

Lanks. Kiedy pojawiły się zmarszczki, jedynym ratunkiem jest wyniosły wyraz twarzy. Tymczasem z ust Fanny padło to właśnie słowo, którego się bał usłyszeć.

- Bankructwo - powiedziała wyginając dłonie

- z każdą godziną coraz większe bankructwo. Było to obecnie dla Lanksa najbardziej nieprzyjemne słowo, a już szczególnie niepożądane w ustach przyjaciół.

- Moja droga Fanny - wyjaśnił kostycznie - nikt nie może stać się bardziej bankrutem. Nim się po prostu jest. Nie ma tu jakiegoś stopniowania.

- A właśnie że jest! - wykrzyknęła i zaczęła mu natarczywie tłumaczyć, że istnieje nie tylko stopniowanie, ale że każdy taki stopień jest gorszy niż poprzedni. Ponieważ było to jeszcze większą niedorzecznością, Lanks zdołał tylko wykrztusić: - Moja droga Fanny.

Spojrzał na zegarek, uznał, że może jej jeszcze poświęcić pięć minut i szczypiąc dolną wargę, doszedł do wniosku, że huczna kolacja, której resztki haniebnie zaśmiewały dom, była ostatnim wybuchem rozrzutności. Lanks wiedział, że ludzie, którzy gonią resztkami, stają się bardzo nierozważni i trwonią ostatnie zasoby w chwili, gdy każdy szyling powinien być dla nich na wagę złota; a potem, i tak jest najwyraźniej w przypadku Fanny, oczekują, że ich z tych opałów wyciągną przyjaciele. W tak szaleńczy sposób postępują z pieniędzmi zwłaszcza kobiety pozbawione mężów, którzy by je trzymali z dala od finansów. Jeśli kiedykolwiek istniała jakaś grupa ludzkich istot - ta myśl często przychodziła mu do głowy w jego codziennej praktyce

- która potrzebowała mężów, to były nią kobiety. Gdy tylko pomyślał o mężach, doznał olśnienia, że istnieje dla niego sposób na wydostanie się z tej przykrej i niepokojącej sytuacji. - Musisz o to po-



prosić Skeffingtona - powiedział stanowczym tonem osoby, która nagle wie, co robić - albo ja go o to poproszę.

Skeffingtona? Znieruchomiała w fotelu, w którym kołysała się przez ostatnią minutę, i popatrzyła na niego.

- Poprosić Skeffingtona? - zapytała wpatrując się w Lanksa nieruchomo. - Masz na myśli Joba? O co go mam poprosić?

- Żeby ci pomógł. Wiem, że nie jest już bogaty, ale jego rada może być cenna. Moja droga Fanny, on jest człowiekiem, do którego trzeba ci się zwrócić. Nie masz już oczywiście praw do jakichkolwiek roszczeń, ale zważywszy że był kiedyś twoim mężem... Jestem gotów - ciągnął, podczas gdy ona wciąż wpatrywała się w niego niewzruszenie. - Jeśli nie chcesz zrobić tego sama, jestem gotów napisać do niego w twoim imieniu. Zdaję sobie sprawę, że od rozvodu upłynęło wiele lat i że prawdopodobnie mógł się on związać z kim innym, niemniej...

Fanny wstała. Nagle uspokojona, podeszła do okna, popatrzyła przez chwilę na widoczne z nim stajnie i wróciła do kominka. Kiedy się odwracała, Lanks wyciągał właśnie zegarek.

- Perry... - zaczęła mówić, ale przerwała.

Miała zamiar powiedzieć, że świat jest pełen nieporozumień, i że wczoraj pewna kobieta wzięła ją za uliczkę, a dziś on posądził ją, że chce od niego pożyczyć pieniądze - ale się powstrzymała nie tylko dlatego, że ustawicznie wyciągał zegarek, ale także z obawy, iż słowa na nic się tu nie zdadzą. Słowa, słowa - słowa całego świata nawet o włos nie ułatwią wzajemnego zrozumienia dwojga ludzi, jeśli w tym nie ma osobistego zainteresowania, jeśli już są zmarszczki, jeśli uroda przeminęła do tego stopnia, że się

jest traktowaną jak ktoś obcy. Lepiej będzie pożegnać Perry'ego; usunąć go ostatecznie ze swego życia, podobnie jak Dwighta, Conderleya i Milesa. Jak jednak pokrzepiające, ach, jak bardzo byłoby *pokrzepiające*, gdyby sądząc, że ona jest w potrzebie, Lanks bez zastanowienia ofiarował jej jakąś sumę!

No, ale mniejsza z tym. To nie jego wina. Takim uczyniło go życie. Choć częściowo i ona miała w tym swój udział. Gdyby go bowiem poślubiła, to kto wie, może jego twarzy do dziś nie wykrzywiałyby ów grymas z opadającymi kącikami ust?

Omam się nie uśmiechnęła na tę myśl, a Lanks widząc, że Fanny się rozchmurza, poczuł lekką ulgę.

Poza tym miał przed sobą kobietę spokojną, co było o wiele lepsze, niż gdyby była wzburzona.

Jeszcze większą ulgę odczuł po jej oświadczeniu wypowiedzianym z charakterystyczną dla niej i dobrze mu znaną kpiącą miną, która jednak kiedyś tak czarująca - teraz na jej odmienionej twarzy prezentowała się osobiście:

- Przestań się martwić - mam dość pieniędzy na swoje utrzymanie.

- Czemu więc, moja droga Fanny, mówisz mi o bankructwie?

- Ponieważ jestem zbankrutowana. Ale nie chodzi o pieniądze. Mam ich dosyć dzięki zobowiązaniom Joba. Są jednak jeszcze i inne bankructwa - mówiła dalej, ale w tej chwili Lanks znów wyciągnął swój zegarek, obawiając się jakiegoś kolejnego nudzenia.

- Ach, Perry, mam już dość tego twojego zegarka

- wykrzyknęła. - Proszę cię, przestań wreszcie na niego spoglądać. Wiem, że się śpieszysz na swoje spotkania i że okazałeś mi wielką dobroć w ogóle tu przychodząc. Byłam idiotką, zawracając głowę komuś tak zapracowanemu jak ty. Poradzimy sobie

doskonale razem z panną Cartwright w tej sprawie ze służbą. Tak więc, proszę, zapomnij o tym. Wyciągnęła do niego rękę, a Lanks, całkowicie już rozluźniony, uściśnął ją niemal gorąco. Wielce to pocieszające, że w końcu nikt do niego nie ma jakichkolwiek pretensji. Teraz, mając pewność, że Fanny tego nie potrzebuje, trochę pożałował, iż nie okazał jej większej gotowości do pomocy, miał polecać jej tylko Skeffingtona.

- A zatem, żegnaj, moja droga Fanny - rzekł z wdzięcznością. - Tak się złożyło, że właśnie dziś jestem szczególnie zajęty. Jeśli jednak kiedykolwiek, poczujesz, że...

- Och, nic nie będę czuć - odparła idąc wraz z nim ku drzwiom. - Będę działać.

- I słusznie, tak, oczywiście, to jest właściwa droga. Tak jak za starych dobrych czasów, nieprawdaż?

- dodał rozglądając się dokoła za wyjściem, niemal jowialny w chwili, gdy upragniona ucieczka była już o krok.

- Nieprawdaż - odpowiedziała Fanny.

- Może zagramy w szachy? - rzucił swawolnie, gdy zauważył stojący na dawnym miejscu stolik z szachownicą.

- Zagrajmy - odparła z uśmiechem, pociągając za dzwonek.

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Poważnie, Fanny - powiedział. - Jeśliby kiedykolwiek było coś, w czym mógłbym ci pomóc...

- Dobrze. To bardzo miło z twojej strony - podziękowała.

Pojawiła się Manby.

- No cóż, do widzenia, Fanny.

- Do widzenia, Perry. I to było wszystko.

I to było wszystko.

Wpatrując się w zamknięte drzwi, za którymi Lanks zbiegał po schodach niczym wypuszczony ze szkoły uczeń, po raz pierwszy powzięła podejrzenie, że Los się uparł, by zrobić z niej mężczyznę. Nie jest to dla kobiety przyjemne; czymże jednak innym mogły być te kolejne nokautujące ciosy, jeśli nie sygnałem, że Fanny musi stanąć na własnych nogach i jak prawdziwy mężczyzna spojrzeć prawdzie prosto w oczy, że się już dla niej wszystko, poza samym czasem, skończyło? Jeśli tak było rzeczywiście, to przede wszystkim powinna skończyć z tym lgnięciem do mężczyzn. Wszyscy jej dawni kochankowie są teraz już tylko marionetkami i choć należy ubolewać, że taki koniec spotkał jej adoratorów, jeszcze bardziej żalosne jest kurczowe trzymanie się ich. A więc koniec. Fanny będzie teraz mężczyzną. Wielka to oczywiście szkoda, że ktoś, kto kończy jako mężczyzna, zaczął swe życie na całkiem przeciwnym biegunie.

Odwołując się więc do swej dumy, hartu, odwagi i siły ducha - wszystkich tych jej przymiotów, które tak obcesowo uzmysłowił jej Lanks; cech, które ona, jakże przecież uwielbiająca przytulną wygodę, zaciągnięte kotary i zupełny brak zmartwień, z wielką ochotą zostawiłaby męskiej rasie - podeszła do sekretarzyka, podniosła słuchawkę telefonu i przechodząc do interesów, rozpoczęła swą karierę pełnego wigoru mężczyzny.

A jej interesy to w tej chwili oczywiście sprawa służby. „Proszę mnie połączyć z panną Cartwright...” Coś z nimi trzeba natychmiast zrobić. Lanks... Bóg

z nim. Jeśli się bowiem nie chce tracić czasu na gorzkie refleksje, to nie ma nic lepszego, niż polecać ludzi Bogu; Fanny, która w przeszłości poleciła ich wielu, wiedziała o tym dobrze, choć oni sami nie byli tym zachwyceni. Ani się jej śniło pograżać w gorzkich refleksjach. Wręcz przeciwnie, czekając ze słuchawką przy uchu, spróbowała nawet sformułować choćby skromne pożegnalne błogosławieństwo na drogę temu, który kiedyś był jej kochanym Perrym, a teraz stał się po prostu Lanksem, by takim pozostać na zawsze - nie udało się jej jednak wyjść poza etap prób... „A, czy to panna Cartwright? Słucham? Nie? Więc proszę ją odnaleźć i niech podejździe do telefonu.” Nawet więc w sprawie należącego się ewentualnie Lankowskiemu błogosławieństwa zmuszona była zaufać łasce boskiej. Jeśli jednak Lanks wraz z miłością, urodą i resztą, którą Fanny ulegając swemu buńczuczному nastrojowi, nazwała całym tym kramem, jeżeli wszystko to odeszło z jej życia, nie było przecież powodu, by miała zeń zniknąć również i służba. Pytanie, kto ma ją zawiadomić o zwolnieniach, zostałyby rozstrzygnięte poprzez niezawiadomianie w ogóle nikogo. Wybacz im. Na długo przed podejściem panny Cartwright do telefonu Fanny postanowiła, że im wybaczy. Udzieli surowej, a nawet ostrej reprymendy, a potem im odpuści. Takie to proste, takie łatwe i przede wszystkim takie naturalne - wybaczyc. Czy będąc na ich miejscu, nie czułaby również pokusy, by pofiglować, tak jak myszy, które wiedzą, że kocur - z trudnością przeszło jej przez gardło to paskudne słowo, choć jego męski rodzaj był zgodny z narzuconą jej właśnie przez Los przemianą - jest gdzieś daleko? W każdym razie Fanny była przekonana, że okazanie miłosierdzia jest zawsze najlepszym wy-

jściem i nic nie było w stanie jej skłonić do zastosowania surowych metod Joba...

- Cześć Job, znów tu jesteś? - jej myśli przeszły nagle w głośne zawołanie, które trafiło do trzymanej przez nią słuchawki w chwili, gdy na dole w biurze panna Cartwright pośpiesznie przytknęła do ucha swoją; a stało się tak dlatego, że Skeffington był obok, lub tak się przynajmniej Fanny wydało, i patrzył na nią z wielkim wyrzutem, jak gdyby biedak chciał powiedzieć: „A co z surowymi metodami, które zastosowałaś wobec mnie? I od kiedy to, moja Fanny” - przynajmniej nie dodał „malutka-bledziut-ka” - „uważasz, że miłosierdzie jest zawsze najlepszym wyjściem?”

- No cóż, nie mogę teraz postąpić inaczej - odparła znów pełnym głosem i również do telefonu, ale nawet w przybliżeniu nie z takim zniecierpliwieniem, jak to bywało przed upokarzającą wizytą Lanksa. Po lodowatym, przesywającym wzroku człowieka, którego jedynym pragnieniem była jak najszybsza ucieczka, upór Joba w ciągłym pojawianiu się można by uznać za niemal sympatyczny. On przynajmniej lubił z nią przebywać. Fanny przypuszczała jednak, że również i Job, który jako wybitna i niepowtarzalna osobowość zazwyczaj różnił się od innych, - że także i on, gdyby ją teraz ujrzał, zachowałby się tak samo jak cała reszta.

- Tak Job, tak by było - powiedziała z naciskiem, czując, że Skeffington chce zaprzeczyć, a powiedziała to znowu do telefonu.

\*

Te trzy uwagi, z całą pewnością skierowane do dawnego pana tego domu, wielce wzburzyły pannę Cartwright, której wyobraźnię, pobudzoną przez treściwe acz niechętne odpowiedzi Manby udzielane na

jej pytania, silnie zaprzętała postać pana Skeffingtona. Więc jak to - *on* tam na górze? Pan Skeffington teraz w *tym domu*?

- Proszę wybaczyć, lady Frances - powiedziała niepewnie, a serce serce zabiło jej żywiej. - Ale ja niezupełnie...

- Zechce mi pani przysłać do salonu Soamesa i panią Denton - dobiegł do niej głos chlebobawczy.

- No, teraz dostaną za swoje - panna Cartwright niesiona triumfem rzuciła się do dzwonka i szarpała nim tak gwałtownie, że w końcu lokaj przybył biegiem. *On* jest na górze, on, prawdziwy pan tego domu, bez wątpienia przywołany tu przez doprowadzoną do ostateczności eks-mażonkę sprzed lat, by uporządkować cały ten bałagan. Manby zdradziła jej, że jaśnie pani telefonowała do kogoś wczesnym rankiem, jeszcze przed powrotem panny Cartwright, która spędzała weekendy ze swą starą matką w Ponders End. Zapowiadała się monstrualna awantura i ostateczna rozprawa z tą zgrają rozleniwionych i bezczelnych służących. *On* miał wszystkiego dopilnować i jeżeli skutkiem tej haniebnej orgii byłby *jego* powrót, to należałoby ją uznać za dar niebios.

Panna Cartwright bowiem, opierając się na niechętnych, choć treściwych, zawsze wyciąganych z gardła odpowiedziach Manby, wysnuła wniosek, że dawny pan tego domu był rodzajem mężczyzny, który ona, panna Cartwright, podziwiała; że był mianowicie po prostu mężczyzną, może nawet mężczyzną bezwzględny - któż jednak chcąc być sprawiedliwym, nie musi być choć w niewielkim stopniu bezwzględny? - a jednocześnie, wobec kobiet, mężczyzną miękkim jak wosk. To właśnie kobiety były zgubą pana Skeffingtona. A panna Cartwright tak bardzo lubiła mężczyzn, którzy ztracają się w ten właśnie sposób!

Wprawdzie osobiście nie spotkała jeszcze żadnego z nich, ale była pewna, że tacy istnieją. I oto teraz okazuje się, że o dwadzieścia dwa lata za wcześnie dla niej, dokładnie w tym domu taki mężczyzna rzeczywiście mieszkał. Nie ma bowiem najmniejszych wątpliwości, że ona należy do kobiet, wobec których pan Skeffington okazywał się miękki jak wosk. A kto wie, czy może jeszcze i teraz...?

Triumfująca i podniecona rzuciła się zatem do dzwonka, a później, posyłając lokaja po dwoje głównych winowajców, z trudnością ukrywała przed nim swą radość. Osobiście przekazała im polecenie chlebobawczyń. Pragnęła ujrzeć na własne oczy reakcję tych, do których żywiła niejedną urazę. Soames zachowywał się zawsze tak, jak gdyby był jej równy, a zważywszy że miał ku temu podstawy, panna Cartwright odczuwała zrozumiałą irytację. Co do pani Denton zaś, to nie było najmniejszej wątpliwości, że gotowaniem posiłków dla sekretarki obarczała drugą lub nawet trzecią pomoc kuchenną, a zważywszy że jedyną wielką cielesną radość w jałowym życiu panny Cartwright stanowiło jedzenie, ta sytuacja również była źródłem jej zrozumiałej irytacji.

No, ale teraz stare porachunki zostaną wyrównane, eraz ta parka dostanie za swoje. - Oboje macie natychmiast iść na górę, do salonu jaśnie pani - powiadomiła ich ostrym tonem; kiedy zaś wyszli, a raczej wysunęli się, drżąc jak anemiczna galareta, z wielkim animuszem przygotowała wszystko, co było niezbędne do ich zwolnienia; otworzyła więc książeczkę czekową, podstemplowała karty ubezpieczeniowe, wypełniła zaświadczenia o stażu pracy, dołączyła wreszcie poprzednie opinie, które teraz, po ich nocnym wybryku, będą warte tyle, co papier, na którym je napisano.



Po czym usiadła i czekała. Czekala długo. I nic się nie wydarzyło. Początkowo w domu panowała cisza i bezruch niczym w dzień zawieszenia broni, ponieważ personel z zapartym tchem oczekiwał wyroku na siebie od chwili, gdy dwoje przełożonych zniknęło w pokoju, gdzie ważył się ich los; jednak na długo przed tym, zanim oczekując na dzwonek telefonu, panna Cartwright zaczęła się początkowo dziwić, a następnie niepokoić, dom ożył i dały się słyszeć słabe odgłosy z wdzięcznością podjętej na nowo pracy.

Tym znajomym odgłosom panna Cartwright przysłuchiwała się ze zdziwieniem. Czyżby były jakieś przeszkody? Może powinna sama zatelefonować, udając pomyłkę po to tylko, by z głosu chlebodawcy wywnioskować, czy...

Nie, nie miała odwagi tego zrobić, a kiedy zupełnie już zdenerwowana, wyszła do holu, by sprawdzić, czy ktokolwiek wygląda tam na osobę świeżo wyrzuconą z pracy, pierwszym napotkanym był Soames, który w swych krótkich rękawkach pracowicie rozkładał na stole poranną prasę. Z całej jego postawy jednoznacznie wynikało, że jest człowiekiem bez reszty pochłoniętym swymi obowiązkami, co więcej człowiekiem

- choć panna Cartwright uznała to za niemożliwe

- któremu wybaczone.

- Czy jest ktoś na górze u lady Frances? - zapytała go z wahaniem, nie wiedząc, co o tym sądzić, tonem o wiele łagodniejszym niż przed półgodziną, kiedy mu polecała stawić się przed obliczem jaśnie pani.

- Nie, proszę pani, nic o tym nie wiem, proszę pani

- odparł Soames obojętnym głosem, przerywając pracę, by się do niej uprzejmie odwrócić.

A więc *jego* tam jednak nie było. Musiało się jej to przyśnić. Prawdopodobnie dostaje bzika na punkcie pana Skeffingtona.

Zmieszana i przygnębiona, w przekonaniu, że była świadkiem straszliwej obrazy sprawiedliwości, odwróciła się i przez otwarte drzwi jadalni ujrzała, że Manby wkłada róże do stojącego na stole wazonu. Weszła tam.

- Co się stało? - zapytała, zamknawszy szybko drzwi, o które oparła się plecami, tak by nikt nie mógł wejść. Nie może być przecież prawdą, by Soamesowi, pani Denton i całej reszcie miało to ujść płazem.

- ... stało, proszę jaśnie pani?

Manby spojrzała na nią pustym wzrokiem; spojrzała tak celowo, ponieważ ostatnio bardzo już jej doskwierały te liczne pytania na temat małżeństwa jej pani i nie była pewna, czy powinna na nie odpowiadać.

- Czy jest ktoś na górze?

- Na górze, proszę pani?

- U lady Frances! Wydaje mi się, że słyszałam głos jakiegoś dżentelmena...

- To musiał być sir Peregrin Lanks, proszę pani - odparła Manby, spokojnie układając róże. - Przyjechał wcześniej rano i wyszedł jakiś czas temu.

- A Soames? A pani Denton? Czy nie mają być zwolnieni?

- Jeszcze nie teraz, proszę pani. Tym razem wszystko zostało odpuszczone - powiedziała Manby. - Mamy tu świętą, anielską cierpliwość - dodała, pochylając się nad różami, by ukryć wyraz zatroskanej dezaprobaty malującej się na jej pełnym, choć zacnym obliczu.

Panna Cartwright patrzyła na nią nieruchomo bez słowa. Świadomość, że ktoś tak łatwo umknął sprawiedliwości, odebrała jej mowę. I na dodatek *jego* w tym domu ostatecznie nie było...

- Brakuje tu nam ręki mężczyzny - powiedziała oburzona i rozczarowana, odzyskawszy zdolność mówienia.

Manby była tego samego zdania; była tego zdania już od dwudziestu lat. Nie myślała jednak się z tego zwierzać pannie Cartwright.

\*

Przyszedł teraz na Fanny czas próby - niełatwo jest bowiem żyć w domu pełnym ludzi, którym się wybaczyło. Tylko dzięki temu, że wzięła się mocno w garść i uznała we własnym sumieniu, że jej obowiązkiem jest, by swoją obecnością zapobiec kolejnym ekscesom - była w stanie znieść to wszystko i oprzeć się pokusie ucieczki do beztroski, jaką mogła znaleźć w hotelu Claridge'a. Fanny wielce współczuła tym ułaskawionym nieszczęśnikom i odczuwała skryte wyrzuty sumienia z powodu swego niespodziewanego powrotu do domu i złapania ich na gorącym uczynku. Uświadomiła sobie, że nie należy wracać bez uprzedzenia, a potem miażdżyć ludzi aktem swej łaski. Zastanowiło ją, jak Pan Bóg, który wybacza niemal wszystkim, może komukolwiek spojrzeć w oczy.

Ona nie mogła. Stwierdziła, że unika spojrzeń. Wydając polecenia Soamesowi i pani Denton, nie patrzyła im w oczy. Odwracała głowę, gdy lokaje pędzili na złamanie karku, by jej otworzyć drzwi. Rumieniła się, gdy przełożona pokojówek przeproszała ją z lękiem za jakieś zupełnie niedostrzegalne uchybienie. Wszystko to było bardzo, bardzo przykre... Stałe, dokuczliwe skrepowanie odczuwała Fanny aż do chwili, kiedy pod koniec drugiego tygodnia, dzięki różnym drobnym oznakom, olśniło ją, że wszyscy już doszli do równowagi, a ona przeżywa tę sytuację silniej niż sami winowajcy. I rzeczywiście. Po okresie przesadnego aż posypywania głów popiołem, w drugim tygodniu personel uznał, że kajanie się w nieskończoność jest sprzeczne z naturą i wyraźnie się ożywił.

Oburzyło to pannę Cartwright, która ozywienie to uznała za przedwczesne, gdyż rada by ich wszystkich widzieć powalonych na kolana przez co najmniej rok.

- Im tu brakuje ręki mężczyzny - powtórzyła swą uwagę w nieco zmienionej wersji, zwracając się do Manby.

Tak, tego brakowało Soamesowi, wszystkim, nie wyłączając jej samej, uzupełniła w duchu panna Cartwright, z rozdrażnieniem dźgając bibułę wiecznym piórem. Praca u innej kobiety nie była jej wymarzonym zajęciem. Poprzedniej nocy miała cudowny, precudowny sen, w którym jej przełożony *był* rzeczywiście mężczyzną. Cóż za poczucie bezpieczeństwa! A ów przełożony tak bardzo przypominał pana Skeffingtona z opisu Manby...

- Słucham, lady Frances, czym mogę...? Podskoczyła gwałtownie, gdyż właśnie weszła do niej chlebodawczyni.

\*

Ostatnio wydawało się, że chlebodawczyni wchodzi do niej bez przerwy. Cierpi na brak zajęć, pomyślała krytycznie panna Cartwright, która patrząc na niezasłużenie bogate kobiety, czuła rosnący niesmak. Nie miała nic przeciwko bogatym mężczyznom. A nawet przeciwnie - lubiła ich i nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby mogła kilku poznać osobiście; bogate kobiety jednak nigdy swego majątku nie zawdzięczały własnemu trudowi, zawsze natomiast ich majątek pochodził, tak jak w tym wypadku, od jakiegoś zadurzonego, miękkiego jak wosk mężczyzny. Tym razem jednak chlebodawczyni nie odwiedziła jej bez powodu. Zazwyczaj nie miała żadnego - Fanny po prostu kręciła się niespokojnie, szkicowała z grubsza treść jednego lub dwóch listów, które zamierzała wysłać, rzucała okiem na wykaz zatrudnionych i py-

tała - a czyniła to od czasu nocnego przyjęcia - czy panna Cartwright nie sądzi, że jak dla jednej kobiety jest to obsługa zbyt liczna, i słysząc ostrożną odpowiedź „To przecież nie mały dom”, spoglądała w milczącej zadumie. Teraz jednak Fanny przysłała z poleceniem, by panna Cartwright wypisała czek na sumę dwudziestu funtów. Sekretarka przyłapana na gorączkowych rozmyślaniach o panu Skeffingtonie, wyciągnęła z szuflady książeczkę czekową lekko drżącymi rękami; choć właściwie to dlaczego nie miałyby sobie rozmyślać o panu Skeffingtonie tak gorączkowo, jak chce i kiedy tylko ma na to ochotę, skoro on już od tak dawna w najmniejszym stopniu do jej chlebobawczyni nie należy?

- Jakie nazwisko mam wpisać, lady Frances? - zapytała panna Cartwright, gdyż Fanny zamilkła. Trzeba przecież wpisać nazwisko. W przeciwnym wypadku wystawianie czeku nie ma sensu. Sekretarka zauważyła ze zdziwieniem, że chlebobawczyni zaczyna ją coraz częściej irytować. Nie jest to korzystne, jeśli się chce utrzymać pracę. Ona jednak nie zamierzała zagrzewać tu miejsca. Gdy tylko znajdzie odpowiednie stanowisko u jakiegoś dobrze prosperującego przedsiębiorcy, natychmiast się stąd zwolni. Najlepsza jest dla niej praca w biurze i związane z nią liczne możliwości.

- Ach tak, proszę wystawić na pannę Hyslup, Muriel Hyslup - powiedziała Fanny. - Napisałam list, który będzie wysłany razem z czekiem, i chciałabym, żeby to pani doręczyła jeszcze dziś po południu.

- Oczywiście, lady Frances.

- Tylko że nie znam adresu.

Pióro panny Cartwright zawisło w powietrzu. „Mężczyzny, mężczyzny...” przemknęło jej przez myśl.

- To jest gdzieś w Bethnal Green - wyjaśniła Fanny.

Panna Cartwright czekała, usiłując okazać jak największą cierpliwość.

- Ale nie wiem dokładnie gdzie.

Sekretarka pohamowała odruch odłożenia pióra i z rezygnacją opadła na oparcie krzesła.

- Byłam tam po zapadnięciu zmroku. Może gdyby to było za dnia... - Fanny przerwała, gdyż uderzył ją wyraz twarzy panny Cartwright. U kogo to już widziała podobny? Ależ oczywiście, u Lanksa. A teraz

- u własnej sekretarki. To przygnębiające, jeżeli ona, Fanny, stała się na koniec kobietą wzbudzającą u innych tylko zniechęcenie.

Panna Cartwright, pragnąc ściągnąć uwagę Fanny

- ponieważ ta najwyraźniej dała się ponieść abstrakcyjnym rozmyśleniom - poprosiła ją o jakiś szczegół, który by naprowadzał na ślad odbiorczyni czeku w Bethnal Green. Fanny, wlepwszy w nią wzrok, zebrała myśli i powiedziała o bracie-księdzu w sutannie, tłumacząc, że na pewno każdy zna jego adres, ponieważ jest on tam znany z wygłaszania kazań z ustawianego na ulicy krzesła.

- Musi pani dotrzeć do samej panny Hyslup i następnie przynieść jej odpowiedź. Niech jej też pani przekaże, proszę o to bardzo, że *całym sercem* pragnę, by się zgodziła na moją propozycję.

- Oczywiście, lady Frances.

- I najlepiej proszę pojechać taksówką. Chwileczkę, co ja mam w planie na popołudnie? Może Griffiths mógłby...

Panna Cartwright otworzyła skorowidz umówionych spotkań.

- Pani Pontyfridd i lady Tintagel przychodzą na lunch - odczytała.

- A rzeczywiście. Wprosiły się. Nie wiem po co.
- O piątej - pan Pontyfridd.
- Tak, ma do mnie jakąś sprawę. Nie mam pojęcia jaką.
- A wieczorem...

Ale Fanny nie ciekawiło, co będzie wieczorem i właśnie mówiła do sekretarki, że skoro ona sama cały dzień będzie siedzieć w domu, nie używając samochodu, to niech pannę Cartwright do Bethnal Green zawiezie Griffiths, gdyż on znał drogę przynajmniej do miejsca, gdzie stało krzesło - kiedy zadzwonił telefon, sekretarka podniosła słuchawkę i odbyła krótką wymianę zdań, z której Fanny słyszała tylko połowę.

- Proszę, słucham, kto mówi?
  - Cześć, kochanie.
  - Tu sekretarka lady Frances Skeffington.
  - A więc cześć, moje *małe* kochanie.
  - Czy chce pan rozmawiać z lady Frances?
  - Bystra z ciebie dziewczyna.
  - Czy zostawi pan jakąś wiadomość?
  - Jak to, już jej nie ma? Miałem nadzieję, że ją zastanę w łóżku.
  - Czy byłby pan uprzejmy podać mi swoje nazwisko?
  - Niezły z ciebie ptaszek, ale założę się, że nie czarny, co?
  - Czarny? - powtórzyła panna Cartwright.
  - Czarny? - zapytała jak echo Fanny. - Nie znam nikogo o takim nazwisku. Niech się pani rozłączy. Zarumieniona panna Cartwright odłożyła słuchawkę.
  - A więc wieczorem... - podjęła, wracając do skorowidza spotkań.
- Ponieważ jednak był to sir Edward Montmorency, kawaler orderu św. Michała i św. Jerzego, który

chronologicznie lokował się zaraz po Conderleyu i który oczarował Fanny aparycją i lekceważeniem wszelkich autorytetów, a tego właśnie ranka powrócił z tropikalnej wyspy na Pacyfiku, gdzie był gubernatorem - wobec tego wszystkiego nie tak łatwo się było z nim rozłączyć czy raczej zmusić go do tego, żeby poniechał telefonu.

Na swej tropikalnej wyspie i na wielu innych, nie mniej tropikalnych, kolejno władał niezliczonymi szamiami czarnych, czyniąc to radośnie i z powodzeniem. Radośnie - ponieważ mimo że odczuwał ostry fizyczny wstręt do tego koloru skóry, to jednak wykazywał zdolność doszukiwania się we wszystkim dobrych stron; z powodzeniem - gdyż w gruncie rzeczy był bardzo do czarnych podobny: prostoduszny, wielce skłonny do zabawy, popadający bez większych powodów w uniesienie, które objawiało się podśpiewywaniem, gwizdaniem czy sunięciem tanecznym krokiem po licznych tam zadaszonych tarasach. Wszystkie te cechy, tak bardzo przypominające sposób bycia czarnych, zaskarbiały mu ich uczucia. Z jednej więc strony wskutek osobistej popularności, z drugiej - dzięki sprawowanej władzy przywykł do swej niczym nie zachwianej pozycji Wszechmogącego Boga.

Jest to jednak nawyk niezbyt fortunny dla kogoś, kto doszedł do granicy wieku emerytalnego. Członkowie jego londyńskiego klubu czcili tylko jednego Boga, a dla kelnerów był on zaledwie łysym jegomościem przy oknie. Przyszłość gotowała mu też wiele waśni z taksówkarzami. Na Edwarda czyhało bez wątpienia mnóstwo kłopotów. Jednak pierwszego szczęśliwego poranka w dniu powrotu, kiedy po dwunastu latach jadał na śniadanie melonów, na nowo powitał wyśmienite jaja na szynce, czuł się, jak mówi przysłowie, niczym ryba w wodzie. Nie naj-



gorsza jest ta mała, stara Anglia, myślał z wawo przemierzając swą hotelową sypialnię w oczekiwaniu na połączenie z Charles Street. Cholernie dobrze jest łyknąć prawdziwej, gęstej jak grochówka mgły i wszędzie dotkliwie marznąć. Cholernie dobrze jest spotkać...

- A oto i ona... - rzucił się do telefonu i odbył rozmowę, którą zaczęło jego „Cześć kochanie”, a zakończyło odwieszenie słuchawki przez pannę Cartwright.

Nie przywykły do takiego traktowania, nie przywykły w istocie od dwudziestu lat do jakiegokolwiek innego traktowania poza okazywaniem mu służalczości, Edward nie posiadał się ze zdumienia, żeby jakaś byle sekretarka naprawdę sobie wyobrażała, że mu uniemożliwi rozmowę, którą on postanowił przeprowadzić. Zanim więc panna Cartwright zdążyła wrócić do swego skorowidza, telefon odezwał się ponownie.

- Proszę, słucham, kto mówi?

- Ten sam poczciwiec co przedtem - odpowiedział Edward, trzymając się w karchach, gdyż pierwszego ranka w Anglii nie chciał wpadać w złość. - Ten samiuteńki, z którym ostatnio gawędziłaś.

- Przepraszam, ale to pomyłka. Tu nie ma nikogo o nazwisku Czarny.

W Edwardzie zawrzała krew. Czarny? A kto prosi o jakiegoś Czarnego? Niech diabli porwą tę dziewczuchę, pomyślał Edward dzwoniąc po raz trzeci, ponieważ po latach bycia Wszechmogącym w tropikach krew mu się burzyła, kiedy napotkał najmniejszy choćby sprzeciw.

Tym razem panna Cartwright poznała go po głosie i zasłaniając ręką słuchawkę, powiedziała:

- To znowu ten, który prosił jakiegoś Czarnego. Co mam zrobić, lady Frances? Może wyłączę chwilowo telefon?

Fanny zgodziła się, co spowodowało, że po kilku wściekłych i bezskutecznie podejmowanych przez Edwarda próbach połączenia się, na Charles Street przybył posłaniec z naręczem róż, a w chwilę później, kiedy Fanny ciągle jeszcze trzymała je zdezorientowana - on sam.

W ciągu ostatnich bowiem miesięcy swego wygnania, zalewając się potem w tropikalne noce, Edward snuł plany na przyszłość, plany, które obejmowały poślubienie Fanny, a właściwie opierały się na tym jak na fundamencie. Droga, kochana Fanny na pewno bardzo się zmieniła, ale jest przynajmniej biała i nieoślizła. Po tych wszystkich tubylczych kobietach, tłustych i jakby oślizłych, reagujących na każde dotknięcie z zatrważającą, śliską węzową sprężystością - ożenek z Fanny można by porównać do chłodnej kąpieli. Dobry Boże, te chłodne angielskie kobiety - rozmyślał Edward, wsuwając się pod mos-kitierę. - Chłodne, czyste, kruche i delikatne przeciwieństwa tamtych tłusciochów. Zapałał nienawiścią do tych tak bardzo czarnych, wielkich i oślizłych grubasek. Tylko na samym początku dały mu one trochę radości, ale po latach, wyjąwszy chwile psychicznych załamania, nie zbliżał się do nich i wytrwale czekał na dzień, kiedy rozstanie się z tymi stworzeniami raz na zawsze i wróci do kraju, gdzie poślubi ich przeciwieństwo.

Jednak tylko wielki optymista, człowiek z natury niezwykle wylewny, pochopny w działaniu, przyzwyczajony do zaspokajania swych kaprysów przez lata pozostawania przy władzy - mógł tak łatwo planować małżeństwo z Fanny, która w dawnych czasach uparcie odmawiała mu swej ręki. Choć dobrze o tym pamiętał, nie miało to dla niego większego znaczenia, ponieważ dotyczyło dawnych czasów, a kobieta pięć-

dziesięcioletnia robi rzeczy, których nie zrobiłaby mając lat trzydzieści, i często jest z tego zadowolona. Edward pilnie śledził jej losy. Wiedział o niej wszystko, a więc że nie wyszła ponownie za mąż po swym związku z tym Żydem, że wciąż mieszkała przy Charles Street, a więc powodziło się jej dobrze, oraz że ostatnio była ciężko chora iomalże się nie przeniosła na tamten świat, wkrótce zaś będzie obchodzić pięćdziesiąte urodziny. Tak więc Fanny wyszła już do tej pory i prawdopodobnie popełniła wszystkie głupstwa, jakie miała popełnić; musi być zatem tak samo dojrzała do decyzji ustatkowania się jak on. Edward osiągnął sześćdziesiątkę. Oboje nie mają czasu do stracenia. Są w wieku, w którym jeżeli ma się jeszcze zamiar zmienić stan cywilny, to nie należy zwlekać ani chwili. Edward nie dostrzegał żadnych przeciwwskazań. Mogliby to nawet zrobić w jej pięćdziesiąte urodziny, przydając uroczystości swoistego szyku, po czym rozpoczęłyby z nią życie, przygotowany do końca swych dni kochać i pielęgnować to, co jeszcze zostało do kochania i pielęgnowania; a czynić to tak, jak dobry mąż powinien - nie tak już młody, ale też i nie tak stary. Edward uznał, że jego plan jest zachwycający i pierwszorzędny. Skorzystają na tym oboje. Ona zyska stałego i oddanego opiekuna, a on spłaci swoje długi.

Pełen stanowczości, zdecydowany poradzić sobie po drodze z każdą, choćby i ładną, sekretarką, umyty i ogolony, jak przystoi mężczyźnie, który spodziewa się rychłego całowania - przybył tuż za swoimi różami, a widząc kręcącego się po wewnętrznym halu Soamesa, odepchnął lokaja i przedarł się w kierunku starego przyjaciela. To doprawdy fantastyczne znów spotkanie pocziwego Soamesa. Równie dobrze mógł już nie żyć i kontakt by się zerwał. Chłopisko było

wprawdzie trochę brzuchate i miało raczej z górki, ale jeszcze dawało się rozpoznać.

- Cześć Soames! - zwołał, pędząc radośnie i ściągając w biegu płaszcz, by nie tracić ani sekundy.

- Ciągle przy jaśnie pani?

Soames odpowiedział twierdząco, zastanawiając się, kim jest ten żwawy jegomość.

- Słusznie, słusznie, nie ma to jak trwać na starym posterunku. Gdzie ona jest? - I rzuciwszy kapelusz zręcznie złapany przez młodego lokaja, bramkarską gwiazdę wiejskiej drużyny futbolowej, obciągnął kamizelkę, zacisnął węzeł krawata, poprawił kołnierzyk wokół szyi, zatarł ręce i był gotowy na wszystko.

- Wątpię, czy ktokolwiek jest w domu, proszę pana

- odpowiedział sucho Soames.

Nie spodobało mu się to rzucanie kapeluszem ani wyraźny zachwyty młodego nowo przyjętego lokaja.

Hol jaśnie pani to nie ogródek przy piwiarni. Któż to jest ten ruchliwy łysy dżentelmen?

Choć bowiem Edward poznał Soamesa, to ten ostatni mu się tym samym nie odwzajemnił. Po latach smażenia się na tropikalnej patelni w promieniach bezlitosnego słońca Edward przypominał teraz wyschły suchar i był łysy jak kolano. Poza noworodkami Soames nigdy nie widział kogoś tak łysiego.

A ponieważ ostatnio jego pani przywiązywała do włosów wielką wagę - wiedział to, gdyż służący po prostu wie dużo - uznał, że próbując się z nią spotkać, ów dżentelmen traci tylko czas. Nic nie daje włożenie getrów i zatknięcie goździka do butonierki, jeśli się jest łysym. Ten jegomość powinien tu wpaść wcześniej, zanim jeszcze poniósł te wszystkie straty. Może dziesięć, piętnaście lat temu.

Soames zdecydował więc, że wyświadczy mu przysługę, jeśli go odprowadzi do drzwi, zanim uczucia przybysza zostaną

zranione, i rozpoczął manewry w kierunku zewnętrznego holu, dając jednocześnie znaki lokajowi. Edward był stanowczy.

- Nie chodzi mi o *kogokolwiek*, ale o jaśnie panią. Idź i poszukaj jej - rozkazał.

Jednakże Soames, który od dawno minionych czasów pana Skeffingtona nie zwykł wysłuchiwać rozkazującego tonu, nadal przesuwał się ku drzwiom i dawał kolejne znaki lokajowi.

Wówczas Edward, czując, że krew się w nim burzy, przemierzył w poprzek hol, zaczął po kolei otwierać różne drzwi i zaglądać do pokoiów.

Soames był zgorzony. Jakże ten obcy człowiek śmie dotykać drzwi jaśnie pani?

- Proszę pana, proszę pana - upominał go coraz energiczniej, podczas gdy tamten nie znalazłszy nikogo na dole, ruszył w górę, po schodach jaśnie pani.

Wstrząśnięty takim zachowaniem Soames, rozważając, czy nie powinien wezwać policji, rzucił się desperacko naprzód i schwycił wchodzącego po schodach nieznanego za ramię, doprowadzając krew Edwarda do stanu wrzenia. Co takiego? To zero, które tylko przez najczystszy przypadek jest białe, a nie czarne, ośmiela się tknąć jego, Edwarda, swego pana życia i śmierci; próbuje go zatrzymać, kiedy on ma ochotę wejść po schodach?

- Niech cię jasna cholera! - zagrzmiał, gwałtownie się otrząsając, wskutek czego Soames, któremu w tym spokojnym, po kobiecemu prowadzonym domu, raczej brakowało męskiej ręki, stał się potulny jak baranek.

- Kogo mam zapowiedzieć, proszę pana, jeśli znajdę jaśnie panią? - zapytał lekko zdyszany, lecz już całkowicie odmieniony Soames.

Tym razem głębokiego wstrząsu doznał Edward, który poczuł się dotknięty tym, że natychmiast roz

poznany przez niego Soames nie odwzajemnił mu się tym samym.

Edward milczał przez chwilę. Odwrócił głowę i patrzył przez chwilę na majordoma.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że mnie *nie poznajesz*? Nie zamierzasz twierdzić, że mnie *nie znasz*?

- No tak, proszę pana, nie powiem, żeby... - zaczął Soames, kiedy lokaj, który pracował tu od niedawna i ciągle jeszcze był uprzejmy i prawdomówny, a także chciał swemu szefowi oszczędzić zbędnej bieganiny, sądząc, że Soames o tym zapomniał, podszedł do nich i nieśmiało przypomniał, że przecież obaj widzieli, jak niedawno jaśnie pani wchodziła do biura sekretarki. I zanim Soames zdążył zgromić wzrokiem nadgorliwego młodzieńca, Edward ruszył jak strzała właściwym korytarzem i bezbłędnie trafił do właściwych drzwi.

\*

Jednakże oprócz Fanny w biurze siedziała również panna Cartwright. Ponieważ dzień był pochmurny, półmrok panował również w pokoju, w którym oświetlone były jedynie stojące na stole róże Edwarda. Ten zaś, patrząc na przemian, to na jedną, to na drugą z siedzących naprzeciwko siebie postaci, w żaden sposób nie mógł ich rozpoznać. Jedna z nich to Fanny, tylko która? Pomyłka byłaby tu prawdziwym nieszczęściem. Ponieważ zamierzał rozpocząć spotkanie od ucałowań, podejście do niewłaściwej osoby mogłoby się okazać zgubne w skutkach.

Miotany rozterką, stał więc w drzwiach i milczał.

Obie kobiety przypatrywały mu się pytająco. Żadna nie sprawiała wrażenia, że dostrzega w nim kogoś znajomego, co nie ułatwiało sytuacji. Fanny, sądząc po stroju i kwiecie w butonierce, pomyślała, że ma

przed sobą czyjegoś družbę, który pomylił domy i poszukuje w pośpiechu pana młodego. Panna Cartwright wiedziała tylko tyle, że nie jest to mężczyzna, na którego czekała. Wówczas Edward poczuł natchnienie. - Fanny, *kochanie*] - zawołał i nie wystąpił ze swego cienia przy drzwiach, starając się nie kierować tego do żadnej z nich, lecz ogarnąć wzrokiem obie naraz. Salomonowa niemal genialność tego posunięcia stała się oczywista, gdy ta, która nie była Fanny, natychmiast się podniosła, zebrała jakieś papiery i dyskretnie opuściła pokój.

Na Boga, ledwo uniknął wpadki. Edward głęboko odetchnął. To byłoby zbyt straszne, gdyby podszedł do niewłaściwej kobiety. Ta właściwa mogłaby mu tego nigdy nie wybaczyć. Na myśl o tym spociał się tak, że koszula przylgnęła mu do pleców. No, ale na razie wszystko było w porządku. Osoba siedząca przy stole to była na pewno Fanny. Na pierwszy rzut oka trochę rozczarowywała, ponieważ jednak cała jej postać, z wyjątkiem rąk, kryła się w cieniu, trudno było jeszcze coś wyrokować. W każdym razie Fanny się nie skurczyła. Dlaczego zresztą miałyby się skurczyć, on sam przecież nie uległ temu procesowi, a raczej wręcz przeciwnie. To była Fanny, która miała należeć do niego i nie wolno mu sobie brać do serca jakichkolwiek drobnych zmian. Naprawdę zaś przejął się tym, że podobnie jak Soames, Fanny zdawała się go nie poznawać. Ale zaraz go sobie przypomniał - postanowił w duchu. Ruszył ku niej zdecydowanie i bez wahania uniósł jej uległą dłoń, którą ucałował z żarliwą namiętnością charakterystyczną dla spotkania po długiej rozłące, a następnie rzekł coś, co miało świadczyć o niezwykłym takcie i przytomności umysłu:

- Poznałbym cię na końcu świata. Fanny ogarnęło zbyt wielkie zdumienie, by mogła cokolwiek powiedzieć. Wlepiła wzrok w pochyloną przed nią głowę. Kimże jest ten łysy mężczyzna" Jednak już zadając sobie to pytanie, kiedy był wciąż pochylony, coś w jego głosie, w zarysie ramion, w samym sposobie miażdżenia jej palców w jego dłoni, kazało jej cofnąć się o lata w przeszłość i tylko w ostatniej chwili zdołała się pohamować przed wyrażeniem niedowierzania, które graniczyłoby z niegrzecznością: „To *niemożliwe*, żeby pan był Edwardem!"

Nie zrażona tym z trudem zażegnanym niebezpieczeństwem, podniosła się - troskliwie i niepotrzebnie wspomagana przez Edwarda, ale ten nigdy przecież nie grzeszył taktem - uważała bowiem że korzystniej będzie stać niż siedzieć w chwili, gdy łysy mężczyzna, który, jak się obawiała, mógł być Edwardem całował ją w rękę, a ponieważ jej dłoń wciąż tkwiła w jego uścisku, nie widziała innego wyjścia niż tylko mu go odwzajemnić. Tak też i uczyniła.

- Moje uszanowanie - powiedziała patrząc uparcie w twarz, która, jak się obawiała, mogła być twarzą Edwarda. Wiedziała, że nie jest to właściwe powitanie dawnego bliskiego przyjaciela, ale ta łysina wytworzyła między nimi dystans. Fanny nie miała najmniejszego pojęcia, że przez cały tamten czas pod jego czarującą, falistą czupryną kryło się aż takie jajo-musiała więc to jakoś przetrwać, zanim się zacznie zachowywać naturalnie. A jeśli to mu się posunęło dalej i wyłysiał także wewnątrz?

*Alles Vergängliche ist nur ein Gleichniss*, jak ją zapewniał jej niemiecki absztyfikant, przypuścmy więc, że.



- Fanny! - zawołał, ujmując również drugą jej rękę. - Nie mów do mnie „Moje uszanowanie”; nie mów, że mnie nie pamiętasz.
- Ależ oczywiście że pamiętam. Jesteś Edwardem.
- Twoim Edwardem - zripostował natychmiast i znów, jak sądził, z Salomonową zrećnością. Popatrzyła na niego, nie wiedząc, czy się roześmiać, czy zapłakać. Cóż bowiem począć z człowiekiem, którego kiedyś rzeczywiście często nazywała swoim Edwardem - ale czy mało to niemądrych rzeczy mówi się w intymnych chwilach w młodości? - i który teraz, już od niepamiętnych czasów nie będąc jej Edwardem, nagle się pojawił, twierdząc stanowczo, że należy do niej nadal? Na dodatek sprawiał wrażenie, jakby zamierzał ją pocałować. Miała nadzieję, że on jednak nie posunie się do czegoś tak fatalnego. Nie tylko dlatego, że sama by tego rozpaczliwie nie chciała, ale czuła też intuicyjnie, że i on tak naprawdę tego nie pragnie.
- Tak, *twoim* Edwardem - powtórzył przekonany, że powinien się z tym uporać jak najszybciej i kuć żelazo póki gorące. Czy jednak to żelazo rzeczywiście było gorące? Oczywiście że tak, zdecydowanie stwierdził w duchu. - Zawsze twoim i tylko twoim, niezależnie od tego, w jaki sposób mnie odprawiłaś.
- No, nie besztaj mnie teraz za to - odparła ze śmiechem, starając się wyrwać swe dłonie z jego uchwytu. On zaś trzymał je mocno przyciśnięte do piersi, co się jej zdecydowanie nie podobało. - Poza tym wkrótce potem się ożeniłeś, by żyć długo i szczęśliwie.
- No a teraz ty mi tego nie wytykaj - odciął się zgryźliwie. - I nie możesz mówić o szczęściu, jeśli żona uciekła ode mnie z innym facetem.
- Niepojęte - roześmiała się Fanny.
- Posłuchaj mnie... - zaczął Edward.

Sprawy nie układały się po jego myśli. Zważywszy że okazał najlepszą wolę i zamierzał okazywać jej do końca ich wspólnego życia - Fanny ze swej strony nie zechciała mu zbyt pomóc. Czemu bowiem miało służyć wypowiedziane takim tonem owo niepojęte"? Nie jest korzystne dla mężczyzny, jeśli' kobieta, z którą się zamierza ożenić, zaczyna sobie podkpiwać, i to z niego, który jeszcze przed sześciu miesiącami miał władzę nad ludzkim życiem...

Z wielkim trudem udało mu się zdławić już zalewającą go krew. W tej chwili i w takiej sytuacji jedynym wyjściem było zachowanie spokoju. Spokój jeszcze raz spokój. Stawka jest zbyt wysoka, aby sobie móc pozwalać na zniecierpliwienie. Prawdopodobnie byłoby najlepiej, gdyby ją natychmiast pocałował. Jednak mimo że przybył tu zdecydowany aby od tego zacząć, ciągle był jeszcze daleki od celu. Utrudniał to sposób, w jaki Fanny trzymała głowę - odchyłona od niego, sztywno i zniechęcająco. Ale też i nie była to ta sama, znana mu sprzed lat głowa. Nie ma się co łudzić ani oszukiwać. Dało się to zauważyć nawet w tym kiepskim oświeceniu i wręcz kusilo, by się rozejrzeć za jakąś inną głową.

Fanny czuła taką samą pokusę; aczkolwiek ona, nie mając żadnych związanych z nim planów, pogodziłaby się z obecnym stanem jego głowy, gdyby tylko Edward zechciał uwolnić jej ręce i nie patrzeć na nią tak, jakby zamierzał rozpocząć jakieś intensywne umizgi. Fanny zaś uważała, że dwoje podstarzałych ludzi, którzy spotkali się po latach, powinni spokojnie sobie usiąść i pogawędzić o wspólnych przyjacielach, o tym, kto i na co umarł, o pogodzie, a nawet, jeśli uznają za stosowne, o sytuacji politycznej w Europie.

Edward jednak nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę. Jedynym jego pragnieniem było działa-

nie, szybkie kroki do celu, jaki sobie wytyczył. Niczym nie zrażony jeszcze silniej ścisnął jej dłonie, przyłożył je sobie do lewej strony klatki piersiowej i zapytał:

- No i co? Czujesz, niedobra dziewczyno? Czujesz, jak wali?

Bynajmniej nie waliło, a gdyby nawet tak, to jakim by byłoby to dla nich obojga upokorzeniem, pomyślała. W żadnym wypadku bijące nieprzytomnie serca nie są tematem do rozmowy dla łysego sześćdziesięciolatka i zniszczonej pięćdziesięcioletniej kobiety.

- Ach, Edwardzie! - zawołała ze śmiechem, aby ukryć swą głęboką troskę o zachowanie przez nich godności.

- Tak, wali - obstawał przy swoim. - A wali tylko z twojego powodu.

Należy go powstrzymać. Ta rozmowa przybrała zupełnie niestosowny obrót. A jeszcze gorszy niż rozmowa był jego wzrok, z którego wyczytała, że Edward zamierzał uczynić jej propozycję. A czasem dla kobiety nie ma nic bardziej obraźliwego niż otrzymanie propozycji - wiedziała o tym dobrze.

Czyżby sądził, że upadła tak nisko i była do tego stopnia pozbawiona wszelkich zainteresowań i możliwości, że przyjmie pierwszą lepszą ofertę?

- Posłuchaj mnie teraz, moja dziewczyno - poczuła głęboki bunt wobec nazywania jej „moją dziewczyną”, „niedobrą dziewczyną” czy jakkolwiek „dziewczyną”. - Nigdy nie miałaś zwyczaju mówić do mnie „Ach, Edwardzie”. Co ci się stało?

- To wiek - odparła Fanny stanowczo.

- Wiek! - powtórzył drwiąco Edward, puszcżając jej ręce, ale tylko po to, by ją ująć za ramiona i nimi potrząsnąć, podczas gdy jej bunt wzmógł się niepomiernie. - Wiek? Co za bzdury! Poznałbym cię...

- ...na końcu świata - wpadła mu w słowo Fanny, zupełnie zesztyniała w jego uchwycie i z głową odchyłoną jak najdalej od niego. - Wiem. Już mi to mówiłeś.

- To wobec tego, co powiesz o mnie? Jeśli zaczynasz mówić o wieku, to jak ja tu wyglądam?

- Na dziesięć lat więcej - odparła.

Edward znów z najwyższym trudem uspokoił zaczynającą się burzyć krew. Przecież Fanny nigdy taka nie była. Zawsze promieniała świetnym humorem i takim urokiem, że się chciało krzyknąć z zachwytu. W tamtych czasach nie było miejsca na jakieś odstręczające bzdury. Mógłby przysiąc, że Fanny za nim przepadała; zresztą nic dziwnego - po tym skapcianiętym starym pryku, który tak długo się koło niej szwendał! Wciąż tylko się śmiała i śmiała ze wszystkiego, cokolwiek Edward do niej powiedział i nazywała go swoim CKB, co jak mu wyjaśniła, oznaczało Cudowny Kochany Błazen. Tak. Tak go właśnie nazwała. Czy powinien jej o tym przypomnieć? Na Boga, tak; zrobi to, przypomni jej wszystko.

- Postawmy sprawę jasno.

- Bardzo bym tego chciała.

- Oboje jesteśmy w kwiecie wieku...

- Ach, Edwardzie!

- Możesz sobie powtarzać „Ach, Edwardzie”, ile razy ci się spodoba, ale taka jest prawda. Nie miej co do tego żadnych wątpliwości.

- Przypuszczam, że chcesz mnie pocieszyć?

- Ja nie chcę cię pocieszać. Ja się chcę z tobą ożenić - wypalił trzymając ją silnie za ramiona; ponieważ jednak tym razem nie udało mu się stłumić w porę wzburzenia, wyglądał tak dziko, że Fanny znów nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

Wybrała śmiech jako rozwiązanie bezpieczniejsze, ponieważ biedny Edward byłby zdruzgotany, gdyby się rozpląkała z jego powodu; poza tym zaczęłyby dociekać przyczyn.

- Czy nie masz już nic lepszego do zrobienia? - zaśmiała się więc zgodnie z postanowieniem, podczas gdy on, trzymając ją za ramiona, doznał przykrego wstrząsu wyczuwając, jak bardzo są one nikle. - Na Boga - pomyślał - przecież tu się nie ma z czym żenić.

Wszedł Soames, anioł wybawienia dla Fanny, a przekłety intruz w odczuciu Edwarda, i po lekkim wahaniu - w ciągu ostatnich miesięcy żadnych drzwi, nad którymi miał pieczę, nikt nie śmiał nawet uchylić, był więc wstrząśnięty, gdy temu łysemu jegomościowi udało się jedne z nich sforsować - więc po chwili niepewności, odzyskując równowagę, oznajmił:

- Lady Tintagel i pani Pontyfridd czekają w bibliotece, proszę jaśnie pani.

- Niech go diabli - pomyślał Edward, który odskoczył od Fanny, jakby miał nieczyste sumienie. Fanny zaś, która nigdy nie miała nieczystego sumienia, nawet nie drgnęła, a jedynie odwróciła głowę w kierunku Soamesa. Nie miała w zwyczaju wpadać w panikę, gdy jej ktoś przerywał to, co właśnie robiła. Wejście służącego do pokoju nigdy nie skłoniło jej do poniechania tego, czym się w tej chwili zajmowała. Długie doświadczenie przydało jej zachowaniu w takich, często dość zaskakujących, sytuacjach swoistego patosu; pozwalało wytworzyć aurę narzucającą przekonanie, że to co się właśnie dzieje, jest jedynie słuszne i nieuniknione, tłumiąc w zarodku jakiekolwiek domysły.

- Doskonale - powiedziała Fanny, odprawiając Soamesa, a gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, znacznie się ożywiła.

Cóż to za ulga: okoliczności zmuszają do pozbycia się Edwarda. Podeszła do lustra, zazwyczaj świadka strojenia się panny Cartwright, by sprawdzić stan włosów po trzęsieniu, jakie zafundował jej Edward, i wsunęła za ucho odstający lok. Ostatnio odczuwała lekki niepokój, gdy jakiś lok zaczynał sterczeć, mógł to być bowiem kosmyk nabyty u Antoine'a, grożący rychłym wylądowaniem na dywanie; miała więc zwyczaj takiego kostropa z lekka pociągać i jeśli czuła ból, wszystko było w porządku; teraz jednak, w obecności Edwarda, nie zdecydowała się na tę próbę. Ale czy z tego samego powodu nie powinna tak właśnie zrobić - pomyślała po chwili - by przestał bujać w obłokach? By go wyleczyć z chęci lub, co gorsza, z udawania, że ma chęć na zaloty do niej?

Obawiała się jednak, że ten heroiczny, choć zbawienny, wyczyn był chyba ponad jej siły. Nie przyzwyczajona jeszcze do tych żalosnych substytutów, miała na ich punkcie kompleks. Tym większe byłoby to z jej strony bohaterstwo. Czy jednak potrafiłaby się zdecydować na tak wielkie upokorzenie? To by, oczywiście, rozwiązało raz na zawsze sprawę Edwarda, ale czy byłaby w stanie...?

- Fanny - zaczął od nowa, tym razem jednak skrępowany świadomością, że musi się śpieszyć z powodu tych kobiet w bibliotece - Fanny...

- Jem lunch z dwiema kuzynkami - powiedziała, parając się z lokiem przed lustrem. - Zostaniesz?

- Czy zostanę? - powtórzył Edward zdumiony bijącym od niej chłodem. Czyżby nie oznajmił przed chwilą, że pragnie się z nią ożenić? Czy tego nie dosłyszała?

- Tak. Żeby zjeść lunch - odparła Fanny. Zdawało się, że lok wisi dosłownie na jednym włosku. Czy powinna wznieść się na szczyty męstwa,

lekką go pociągnąć, tak by opadł na dywan? Swą połyskliwością musiałby tam niewątpliwie zwrócić uwagę Edwarda. Również inne loki nie trzymały się chyba zbyt mocno. Był to oczywiście skutek tych wszystkich wstrząsów. W żadnym wypadku nie można potrząsać kobietą, która ma własnych włosów na głowie przypiętych; w każdym razie nie bez uprzedzenia i dania jej chwili czasu na zabezpieczenie się przed skutkami namiętności za pomocą kilku dodatkowych spinaczy. Było jej wstyd za sześćdziesięcioletniego Edwarda, który tak wytrząsał jej pięćdziesiąt włosów. Poczuli wstyd za jego chłopięce zaloty. Powinien spojrzeć w lustro; obejrzeć w lustrze ich razem, stojących obok siebie.

- Czy zostanę? - powtórzył pełen oburzenia.

- W sytuacji kiedy cię zapytałem, czy za mnie wyjdiesz, i dotychczas nie otrzymałem odpowiedzi? Mam zostać i gadać z kupą jakichś kuzynek?

- Z dwiema - sprostowała Fanny pochłonięta swym lokiem.

- Niech mnie szlag, jeśli zostanę - stwierdził Edward.

- Interesujący sposób nieprzyjęcia zaproszenia

- roześmiała się do lustra.

- Tak, a teraz ty mi zaprezentujesz interesujący sposób przyjęcia zaproszenia - odparował, niemal groźnie zbliżając się do niej od tyłu.

- A może pójdę w twoje ślady i powiem, że niech mnie szlag, jeśli to zrobię? - posłała lustru kolejny uśmiech.

- Fanny!

Podszedł blisko i objął ją w talii. Uniosła szybko rękę, szarpnęła lok zatknięty za ucho, a następnie zapaliła wszystkie światła.

Pokój utonął w blasku. Nagle stały się widoczne

wszystkie najmniejsze zakamarki, podobnie jak wszystkie najdrobniejsze szczegóły ich twarzy, a także lśniąca kopia jego czaszki.

- Popatrz - zachęciła go Fanny wskazując ich odbicia w lustrze. - Po prostu *popatrz*, Edwardzie. Nie popatrz. Bo i po co? Jaki to ma sens? Wiedział, co ujrzy i nie miał ochoty tego oglądać.

- Fanny - rzekł ciągle ją obejmując i z twarzą ukrytą w jej włosach, ona zaś wstrzymywała oddech, czekając na szok, którego dozna Edward, gdy odpadną pierwsze loki. - Mówiąc o nas, nie używaj więcej takich okropnych słów jak „wiek” czy „starość”; przyjmij do wiadomości, że właśnie weszliśmy w najlepszy okres naszego życia. Przed nami wspaniałe czasy. Będziemy szczęśliwi i radośni. Pojedziemy do Monte Carlo. Boże, jak boleśnie tęskniłem do Monte Carlo zakopany po uszy wśród tych czarnuchów! Niedobra, niegrzeczna dziewczyno. Najwyższy już czas, żeby przybył twój CKB i się tobą zaopiekował...

Twarz Fanny wkrzywił grymas; drżała. Usiłowała otrząsnąć się z Edwarda. Ten obcy, łysy człowiek ośmiela się ją dotykać, ma czelność przypominać jej słowa, których w swej głupocie użyła kiedyś w odniesieniu do pewnego przystojnego mężczyzny. O ileż bardziej niż przekleństwa obracają się przeciw człowiekowi wypowiedane kiedyś słowa miłości.

- Ach, Edwardzie - błagała - przestań wygadywać te nedorzeczności i popatrz sobie na nas, po prostu *popatrz!*

Ustał przed jej naleganiem, uniósł głowę i spojrzął; a po tym przelotnym zerknięciu, które nie przyniosło mu najmniejszej satysfakcji, popatrzył w innym kierunku, tam gdzie leżało coś bardziej lśniącego niż jego łysina, popatrzył na dywan pod własnymi stopami.



Wpatrywał się w to nieruchomo. Czy to są...? Czy to były...?

Wciąż jedną ręką przytrzymując Fanny, pochylił się i drugą podniósł z podłogi coś małego i błyszczącego.

- Tak - powiedziała Fanny przypatrując się jego odbiciu w lustrze. - To mój lok. Podaj mi go, proszę.

- Chcesz powiedzieć, że... - zaczął powoli Edward, wpatrując się w leżący na jego dłoni frywolny złoty kłębuszek. Jednak przerwał, zbyt ogłuszony, by mówić dalej.

- Tak - Fanny przytaknęła jego odbiciu. - Wszystkie moje włosy kupuję u Harrodsa.

Zapadła cisza. Antoine'a zastąpiła Harrodsem, ale to na użytek człowieka, który zagrzebany przez całe wieki na tropikalnych wyspach, mógł o tym pierwszym nie słyszeć. Teraz stała spokojnie i czekała na skutek swoich słów.

On zaś, widząc doskonale, że jego zaloty znalazły się w straszliwym impasie, czuł, że uratować go może tylko jakiś genialny pomysł. I rzeczywiście - kiedy gapił się na ten lok, a Fanny patrzyła na niego z lustra, genialny pomysł przyszedł w samą porę. Na początku, gdy po wejściu do pokoju, sytuacja stała się krytyczna, miał już taką chwilę olśnienia; teraz zaś, kiedy było o wiele gorzej, znów doznał iluminacji. Czego się ostatecznie można spodziewać po kobiecie w jej wieku? Mężczyzna żonaty przeżywa o wiele większe wstrząsy niż widok odpadających loków. Człowiek nie żeni się z pięćdziesięciolatką dla jej włosów. Tylko głupiec lub żółtodziób mógłby oczekiwać, że ją znajdzie w jednym kawałku.

Wpatrując się zatem w spoczywający w jego dłoni kosmyk, ściągnął usta i cmoknął jak przy pocałunku, a następnie wykazał niezwykły, Salomonowy, jak sądził, takt oraz przytomność umysłu i powiedział:

- Uroczy.

Patrzyła na niego bez ruchu.

- Uroczy, przeuroczy - powtórzył, gapiąc się z czułością na trzymanym lok. - Pozwól, że ci go przypnę, kochanie. Masz jeszcze jakieś spinacze?

Zaniemówiła.

Edward wyciągnął spinacz z innego loka, który natychmiast opadł na podłogę...

- Jakże żywe maleństwo - skomentował z uniesieniem i zaczął się śpieszyć.

Fanny stała nieruchoma jak posąg.

- Podano do stołu, proszę pani - oznajmił od drzwi Soames, znów po pokonaniu pewnych oporów.

- Nie, nie ruszaj się teraz, Fanny! - wykrzyknął Edward ze spinaczem w ustach, pracując pilnie rękami przy porządkowaniu jej włosów. - To bardzo delikatna robota. Nie mogę pozwolić, żeby kuzynki cię zobaczyły, zanim... nie ruszaj się...

Fanny poczuła się pokonana.

9

Był piąty marca. Do urodzin Fanny pozostał jeszcze tydzień i świadome tego jej dwie kuzynki, Marta Tintagel i Nigella Pontyfridd, po naradzie postanowiły w jakiś sposób podtrzymać ją na duchu. Jako krewne wiedziały dokładnie, która to była rocznica, a jako kobiety - czuły, jak bardzo musi być dla niej bolesna.

Pomyślały więc, że skoro Fanny ostatnio zupełnie ich nie odwiedza, one same wproszą się do niej na lunch i dyskretnie wysondują, czym można by jej sprawić przyjemność. Kierowały się chwalebny odruchem i najczystszyimi w ich własnym mniemaniu intencjami.

Według Marty najprzyjemniejszym rozwiązaniem byłoby urządzenie małego przyjęcia w Tintagel, gdzie w prawdziwym zaciszu biedna Fanny, która z pewnością nie ma teraz ochoty wystawiać się na publiczny widok, będzie mogła zrozumieć, jak niewiele znaczy aparycja, dopóki się ma kochającą rodzinę. Nigella uważała, że lepszy do tego celu byłby jej dom w Surrey, gdyż znajdował się niedaleko od Charles Street i był mniejszy; a na sentymentalne przyjęcie trzeba czegoś niewielkiego i leżącego blisko, co umożliwiłoby Fanny szybki powrót do siebie po zakończeniu uroczystości. Kuzynki były gotowe zrobić dla niej wszystko; obie wspólnie z nią boleśnie odczuwały tę zbliżającą się chwilę, tak straszliwą dla pięknej niegdyś kobiety...

- A ja śmiem twierdzić, że ona nadal uważa się za piękną - powiedziała Nigella.

- Niewykluczone - odparła Marta.

... jaką jest rozpoczęcie drugiej połowy stulecia. Obie całkiem niedawno ukończyły po czterdzieści lat i nigdy nie były piękne; po prostu - kobiety o przeciętnej urodzie. Potrafiły sobie jednak bez trudu wyobrazić, jak to jest, kiedy się trzeba ostatecznie pożegnać z własną urodą i przejść do kategorii Byłych Piękności.

- A ja się przy tym obawiam, że to kochane biedactwo jednak *wygląda* na pięćdziesiąt lat - rzekła z westchnieniem Marta.

Nigella uznała, że Fanny wygląda na więcej.

- Niewykluczone - zgodziła się Marta.

To smutne dla kogoś, kto żył tak promiennie, górując nad wszystkimi swym pięknem, tarzając się

w pieniądzech - Tintagelowie, jako właściciele niewielu jałowych akrów, nigdy się do tego poziomu nawet nie zbliżyli - i przy każdej okazji siejąc spustoszenie pośród cudzych mężów. Między Pontyfriddami aż do czasu choroby Fanny dochodziło do sprzeczek na jej temat, Nigella nie mogła bowiem uwierzyć, że Fanny nie ciągnęła już za sobą George'a w swym długim, przepelnionym pociągu oddanych-jej-na-zawsze mężczyzn. Smutne jest więc dla kogoś takiego stracić wszystko oprócz pieniędzy i nie mieć teraz dosłownie nic.

- Masz na myśli brak dzieci - wtrąciła Marta, gdyż to właśnie Nigella snuła powyższe rozważania. Marta była szczęśliwą matką trojga dzieci, liczby uznawanej za właściwą w uboższych warstwach arystokracji, dwóch chłopców i dziewczynki, które pochłaniały ją bez reszty. Nic więc dziwnego, że dla Marty największym nieszczęściem Fanny była bezdzietność.

- Nie, miałam na myśli brak męża - odparła Nigella, która nie miała dzieci, zupełnie jednak tego nie odczuwając, gdyż jej serce wypełniał po brzegi George. Nic więc dziwnego, że dla Nigelli największym nieszczęściem Fanny, jak zresztą i wielu innych kobiet, był stan wolny, ponieważ mąż mógłby ewentualnie trzymać ją w ryzach.

- Zawsze pozostanie dla mnie zagadką, dlaczego ona nie wyszła ponownie za mąż - popadła w zadumę Marta.

- Często powtarzała, że nie chce się z nikim wiązać - odparła Nigella.

- Kiedyś - powiedziała Marta.

- Tak - zgodziła się Nigella - kiedyś. A teraz zapewne tego żałuje.

Marta zaś, która uwielbiała być z kimś związana, wiedząc, że samodzielnie nie potrafiłaby postąpić

choćby kilku kroków, ponownie westchnęła: „Biedna Fanny.”

Jednakowoż mimo że z pewnością były do niej przywiązane, zwłaszcza od czasu jej choroby, i głęboko zaniepokojone gwałtownie postępującym w niej rozpadem, nie tylko fizycznym, ale i psychicznym, który już wyraźnie daje o sobie znać, bo czy nie świadczy o nim jej dziwne ostatnio zachowanie: niechęć do widywania się z własnymi kuzynami albo ucieczka do hotelu? - mimo wszystko czuły gdzieś w głębi ducha, że działa tu jakby ręka sprawiedliwości; że to zapłata, jakiej wreszcie los zażądał od niej za niezwykle i cenne dobra, którymi kiedyś została tak szczerze obsypana, a po których teraz nie ma już śladu.

Ta krótka rozmowa odbyła się w samochodzie Nigelli, która jadąc na Charles Street, po drodze zabrała Martę z hotelu Claridge'a. Potem zapadła cisza, a obie zastanawiały się, mimo wszystko z nostalgią, co może czuć tak bardzo piękna kobieta, i obie z ulgą stwierdziły, że na ogół w lepszej sytuacji są te pozbawione urody.

- Na dłuższą metę - powiedziała głośno Nigella, podsumowując swoje rozważania.

- Tak. Na dłuższą metę - rzekła Marta na zakończenie swoich refleksji.

Wszelkie wyjaśnienia były tu zbędne. Obie doskonale wiedziały, o co chodzi. Zadziwiające, jak często kobiety używały tego wyrażenia w związku z osobą Fanny.

\*

Tak więc kuzynki Fanny, jedna autentyczna, druga poprzez męża, przybyły do niej pełne dobrych chęci, miłości i współczucia, by spotkać się z niewdzięcznością.

Fanny nie dawała się do niczego nakłonić. Na pierwszą wzmiankę o urodzinach wyraźnie się spłoszyła, a na propozycję urządzenia tej uroczystości w gronie rodzinnym, w Tintagel albo u George'a i Nigelli, zachnęła się z tak słabo maskowaną niechęcią, że zakrawało to na niegrzeczność.

Początkowo kuzynki nie podejmowały tematu urodzin z powodu obecności Soamesa i jego pomocników, ale od samego początku Nigella zauważyła, że Fanny dawała popis bardzo złych manier. Objawiła je już wtedy, gdy weszła do biblioteki, w której czekały na nią od wieków, bez słowa przeproszenia za tak długie ich tam trzymanie, a następnie obdzieliła je nieprzyjemnie obojętnymi pocałunkami. Wyglądała nieporządnie, włosy miała w zupełnym nieładzie i Nigella po raz pierwszy zważyła w ich autentyczność. Niewiele też się odzywała. Rozmowa kulała, a inicjatywę w jej prowadzeniu Fanny pozostawiła kuzynkom, co również było wielkim nietaktem. Kiedy wreszcie podano kawę i pozostały same, zaś Marta zaczęła w sposób niezwykle miły i uprzejmy wyluszczać powód ich wizyty, usilnie starając się nie okazać Fanny współczucia, ta natychmiast stanęła okoniem.

- Marto, zlituj się - zawołała szybko unosząc rękę, tak jakby ją chciała powstrzymać.

- Ależ moja miła, jeśli na to spojrzysz inaczej, to przecież cudowne, że się żyje tak długo - zabrała głos Nigella.

- Cudowne jak cholera - odparła Fanny.

- Ależ moja *kochana* - wymamrotała Marta.

- Moje drogie *biedactwo* - burknęła Nigella i nie wiadomo, czy te odgłosy były wyrazem współczucia, czy wyrzutem z powodu paskudnego słowa.

Kuzynki postanowiły nie poddawać się tak łatwo, choć czuły, że to nie był dobry początek. Fanny

również zdawała sobie z tego sprawę, jednak ostatnio doznała zbyt wielu wstrząsów. Zresztą niezależnie od tego nie miała ochoty być „drogim biedactwem” Nigelli, a już szczególnie nie podobał się jej ton, jakim Marta powiedziała „moja kochana” - tak jakby ją przeproszała za jej własne słowo. Fanny podejrzewała, że w ich oczach jest tylko „drogim biedactwem”, ale przecież nie muszą jej dawać tego do zrozumienia. A jeśli chodzi o „cholere” - mogłaby to powtórzyć jeszcze raz. Cóż bowiem może być straszniejszego dla kobiety - która zwykła pławić się w pięknie, jak to określił Jim - niż w wieku lat pięćdziesięciu stać się wrakiem, nadal żyjąc w świecie pełnym ludzi, którzy ją znali w jej najwspanialszych czasach? W tym samym świecie co Edward, który kiedyś podczas ich rozstania płakał, a teraz wychodząc - puścił oko.

Na wspomnienie tej sceny wstrząsnął ją dreszcz. Przeszły ją ciarki na myśl, że omał nie dała się złapać na jego pochlebstwa. Poczowała bowiem prawie wzruszenie, widząc stosunek Edwarda do jej loków i niemal uwierzyła w jego miłość, którą zawsze podświadomie nazywała miłością nieuleczalnie błazeńską i niepoważną, a która jednak okazała się uczuciem autentycznym. Kiedy więc szła przez hol w kierunku otwartych przez Soamesa drzwi biblioteki z podążającym za nią w milczeniu Edwardem, który zmierzał ku wyjściu - z biura wyszła bez słowa nie spojrzawszy na niego, podczas gdy on w przekonaniu, że wypadł bardzo dobrze, postanowił uzbroić się w cierpliwość - pomyślała, że może by on i mógł być czymś lepszym niż samotność. Nie jest to rozwiązanie olśniewające, ale lepsze niż żadne, jeżeli ją rzeczywiście kochał tak szczerze, że nie przeszkadzały mu te wszystkie zmiany, które w niej zaszły wywołując jej

głęboką troskę. Ostatecznie nie będzie w tym nic uwłaczającego, jeśli to sobie przemyśli.

Ulegając odruchowi skruchy z powodu okazanej mu przesadnej wyniosłości - jednemu z tych odruchów, które tak często w jej życiu wpędzały innych w kłopoty - odwróciła się, by uroczyście skinąć Edwardowi głową na pożegnanie, i przyłapała go, jak puszczał oko do Soamesa.

Edward - mrugając - z - jej - powodu - do - służącego.

Obaj zauważyli, że ona to dostrzegła. Do głębi wstrząśnięty służący znieruchomiał ze spuszczoneym wzrokiem i stał niczym kamienny posąg. Edward zrozumiał natychmiast, że jest skończony. Czegoś takiego nie wybaczy żadna kobieta. Świetny nastrój, który tak często ogarniał Edwarda, tym razem opanował go w najmniej odpowiedniej chwili. Cóż za wyjątkowy głupiec...

- Nie macie *pojęcia*, co to znaczy upokorzenie

- powiedziała Fanny z niespodziewaną gwałtownością podniecona wspomnieniem tej sceny. - Po prostu nie macie *pojęcia*.

A Marta i Nigella, nie domyślając się, o co chodzi, powtórzyły swoje „moja kochana” i „drogie biadactwo”.

Wówczas Fanny uczyniła straszliwy wysiłek, aby zapomnieć o Edwardzie i jego mrugnięciu, w przeciwnym bowiem razie nie byłaby w stanie przyzwoicie się zachowywać podczas lunchu z kuzynkami. Siedząc wyprostowana i sztywna na krześle z wysokim oparciem, naprzeciwko innego identycznego krzesła, na razie jeszcze pustego, lecz mogącego się wypełnić Jobem na najlżejszą jej myśl o nim

- miała zamiar powiedzieć coś na temat swych urodzin, gdyż zorientowała się, że **to** jest powodem ich wizyty; tak bardzo jednak była pod wrażeniem od-



wiedzin Edwarda i jego „perskiego oka”, że zamiast tego usłyszała siebie zadającą kuzynkom pytanie:

- Czy pamiętacie Edwarda Montmorency'ego?

Spojrzały na nią zaskoczone. Rzeczywiście pamiętały go. Nikt, kto śledził koleje losu Fanny, nie mógł go nie zauważyć. Obie kuzynki obserwowały karierę Fanny, początkowo z podziwem, później z powodu własnych mężów raczej bez, ale zawsze z zapartym tchem. Od dzieciństwa były świadkami ciągłych zmian warty zachodzących na Charles Street i w odpowiednim czasie odnotowały pojawienie się i zniknięcie Edwarda Montmorency'ego. Hałaśliwy człowiek, wybitnie przystojny i nieustannie utrzymujący się w nastroju nieokiełznanego ożywienia. Nie najwyższej klasy. Nieokrzesany. Wprawiający przyjaciół Fanny w zdumienie, że jest ona w stanie znosić jego ciągle towarzystwo.

- Przeczytałam w Timesie, że powrócił z zagranicy - powiedziała Marta łagodnie choć lekko zaniepokojona, gdyż nie pojmowała, jaki to może mieć związek z czymkolwiek.

- Mówią, że zadłużony po uszy - dodała Nigella.

- Tak? - zapytała Fanny, natychmiast się ku niej zwracając. Po chwili powtórzyła tonem świadczącym o nagłym zrozumieniu czegoś dla niej do tej chwili niejasnego. - Ach tak.

- Ale jaki to ma związek z twoimi urodzinami, skarbie? - spytała nieśmiało Marta, a Nigella pomyślała, że przecież chyba ta nieszczęsna Fanny nie zamierza jeszcze raz spróbować z owym Edwardem Montmorencym.

- Nic poza tym, że jedno i drugie należy puscic w niepamięć - odparła Fanny z na pozór zupełnie nieuzasadnioną wyniosłością.

- No cóż, przecież to ty go nagle wyciągnęłaś, moja kochana - rzekła Nigella.

- Z przyjemnością zapomnę o sir Edwardzie
- stwierdziła Marta. - Ale nie o twoich urodzinach. Kochanie, to przecież takie niezwykle urodziny.
- Mówicie tak, jakbym miała osiemdziesiąt lat
- odwarknęła Fanny, która w przeszłości rzadko reagowała w ten sposób. Ale ten Edward... omal nie zrobił z niej idiotki... Uratowało ją porozumiewawcze mrugnięcie. Jednak świadomość, że ceną wybawienia było tak straszliwe upokorzenie, przyprawiła ją o dreszcze; czy można się więc dziwić jej opryskliwości?
- Oczywiście że nie, moja kochana, ale przecież jednak *kończysz* pół setki, nieprawda? - spytała Nigella.

Pół setki. To zabrzmiało znacznie gorzej niż pięćdziesiąt. I Marta - żalując, że Nigella pozwoliła sobie na taką niemiłą uwagę, choć przecież w głębi jest raczej całkiem poczciwa - zaczęła pośpiesznie przedstawiać ich plan bardziej szczegółowo. Zważywszy uszczypliwość Niggs, w której naturze to przecież nie leżało, a także niepotrzebnie użyte przez Fanny paskudne słowo, jedno z tych, przed którymi Marta bardzo starannie chroniła swe dzieci, choć te jakimś dziwnym sposobem i tak je znały - zważywszy wreszcie pojawienie się w rozmowie wzmianki o tym okropnym Edwardzie Montmorencym, Marta czuła, że na jej wątłych barkach spoczywa niestety ogromny ciężar.

- Przede wszystkim, moja droga - zaczęła z lękliwą powagą - naszym wielkim pragnieniem jest gościć cię u siebie w dzień twoich urodzin; byłabyś tylko ze swymi najbliższymi. Przyjedź więc do Tin-tagel albo do George'a i Niggs. Sądzimy, że w tym tak bardzo..., tak bardzo...

Zająknęła się, widząc minę Fanny. Nigella pośpieszyła jej z pomocą:

- Tak bardzo niezwykłym dniu.
- Właśnie. Niezwykłym. Bardzo rzadko spędzałaś własne urodziny ze swymi bliskimi, prawda kochanie? Oczywiście, wiedziałyśmy, że, kiedyś byłoby to dla ciebie nudne, ale teraz...

Znów wyraz twarzy Fanny odebrał jej mowę. Z pomocą pośpieszyła Nigella:

- Tak, teraz, kiedy jesteś... - zaczęła.

- Zupełnym rozbitkiem? - podsunęła Fanny.  
- Nie to chciałam powiedzieć - odparła obrażona Nigella.

- Przyszliśmy tu tylko z miłości do ciebie - wyjaśniła dotknięta Marta.

- Kochaniutkie - powiedziała Fanny współczująco. Zapadła cisza. Delikatna, o łagodnym wejrzeniu Marta zamknęła się w sobie; pragnęła przecież jedynie, by biedna Fanny przestała tak bardzo nienawidzić swych urodzin. Zrozumiała, że nie może się równać z Fanny, tak jak nie może współzawodniczyć z błyskotliwymi, bystrymi londyńczykami. Odpowiadało jej bez wątpienia tylko jedno - spokojne, wiejskie życie w Tintagel ze swymi dziećmi, z poczciwą Zellie i starym Jamesem, roznoszącymi gotowane ziemniaki. Ileż by dała, żeby się tam teraz znaleźć!

Bardziej odporna Nigella uznała uwagę Fanny za jeszcze jeden przejaw jej daleko posuniętego wewnętrznego rozpadu. Fanny stała się zdecydowanie cyniczna; ta sama Fanny, która kiedyś zachłannie kochała życie i była tak serdecznie bezkrytyczna w stosunku do całego otoczenia.

Niebawem z dawnej Fanny nie zostanie już nic poza zgryźliwością, myślała Nigella, obserwując spod przymkniętych powiek odwróconą teraz trochę od niej twarz kuzynki - gdyż Fanny, żałując już swej złośliwości, nazywała właśnie Martę prawdziwym aniołem. A gdyby tak Fanny urodziła

się szpetna, rozmyślała Nigella, to prawdopodobnie byłaby zgryźliwa od samego początku. Kto wie, czy nie jest to jej cecha wrodzona, która nie ujawniała się aż do tej pory, ponieważ ciągle pochlebstwa i rozpieszczanie zamykały jej usta...?

- Po prostu aniołem - powiedziała Fanny, nagle zwracając się do Nigelli, która przecież także przyszła tu w dobrej wierze, a Fanny nie chciała się gniewać na te dwie miłe istotki.

Nigdy jednak nie należy się gwałtownie odwracać do drugiej osoby. Warto by o tym w jakiś sposób uprzedzić, aby jej umożliwić zmianę wyrazu twarzy Tymczasem Nigelli nie udało się w porę usunąć ze swej fizjonomii daleko posuniętego krytycyzmu, jaki promieniował spod jej przymkniętych powiek i Fanny zdążyła go uchwycić. No proszę, Niggs patrzyła na nią tak, jak gdyby...

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Fanny powtórzyła: - Aniołem? - jednak teraz wyczuwało się w tym wahanie opatrzone znakiem zapytania.

To oczywiście nie mogło Nigelli przypaść do gustu.

\*

Między kuzynkami przez chwilę panowało chłodne milczenie.

- Jeśli ona przypuszcza, że mnie to *ruszyło*... - myślała Nigella obsadzając kolejny papieros na długiej sfatygowanej cygarniczce i zapalając go beznamiętnie.

Gdyby one wiedziały, przez co ja właśnie *przeszłam* - myślała Fanny usiłując znaleźć dla siebie usprawiedliwienie.

Jakże bardzo bym chciała, żeby się ludzie po prostu wzajemnie *kochali* - myślała Marta, gdyż nie dostrzegła spojrzenia Nigelli i dziwiło ją, że Fanny jest

tak zagniewana i opryskliwa wobec zazwyczaj przecież kochanej Niggs.

Fanny dziwiła się sobie samej. Czy dlatego, że Edward mrugnął porozumiewaczo do Soamesa i że ją niemal przekonał o swej rzekomo bezinteresownej miłości, ona powinna być niegrzeczna wobec tych dwóch niewinnych stworzeń? I jakie to ma znaczenie, że Niggs spojrzała na nią wrogo? Jeśli chodzi o Ni-gellę, to należy zawsze pamiętać, że stan jej psychiki zmusza ją do składania systematycznych wizyt temu Bylesowi, a już sam ten fakt może zakłócić wewnętrzną równowagę. Pragnąc więc jakoś zatuszować ów mimowolny znak zapytania i przełamać pełne wzajemnych pretensji milczenie, Fanny zagłębiła się w szczegóły własnego urodzinowego planu, który wymyśliła właśnie w tej chwili.

Plan ten, o którym przed minutą nie miała jeszcze pojęcia, zdumiał ją samą. Jakże niespodziewanie się zrodził i jaki był doskonały! Spłynął na nią niczym natchnienie. Podobnie jak ów odruch, który w holu kazał się jej odwrócić we właściwej chwili, by mogła dostrzec mrugnięcie Edwarda. Plan ten nie tylko zabezpieczy ją przed nim, gdyby zechciał tu powrócić, ale także wykluczy zapraszanie kuzynek, sprawiając przy tym, że jej odmowa nie będzie poczytywana za niewdzięczność.

- Posłuchajcie, moje miłe - zaczęła wyciągając pojednawczo rękę zignorowaną przez obie kuzynki.

- Posłuchajcie...

Wyjaśniła im, że jej zamiarem było już od dawna

- gdy tymczasem wymyślała to właśnie w tej chwili

- spędzić swe szczególne urodziny w całkowitym odosobnieniu u podnóża Wzgórz Południowych w Stokes, gdzie miała chatkę, i tam podumać nad własną przyszłością.

- Rozumiecie chyba - powiedziała przenosząc spojrzenie z jednej na drugą; obie jednak unikały jej wzroku - że kobiecie po pięćdziesiątce trudno jest być tym, czym była kiedyś. W normalnych warunkach może jeszcze przez krótki czas gonić resztkami swej urody, ale nie dotyczy to mnie, tak nagle odartej przez chorobę z... no cóż, niemal wszystkich powabów.
  - „Absolutnie wszystkich” - pomyślała Nigella. „Kochane biedactwo; ona sobie zupełnie nie zdaje z niczego sprawy” - pomyślała Marta.
  - Po waszych minach widzę, jak bardzo jestem z tego odarta - dodała Fanny, patrząc na twarze kuzynek.
  - Ależ *kochanie* - sprzeciwiła się spłoszyła Marta, podnosząc na nią wzrok.
  - Mam więc świadomość, że nie pozostaje mi teraz nic innego, jak rozpocząć swoją starość...,
  - Skarbie, jaką znowu *starość* - zaprotestowała Marta, która wyjrzała ze swej skorupy, gdyż nigdy nie potrafiła zbyt długo czuć urazy do kogoś, kto ją dotknął.
  - ... spojrzeć prawdzie w oczy, przemyśleć ją gruntownie.
  - Jakiej prawdzie? - zapytała Nigella, wyjmując na krótką chwilę cygarniczkę z ust.
  - No cóż, zastanowić się nad Życiem, Śmiercią i tym wszystkim - beztrąsko odparła Fanny.
  - Tylko nie nad *Śmiercią*, kochanie - oburzyła się Marta.
- Nigella znów wyjęła z ust cygarniczkę.
- Ależ oczywiście - rzekła. - Jeżeli wolisz być sama w Stokes niż z nami...
  - Ujęłaś to tak drastycznie - uśmiechnęła się Fanny, a Nigella zauważyła, że był to jej pierwszy uśmiech od początku ich wizyty.

- A czy nie poczujesz się tam beznadziejnie samotna? - zatroskała się Marta. - Może będzie cię prześladować świadomość, że tam właśnie chorowałaś?

- Jestem przyzwyczajona do tego, że mnie coś prześladowuje - powiedziała Fanny mając na myśli Joba, a właściwie uświadamiając sobie, że na niego patrzy, ponieważ były mąż błyskawicznie pojawił się na swoim miejscu w szczycie stołu. Przypomnienie sobie o nim jest jak naciśnięcie guzika, pomyślała, niczym pstryknięcie kontaktu w celu zapalenia światła. Światła? Czy rzeczywiście? Czy Joba można w ogóle porównywać ze światłem?

Kuzynki podały wzrokiem za jej spojrzeniem i uznały za dziwaczne to jej wpatrywanie się w puste krzesło i mówienie, że coś ją prześladowuje. Marta zupełnie nie mogła pojąć, o co chodzi. Nigella zaś uznała, że Fanny ma na myśli udrekę związaną z wyrzutami sumienia, a powodem tych wyrzutów, wynikających z bólu, jaki kiedyś sprawiła żonom i matkom wielu mężczyzn, mogła być równie dobrze ona sama - Niggs.

Bardzo często Nigella zachodziła w głowę, jak *daleko* mogła się Fanny ostatecznie posunąć. Mając bowiem szaloną wprawę w zacieraniu za sobą śladów, sprawiała wrażenie tak beztroskiej i niewinnej, że nikt nigdy nie był w stanie dociec, jak ostatecznie *daleko* mogła się posunąć. Teraz zaś Nigella powzięła obawę, że Fanny posunęła się o wiele dalej, niż powinna. Na przykład z Georgem, z jej najcenniejszym w świecie Georgem. Ludzi uczciwych nic nie prześladowuje. Bogu dzięki, że Fanny jest wreszcie skończona, pomyślała Nigella.

- Nie będę tam sama - ciągnęła Fanny, odwracając głowę jakby w odruchu zniecierpliwienia, gdyż do-

tychczas Job nie nachodził jej, gdy była w towarzystwie; to sprzeniewierzenie się zasadom uznała więc za nieuczciwość z jego strony. - Właśnie dziś napisałam do pewnej znajomej osoby, żeby do mnie przyjechała i towarzyszyła mi tego dnia. Czy pamiętacie pana Hyslupa?

Spojrzały na nią zaskoczone. Oczywiście że pamiętały pana Hyslupa. Nikt, kto śledził koleje jej losu, nie mógłby go przeoczyć. Tak jak obserwowały pojawienie się, a następnie odejście Edwarda Mont-morency'ego, tak w odpowiednim czasie były świadkami nadejścia, a później zniknięcia pana Hyslupa. Duchownego. Zwyczajnego młodego wikariusza. Żadnych getrów, żadnych biskupich fartuszków, niczego w tym rodzaju. Był po prostu duchownym i z tego właśnie powodu wyróżniał się wśród otaczającego Fanny tłumu wielbicieli. Wyróżniałby się zresztą w każdym tłumie dzięki swej niepohamowanej, nie ukrywanej i przeżywanej w absolutnym milczeniu miłości. Czyżby Fanny zamierzała jeszcze raz spróbować z tym małym panem Hyslupem? - pomyślała Nigella. Jeśli tak, to czy nie powinna jak najszybciej trafić do przytułku dla nieuleczalnie chorych? Nieuleczalnie chorych staruch?

Nawet Marta miała wątpliwości, czy warto odgrzebywać małego pana Hyslupa i wyciągać go z bezpiecznego zapomnienia, a ponieważ Nigella była tego absolutnie pewna, obie powinny być zadowolone, słysząc dalsze wyjaśnienie Fanny:

- No więc, zaprosiłam do Stokes jego siostrę
- a jednak zamiast tego poczuły się zawiedzione.
- Ach, jego *siostrę* - powiedziała tępo Marta.
- Przez chwilę pomyślałam, że ty jeszcze wciąż...
- zaczęła Nigella.
- ...to ciągnę? - podsunęła Fanny.



- Ujęłaś to tak drastycznie - stwierdziła Nigella.
  - Touchee - uśmiechnęła się Fanny, a Marta mimo tego uśmiechu obawiała się, że one nie są dla siebie zbyt miłe.
  - Czy nie przeniesiemy się, moje złotko, na górę do salonu? - zapytała pośpiesznie, pragnąc odwrócić ich uwagę, ponieważ lunch dobiegł końca, a one siedziały tu już tylko plotkując. - Tak bardzo lubię twój salon - dodała, czując się w obowiązku wyjaśnić tę nagłą zachciankę.
  - Czy warto wchodzić na górę, jeśli potem trzeba z powrotem zejść? - zapytała ironicznie Nigella.
  - Tak można by powiedzieć o wszystkim - odparła Fanny.
  - Można - zgodziła się Nigella - co też i robię. Nie, one z pewnością nie są dla siebie miłe, martwiła się Marta, usiłując wymyślić jakiś rozsądny powód, który by skłonił Nigellę do wyjścia. Zanim jednak jej powolny umysł zdołał wpaść na cokolwiek godnego uwagi, Fanny, nadal nie ruszając się z miejsca, powiedziała:
    - Jego siostra jest dzieckiem bożym.
    - Ach tak - zareagowała Marta i mruknęła - kochanie, jakie to miłe.
- Wiadomość ta sprawiła, że Marta poczuła się nieswojo. Wiedziała oczywiście, zwłaszcza z katechizmu, o istnieniu kogoś takiego jak dzieci boże, ale czy przystoi rozmawiać o nich w jadalni? Dziwne też, że uczyniła to właśnie Fanny, z której ust Marta słyszała imię boskie tylko w wkrzyknikach „o moj Boże!” albo „na miłość boską!"; obawiała się więc, że tak zazwyczaj kochana Nigella może sobie z tego szydzić.
- Marta spojrzała na nią z niepokojem, ale Nigella siedziała niewzruszona, paląc w milczeniu papierosa.

- Jest to istota w najwyższym stopniu poświęcająca się dla innych - mówiła dalej Fanny, mając przed oczami zimne gotowane buraczki i sardynki na półmisku.

- Ach tak, skarbie - wybąkała Marta, tym razem zdecydowanie spokojniej.

- Pomyślałam więc sobie... - mówiła Fanny. Zaskoczona przerwała, ponieważ aż do tej właśnie chwili wcale o tym nie pomyślała, ani też, jeśli chodzi

o ścisłość, w swym liście nie zapraszała Muriel do Stokes, a jedynie na lunch do domu przy Charles Street. To doprawdy zabawne, jak poprzez samo tylko mówienie o nich - rzeczy potrafią się stać realne, a nawet nieuniknione. Oto dzięki słowom, które wypowiedziała tylko dlatego, aby uniknąć spędzania swych urodzin z krewnymi, jej najbliższa przyszłość została przesądzona. Zupełnie do tej chwili zapomniane Stokes stało się nagle tłem jej urodzinowych planów, a Muriel wskutek słownych igraszek miała się znaleźć właśnie tam, zamiast przybyć na lunch na Charles Street. Nie sposób było przewidzieć skutków tej wizyty. Może zamknięta na wsi sam na sam z dzieckiem bożym, z tak poważnej okazji jak pięćdziesiąte urodziny, Fanny znajdzie wsparcie i radę na dalszą drogę życia? I tak wzmocniona, co było teraz jej najważniejszą życiową potrzebą, przestanie się tym wszystkim przejmować?

- Tak więc pomyślałam sobie... - podjęła na nowo

i znów się zawahała, a następnie szybko dokończyła - no, wiecie, pomyślałam, że skoro życie nagle stało się inne i trudne, a Muriel Hyslup jest tak wspaniała, to doradzi mi, w jaki sposób mogę uzyskać...

Tym jednak razem przerwała, by spojrzeć na nie w zakłopotaniu, ponieważ i to nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy. Zamierzała jedynie gościć

biedną Muriel przez godzinę lub dwie, poczęstować smacznym posiłkiem, pozwolić na wypoczynek w ukwieconej, przytulnej i ciepłej bibliotece, zapewnić ją o swej przyjaźni, a następnie, ożywioną i wzmocnioną, odesłać do pełnej wyrzeczeń pracy.

Zapanowała cisza. Marta, odwiedzająca w każdą niedzielę kościół w Tintagel, wiedziała, jakie to słowo miała Fanny na końcu języka. Brzmiało ono: *zbawienie*. Pochodziło z Biblii. Pewien bogaty młodzieniec zapytał tam, co ma uczynić, aby uzyskać zbawienie, a ponieważ odpowiedź mu się nie spodobała, przepelniony smutkiem odszedł. Ale żeby Fanny?! To zabawne, że stawia ona takie samo pytanie, jak ów młodzieniec; doprawdy niezwykle, o wiele bardziej niezwykle niż chowanie się w hotelu Claridge'a. Bo przecież zbawienia potrzebują tylko grzesznicy, a Marta miała pewność, że Fanny zawsze była aniołem. Pamiętała przecież o jej niezliczonych anielskich uczynkach wobec młodszych kuzynek, co trwało aż do chwili, kiedy dorosły i pieczę nad nimi przejęli ich mężowie. Marta była przekonana, że nie potrzebuje zbawienia ktoś, kto potrafił być tak cudowny dla dwóch całkiem przeciętnych i nudnych dziewczynek.

- *Moja kochana* - powiedziała, kładąc dłoń na rękę Fanny, by w ten sposób wyrazić zaniepokojenie podobnymi pomysłami.

Fanny jednak na nią nie spojrzała. Zdawało się, że jej uwagę znów zaczęło przyciągać puste krzesło. Można było doprawdy dostać gęsiej skórki, widząc, z jaką uwagą Fanny wpatruje się w to miejsce; w dodatku tym razem jakby z pytaniem w oczach.

- Powiedz mi, o co chodzi z tym krzesłem - powiedziała zniecierpliwiona Nigella, a Marta z jakiegoś powodu poczuła do niej o to żal.

- Czy pamiętacie Joba? - zapytała Fanny.

- Joba? - powtórzyła Nigel la.

Cóż to za pytanie! Tak jakby mogły go nie pamiętać. Przecież obie z Martą były jego druhnami, a właściwie druhnami Fanny, on zaś obdarował je najbardziej niestosownymi brylantowymi bransoletami. Takie prezenty dla dzieci! Bizuterię tę nosiły potem ich matki. Czy to możliwe, pomyślała Nigella, że ta nieszczęsna Fanny zamierza jeszcze raz spróbować z Jobem?

- To był twój mąż, prawda kochanie? - odparła Marta.

Nigella obrzuciła ją szybkim spojrzeniem, ale Marta powiedziała to bez złościwości.

- Oczywiście, że pamiętamy pana Skeffingtona

- rzekła Nigella. - A o co chodzi?

- Tylko o to, że to było jego krzesło. I jest nadal

- wyjaśniła Fanny.

Na te słowa Nigella podniosła się, zebrała rękawiczki, papierosy, torebkę i oznajmiła, że muszą już iść, ponieważ ma jeszcze spotkanie przy Dover Street i jest już właściwie spóźniona; Martę zaś podwiezie do Claridge'a samochodem.

Następnie zwróciła się do Fanny, która wsparta na łokciach nadal siedziała przy stole. Coś trzeba dla niej zrobić. Była przecież jej kuzynką, nieważne że tylko poprzez męża; należy jej więc w miarę możliwości pomóc i jakoś nią pokierować.

- Nie chcesz chyba powiedzieć - zapytała - że wciąż jeszcze wzdychasz do pana Skeffingtona?

- Cóż za określenie - uśmiechnęła się Fanny, spoglądając na nią z dołu, z podbródkiem opartym na wygiętej dłoni. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu do kogoś wzdychała.

- Zapewne, ale czasy się zmieniły.

- Masz zapewne na myśli, że to ja się zmieniłam. A jednak mimo wszystko nie wzdycham. Chwilami natomiast wydaje mi się, że to Job wzdycha do mnie.

No cóż, nad biedną Fanny można tylko ubolewać, pomyślała Nigella.

- Powinnaś odwiedzić sir Stiltona Bylesa - rzekła, przyjrzawszy się swej nieszczęśliwej kuzynce. - To jest człowiek, który ci pomoże. Podam ci jego adres. I pamiętaj, moja kochana... Położyła dłoń na ramieniu Fanny, której udało się to jakoś znieść. - ...pamiętaj, kiedy sobie dworujesz z tych, którzy do ciebie wzdychali, że oboje z panem Skeffingtonem jesteście teraz o ćwierć wieku starsi.

- Ależ ty szafujesz tymi stuleciami - odparła Fanny, uśmiechając się po raz drugi.

\*

Kiedy jechały samochodem w kierunku Dover Street, Nigella powiedziała:

- Niepotrzebnie zawracałyśmy sobie głowę jej urodzinami. Zobaczysz, że Fanny spędzi je w jakimś zakładzie dla nerwowo chorych. Muszę o niej porozmawiać z sir Stiltonem i dowiedzieć się, czy zna on jakieś przyzwoite miejsce. Wszystko wskazuje na to, że nasza kuzynka jest na najlepszej drodze do psychicznego załamania.

- Albo... - Marta zawahała się. - Albo zupełnie przeciwnie - wyrzuciła z siebie.

- Nie mam pojęcia, co rozumiesz przez „zupełnie przeciwnie” - zdziwiła się Nigella spoglądając na kuzynkę.

- Ja właściwie też nie - odrzekła nagle spotulniała Marta. - Tak mi się jakoś powiedziało.

## 10

Teraz należało już tylko wytrzymać wizytę George'a.

Fanny miała już dziś ludzi powyżej uszu, ale pozostał jeszcze George. Po wyjeździe kuzynek weszła z wolna po schodach na górę, z zamiarem nakazania Manby, by zmyła z jej sprofanowanych loków dotknięcia palców Edwarda, podczas gdy ona - jakie to czasem wygodne móc się uniezależnić od własnych włosów - weźmie kąpiel, gruntownie się przebierze, łącznie ze zmianą butów, tak aby zupełnie zatrzeć ślady niedawnej bliskości tego człowieka.

Kiedy wspinała się po swych wspaniałych schodach, tych samych, z których zstępowała tysiące razy obserwowana z dołu przez oczarowanych wielbicieli, przypomniawszy jej zasłyszana gdzieś okrutna bajka o młodzieńcach, którzy z jakichś niegodziwych powodów tańczyli ze starymi kobietami, wymieniając między sobą za plecami nieszczęsnych staruch porozumiewawcze mrugnięcia; przerażająca baśń, która kiedyś dogłębnie nią wstrząsnęła. A teraz ona sama, Fanny, stała się powodem podobnego mrugnięcia. To okropne..., to doprawdy okropne, że sześćdziesięcioletni Edward zachował się tak, jakby był młodzieńcem, jej zaś przypadła rola jednej z tych staruch. A co gorsza, nie puścił on oka do swych przyjaciół, ale do jej własnego służącego. Była to tak potworna niegodziwość, że jedyne co mogła z tym uczynić, to zapomnieć.

Rzeczywiście - o Edwardzie należało tylko zapomnieć. Nie potrafiła go nawet zaszczyścić swym gniewem. Zapierająca dech złość targała nią jedynie przez pierwszą część lunchu, ale to było wszystko. Żegnaj, Edwardzie. Bez hałasu, bez wielkich słów, takich jak

upokorzenie czy hańba, lecz spokojnie i miło, nie czyniąc jakichkolwiek wyrzutów, poleciła go boskiej opiece.

Tak oto szezła kolejna z jej dawnych miłości; tym razem w takich okolicznościach i stylu. Następny wielbiciel dołączył do reszty, której jest już być może zbyt ciasno pod boską opieką. Dla zaciepnienia tchu Fanny zatrzymała się na zakręcie schodów, zadowolona, że jest już w stanie uśmiechnąć się na myśl o Edwardzie; a dostrzegłszy w dole przechodzącą przez hol z naręczem jego róż służącą, przechyliła się przez poręcz i zawołała na Manby nie po to, by jej nakazać wyrzucenie tych kwiatów, gdyż od chwili, gdy go poleciła boskiej opiece, ani róże Edwarda, ani jego mrugnięcie nie miały już dla niej najmniejszego znaczenia - ale dlatego, by wezwać służącą do swego pokoju, ponieważ zamierzała się wykapać.

- Pan Pontyfridd będzie tu o piątej - powiedziała Fanny zza balustrady schodów i choć Manby nie mogła zrozumieć, jaki związek ma kąpiel jaśnie pani z wizytą pana Pontyfridda, to jednak nie okazała tego w najmniejszym stopniu.

Pan Pontyfridd..., do licha z panem Pontyfriddem, pomyślała Fanny wchodząc na górę. Ci wszyscy krewni. Wydawało się, że tego dnia nie będzie im końca. Czego on może od niej chcieć? Nie widziała go od czasu spotkania w pociągu, kiedy tak bardzo ją zdenerwował. Miała nadzieję, że się to dziś nie powtórzy, gdyż jak na jeden dzień wrażeń było już dosyć. A poza tym, gdyby ją nawet zirytował, to nie należał on do tych, których Fanny miała zwyczaj polecać opiece boskiej i raz na zawsze z nimi kończyć, lecz był jej drogim, kochanym kuzynem, oddanym i wiernym przyjacielem, a przede wszystkim - dżentelmenem. Wstępując coraz wyżej, Fanny po-

myślała też o niemądrej Niggs, która mając dzięki Opatrzności taki skarb jako męża, psuła ich wspólne szczęście zazdrością i podejrzeniami, podczas gdy przecież jeden Bóg wie...  
Prawie bez tchu Fanny dotarła do swej sypialni i podobnie jak wszystkie kobiety w takiej sytuacji natychmiast skierowała się do lustra. Patrząc w swoje odbicie, nie mogła się nadziwić, że Niggs podczas całego lunchu zadawała sobie trud prawienia jej złośliwości. Czyżby naprawdę uważała, że ta rozpaczliwie zmęczona, wychudła, z zapadłymi policzkami postać w lustrze mogłaby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla George'a?

*Stary mężczyzna*, albo kobieta, to nie ma znaczenia, *marnie to stworzenie* - przeczytała dziś rano, kartkując leżący zawsze na jej toalecie tomik poezji, podczas gdy Manby układała jej włosy. Jak to było dalej? Sięgnęła po książkę i zaczęła szukać. Znalazła:

....*marnie to stworzenie*

- *nic tylko łachman wsparty na kosturze, chyba że mu dusza zacznie głośno śpiewać, nie dbając o strzępy swej ziemskiej powłoki.*

Czyż nie jest dostatecznie jasne, pomyślała podnosząc wzrok znad książki ku swemu odbiciu, że ta dama w lustrze, choć może jeszcze nie zgrzybiała, to jednak niezwykle szybko zbliża się do wieku kostura? A kiedy go już osiągnie - czy będzie śpiewać, czy też pójdzie na dno? To jednak niegodne iść na dno-niegodne jest ulec..., poddać się. A więc pozostaje śpiewać. Tylko co? Tego nie wiedziała. Na tym polega cała tragedia braku wykształcenia: oto kiedy żarty się skończą, nie będzie mogła dla otuchy sięgnąć do skarbnicy swej duszy, tak jak uczynił to ów



starzec z wiersza. Fanny będzie sobie musiała znaleźć coś skromniejszego. On udał się do Bizancjum, ona pojedzie do Stokes. Tam zaś, mając wokół siebie tylko owce i Muriel Hyslup, na której pomoc liczyła, może w końcu odkryje coś, co pozwoli jej godziwie przeżyć resztę swych dni i w końcu umrzeć, niczego się nie wstydząc. Och nie, nie chciała umierać we wstydzie; ale tak właśnie umrze, tak umrze, jeśli nadal pozwoli znosić się fali i nie uczyni najmniejszego wysiłku, by skończyć z tymi wszystkimi grymasami; jeśli nie zajmie się poważnie spłaceniem choćby części długu, jaki jest winna za to, że tak właśnie została stworzona, za to, że czuwała nad nią Opatrzność; długu za wszystkie dobrodziejstwa, jakie na nią w życiu spłynęły. Z podziwem pomyślała o tych darach. I gdyby nawet nie spotkała na swej drodze Jima, który jej wszystko podsunął i objaśnił

- tak że potrafiła popaść w uniesienie nad takimi oczywistymi wspaniałościami, jak na przykład Opactwo Westminsterskie czy dramaty Szekspira - to z pewnością każdego poranka powinna się niewątpliwie w cichości ducha radować, wdzięczna za to, że dane jej było doczekać jeszcze jednego dnia.

Ostatecznie kolejne dni to przecież coś niezwykle cennego, nawet dni starości - jeśli się do nich dożyło we właściwym stanie ducha. Nie będą trwały w nieskończoność...

- Proszę jaśnie pani, dzwonił pan Pontyfridd

- przerwała te rozmyślenia Manby, wchodząc do sypialni - i zapytał, czy może mieć nadzieję, że go jaśnie pani przyjmie w salonie.

- Że go przyjmę w salonie? - powtórzyła jak echo zaskoczona Fanny, odwracając ku niej głowę. - Ciekawe, dlaczego się o to dopytuje.

Manby, która nie miała na ten temat wyrobionego

zdania, zapytała tylko, czy przygotować jaśnie pani kąpiel.

- Tak. A Soamesowi powiedz, że zjemy tam podwieczorek - powiedziała Fanny. - To znaczy w salonie  
- dodała, widząc minę służącej. - No niechże cię, Manby - roześmiała się, a następnie wyciągnąwszy  
wszystkie loki Antoinę'a, ułożyła je na stole w równym rządku i kazała je wyprać.

\*

Tymczasem dochodziła już czwarta. George z pewnością przyjdzie punktualnie, jeśli więc Fanny  
chciała trochę wypocząć po kąpieli, musi się teraz pospieszyć.

Zabawny był ten telefon w sprawie salonu. Znów ją zastanowił cel wizyty, a także naleganie George'a  
aby Fanny była sama. Niggs dopatrzyłaby się w tym' oczywiście, najbardziej złowrogich intencji.

Fanny mogła tylko podejrzewać, że George również miał jakiś świetny pomysł na uczczenie jej  
urodzin, ale dlaczego miałoby to omawiać aż w takiej tajemnicy

- Panna Cartwright przekazała ten list, proszę jaśnie pani - powiedziała Manby, kiedy Fanny wróciła  
po kąpieli do sypialni.

Nie był to list od Muriel, lecz od Milesa. Dziękował w nim za czek informując, że zostanie on użyt-  
kowany na najbardziej palące potrzeby; wyraził też żal, że siostra nie może przyjść na lunch. *Moja  
siostra nigdzie nie bywa*, napisał krótko w liście.

- A więc to tak - rzekła Fanny, odkładając list Żadnego pobytu w Stokes z Muriel, żadnej od niej  
pomocy. Raz jeszcze będzie musiała polegać na własnych siłach, jeszcze raz sama stawi wszystkiemu  
czoła

Patrząc w zamyśleniu na Manby, przypomniała sobie, jak to Job zaczął ją nachodzić podczas jej  
rekonwalescencji w Stokes, i rzekła-

- A więc na moich urodzinach nie będzie nikogo oprócz pana Skeffingtona - co do tego stopnia zakłóciło spokój ducha Manby, że jak później to przedstawiła pannie Cartwright - omal nie zemdląca.

\*

Tuż po piątej Fanny wyszła ze swej sypialni i skierowała się do salonu, by przyjąć tam George'a; była pogrążona w głębokiej zadumie i raczej przekonana, że Los jest dla niej zbyt okrutny. Jednak gdy tylko znalazła się na korytarzu łączącym te dwa pomieszczenia, zapomniała o wszystkim, ponieważ w domu wyczuwało się coś osobliwego. Coś niepokojąco osobliwego. Coś zupełnie odmiennego niż dotychczas.

Przystanęła z głową przechyloną na bok, nastawiając uszu; nasłuchiwała.

Panowała śmiertelna, zapierająca dech cisza, jak gdyby cały dom i wszyscy jego mieszkańcy, pełni gorączkowej, ale i nie pozbawionej lęku ciekawości, oczekiwali na dalszy bieg zdarzeń. Dziwne, pomyślała Fanny, nadzwyczaj dziwne, i spojrzała pytająco na Soamesa.

Czekał, by otworzyć przed nią drzwi salonu. Wyglądał na roztrzęsionego, ale Fanny tłumaczyła to tym, że jeszcze nie doszedł do siebie po scenie z Edwardem i jego mrugnięciem. Potrafiła to zrozumieć. Znalezienie się w podobnej sytuacji, i to wbrew własnej woli, było dla biednego Soamesa fatalnym przeżyciem, a czułby się on jeszcze gorzej, gdyby wiedział, że w wyniku tego zdarzenia Fanny z najwyższą niechęcią znosiła jego bezpośrednią obecność. Z nocnym przyjęciem jakoś się już uporała, ale jak będzie teraz - z tym współmrugnięciem Edwarda z Soamesem, które ugodziło w najczulsze miejsce jej próżności i dumy? Nie, to było nie do przyjęcia. Fanny obawiała się, że Soames będzie musiał odejść.

- Co się takiego dzieje? - zapytała, podczas gdy on, unikając jej wzroku, pochylił się nad klamką z gwałtowną skwapliwością człowieka, którego jedynym pragnieniem jest wprowadzić ją jak najszybciej do salonu i umknąć.

- Dzieje..., proszę jaśnie pani? - tylko tyle był w stanie z siebie wydusić, jednocześnie czując, że nogi uginają mu się w kolanach.

Na szczęście dla niego drzwi otworzyły się od środka i stanął w nich George. On także wyglądał inaczej, pomyślała ze zdziwieniem Fanny, przyglądając mu się uważnie: pociemniały na twarzy i silnie zakłopotany, co było dla niego niezwykle.

- Ach jesteś, moja droga - zawołał z nerwową serdecznością, jeśli serdeczność może być nerwowa, objął ją ramieniem i wprowadził pośpiesznie do salonu. - *Naprawdę* cieszę się, że cię widzę. Myślałem..., trochę się spóźniłaś, prawda? - rzucił spojrzenie w kierunku Soamesa, który natychmiast zamknął drzwi i oddalił się.

Fanny, jakby zmęczona, opadła na swój stały niski fotel przy kominku.

- Nie wiem, co jest powodem twojej wizyty - powiedziała, spoglądając na niego z dołu - ale błagam cię, żebyś był dla mnie miły. Miałam ciężki dzień.

Słowa te w widoczny sposób spotęgowały jego nerwowość; kiedy zapalał papierosa, wyraźnie drżały mu ręce.

Uderzona takim zachowaniem, zapytała patrząc na jego dłoń:

- Dlaczego drży ci ręka?

- Nie drży.

- No, no - uśmiechnęła się, unosząc brwi; ale był to tylko półuśmiech, ponieważ i w George'u, i w Soamesie, i w całym domu działo się coś zbyt tajem-

niczego, by mogła się w pełni odprężyć. Zakłopotanie George'a dałoby się wytłumaczyć, gdyby na przykład zamierzał uzyskać od niej kolejną sumę na swoje dobroczynne cele, mimo że poprzednią otrzymał zaledwie przed miesiącem; ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Soames wyglądał tak, jakby ujrzał ducha, albo dlaczego dom znieruchomiał w jakimś nerwowym oczekiwaniu. Fanny była niezwykle wyczulona na nastroje. Takiego zaś nastroju na Charles Street nie wyczuwała od - przebiegła szybko myślą przez lata wstecz i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że takiego nastroju nie wyczuwała - od dwudziestu dwóch lat, a więc od czasów, kiedy był tu jeszcze Job.

- Napijmy się herbaty - zaproponował szorstko

George. .

Czuł ogromne skrepowanie. To bardzo piękne, jeśli widok ludzkiego cierpienia i niesprawiedliwości wywołuje w człowieku natychmiastowe pragnienie zwalczania tego wszystkiego, ale zważywszy że w tym wypadku dokonać tego mogła tylko Fanny, to czy on nie próbuje być hojny na cudzy rachunek? A jeśli ona zawiedzie, jeśli się okaże obojętnym babskiem - pełnym zapiekłych żalów, zachłannym, egoistycznym, pozbawionym wyobraźni? Czasem z zażenowaniem podejrzewał, słuchając wywodów Niggs, że kobiety nie mają w sobie nic z dżentelmenerii, tak jakby sprawiedliwość i uczciwość były dla nich niczym. Zwłaszcza kobiety starsze - jeśli już coś uchwycą, nie są skłonne wypuścić tego z rąk. Fanny zaś była teraz starszą kobietą. Jej uroda zniknęła, lecz pieniądze zostały. Jeżeli więc sprytnie umknąwszy przed laty z łupem po Skeffingtonie, teraz odmówi zwrócenia choćby jego cząstki? Wówczas George'owi pozostanie już tylko jeden sposób osiągnięcia celu

- odwołać się do jej litości; i jeśli nawet to nie skutkuje, utraci ją na zawsze, gdyż nie potrafi kochać kogoś, kogo nie może darzyć szacunkiem. Utraci swą ukochaną kuzynkę, myślał zaniepokojony, marszcząc brwi; kuzynkę, która przez całe lata samym swym istnieniem sprawiała, że świat był piękniejszy.

- Nie jest tu chyba za ciepło - zauważyła, widząc, że George ociera z czoła krople potu, ponieważ jednak nie odpowiadał, ujęła dzbanek z herbatą.

- A może wolałbyś czegoś innego? - zapytała nieruchomiejąc na chwilę.

- Nie, proszę o herbatę.

Wtłoczył chusteczkę do kieszeni, chwycił leżącą na najbliższej sofie poduszkę, rzucił ją na podłogę po drugiej stronie niskiego stolika do herbaty, usiadł i spojrzał w zakłopotaniu nie tyle na Fanny, ile na fotel, w którym była zatopiona.

Wydawało się, że fotel urósł. Zawsze z łatwością mieszczący dwie osoby, o czym George wiedział najlepiej, teraz zdawał się starczać dla trzech. Kiedy ostatnio Pontyfridd widział Fanny otuloną futrem, nie zdał sobie sprawy, jak niewiele z niej zostało. „Czy to uczciwe”, zapytał się w duchu, a pot na nowo pokrył mu czoło, tak że znów wyciągnął chustkę, podczas gdy ona patrzyła na niego z przechyloną na bok głową, „czy to uczciwe przyprawiać o wstrząs kogoś, kto wygląda aż tak słabowicie? Może powinien z tym poczekać, aż Fanny trochę się wzmocni? A przynajmniej do dnia, który nie będzie dla niej tak męczący jak dziś, co mu na wstępie oznajmiła?”

Nie, to, z czym przyszedł, nie mogło czekać; to, co czynił, było tak szalone, że nie pozostawało nic innego, jak tylko rzucić się naprzód i doprowadzić rzecz do końca.

- Teraz możemy porozmawiać - powiedział, przytrzymując filiżankę dwiema rękami, tak aby wskutek jego zdenerwowania nie zadzwoniła o spodek.

- Tak, a o czym?

- Najpierw trochę herbaty.

Wypił głośno przetykając, jak gdyby był niezwykle spragniony, i natychmiast poprosił o następną filiżankę.

- Mam zmartwienie - powiedział, kiedy Fanny ją napełniała.

- Chodzi o Niggs?

- Nie. O ciebie.

- O mnie?

Odstawiła dzbanek i spojrzała na niego niepewnie.

- Jeśli masz na myśli moje urodziny... - zaczęła, ale on jej przerwał mówiąc, że to coś poważniejszego.

Krzywiąc się z lekka, zapytała, czy może być coś poważniejszego.

Przykazał jej dość ostro, żeby nie była niemądra, a następnie, odrzuciwszy urodzinowe bzdury, oznajmił, że jego śmiertelna trema wynika z uwielbienia, jakim ją darzy.

- Musisz..., musisz mi przyrzec - powiedział - że mnie nie zawiedziesz. Byłoby to dla mnie nie do zniesienia, gdybym cię utracił. A wtedy wieczorem, na dworcu Paddington, tak bardzo się zachnęłaś i uciekłaś w takim popłochu, gdy zacząłem mówić o Skeffingtonie, że teraz znów się tego boję.

- A zamierzasz o nim rozmawiać? - spytała.

- Po to właśnie tu przyszedłem - odparł. A tymczasem ona rzuciła nieoczekiwanie łagodnie:

- To dziwne, że się ten człowiek tak nieustannie pojawia.

George popatrzył na nią. Krzątała się przy filiżankach z głową pochyloną nad stolikiem.

- Co to znaczy - nieustannie się pojawia? - zapytał.

- No cóż, pojawia się.

Rozejrzała się po pokoju. Patrzyła bardzo uważnie i ostrożnie, jakby obawiając się, że ujrzy to, czego szuka. George patrzył na nią zupełnie zdezorientowany.

- To dziwne - powiedziała, kiedy już rozejrzała się tak dokładnie, że nawet nie pominęła miejsca za biurkiem. - Nie ma go.

- Kogo nie ma? - zapytał George.

- Joba.

Wówczas George poczuł, że przechodzą mu ciarki po grzbiecie. Sprawił to zwłaszcza fakt, że Fanny rozglądając się po salonie, zajrzała również za biurko, za którym było tylko tyle przestrzeni, że zmieściłby się tam co najwyżej kot.

- Czyżbyś się go spodziewała ujrzeć? - zapytał, przewyciężając dreszcz i próbując przyjąć łagodną, żartobliwą postawę, jaką się okazuje ulubionej, lecz nękaniej przywidzeniami pacjentce.

- Zawsze go widzę - odparła. - Od czasu mojej choroby ciągle się tu objaja. No ale, jak sam wiesz - dodała ze wzruszeniem ramion - do wszystkiego się można przyzwyczaić.

Przez chwilę pomyślał w oszołomieniu, że Skeffington go przechytrzył, ale natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Męczą ją koszmary. Skeffington wypełnia jej świadomość. Fanny nie potrafi usunąć go ze swych myśli, ponieważ dręczą ją wątpliwości, zresztą według George'a głęboko uzasadnione, czy nie okazała się kiedyś wobec swego męża zbyt bezwzględna. A taka właśnie była, i to powodowana zupełnie niegodziwymi motywami. George miał pewność, że gdy się z nim rozwodziła, nie chodziło jej o zachowanie zasad czy o zranioną miłość, ale zrobiła to



dlatego, że nadarzyła się zbyt dogodna okazja do odprawienia tego małego Żydka, żeby ją można było zmarnować. A teraz przyszedł na nią czas kary. Z chwilą gdy wszyscy ją opuścili, obudziło się w niej sumienie i poczęło ją dręczyć. Sumienie nie gryzie tych, którzy są naprawdę okrutni. A więc ona jest nadal jego ukochaną kuzynką. Wstał, wyminął stolik, podszedł do niej, przysiadł na oparciu fotela, objął ją ramieniem i powiedział łagodnie:

- Moje biedne małeństwo.

- Tak - zgodziła się Fanny. Tak właśnie o sobie ostatnio chwilami myślała. Określenie to przychodziło jej na myśl po każdym kolejnym ciosie, zanim się na nowo pozbierała i odzyskała równowagę.

- Czy byłeś u doktora?

- Opowiadałam ci przecież na Paddington, że właśnie wracam od Bylesa. A wszystko, co od niego usłyszałam, to tylko zniewagi oraz pomysł, żeby go zaprosiła na obiad.

- Na obiad? Bylesa?

- Nie, Joba.

George pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Zrobił tak nie tylko dlatego, by okazać jej swe uczucie i sympatię, ale także dla zyskania chwili do namysłu, co ma mówić dalej. Był teraz w wielkim napięciu. Nigdy by nie przypuszczał, że to Byles przyjdzie mu z pomocą w jego trudnym, zatrważającym przedsięwzięciu, które mu narzuciła jego własna zapalczywość. Z tego, co George słyszał o Bylesie, a także z wysokości jego rachunków, wynikało, że jest postacią wysoce nieprzyjemną, ale tą propozycją obiadu bez wątpienia przetał mu drogę i nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść taktownie i ostrożnie w tym samym kierunku. Jednakże teraz, zważywszy, czego już zdążył dokonać i gdzie w tej chwili

znajdował się Skeffington, takt i ostrożność były niczym w porównaniu z niezbędną odwagą i z tym przekłętym, spoconym czołem, które trzeba było ustawicznie ocierać.

- A ja widziałem go ostatnio *naprawdę* - powiedział, rzucając się w tę otchłań.

- Kogo? Bylesa?

- Nie, Joba.

- Naprawdę?

Wyprostowała się i patrzyła na niego w zdumieniu. Wiedziała, że od czasu ich rozvodu nikt Joba nie widział. On zniknął. Wyjechał za granicę. Doszły do niej pogłoski, że trafił do Meksyku i tam osiadł. Zastanowiła się, czy George, jako jej krewny, również nie posiada skłonności do widzenia rzeczy nie istniejących. Jest taki spocony.

- To niemożliwe - powiedziała stanowczo. - On jest w Meksyku.

- Już nie. On jest...

Musiał przerwać, by przełknąć ślinę. Gardło miał suche i ściśnięte. Pochylił się nad stolikiem, sięgnął po dzbanek z herbatą i nalał sobie jeszcze do filiżanki. Teraz, gdy siedział sam na sam z nieświadomą niczego Fanny, wydało mu się, że to, co zrobił, było absolutnie niewybaczalne. Kiedy jednak pomyślał o Skeffingtonie...

Przełknąwszy herbatę pod zdziwionym spojrzeniem Fanny, mówił dalej szybko:

- To prawda, wpadłem wczoraj na niego w parku w Battersea.

Z oczami utkwionymi w jego twarzy, bez najmniejszego poruszenia, powtórzyła tylko:

- Wczoraj, w parku w Battersea.

- Przechodziłem tamtędy, a on siedział i grzał się w słońcu.

Znów jedynie powtórzyła:

- Grzał się w słońcu.

Job wygrzewający się w słońcu. Job, który siedzi beczynn timer i wygrzewa się w słońcu. Job, który czuje taką *potrzebę*. To doprawdy dziwne, że człowiek obarczony wieloma funkcjami, uczestniczący w niezliczonych posiedzeniach zarządów, zawsze w trakcie załatwiania tysiąca spraw nie cierpiących zwłoki, że ten człowiek władzy, tak ważny i tak nieprzerwanie czynny - miał ochotę usiąść i wygrzewać się w słońcu.

Nie dowierzając, powiedziała, że to do Joba niepodobne.

George zgodził się z nią.

- Zupełnie niepodobne - powiedział. - Zresztą nie tylko to. Posłuchaj mnie teraz. Początkowo go nie zauważyłem, ponieważ patrzyłem na psa...

- Jakiego psa?

- Psa Joba.

- On nie mógłby mieć psa - znów zdecydowanie sprzeciwiła się Fanny. - Nigdy nie lubił psów.

- A tego właśnie bardzo lubi - powiedział George i po lekkim wahaniu dodał - wiesz przecież, że coś trzeba w życiu mieć.

Tak, coś trzeba w życiu mieć. Któż mógł to wiedzieć lepiej od niej? Jednak wydało się jej, że pies był mimo wszystko ostatnim rodzajem towarzystwa, na jakim zależałoby Jobowi. Zaczęła się zastanawiać, co by to było, gdyby również ona skończyła w ten sposób i, poniesiona przez chwilę fantazją, ujrzała dwa obrazki, na których ona i Job, gdzieś w odległych od siebie miejscach, siedzą samotnie ze swymi psami. Oto podsumowanie ich błyskotliwych, imponujących żywotów: samotność z psem.

- To był doprawdy zachwycający pies - mówił dalej George. - Taki godny i odpowiedzialny.

- Odpowiedzialny? - to dziwne określenie wyrwało ją z zadumy.

- No cóż, wiesz jak to jest z psami - powiedział pośpiesznie George.

Fanny odpowiedziała, że nie wie, a George mówił szybko dalej:

- No więc, nie mogłem się powstrzymać, żeby go nie pogłaskać. Wtedy zauważyłem, że człowiek, którego on... to znaczy - poprawił się natychmiast - zauważyłem, że należy on do Skeffingtona.

Bardzo oczywiście zmienionego, pokrytego zmarszczkami i tak dalej, lecz jego wyrazistych rysów nie sposób zapomnieć i rozpoznałbym go wszędzie.

Fanny przeniosła wzrok z twarzy George'a na ogień płonący na kominku. Pokryty zmarszczkami. Job, którego ostatnio widywała, wyglądał tak, jak tuż po ich rozwodzie - żwawy, krzepki, niewysoki mężczyzna w kwiecie wieku - i trudno jej było go sobie wyobrazić inaczej. Wiedziała, że muszą nastąpić jakieś zmiany, ale świadomość, że Job ma również temu podlegać, sprawiała jej dziwny kłujący ból. Ten pełen energii, zmiatający wszelkie przeszkody człowiek, teraz siedział beczynnym w parku w Battersea. Kolejny z jej wielbicieli rozpadł się na kawałki, przeistaczając w starego, znużonego człowieka. Lecz tym razem był to jej mąż. Jakkolwiek by na to nie spojrzeć, to jednak sypianie z kimś co noc, czego Fanny posłusznie dopełniała aż do afery z maszynistkami, wytworzyło pewną więź.

- Powiedział mi, że ma siedemdziesiąt dwa lata - usłyszała głos George'a.

- Tak - przyznała po chwili wpatrywania się w ogień, kiedy wydawało się, że coś oblicza. - Siedemdziesiąt dwa.

- Nie było łatwo wciągnąć go do rozmowy, ale krok po kroku.

- Czy ja muszę tego wysłuchiwać? - zapytała, podciągając się nieco w fotelu.
- A kto, jeśli nie ty?
- A dlaczego ja? - Właśnie dlaczego ona, pytała sama siebie, dlaczego ona? Gdzie się podziały te wszystkie...?

George wyczytał to pytanie w jej oczach.

- Chyba nie będziesz teraz wyciągać sprawy tych maszynistek? - powiedział karcąco. - Wiesz, że w życiu mężczyzny przychodzi czas, kiedy to się kończy, a przecież powiedziałem ci właśnie, że on jest skończony.

- Nie powiedziałeś mi, że on jest skończony - odparła, obrzucając go szybkim spojrzeniem.

- No więc jest. Dziwi mnie doprawdy, że ty ciągle jeszcze możesz...

Rozluźnił nieco uścisk ramienia, którym ją obejmował. Fanny, wyczuwając jego chłód, wyciągnęła rękę i przytrzymała go za połą marynarki.

- Nie rób tego. Zostań tu blisko - poprosiła błagalnie. - To dlatego, że nie mogę sobie wyobrazić Joba bez jakiejś kobiety u boku ani też jako skończonego. Ach, jakim okrucieństwem, jakim straszliwym *bestialstwem* - wybuchnęła nagłym oburzeniem, które wzbudziło w George'u nadzieję - jest porzucenie go w takiej chwili!

- I kiedy jest biedny - uzupełnił George, wykorzystując do końca okazję. - To je wypłoszyło szybciej niż cokolwiek innego.

- Biedny?

Teraz sama uwolniła się od jego ramienia i usiadła wyprostowana, patrząc nań z niedowierzaniem.

George wspominał o tym wcześniej, ale niezbyt wyraźnie. Teraz uczynił to raczej jednoznacznie. A więc Job jest biedny? Ten specjalista od milionów? Nie

mogła w to uwierzyć. Mógł być trochę uboższy niż kiedyś, ale nie w pełnym tego słowa znaczeniu, nie biedny jak Miles i Muriel; jak kobiety z dworca Paddington, czy jak ludzie wystający na skrzyżowaniach ulic, którym dawała półkoronówki, jeśli wyglądali na potrzebujących.

- *Zupełnie* biedny - powiedział George, jakby słysząc jej myśli. - Na mieliźnie. Spłukany z pieniędzy jak mało kto. Zapadła cisza. Fanny próbowała w to uwierzyć; a zakładając, że da temu wiarę, walczyła z myślą, która mogłaby błyskawicznie wpłynąć na jej własną przyszłość. George nie posunąłby się do kłamstwa. A więc Job musi być naprawdę w opłakanej sytuacji.

Usiadła i spróbowała objąć to wszystko swym umysłem. Oto zbankrutowany Job i ona, która jest w stanie go uratować. A ratując jego, uratować siebie. Muriel Hyslop nie musi już jej pomagać w stawianiu następnego kroku - uczynił to Job; on sam stał się tym następnym krokiem; w cudowny sposób Job stał się narzędziem jej zbawienia.

- Ale z drugiej strony... - zaczęła.

- Tak, kochanie? - podtrzymał ochoczo, schylając się ku niej.

Nie podjęła jednak dalej przerwane zdania. Doznała wstrząsu, uświadomiwszy sobie nagle, jakie zadanie miała do spełnienia - siedziała więc, wpatrując się w George'a bez słowa. To oczywiście smutne, że aby się stać narzędziem jej zbawienia, Job musiał doznać takiej klęski, ale przynajmniej jego nędza nie będzie trwała wiecznie. Otrzyma wszystko, czego mu będzie trzeba. Fanny nie przywróci mu energii i pełni tego, czym żył kiedyś, ale jest w stanie i da mu środki, dzięki którym będzie się mógł utrzymać i podreperować. Da? Nie, nie da, lecz po prostu

przywróci mu to, co właściwie zawsze do niego należało. Wszystko powinno do niego wrócić. Ona poprosi tylko o tyle, ile jej będzie potrzebne do życia, ukrytej na wsi, gdzie nikt jej nie będzie znał ani widywał i gdzie będzie się mogła wreszcie poświęcić wiedzy i ćwiczeniu zdolności pojmowania świata, co tak bardzo jej polecał Lanks w okresie, gdy jego uwielbienie dla niej już wygasało. A ten wielki, przepastny dom, wraz z całą zawartością, musi być zwrócony. To samo dotyczy służby z wyjątkiem Manby, ale nie wyłączając Soamesa. Doprawdy godne podziwu są wyroki Opatrzności, pomyślała Fanny, pełna zachwyty dla jej pedanterii i troski o najdrobniejsze szczegóły na przykład w wypadku Soamesa, który odejdzie z jej życia legalnie, gładko i szczęśliwie dla siebie. Trzeba mieć więcej ufności, pomyślała. Nie powinno się, tak jak to ostatnio czyniła, zbyt szybko pogrążyć w rozpacz.

Zdumienie wyrokami Opatrzności nie przeszkodziło jej w co najmniej tym samym stopniu zdziwić się postępowaniem George'a. To nie do wiary, by aż tak bardzo zważył w jej przyzwoitość, że ogarnęła go paraliżująca trema. On się wręcz pocił ze strachu, że Fanny go zawiedzie. Jakże więc, u licha, mógł ją przez te wszystkie lata ubóstwiać, jeśli jednocześnie, w głębi serca, nigdy nie był pewien, czy Fanny w godzinie próby zachowa się z godnością?

Tak więc w dwójnasób zdumiona i przytłoczona niespodziewanymi, zapierającymi dech w piersiach rewelacjami, Fanny siedziała, wpatrując się w George'a i niezdolna wydusić słowa, słuchała go w milczeniu, które uznał za wyraz dezaprobaty wobec tego, co jej opowiadał o Jobie.

- Miałem ogromne trudności z wyciągnięciem od niego czegokolwiek - mówił George. - Musiałem go

ustawicznie zapewniać, że nikt nas nie słyszy. - Następnie opowiedział jej, jak biedny Skeffington, gdyż tak go uporczywie nazywał, po raz pierwszy stracił pieniądze w Meksyku, gdzie wplątał się w politykę, rewolucję i Bóg wie, w co jeszcze; a kiedy zaczęło już być tam dla niego za gorąco, wrócił do Europy, do Wiednia, by rozpocząć na nowo i dzięki swym znanym zdolnościom stał się bogatszy niż kiedykolwiek, ale wtedy wkroczyli naziści. Właśnie Wiedeń przestał być odpowiednim miejscem dla Żyda, więc wkrótce Job znalazł się w poważnych kłopotach - tu George'owi przez chwilę coś jakby przeszkodziło mówić dalej i zdawało się, że przerażony patrzy na to z niedowierzaniem - w tak poważnych kłopotach, że miał szczęście, uchodząc w ogóle z życiem, jeśli samo tylko życie, dodał George wciąż z tym pełnym niedowierzania strachem w oczach, może być szczęściem. I wreszcie teraz, jako rozbitek, Job znalazł się w Londynie.

- I uważasz, że ja powinnam go z tego wyciągnąć

- powiedziała Fanny, gdy przerwał swą relację; a wyrzekła to chłodnym tonem osoby, której przyzwoitość została zakwestionowana.

Jej chłód zirytował George'a.

- Niczego tu nie *powinnaś*, moja droga - powiedział, a o stopniu jego irytacji świadczył zwrot „moja droga”. Fanny pomyślała jednak, że także ona ma najbardziej usprawiedliwione powody do gniewu.

- Nie masz żadnego obowiązku. Job nie zgłasza żadnych roszczeń. Należy chyba jednak pamiętać, że każda najmniejsza rzecz... - rozejrzał się po pełnym kwiatów pokoju, rzucił okiem na stół zastawiony nadmierną, bezsensowną ilością nie tkniętego przez nich jadła i na tonącą w fotelu Fanny, spowitą w najprawdopodobniej obrzydliwie drogą mimo pozorów



prostoty szatę; popatrzył na to złym okiem, gdyż jednocześnie miał przed oczami obskurną, ciepłą postać siedzącą na ławce parku w Battersea - ...że wszystko w tym domu, każdy ścieg twoich strojów, należy do ciebie dzięki jego hojności. - Tak - zgodziła się Fanny. - Był bardzo hojny. Ale to nie takie trudne - dodała, wciąż pozostając wobec George'a niezwykle chłodna - jeśli się jest bardzo bogatym.

Nie, George nie miał ochoty siedzieć blisko kobiety, która wygaduje takie rzeczy; podniósł się więc, stanął plecami do kominka i gwałtownie wygiąwszy nadgarstek, spojrzął na zegarek. To okropne, że sprawa się nie posuwa, kiedy jednocześnie czas tak nagli. W każdej chwili może tu wpaść ktoś roztargniony z pytaniem o dalsze polecenia...

- Czy się dokądś śpieszysz? - zapytała Fanny jeszcze chłodniej niż poprzednio, gdyż miała już dosyć mężczyzn spoglądających na zegarki.

Popatrzył na nią z nienawiścią, puszczając to mimo uszu. Stawiał sobie pytanie, czy ta zimna istota to rzeczywiście jego Fanny i czy jej serce stało się tak samo bezcielesne jak ona cała.

- Pozwól mi powiedzieć - rzekł, wciąż patrząc na nią ze złością - że tylko ty masz prawo do tego ułamka jego bogactwa, jaki uparł się tobie zapisać.

- Wiem o tym.

- A teraz...

- A teraz, kiedy on jest biedny, a ja wciąż odrażająco i niesprawiedliwie bogata... no powiedz to, George, powiedz. Przecież aż się do tego palisz.

- Właśnie tak. To *jest* odrażające. To *jest* niesprawiedliwe - powiedział i ruszył w wędrówkę wokół pokoju - że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Na Boga, tak... - przerwał zatrzymując się

nagle, jakby przytłoczony czymś, o czym wiedział tylko on.

- Co więc proponujesz?

- Proponuję...

Wrócił i stanął nad nią, zaczerwieniony z emocji, przekonany o konieczności szybkiego nakłonienia jej, by postąpiła w jedynie słuszny sposób, w jaki mogła postąpić.

- Słucham - powiedziała zachęcająco.

- Proponuję, ażebyś uzgodniła, ile jesteś skłonna mu zwrócić.

- Ależ oczywiście, mój drogi... - teraz Fanny również użyła tego zwrotu, który był między nimi zawsze oznaką chwilowej niechęci. - A cóż ty sobie wyobrażasz? Jutro z samego rana wezwę mojego adwokata i omówię tę sprawę - nagle jednak uderzona wyrazem twarzy George'a wychyliła się do przodu ze swego fotela i zapytała - Ażebym z kim uzgodniła...?

- Ze Skeffingtonem, Fanny. Niepotrzebni tu jacyś adwokaci. Okaż trochę *życzliwości, serdeczności* - powiedział niemal błagalnie George.

- Chcesz powiedzieć... - Patrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom. - Chcesz powiedzieć, że mam mu tu pozwolić przyjść i zobaczyć się ze mną?

- W każdym razie przyjść - odparł George, po wahaniu, jak gdyby starał się ostrożnie dobierać słowa, po czym czekał ze ściśniętym gardłem na jej odpowiedź.

Nie czekał długo. Fanny odpowiedziała niemal natychmiast, krótko i zdecydowanie:

- Nigdy.

\*

Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. A więc taka jest Fanny, myślał George. Taka jest naprawdę i taka była zawsze, ukryta pod powłoką

swej wielkiej urody. Czy ta jej promienna sympatia i zarliwa gotowość do czynienia dobra była zatem niczym innym niż tylko skutkiem jej świetnego samopoczucia i absolutnego zadowolenia z samej siebie? Czy to możliwe? A jednak jak nieodwołalne, jak twarde niczym gład było to jej „nigdy”. W pięćdziesiątym roku życia Fanny objawiła się jako gład. Stara i nieczuła, mówił do siebie w duchu, patrząc na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

Fanny zaś myślała: „George mnie teraz nienawidzi. Spowodowałam u niego wstrząs, z którego się nie wydobędzie, jeśli zaraz czegoś nie wymyślę. Nie mogę pozwolić, by sobie poszedł. Nie mogę stracić George'a. Muszę mu powiedzieć, dlaczego nie chcę spotkać się z Jobem. Jedno upokorzenie mniej czy więcej to doprawdy nie ma już znaczenia. Wolę, żeby się raczej dowiedział, jaka ze mnie idiotka, niż uważał, że jestem nienawistna i bezwzględna.”

Spróbowała podnieść się z głębokiego fotela, czując, że lepiej będzie wypowiedzieć to wszystko na stojąco; siedziała jednak tak nisko, że wyciągnęła rękę, by jej dopomógł wstać. George, jak najdalszy od chęci ujmowania dłoni, których nie spodziewał się już nigdy dotknąć, był jednak zmuszony to uczynić i kiedy już stanęła samodzielnie tuż przy nim, niby mała dziewczynka zmuszona do wypowiedzenia trudnej lekcji, której nie zdążyła się nauczyć, choć wiedziała, że egzaminator będzie surowy, George oświadczył, że jeżeli to obmierzłe, pogańskie nigdy jest jej ostatnim słowem, to jemu pozostanie tylko wyjść i „nigdy” już tu nie wrócić - zakończył świdrując ją wzrokiem spod ściągniętych brwi.

- Ale to nie jest moje ostatnie słowo - wyjaśniła pośpiesznie. Nie, nie wolno jej stracić George'a,

nawet gdyby ją miał błędnie ocenić. Był jedynym spośród dawnych wielbicieli, jaki jej jeszcze pozostał, jeśli nie liczyć Joba.

- Dzięki Bogu i za to - odpowiedział, a brwi nieco się mu wygładziły.

- Jest jeszcze kilka słów...

Czyżby z dolnych części domu dobiegło go coś jakby szczekanie psa? Zaniepokojony spojrzął najpierw na drzwi, a następnie na Fanny, która jednak najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi lub uznała, że odgłos ten pochodził z zewnątrz, ze stajni, gdzie było pełno psów. Poza tym ze sposobu, w jaki ścisnęła swe złożone dłonie - tak dobrze mu znanego odruchu, który się ujawniał, gdy miała jakiś kłopot - wywnioskował, że Fanny była bez reszty pochłonięta tym, co zamierza powiedzieć.

- Bo jeśli - ciągnęła, zaczerpnąwszy uprzednio powietrza - przyjrzesz mi się uważnie, to powinieneś zrozumieć, co to mogą być za słowa. To znaczy, jeśli się przyjrzesz temu, co pozostało z mojej twarzy. George'a natychmiast ogarnęło wzruszenie. Był człowiekiem, którego rozrzewnia każda ludzka zgrzyzota, więc oczywista rozpacz Fanny spowodowana tym, że musiała mu coś takiego powiedzieć, napełniła go współczuciem i czułością. Niggs zapewniała go, że Fanny nie ma pojęcia, co się stało z jej twarzą, że kobiety nigdy nie wiedzą, kiedy ich uroda się kończy, że to w ogóle wielka szkoda i że ktoś będzie jej musiał o tym powiedzieć. George w to wierzył, ciesząc się że jego ukochana kuzynka będzie miała oszczędzone to, co dla każdej tak pięknej kiedyś kobiety musi być torturą. Tymczasem jednak, jak widać, jej to nie ominęło i Fanny ma pełną świadomość swego wyglądu.

George czuł, że jego gniew ostatecznie ustąpił miejsca litości.

- Wiem wszystko o twojej kochanej twarzy, moja Fanny - powiedział łagodnie, ujmując dwiema rękami jej głowę i całując w czoło.

- No więc, czy muszę mówić dalej? Nie zapominaj, że Job nie widział mnie od dwudziestu dwóch lat.

- To nie ma znaczenia - odparł.

- Nie ma znaczenia? Ależ George, przecież... Odsunęła się gwałtownie od niego. Czy to był ten tak świetnie ją rozumiejący kuzyn? Czyżby wieloletnie małżeństwo z Niggs nie dało mu żadnego wyobrażenia o kobiecej próżności, o tym jak przenika ona całą osobowość kobiety, unicestwiając przy tym każdy jej zdrowy odruch? Fanny chciała być życzliwa, serdeczna, chciała spotkać się osobiście ze zrujnowanym Jobem, a przecież nie mogła; nie mogła, ponieważ nie do zniesienia było dla niej, że on, który kiedyś wielbił jej piękno nawet za cenę własnych upokorzeń, będzie ją oglądał taką, jaka jest dziś.

- Zapewniam cię - powiedział z przejęciem George - że dla Skeffingtona pozostaniesz na zawsze taka sama.

- Czy ty mnie uważasz za idiotkę? - zaprotestowała, a George'owi znów się wydało, że usłyszał daleki szczek psa i znów zaczął nerwowo chodzić po pokoju, ale i tym razem Fanny nie zwróciła chyba na to uwagi. - Wiesz przecież, że Job kochał mnie wprost rozdzierająco.

- Jestem pewien, że tak kocha nadal - odparł Job, ale czy rzeczywiście miał tę pewność? Czy w apatycznej postaci z parkowej ławki w Battersea, reagującej jedynie na nagłe poruszenia i hałas za plecami, w tym człowieku tak cierpliwie i potulnie słuchającym jego szalonych propozycji i posłusznie podąża-

jącym wszędzie tam, gdzie go George poprowadził, nawet jeśli to był dom Fanny - czy może się w nim jeszcze tlić tak wyraziste uczucie jak miłość? I to jeszcze miłość rozdierająca? Biedny Skeffington miał już dość wszelkich rozdarć w swoim życiu.

- Całe nieszczęście polega na tym, że on kochał tylko mój wygląd - powiedziała Fanny - bynajmniej nie mnie. I nie mam zamiaru spowodować u niego wstrząsu.

- Ależ to wykluczone - odrzekł George. Teraz Fanny wpadła w prawdziwy gniew.

- Przestańże mnie wreszcie traktować, jakbym była niespełna rozumu! - krzyknęła. - Ostatnio spotykałam też tych innych, którzy kiedyś myśleli, że kochają mnie rozdierająco, i wszystkich ich ode mnie odrzuciło. Wszystkich bez wyjątku. Mam już dość tych wystraszonych moim widokiem wielbicieli. Nie chcę, żeby dołączył do nich biedny Job. W końcu on jeden był moim mężem i zasługuje na trochę większe względy. - Oburzona odwróciła się od niego plecami.

Podszedł do niej szybko, uchwycił ją za przegub i na powrót odwrócił do siebie przodem.

- Czy to znaczy — powiedział z jasnym i dziwnym błyskiem w oczach - że jedynym powodem, dla którego nie zobaczysz się ze Skeffingtonem...

- Tak - przerwała, patrząc nań buntowniczo. - To dlatego. Po prostu dlatego, że zobaczymy się wzajemnie: ja jego, a on mnie. Teraz możesz mną pogardzać. Nawet nie przypuszczasz, jak żalną, próżną istotę kochałeś przez całe życie; jak niedorzecznie...

- I to wszystko, Fanny? - przerwał jej bezceremonialnie.

- Czy wszystko? Ależ to jest niegodziwe. Brak mi po prostu słów...

- Posłuchaj - jeszcze raz jej przerwał, trzymając ją silnie w nadgarstku. - Nie potrzeba tu żadnych twoich słów. Musisz jedynie wysłuchać kilku moich...

Fanny jednak nie wysłuchiwała ich nigdy, ponieważ w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi, w których stanął Soames. George zwrócił się ku niemu z niezwykłą gwałtownością:

- Czyż nie zakazałem wchodzenia tu pod żadnym pozorem? - wykrzyknął.

Zdziwiło to Fanny. Tak ostra reakcja na drobne uchybienie. Dlaczego Soames miałby nie wchodzić?

Ten nieszczęsny człowiek, wciąż jeszcze w stanie wewnętrznego wzburzenia, które Fanny

przypisywała incydentowi z mrugnięciem Edwarda, chciał tylko zabrać naczynia po podwieczorku.

George był wprawdzie jej kuzynem i czym tam jeszcze, ale wydawanie ścisłych poleceń i takie

gwałtowne sceny to chyba jednak trochę ponad miarę tego, na co on sobie może pozwalać. Wszyscy i wszystko jest dzisiaj zabawne. Od chwili, kiedy rano opuściła swoją sypialnię, nic nie szło w taki sposób, do jakiego była przyzwyczajona.

Fanny zaintrygowana i z pochmurną miną wciąż stała przytrzymywana za rękę przez George'a, pod-

czas gdy Soames po wybuchu Pontyfridda zawahał się w progu. To prawda, że otrzymał polecenie niewchodzenia do salonu, ale po pewnym czasie doszedł do wniosku, że już dłużej nie zdoła

pozostawać na zewnątrz. Był bowiem zbyt przerażony. Na początek dostatecznie już wystraszyła go

panująca na dole śmiertelna cisza, ale to było nic w porównaniu z przerażeniem, jakie go ogarnęło,

gdy zaczął szczekać pies. Co też podkusiło sekretarkę, że poszła do biblioteki i zdenerwowała tego

psa? Siedział tam przecież spokojnie, podobnie jak... jak ten drugi, do

chwili, gdy panna Cartwright wetknęła tam nos powodując hałas, który zapędził Soamesa i dwóch lokajów po schodach na górę w poszukiwaniu schronienia u pana Pontyfridda i jaśnie pani pod pretekstem sprzątnięcia po podwieczorku. Po prostu stracił panowanie nad nerwami. Nie potrafiłby zostać na dole sam, bez ochrony czy zwierzchnictwa w sytuacji, kiedy wszystko może się zdarzyć. Stał więc właśnie w otwartych szeroko drzwiach salonu, mając za sobą dwóch lokajów z tacami, kiedy rozbrzmiało następne, tym razem głośnie i wyraźne szczeknięcie które się poniosło echem po holu, w górę po schodach, wzdłuż korytarza i dotarło do salonu.

- Czy w tym domu jest jakiś pies? - zapytała J-anny, bardziej zdziwiona ich nerwowym wzdrygnięciem się niż samym szczekaniem.

- Pies, proszę jaśnie pani? - wyjąkał Soames Dlaczego pan Pontyfridd to zrobił? Dlaczego postawił ich w takiej sytuacji po latach rzetelnej służby? Soames, jak wszyscy, litował się nad każdym nieszczęściem, ale akurat tego pan Pontyfridd nie powinien był tu sprowadzać.

Druga seria kolejnych szczeknięć, cała ich kaskada sprawiła, że odpowiedź stała się zbędna, a Fanny przenosząc wzrok z bladego jak płótno Soamesa na czerwonych jak piwonie lokajów, a wreszcie na spoconego George'a, powiedziała:

- Nie wiem, co się z wami dzieje, ale skoro zachowujecie się tak tajemniczo i bezsensownie, pójdę i sprawdzę sama... - i ruszyła zdecydowanie w kierunku drzwi.

George podążył za nią.

- Fanny, musisz mi wybaczyć - powiedział poważnie, kładąc rękę na jej ramieniu - to ja sprowadziłem tego psa. Znajdziesz go w bibliotece



- No cóż, rzeczywiście, nie widzę powodu, żebyś nie mógł przyprowadzić tu swego psa, jeśli masz na to ochotę - stwierdziła, niepewna już, czy warto się fatygować do biblioteki tylko po to, by znaleźć tam psa George'a.

Ale oto przez otwarte drzwi znów powiało tą szczególną atmosferą, którą wyczuła po wyjściu ze swej sypialni, kiedy odniosła dziwne wrażenie, że cały dom z zapartym tchem i obawą oczekuje jakiegoś wydarzenia. Ta aura dotarła nawet do jej sypialni, z której wybiegła Manby, węsząc dociekliwie. Trzeba będzie jednak pójść i sprawdzić, co się właściwie dzieje. Ostatecznie dopóki nie przekáže wszystkiego Jobowi, jest tu ciągle panią i nie wolno jej stać bezczynnie ze skrzywioną miną. Poza tym George, którego rękę czuła na swym ramieniu, zdawał się ją do tego ponaglać. Czuła, że on chce, by zeszła na dół i zbadała sytuację. Nie to jednak skłoniłoby ją do tego kroku, lecz powaga, która nie znosi wszelkich mistyfikacji.

- To nie jest mój pies - powiedział George bardzo dziwnym głosem.

- Nie twój?

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego przez chwilę, podczas gdy malujące się w jej oczach pytanie przeszło najpierw w wyraz niedowierzania, a następnie w pełną przerażenia pewność.

- *George?* - powiedziała szeptem, jakby nie wierząc, że mógł coś takiego zrobić.

On zaś począł ją szybko i nerwowo głaskać po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniał, a każdemu słowu towarzyszyła kolejna pieszczota jej wątego ramienia. - Zobaczysz i zrozumiesz - są pewne sprawy, którym trzeba położyć kres - właśnie miałem

ci o tym powiedzieć - miałem wyjaśnić - nie martw się, kochanie - nie martw się aż tak bardzo - zejść na dół - staw temu czoła...

- Oczywiście, że zamierzam stawić temu czoła

- odrzekła; wysunęła ramię spod jego ręki i wyszła z pokoju.

George otarł pot z twarzy. Soames odwrócił się plecami i ukradkiem osuszył swoją. Lokaje mieli ochotę uczynić to samo, ale po pierwsze uniemożliwiały im to trzymane tace, a po drugie lokajom to nie uchodzi.

Tak, wszystko będzie dobrze, wszystko musi być dobrze, po prostu nie ma innego wyjścia, zapewniał samego siebie George, obserwując Fanny, która wyrażając całą swą postacią wyniosłe oburzenie, szła korytarzem, a następnie zniknęła skręciwszy na schody. Jemu zaś nie pozostało nic innego, jak tylko modlić się o zbawienie dla Skeffingtonów, obojga Skeffingtonów, bo czyż jego Fanny nie powinna uniknąć swej beznadziejnej przyszłości, a nieszczęsny Job - zapomnieć o swej niedawnej straszliwej przeszłości?

George modlił się z całego serca; jednak Soames, który nie mógł o tym wiedzieć, sądząc, że pan Pontyfridd jest po prostu zafrasowany, przerwał mu, mówiąc:

- Proszę mi wybaczyć moją uwagę, sir - wyszeptał pod osłoną szczęki zbieranych przez lokajów naczyń,

- ale czy to... to spotkanie nie spowoduje u jaśnie pani straszliwego wstrząsu?

- *Bestie, bestie* - odpowiedział niespodziewanie George, zaciskając pięści i purpurowiejąc nagle na twarzy podobnie jak lokaje.

Nie Skeffingtonów miał jednak na myśli.

## 11

I oto teraz Fanny zstępowała samotnie po schodach na spotkanie swego losu. Z wysoko podniesioną głową i w wojowniczym nastroju. Trzeba przyznać, że to oburzające, powiedziała do siebie. Jak George mógł się poważić na coś podobnego? Ale tysiącokrotnie bardziej niezrozumiałym jest, że poważił się na to Job. O wiele bowiem gorsze, nieskończenie gorsze niż inspiracja George'a jest to, że Job uległ namowie. Wystarczyło już samo dręczące urojenie, by doprowadzić ją niemal do szału, a cóż dopiero mówić o żywym człowieku? Czuła, że jej szlachetny odruch, kiedy pomyślała o zwrocie całego mienia, zaczyna się w niej warzyć. Podobnie jak Królestwa Niebieskiego, tak i jej nie zdobywa się przemocą. Przeniknął ją gniew tak bardzo usprawiedliwiony, tak słuszny ogarnął bunt, że zbiegając po schodach zapomniała w końcu o decyzji niepokazywania się Jobowi w obecnym żalonym stanie. Przypomniała sobie o tym dopiero na ostatnim stopniu schodów, stanęła więc nagle i już zamierzała odwrócić się na pięcie, ruszyć z powrotem w górę do George'a i powiedzieć mu, by zabrał swego przyjaciela, opuścił ten dom i więcej tu nie wracał, kiedy otworzyły się drzwi biblioteki, z której wybiegła ścigana szczekaniem panna Cartwright.

Dziwne, pomyślała Fanny nieruchomiejąc. Cóż ona tam mogła robić? I jaki to mądry pies, że ją stamtąd wypłoszył.

Nie miała jednak czasu na roztrząsanie prawdopodobnych powodów, dla których jej sekretarka znalazła się tam, gdzie nie miała czego szukać, choć Fanny czuła przez skórę, że nie były to motywy szlachetne, więc jedynie rzuciła, patrząc na nią z wysokości stopnia:

- Słucham?

- Ach, najmocniej przepraszam, lady Frances, jestem pewna... - jąkała się kompletnie zmieszana panna Cartwright - ... myślałam, że pani jest w bibliotece, i chciałam... po prostu chciałam...

Głos zamarł jej w krtani. Każdemu by zamarł pod spojrzeniem Fanny.

- Nie mam już dziś dla pani żadnych poleceń - powiedziała tylko i zeszła z ostatniego stopnia.

Teraz nie ma odwrotu. Panna Cartwright zmusiła ją do wejścia do biblioteki. Rzuciwszy uwagę, która miała sekretarce uświadomić, że Fanny wie, kogo tam znajdzie:

- Obawiam się, że pani zdenerwowała psa pana Skeffingtona - otworzyła drzwi, weszła i zamknęła je za sobą.

\*

Tak, był tam Job, dokładnie taki, jak opisał go George: siwy i wysuszony; siedział pod lampą w drugim końcu długiego pokoju, mając u boku psa, który już przestał czekać, lecz obserwował ją błyszczącymi oczami, siedząc wyprostowany, wsparty na przednich łapach.

W bibliotece panowała niezwykła cisza. Wydawało się, że kiedy zostali sami, tylko ona i Job, na pomieszczenie spłynął jakiś dziwny spokój, opadając miękko jak pył, który pokrywa wszystko co sędziwe i skończone. Stała nieruchomo, mając tuż za sobą zamknięte drzwi, i odnosiła wrażenie, że patrzy na obraz. Siedzący w swym odległym fotelu Job również się nie poruszył, a pies w nie zmienionej pozycji przypatrywał się jej w bystrookim milczeniu.

Starzec z rękami splecionymi na lasce. Starzec tak zupełnie niepodobny do Joba, którego pamiętała, i do Joba z jej urojeń, że cały gniew opuścił ją w jednej

chwili. Jak można się złościć na godnego pożałowania obcego człowieka. No i te ciemne okulary... George nie wspominał jej o ciemnych okularach. Job nigdy nie używał szkieł. Oczy zachodziły mu mgłą tylko wtedy, kiedy się z uwielbieniem w nią wpatrywał - poza tym wzrok miał sokoli. Teraz, poprzez te okulary, Fanny nie mogła nawet dostrzec, czy on na nią w ogóle patrzy, choć głowę miał zwróconą w jej kierunku.

Ale jeśli miał głowę zwróconą w jej kierunku, to przecież musiał na nią patrzeć - nie mógłby się temu oprzeć. Czyżby więc - poczuła, że brak jej tchu - nie wiedział, kim ona jest? Czyżby to właśnie on spośród nich wszystkich nie mógł jej rozpoznać?

Wstrząśnięta tym strasznym podejrzeniem, zamiast zażądać wyjaśnień w związku z jego bezczelnym wtargnięciem do jej domu, zdołała tylko wyjąkać:

- Job... ? - I po długiej niby wieczność chwili ciszy, dobiegł ją nie słyszany od dwudziestu dwóch lat głos, który odpowiedział jej bardzo wolno i ostrożnie, jakby przebijał się po omacku przez ten długi pokój: - Czy to Fanny?

Czy to Fanny? Przez chwilę nie była w stanie wymówić słowa. Ostatecznie wszyscy inni, mimo doznawanego szoku, jednak ją rozpoznawali, tymczasem Job nie poznał jej w ogóle.

- Ty mnie nie poznajesz? - zapytała, przełykając ślinę.

Znów po krótkiej chwili milczenia, odpowiedział jej nieśpiesznie:

- To głos Fanny.

Zdruzgotana, stała bez ruchu, oparta o drzwi, które uchroniły ją przed osunięciem się na podłogę. Jej głos. Według Joba nie pozostało z niej już nic prócz głosu.

Job zaczął wstawać z fotela. Pies, otrząsając się, również natychmiast stanął na czterech łapach. Fanny zauważyła, że jest on przywiązany do ręki swego pana smyczą. Czyżby Job się obawiał, że to zwierzę - tak jak kiedyś ona, a potem, gdy się postarzał, również jej następczyni - ucieknie, pozostawiając go samego?

Zdawało się, że powstanie z fotela sprawia mu kłopot. Gmerał się nieporadnie, obmacując oparcie wolną od laski ręką. Obserwując go, usiłowała nie ulec widokowi jego bezradności. „Nieuczciwe jest” myślała „takie branie mnie na litość. To nie jest droga do... Nie dam się złapać na...”

Kiedy jednak Job potknął się na dywanie, wyleciała mu z ręki laska, a sam przewróciłby się, gdyby nie pies, który go pociągnął z powrotem na fotel, w Fanny zwyciężył instynkt - podbiegła i wyciągnęła do niego rękę.

Job nie zwrócił na to uwagi. Ona, Fanny, wyciągnęła do niego rękę, a on to całkowicie zignorował, podczas gdy jego twarz, wciąż zwrócona w jej kierunku, zachowała ten sam, dziwny, obojętny, nasłuchujący wyraz, który u niego dostrzegła, gdy otworzyła drzwi biblioteki.

Coś, co zauważyła, gdy podeszła bliżej, coś za tymi grubymi, ciemnymi szklami, coś niewidocznego, lecz wyczuwalnego, spowodowało, że przeszył ją lodowaty chłód.

- Job — wyszeptała, nie mogąc złapać tchu, - ty nie jesteś... oni nie... ty nie możesz być...

Nie wypowiedziała jednak tego słowa i wyręczył ją w tym Job.

- Tak - rzekł, pochylając głowę i mówiąc bardzo ostrożnie, jakby się obawiał, że w jego głosie zabrzmieni skargi czy choćby wymówki. - Ślepy.

- Czy to znaczy, że oni cię...?

Jednak już na samą zapowiedź tego słowa - które Fanny miała na końcu języka, kiedy ją Job powstrzymał przed jego wypowiedzeniem - do cichego i bezpiecznego pokoju przy Charles Street wkradł się paraliżujący strach.

- Ciiicho, ciiicho... - szeptał Job w gorączkowej panice, która była u niego pierwszym objawem życia, i z lękiem oglądał się za siebie, jakby w przekonaniu, że za fotelem ktoś na niego czyha, a jednocześnie jego ciało sprężyło się, jakby w oczekiwaniu na cios.

Wpatrywała się w niego z góry, skamieniała na myśl o powodach takiego zachowania Joba. Takie jest więc życie pod zewnętrzną, promienną powłoką. Podczas gdy Fanny, pławiąc się w słonecznym blasku na jego powierzchni, marnotrawiła całe miesiące na zawstydzający, egoistyczny i infantylny lament nad utratą swej pięknej twarzy, Job został sprowadzony do poziomu zastraszonego zwierzęcia. Jak można w ogóle żyć, jeśli na świecie dzieje się coś takiego? Jak inaczej da się żyć w zgodzie z własnym sumieniem, jeśli nie poprzez poświęcenie się bez reszty i na zawsze niesieniu pomocy, pociechy, a może ostatecznie i uzdrowienia?

Z zewnątrz dobiegły jakieś hałasy; zwykle, niczym nie wyróżniające się odgłosy dnia codziennego, na które Fanny nie zwróciłaby nawet uwagi, ale to wystarczyło, aby Job drgnął i kurczowo uchwycił się poręczy fotela. To również wywołało u Fanny przerażające skojarzenia, rzucając ją na kolana.

Ulegając fali niewypowiedzianej czułości, uklękła i przygarnęła Joba do piersi.

- Nie, nie - uspokajała go szeptem, tuląc i niemal kołysząc, jakby był malutkim dzieckiem, którego nigdy nie miała - oni już nigdy... nigdy, nigdy więcej... jesteś bezpieczny... wróciłeś do domu...

Job nie mówił nic, lecz z głową zwróconą w stronę drzwi słuchał uważnie, jednak nie jej, czegoś innego... Ona zaś, ogarnięta rozdzierającym współczuciem, tuliła go do siebie, osłaniając przed każdym, kto by się odważył go skrzywdzić i szepcząc nieskładne słowa miłości, za których usłyszenie przed ćwierćwieczem oddałby życie.

Teraz nie mówił nic. Wsłuchiwał się, ale nie w te słowa. A pies, wyprostowany i czujny, obserwował tych dwoje w bystrookim milczeniu.

\*

Tak ich zastała Manby. To właśnie ona stuknęła tacą o drzwi, nie mogąc z powodu wielkiego podenerwowania zapanować nad swymi rękami.

Manby już dawno odkryła, że do przeróżnych sytuacji, w które jaśnie pani tak łatwo się wplątuje, należy podchodzić zawsze w ten sam sposób: postępować tak, jak gdyby nie wydarzyło się nic szczególnego. Jedno mignięcie twarzy przechodzącej korytarzem ku schodom Fanny, którą Manby ujrzała przez uchylone drzwi, wystarczyło służącej, by wyciągnąć wniosek, że oto właśnie znów powstała taka sytuacja. Cofnęła się więc pośpiesznie do sypialni i zatelefonowała na dół do panny Cartwright z pytaniem, czy wie, co się dzieje.

Odpowiedź sekretarki zmusiła ją najpierw do przytrzymania się stołu, gdyż nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a następnie, kiedy już złapała oddech i odzyskała odwagę - do natychmiastowego chwycenia byka za rogi. Jaśnie pani jest teraz w prawdziwej potrzebie i należy pośpieszyć jej z pomocą.

Jedynego małżonka chlebodawczyni Manby zawsze uważała za swego pana. Nie interesowała jej ta zadawniona pomyłka sądowa; stara służąca była bowiem niewzruszona w opinii, że jeśli Bóg raz połą-



czył dwoje ludzi, to żadne gadanie jakichś jegomoś-ciów w perukach nie może ich rozdzielić. Pan nie zachowywał się tak jak należy, ale dżentelmeni to przecież nie damy i trzeba im wybaczać. A już do tego czasu pani chyba mogłaby to zrobić. Zacisnąwszy więc z determinacją usta i tłumiąc bicie własnego serca, skoro sama miała uspokajać i nieść pomoc, Manby wzięła się do odmierzania lekarstwa w małym kieliszku.

Były to uspokajające krople jaśnie pani, czyli wzmacniająca mikstura doktora Clarka, zarekomentowana i podawana przez Manby codziennie o siódmej wieczorem. A właśnie wybiła siódma.

Doświadczenie nauczyło Manby, że skrupulatnie kultywowane przyzwyczajenia pozwalają człowiekowi pamiętać o tym, że życie nie składa się z samych tylko wstrząsów. Choćby na przykład takie spożywanie śniadań albo mycie zębów. Odmierzywszy lekarstwo, postawiła kieliszek na tacy, zniosła ją na dół i zderzywszy się najpierw z drzwiami biblioteki, weszła statecznym krokiem oraz z obliczem osoby spełniającej swój codzienny obowiązek o ustalonej godzinie.

- Krople, proszę jaśnie pani - oznajmiła, spuszczając z szacunkiem powieki.

- Słuchaj, to była tylko Manby - zapewniła jej zaniepokojona pani jej biednego pana, tak jakby był przestraszonym dzieckiem, które trzeba pieszczotliwie przekonywać, że nie ma powodów do obaw.

- Tak, sir, to ja. I bardzo się cieszę, że pana widzę - powiedziała Manby, rzucając nań jedno nerwowe spojrzenie. - Mam nadzieję, że u pana... - chciała powiedzieć „wszystko w porządku”, ale czy można o to pytać nieszczęsnego dżentelmena, który jest bardzo stary, wychudły jak szkielet i dotknięty najstraszniejszym ze wszystkich dopustów - ślepotą?

Fanny odchyliła się z klęczek do tyłu, oparła na piętach, i spojrzała na Manby spod wilgotnych rzęs. Jej twarz wyrażała jeden wielki smutek, poprzez który przebijała jednak nadzieja i stanowczość. Tu nie potrzeba żadnej pomocy, pomyślała Manby, nagle przepełniona dumą; oto jej pani postępuje tak jak należy i jest w tej chwili piękniejsza niż kiedykolwiek w czasach swej chwały.

- Pan Skeffington wrócił do domu - powiedziała Fanny.

- Tak, proszę jaśnie pani. Czy mam... - w czasie krótkiej przerwy Manby zwalczyła kłopotliwe i nie-stosowne łaskotanie w krtani, które z łatwością mogło się przerodzić w szloch - ... czy mam powiedzieć ochmistrzyni, żeby przygotowała pokój jaśnie panu?

- Jego własny pokój - odparła Fanny.

- Tak, proszę pani. A czy jaśnie pani włoży... - znów przerwała na chwilę, czyniąc nadludzki niemal wysiłek, by przywołać swą dawną pełną uszanowania oficjalność - czy mam wyjąć różowy welvecik czy może tę nową białą koronkę?

Na jedną krótką chwilę Fanny opuściła bezsilnie głowę i z tak ukrytą twarzą uczyniła ręką kilka chaotycznych, niezdecydowanych ruchów, kreśląc nią na dywanie krzyżujące się linie.

Wreszcie podniosła wzrok na stojącą nad nią Manby i powiedziała:

- Ależ *oczywiście*, że tę nową białą koronkę.